

MARTA
GUZOWSKA

**ŚLEPY
ARCHEOLOG**

MARGINESY





MARTA
GUZOWSKA

**ŚLEPY
ARCHEOLOG**

MARGINESY

Ta książka jest, rzecz jasna, dla Iwony i Piotrka Wojnarów

Everybody lies

Doktor House

Everybody dies

Doktor House

CZEŚĆ I

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 9.05**

Brzęczenie muchy doprowadzało mnie do szału, ale nie mogłem jej zlokalizować. Sądząc po dźwięku, była wielka i tłusta. Mucha wrześniowa utuczona przez całe długie lato.

– Panie Tomaszu Mara, proszę powtórzyć, jak nazywały się i kim były pana ofiary.

Gardło miałem suche i bałem się, że nie wydobędę z siebie głosu. Ale spróbowałem, musiałem spróbować.

– Mona Anna Abano, zatrudniona na stanowisku asystentki Kreteńskiego Centrum Badań Archeologicznych w Pachia Ammos, nomos Lasiti na Krecie i Oliwia Maria Papadaki, zatrudniona na stanowisku głównej konserwatorce w tym samym ośrodku. Zabiłem je obie.

Czułem, jak na czole zbierają mi się kropelki potu. W pokoju przesłuchań nie było klimatyzacji, posterunek oszczędzał na zasłonach, a okna, szczelnie zamknięte, wychodziły na południe. Nie miałem czym oddychać. Głos policjantki też brzmiał chrapliwie. Tylko mucha czuła się wyśmienicie.

– Dlaczego?

– Co dlaczego? – Nie zrozumiałem.

– Dlaczego je pan zabił?

– To skomplikowane. Wolałbym opowiedzieć o wszystkim od początku.

Policjantka westchnęła.

– Zaraz do tego przejdziemy, panie Mara, ale chcę powiedzieć po raz ostatni: ma pan prawo do adwokata, który może być obecny przy tym przesłuchaniu. Jeśli nie stać pana na wynajęcie żadnego, przysługuje panu obrońca z urzędu.

Wyciągnąłem przed siebie rękę i dotknąłem stojącej na stole szklanki wody. Szkło miało taką samą temperaturę jak moja skóra. Woda pewnie też była ciepła. Odsunąłem dłoń.

– Nie chcę adwokata – wychrypiałem.

– W takim razie przeczytam pana dane osobowe. Proszę potwierdzić, czy się zgadzają.

Mucha przeleciała tuż obok mojej głowy. Pewnie wyczuła krew w niezagojonej ranie na skroni. Machnąłem ręką i brzęczenie na moment ucichło. A zaraz potem owad znowu zaczął krążyć gdzieś w rogu pod sufitem.

– Tomasz Mara, urodzony dwudziestego lipca tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego roku w Kunes.

Uniosła głowę, jej włosy otarły się o kołnierz bluzki.

– Gdzie to jest?

– Za kołem podbiegunowym. – Ciągle chrypiałem, ale nie mogłem się zmusić, żeby przepłukać gardło ciepłą wodą.

– Aha. Ojciec, Jan Mara, polarnik. Matka, Ewa Bykowa, z wykształcenia lingwistka, bez zawodu. Studiował pan archeologię w Edynburgu... Już nie za kołem podbiegunowym.

To nie było pytanie, więc nie odpowiedziałem.

– Hm. No tak. Doktorat obronił pan na uniwersytecie w Salonikach.

To też nie było pytanie.

– Później zatrudniono pana jako asystenta na uniwersytecie w Retimno i brał pan udział w kilkunastu projektach archeologicznych na terenie Krety. Pięć lat temu wygrał pan konkurs na stanowisko kierownika Kreteńskiego Centrum Badań Archeologicznych w Pachia Ammos, w nomie Lasiti na Krecie. Pracuje pan na tym stanowisku do dzisiaj. Czy te informacje są zgodne z prawdą?

Skinąłem głową. Były.

Policjantka przełożyła jakieś papiery. Przez chwilę milczała, a kiedy się odezwała, w jej głosie zabrzmiało wahanie.

– Od dwudziestu dwóch lat, a konkretnie od siódmego września tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku, jest pan niewidomy.

KENTRO, PACHIA AMMOS, PONIEDZIAŁEK 11 WRZEŚNIA, PRZED ŚWITEM

To był wypadek, dawno temu. Straciłem wzrok, ale zyskałem okrągłą sumkę z polisy ubezpieczeniowej. I musiałem zacząć całkiem nowe życie, czy mi się to podobało czy nie. A szybko zaczęło mi się podobać.

Jasne, pamiętam jeszcze banały, błękit nieba czy zieleń trawy. Rozumiem, co to znaczy, że dziewczyna ma czerwoną sukienkę albo rude włosy. Rozumiem, ale tego nie czuję. Kolory nie budzą we mnie emocji. Czerwień nie ekscytuje, błękit nie uspokaja. Są tylko słowami. Jak cyfry. Jak litery. Jak nazwy drzew. Których też przecież nie widzę.

Tak, znam pytanie, które zaraz padnie.

Czy w ogóle widzę cokolwiek?

Podobno (nie wiem, ile warte są te statystyki) dziewięćdziesiąt procent osób prawnie uznanych za niewidome może coś dostrzec. Albo niewyraźne kształty, albo kolorowe plamy, albo osoby czy przedmioty tunelowo w małym okienku, w centrum lub na obrzeżach pola widzenia. Tylko pięć do dziesięciu procent jest tej możliwości pozbawionych. Ja się do nich zaliczam. Nie widzę nic. Kompletnie, absolutnie nic.

Czy przed moimi oczami jest tylko czerń?

Wcale nie. Potrafię określić zmiany natężenia światła. Kiedy jest jasno, pod powiekami mam pomarańcz albo czerwień, która ciemnieje jak zasychnąca krew, kiedy światło zamiera. Więc coś tam jednak wiem o kolorach, przynajmniej o tych dwóch.

Czy mam psa przewodnika?

Nie. Nie znoszę psów. Mona, moja nowa asystentka, ma psa i to w zupełności wystarczy.

Czy poruszam się z laską?

Czasami. Kiedy chcę zagrać na czyichś uczuciach. Wiecie, coś w stylu: biedny kaleka, trzeba się nim zaopiekować. To zawsze działa, zawsze! Jeśli nie wierzycie, załóżcie kiedyś w pochmurny dzień ciemne okulary, weźcie do ręki biały kijek i przejdźcie się ulicą, trzymając głowę sztywno, jakbyście czegoś nadsluchiwali. Ludzie są pełni wyrzutów sumienia i chętnie pomagają tym, którzy na pierwszy rzut oka mają od nich cięższe życie. Nie lubią tylko tych, którym się dobrze wiedzie, o czym przekonuję się za każdym razem, kiedy wychodzę bez laski, ale za to w markowych okularach przeciwsłonecznych i koszuli z dobrego sklepu.

Czy nauczyłem się samodzielności na specjalnych kursach dla osób niewidomych?

Nie, nie cierpię przebywać w jednym pomieszczeniu z osobami, które uważają się za mądrzejsze tylko dlatego, że widzą promieniowanie elektromagnetyczne o częstotliwości pomiędzy, z grubsza, trzysta osiemdziesiąt a osiemset nanometrów. Całą moją samodzielność zbudowałem sam. Polegam na pamięci. Zacząłem ją ćwiczyć jeszcze w szpitalu, kiedy wybudziłem się z narkozy i kiedy lekarka powiedziała mi, że już nigdy nie będę widział. Zapamiętałem zapach jej świeżo wykrochmalonego fartucha, tanich kwiatowych perfum i lakieru do włosów oraz lekką chrypkę w głosie. Zapamiętałem, ile kroków zrobiła, zanim wyszła z pokoju, i w którą stronę – biorąc jako punkt odniesienia moje łóżko – znajdowały się drzwi. Kiedy mogłem już wstać, odtworzyłem tę sekwencję z pamięci i położyłem dłoń na klamce bez potykania się o sprzęty. To było moje pierwsze zwycięstwo i pierwsza porażka: pielęgniarki znalazły mnie na korytarzu, w rozpiętej na plecach szpitalnej koszuli, kiedy bezskutecznie próbowałem znaleźć kibel. Ale potem wiele się nauczyłem i zwycięstw było więcej niż porażek.

Nauczyłem się automatycznie liczyć kroki i przy każdym ruchu określać kierunek na moim wewnętrznym kompasie, podzielonym – jak tarcza każdego kompasu – na trzysta sześćdziesiąt stopni. Nauczyłem się sporządzać w pamięci trójwymiarowe mapy mojego otoczenia. Nauczyłem się wyłapywać z tła dźwięki tak delikatne, że większość osób nawet o nich nie wie. I wytrenowałem mój nos do wychwytywania każdej molekuly obcego zapachu. Perfekcyjna pamięć, doskonały słuch i świetny węch: dzięki nim mieszkam sam, jestem szefem ważnego ośrodka archeologicznego na Krecie, prowadzę wykopaliska archeologiczne i jestem szczęśliwy. Prawie.

Kolejne pytanie, jakie często słyszę: dlaczego zostałem archeologiem?

A dlaczego nie?

Czy wy z ręką na sercu potraficie powiedzieć, dlaczego zostaliście lekarzami, hydraulikami i manikiurzystkami? Mieliście w dzieciństwie objawienie? Nad waszymi głowami pojawił się anioł i wyszeptał wam do uszka, czym powinniście się zajmować przez resztę życia? No właśnie.

Kiedy jeszcze widziałem, podobały mi się te wszystkie sfinksy i piramidy, starożytne świątynie, zdjęcia słońca wschodzącego nad Nilem, ruiny na górskich szczytach, ogromne posągi, kolumny i mury. A potem spodobała mi się myśl, że będę się zajmować czymś, co uległo zniszczeniu na zawsze. Co już nie wróci. Jak mój wzrok. Urzekła mnie idea, że wszystko przeminie. Że wszyscy, ilu nas jest: grubi, chudzi, piękni, brzydzy, mądrzy i głupi, ślepcy i obdarzeni sokolim wzrokiem, pójdziemy do piachu, gdzie zamienimy się najpierw w gnijące mięso, potem w stertę kości, a na końcu w proch. Bo jeśli czas radzi sobie z granitem i bazaltem, z którego budowano świątynie i ciosano rzeźby, dlaczego miałby nie poradzić sobie z ważącym kilkadziesiąt kilogramów organizmem opartym na strukturze białkowej.

A jeszcze później, dużo później, okazało się, że archeologia więcej ma wspólnego z potłuczonymi garnkami niż z kolumnami. Ze śmieciami, a nie z granitowymi posągami. Z rozwalonymi chatami i obgryzionymi kośćmi pozostawionymi w palenisku, a nie ze świątyniami. Ale to też mi się podobało. Poza tym ślepemu łatwiej pomacać stare skorupy niż wielki posąg lub świątynię, więc trochę zadecydowały względy praktyczne. Zostałem przy ceramice.

Moja praca mieści się w czubkach palców. Dotykem potrafię rozpoznać kształt naczynia (nawet jeśli się potłukło i zostały z niego tylko skorupy), rodzaj gliny, a nawet dekorację. Glinka użyta do namalowania wzorów na starożytnym naczyniu zawsze ma inną fakturę niż tło. Zamknijcie oczy i spróbujcie kiedyś pomacać w muzeum, zanim włączy się alarm.

Nauczyłem się też dotykać koleżanki z roku w taki sposób, że później chętnie czytały mi na głos podręczniki i prowadziły moje palce po glinianych skorupach. Po pięciu latach byłem najlepszy na roku i bez trudu dostałem się na studia doktoranckie. Po kolejnych trzech latach obroniłem doktorat. Po następnych dwóch zostałem wiceszefem ważnego projektu na wschodniej Krecie. Jeszcze trzy lata i wygrałem konkurs na dyrektora Kentro, czyli centrum archeologicznego na wschodniej Krecie. Najlepszym miejscem na ziemi.

Jest jeszcze jedno pytanie, które często słyszę: czy gdyby jakaś skomplikowana (i – w domyśle – kosztowna) operacja mogła mi przywrócić wzrok, zdecydowałbym się na nią? Odpowiedź brzmi: nigdy! Dużo wysiłku kosztowało mnie ułożenie sobie świata i niech już tak zostanie.

Prowadzę spokojne życie. Najbardziej ekscytującym dniem w roku jest zebranie komisji do podziału grantów. Poza tym każdy mój dzień wygląda tak samo. Wstaję rano, ćwiczę, wykonuję niezbędne czynności toaletowe, jem. Schodzę po schodach i siadam do papierkowej roboty. Skanuję i odczytuję programem głośnomówiącym rachunki za naprawę rur (rury na Krecie psują się co miesiąc), za elektryczność i za drobne usługi, które zlecam – na zmianę, żeby nikt się nie obraził – dwóm firmom z okolicznych wsi. Czytam (to znaczy czyta mi komputer) mejle i rezerwuję pracownie dla badaczy, gdy chcą tu przyjechać i w spokoju posiedzieć nad materiałem, albo – częściej – odpisuję (dyktuję komputerowi, naprawdę programiści wymyślili już cuda, żeby ułatwić życie ślepcom takim jak ja), że przepraszam, ale w podanym terminie nie ma już miejsca. Dzwonię do stolarza i do specja od komputerów. Przeglądam listę chemikaliów potrzebnych Oliwii do konserwacji, po kłótni zmniejszam ich liczbę o połowę i wysyłam zamówienie. I tak dalej, i tak dalej.

Zajmuje mi to czas do południa. Po lunchu (czasem gotuje *kyria* Fotini, czasem Ifigenia coś przynosi, a jeśli nie, to zamawiam danie na wynos w jednej z trzech knajp we wsi u podnóża wzgórza) idę do biblioteki. Jakoś nikt nie zadał sobie do tej pory trudu tłumaczenia na brajla publikacji archeologicznych. Pewnie

dlatego, że – o ile mi wiadomo – jestem jedynym czynnym zawodowo ślepych archeologiem na świecie. Dlatego tutaj też korzystam ze skanera i programu głośnomówiącego. Mam do wyboru dwa nagrane głosy: nadęty baryton albo egzaltowany mezzosopran. Oba pewnie doskonale wypadłyby w operze, ale są wkurzające, kiedy człowiek chce się tylko dowiedzieć, ile i jakich naczyń odkopał Seager na Mochlos. Nie jestem szowinistą, wybieram mezzosopran do czytania publikacji, których autorkami są kobiety, a baryton rezerwuję dla mężczyzn. W końcu w prawdziwym życiu bywa podobnie: większość archeolożek jest egzaltowana, a archeolodzy mają przesadne wyobrażenie o swojej wybitności.

Zjadam kolację (jak wyżej) i wychodzę. Mijam bramę, zstępuję powoli wąską ścieżką ze stromego wzgórza. Nie potrzebuję laski, znam każdy kamień, a są tu głównie kamienie. Dochodzę do asfaltowej uliczki, pamiętając o każdej dziurze w nawierzchni i każdym fragmencie krawężnika, i docieram do przelotówki łączącej Agios z Sitią. Nad słuchuję, czy nic nie jedzie, przechodzę. Mijam przestrzeń między domami i jestem nad morzem.

Wdycham słoną wilgoć. Czasem siadam na piasku, zdejmuję buty, podwijam spodnie i brodzę po kolana w wodzie, zimnej bez względu na porę roku. Kiedy indziej tylko stoję i słucham rytmu fal, który nigdy się nie zmienia. Bywa, że odwiedzam tawernę Manolisa. Pani Manolisowa pachnie sfermentowanymi liśćmi winogron i mówi cienkim, słodkim głosem – jakby była małą dziewczynką, a nie matką trzech nastoletnich córek – kiedy bez pytania stawia przede mną kieliszek białego wina z Siti i coś do pogryzania. Manolis niekiedy dosiada się na plotki. Plotkuje on, bo cóż ciekawego ja mógłbym mu mieć do powiedzenia.

Wracam do domu wcześniej, bo archeolodzy wstają o świcie. Na dole, w Kentro, włączam alarm, a drzwi mieszkania zamykam na klucz, chociaż nie robię tego w dzień. Wyciągam się na sofie pod oknem i wciągam w nozdrza zapach morza.

Raz w roku, przez trzy tygodnie sezonu wykopaliskowego moje życie wygląda inaczej, ale zmiany są kosmetyczne. Po śniadaniu zamiast usiąść do papierkowej roboty, czekam, aż jeden ze studentów zawiezie mnie na teren wykopalisk. Pracujemy do czternastej. Sprawdzam, co wychodzi w każdym wykopie. Doradzam, czy lepiej warstwę zostawić czy wyeksplorować, a potem przyjrzeć się jej w profilu, przeglądam z grubsza wydobyte skorupy (i tak niewiele widać, póki się ich nie umyje). W tym czasie moi asystenci kontrolują katalog warstw, katalog zabytków, katalog obiektów, katalog drobnych znalezisk i milion innych katalogów, które tak wrosły w nasze życie, że przestałem uważać to za dziwne. I krzyczą do mnie przez cały wykop, jeśli ktoś znajdzie coś ciekawego.

Po powrocie do domu biorę prysznic, wkładam świeże ubranie i schodzę na dziedziniec, gdzie w pięciu rzędach stoją wielkie stoły do sortowania ceramiki. Poprzedniego dnia umyły ją dziewczyny ze wsi i zdążyła już wyschnąć na wielkich

siatkach rozpiętych tuż nad ziemią na drewnianych ramach, w najbardziej nasłonecznionym kącie dziedzińca. Rozkładałam ceramikę na blatach i pracuję do wieczora, na koniec przeglądam jeszcze rachunki z Kentro. Później jest tak samo: spacer, plotki z Manolisem i morze. Czasem Ifigenia.

I nie wiem, dlaczego myślałam, że tak już będzie zawsze.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 9.09**

– Ślepy.

– Słucham? – Policjantka znowu zaszeleściła papierami. Na imię jej Marina. Mam doskonałą pamięć i ciągle ją ćwiczę, ale akurat wtedy za cholerę nie mogłem sobie przypomnieć jej nazwiska. Wiedziałem tylko, że pochodziło od nazwy kogoś z miast i kończyło się na „ki”, jak to nazwiska na Krecie.

– Jestem ślepy. Wolę to określenie od „niewidomy”. Dokładniej opisuje stan faktyczny.

– Może i tak. – Po tym, jak jej włosy znowu otarły się o bluzkę, poznałem, że wzruszyła ramionami. Pewnie myślała, że może sobie pozwolić na ten gest, skoro nie widzę. – W jakich okolicznościach stracił pan wzrok?

– To był wypadek – burknąłem.

– A dokładniej?

– Czy to należy do sprawy?

Pokręciła głową. Jej włosy znowu otarły się o kołnierz bluzki, która musiała być z jedwabiu; tego szelestu nie można pomylić z żadnym innym. Policjantkę na kreteńskim zadupiu stać na jedwabne bluzki? Zanim jednak zdążyłem się nad tym zastanowić, odezwała się znowu.

– Nie, nie należy. Jesteśmy tu po to, żeby rozmawiać o śmierci Mony Abano i Oliwii Papadaki, a nie o pana wypadkach. Muszę jednak ustalić, na ile wiarygodne jest to, co pan pamięta. Czy jest pan całkowicie... uhm... ślepy? Czy coś pan widzi?

– Tylko zmiany natężenia światła.

– To znaczy...?

– To znaczy, że potrafię się zorientować, kiedy słońce świeci mi prosto w oczy, jak tutaj.

Większość ludzi w tej sytuacji wstałaby od stołu, zaciągnęła zasłonę albo zaproponowała, żebym się przesiadł. Ale nie Marina Jakaśtam. Poprawiła się na krześle i przez dłuższą chwilę siedziała bez ruchu. Mucha zabrzęczała gdzieś od strony okna, a potem umilkła, pewnie łaziła po szybie, a Marina powiedziała:

– Skąd mogę mieć pewność, że to, co pan pamięta, jest zgodne z prawdą?

– A skąd pani wie, że prawdziwe jest to, co opowiadają widzący świadkowie?

Zaśmiała się krótko. Nie byłem pewien, czy policjantka przesłuchująca zabójcę powinna się śmiać.

– Nie wiem.

– Mamy piątek, piętnastego września, jest godzina dziewiąta jednaście albo

dwanaście, z dokładnością do dwóch minut. Przyszliśmy do tego pokoju korytarzem długości dwudziestu dwóch lub dwudziestu trzech metrów. Jego ściany były malowane mniej więcej rok temu. Dyżurny oficer, który nas tu przyprowadził, ostatnio bardzo przytył, bo żona gotuje mu za dużo mięsa. Uważa, że schudnie od papierosów, ale to nie działa. Mam mówić dalej?

– Nie musi pan – mruknęła. – Zastanawiam się tylko...

– Tak?

– Godzinę może pan określić na podstawie kąta padania promieni słonecznych, tego można się nauczyć. Osoba o czułym węchu może poznać, że ktoś pali, je za dużo mięsa, bo wtedy zmienia się zapach potu, a także że korytarz był malowany rok temu, bo zapach farby jest trwały. Skąd jednak pan wiedział, że Panagiotis przytył?

Położyłem dłonie na ciepłym od słońca blacie.

– Ma za ciasny mundur. Kołnierzyk obciera mu kark, a on ciągle go poprawia. To bardzo charakterystyczny dźwięk, nie do pomylenia z innym.

– Ale dlaczego niedawno?

– Gdyby przytył dawno, zmieniłby mundur na większy. Na razie ciągle ma nadzieję, że schudnie.

Milczała przez długą chwilę.

– To jest pana metoda? – spytała w końcu. – Dobry węch, dobry słuch i odrobina taniej psychologii?

I jeszcze kilka innych rzeczy. Nie zamierzałem jej tłumaczyć. Powiedziałem tylko:

– Sprawdza się.

Jej włosy znowu przesunęły się po jedwabiu bluzki. To był miękki dźwięk. Nie używała żadnego lakieru ani pianki do usztywniania fryzury. Dziwna z niej Greczynka.

– No dobrze. Proszę w takim razie opowiedzieć wszystko od początku.

– Od stworzenia świata?

– Niech pan nie próbuje być dowcipny, panie Mara. Przypominam, że jest pan podejrzany o zabójstwo, a właściwie o dwa.

Miała rację. Spowodowałem śmierć dwóch kobiet. Bo byłem cholernie głupi i nie dostrzegałem tego, co się dzieje wokół mnie. A gdy już dostrzegłem, nie rozumiałem. Zupełnie jak ślepiec...

– Proszę zacząć od tamtego dnia, w którym znaleźliście na wykopaliskach zwłoki.

– Przyszedłem do pani, bo chcę przyznać się do zabicia Mony i Oliwii. Czy możemy porozmawiać o tym?

– Dojdziemy do tego, panie Mara. Najpierw chcę usłyszeć od pana jak najwięcej o wydarzeniach poprzedzających śmierć pani Abano i pani Papadaki.

Milczałem długą chwilę. Nie odzywała się i nie robiła nic, żeby mnie przynaglić. Kiedy wreszcie zacząłem, mówiłem powoli, zastanawiałem się. Nie chciałem nic pomylić.

– To był zupełnie zwyczajny dzień. Wstałem rano...

Przerwała mi:

– Chyba nie taki zupełnie zwyczajny. Przecież wykopaliska prowadzi się tylko przez kilka tygodni w roku.

– To był zupełnie zwyczajny wykopaliskowy dzień...

– Jak długo trwa taki sezon?

Westchnąłem.

– Czy to naprawdę ważne w tej chwili?

– Proszę odpowiadać na moje pytania.

Poprawiłem się na krześle. Spłoszyłem muchę i znowu zaczęła bzyczeć. Miałem ochotę rzucić w nią szklanką wody, ale nadal nie potrafiłem ustalić, gdzie dokładnie jest owad.

– Sezon wykopaliskowy trwa trzy tygodnie. To był początek drugiego. Poniedziałek, jedenastego września. – Urwałem, ale milczała, więc mówiłem dalej: – Wstałem rano. Umyłem się i ubrałem. Zszedłem z mojego mieszkania, które, jak pani wie, mieści się na piętrze, nad pracowniami archeologicznymi w Kentro.

– Tak, wiem. – Marina zaszeleściła papierami. Rozłożyła przed sobą na blacie całą teczkę pełną notatek i dokumentów. – Mieszka pan sam mimo... ślepoty? Nie potrzebuje pan pomocy przy codziennych czynnościach?

– Potrafię się umyć i ubrać, pani też by pewnie potrafiła z zamkniętymi oczami, a ja mam wiele lat wprawy. – Czekałem na jakiś komentarz, na przykład żebym był mniej bezczelny. Ale się nie doczekałem, wróciłem zatem do przerwanej wątku: – Trudno mi jednak zrobić kawę i w ogóle coś do jedzenia. Na co dzień posiłki przygotowuje dla mnie nasza gospodyni *kyria* Fotini albo jadam poza domem. *Kyria* Fotini także sprząta, zmienia mi pościel i tak dalej. Czy to jest odpowiedź na pani pytanie?

Milczała.

– Więc zszedłem, zamieniłem kilka słów z Oliwią, która jest... była naszą konserwatorką zabytków. Później...

– Pamięta pan godzinę?

Teraz ja pozwoliłem sobie na wzruszenie ramion.

– Na wykopaliskach wstaje się wcześniej. Mam budzik nastawiony na piątą trzydzieści, więc pewnie dochodziła szósta.

– I pani Papadaki była już w pracy?

– Oliwia zawsze wcześniej przychodzi... przychodziła. Kiedyś mi wyznała, że lubi wstawać przed świtem, a w Kentro nie mamy stałych godzin pracy.

– No dobrze, i co dalej?

– Zamieniliśmy dwa słowa, nic specjalnego, kawa, pogoda. A później pojechałem na wykop.

– Sam?

– Jak pani to sobie wyobraża?

– Panie Mara! – Walnęła otwartą dłoń o blat stołu. Musiała mieć niezłą krzepę: szklanka zadrżała, a drobniutkie kropelki opryskały mi twarz. – Proszę konkretnie odpowiadać na pytania!

Nic na to nie powiedziałem. Bo, jak kazała, czekałem na pytanie. W końcu załapała.

– W jaki sposób dostał się pan na teren stanowiska archeologicznego?

– Przyjechał po mnie Romanos Kallergopoulos, mój asystent na wykopaliskach.

Jak na razie mówiłem prawdę. Ale niecałą.

KENTRO, PACHIA AMMOS, PONIEDZIAŁEK, 11 WRZEŚNIA, ŚWIT I NIECO PÓŹNIEJ

Znowu miałem sen, który nawiedza mnie prawie co noc. Ten, w którym widzę.

W tym śnie szedłem wąską asfaltową drogą o zniszczonej nawierzchni. Asfalt niestarannie wylano, pewnie za szybko, i teraz kruszył się na krawędziach, a w środku pękał, tworzyły się tam wielkie dziury. Szedłem skrajem pobocza, bo chociaż ruch był niewielki, co chwila mijały mnie samochody. Głównie białe, chociaż zdarzały się też karoserie w innych kolorach, niektóre wypłowiałe od słońca, bo w tej okolicy nikt nie ma kasy, żeby wymieniać samochód co trzy lata. Kiedy przejeżdżały za blisko, czułem podmuch gorącego wiatru i odsuwałem się bardziej na bok.

W tym śnie pory roku bywają różne, naprawdę nie wiem, od czego to zależy. Drzewa czasem mają liście, a czasem tylko gołe gałęzie. Widzę też kwiaty. Kiedy na drzewach dopiero rozwijają się pąki, czyli jest wiosna, kwiatki mają jaskrawożółty kolor. Latem (drzewa z bujnym ciemnozielonym listowiem, niektóre, na przykład kasztanowce, już zrudziałe od gorąca) przy poboczu kwitną maki. Wczesną jesienią, gdy liście są już brązowe albo szare od pyłu, ze szczelin w przydrożnych skałach wyrastają anemony, białe albo blad różowe. Pory roku nie dotyczą rododendronów, bo te, czy wiosna, czy lato, mają tłuste ciemnozielone liście i napęczniałe różowe kwiaty. Ale akurat tamtej nocy była wczesna jesień, jak teraz.

Ziemia przy popękany asfalcie też jest taka sama o każdej porze roku, lekko rudawa. Jedynie w lecie i jesienią jej odcień jest bledszy z powodu suszy, a jasnożółta trawa nie kontrastuje z glebą tak mocno jak wiosenna zieleń.

No więc w tym moim śnie szedłem sobie poboczem i patrzyłem na morze w oddali. Podobno tu nigdzie w okolicy z wiejskiej drogi nie można zobaczyć morza, ale nie wymagajmy od snów dobrej znajomości topografii. Akurat tamtej nocy fale były zielone, choć czasem są błękitne, a czasem czarne – wtedy zazwyczaj mają białe grzywy. Widziałem je na własne oczy, a nie tylko czułem ich zapach i wilgoć maleńkich kropelek na policzkach, jak podczas wietrznych dni na jawie.

Jak już się zorientowaliście, we śnie dobrze sobie radzę z kolorami, chociaż czasem daję się oszukać. Na przykład wtedy, kiedy niebo przybiera odcień granatu, jak w czasie burzy, a morze – intensywnego pomarańcza. Liście na drzewach czerwienieją, jakby spływały krwią. Na ich tle różowe kwiaty wyglądają niczym otwarte rany. No ale mniejsza z tym, jestem pewien, że mózg niejednego z was też robi takie numery, zwłaszcza kiedy śpicie.

Przy tej drodze oprócz samochodów, kwiatów i morza w oddali widziałem jeszcze mnóstwo innych rzeczy. Domy, niektóre z pustaków, a inne z cegieł. Bezpańskie koty przeciągające się w krzakach. Rozgrzane powietrze drgające nad asfaltem. A czasem, kiedy podnosiłem głowę, daleko majaczyły białe, ośnieżone szczyty gór.

Szedłem sobie tą drogą i w ogóle się nie spieszyłem, bo dzień był ładny i słoneczny, gorący, ale bez przesady. Cieszyłem się piękną pogodą i dopiero kiedy skręciłem w inną drogę, pozbawioną asfaltu, która biegła pod górę, przypomniało mi się, że jestem spóźniony. Okropnie, niewybaczalnie spóźniony. Powiedzieć, że zasnęłam, to jak nic nie powiedzieć. Wykopaliska zaczęły się bladym świtem, a w moim śnie słońce stało w zenicie i paliło mnie w kark.

Przyspieszyłem kroku. Nawierzchnia wysypana szutrem po kilku metrach zamieniła się w ubitą ziemię. Z każdym krokiem wzbijałem obłoczki kurzu. Chętnie bym się pogapił, jak małe chmurki czerwonego pyłu unoszą się w powietrzu, a potem powoli opadają, ale już mówiłem: byłem bardzo spóźniony.

Minąłem kilka zakrętów i wyszedłem prosto na teren wykopalisk. Wyjąłem rękę z kieszeni i przyspieszyłem jeszcze bardziej. Zacząłem biec, czyli zrobiłem to, na co nigdy nie odważyłbym się na jawie. Minąłem pierwsze wykopy, których ściany w południe prawie nie rzucały cienia. Kątem oka zarejestrowałem, że bryły ziemi wydobywane przez robotników z kilofami były ciemne od wilgoci, ale w słońcu prawie od razu wysychały i rozpadały się w proch.

Podbiegłem do muru otaczającego świątynię. Mur to za duże słowo, lepsze byłoby „murek”, bo ułożone jeden na drugim rzędy nieociosanych kamieni sięgały mi zaledwie do kolan. Świątynia to też za dużo powiedziane. Odkopujemy starożytną wioskę, a nie żaden pałac, „świątynia” ma trzy metry na pięć, ale to i tak niezwykle odkrycie.

Nie zwracałem uwagi na robotników ani na studentów, tylko padłem na kolana i zachłannie grzebałem w koszu z ceramiką. Skorupy były jeszcze oblepione ziemią, jednak wystarczyło przeciągnąć po nich palcem i widziałem ich barwy i wzory. Widziałem je tak wyraźnie, że mógłbym wziąć ołówek i narysować detal po detalu.

Chwytałem jedną skorupę po drugiej i polerowałem o spodnie (i tak już brudne, bo to w końcu wykopaliska), żeby lepiej zobaczyć dekorację. I wtedy za plecami usłyszałem głos.

– Okropnie się spóźniłeś, Tom.

– Przepraszam – odpowiedziałem. – Naprawdę nie wiem, jak to się stało. Chyba nie usłyszałem budzika. Ostatnio za dużo pracuję.

Odwróciłem się, żeby dodać jeszcze jakieś nędzne wytłumaczenie, i zatkało mnie, bo była piękna. Piękniejsza, niż mógłbym to sobie wyobrazić.

Tamtej nocy miała długie do pasa rude włosy i bladą skórę, jak topielice na

obrazach prerafaelitów. Za każdym razem, kiedy śniłem ten sen, wyglądała inaczej. W inne noce jej włosy były krótko obcięte i czarne jak noc, a skóra opalona. Raz nawet wyglądała jak Azjatka, z cudownie skośnymi oczami, maleńkimi różowymi ustami i wyraźnie zaznaczonymi kośćmi policzkowymi. Jeszcze nigdy nie była czarna, ale ten sen powraca tak często, że pewnie i na to przyjdzie kolej.

Uśmiechnęła się do mnie na znak, że moje spóźnienie jest nieważne i że świetnie poradzili sobie beze mnie. Wyciągnęła rękę. Miała długie mocne palce ubrudzone ziemią, w której właśnie grzebała. Wskazała nimi coś w wykopie.

– Chodź – powiedziała. – Kiedy cię nie było, wykopaliśmy ciekawą rzecz.

Pochyliłem się. Chciałem to zobaczyć na własne oczy.

Nie zdążyłem.

Zaczęło mi szumieć w uszach. Zupełnie jakby mózg się gotował i uszami uchodziła para. To dobre porównanie, bo czułem, jak w czaszce narastało ciśnienie. Wiedziałem, że jeszcze chwila i głowa mi eksploduje, a fragmenty kości i mózgu pofruną na wszystkie strony i wbiją się w ściany wykopu. I w jej ciało.

Chwyciłem się za skronie i upadłem na kolana, ale to nic nie pomogło. Przed oczami miałem tylko czerwień, gwizd w uszach mnie ogłuszał, ciśnienie wciąż rosło. A potem zobaczyłem błękitną błyskawicę. I drugą. I kolejną. Były piękne, gapilem się na nie z otwartymi ustami.

I wtedy mój świat rozpadł się na kawałki. Wykopy, ceramika, anemony, morze – wszystko zaczęło falować. Chciałem wstać, ale ziemia tańczyła i tylko poraniłem dłonie o ostre krawędzie skał.

Ona zaczęła krzyczeć, a wtedy od urwiska, które góruje nad wykopem, oderwał się głaz i zmiażdżył jej czaszkę.

Nawet we śnie wiedziałem, że nie mogę już nic zrobić. Odwróciłem wzrok od zakrwawionej głowy o dziwnym, zbyt płaskim kształcie. Popatrzyłem na morze. Próbowałem zapamiętać każde odbicie słońca, każde załamanie fali. Wiedziałem, że już nigdy go nie zobaczę.

Nie miałem jednak czasu napawać się widokiem. Ziemia pod moimi stopami rozpadła się i musiałem uciekać.

Obudziłem się z krzykiem. Usiadłem i przez dłuższą chwilę łapałem powietrze. Westchnąłem i namacałem szklankę wody obok łóżka. Wypiłem do dna. A potem dotknąłem prześcieradła. Było wilgotne od potu. Zrzuciłem je na podłogę. Nie chciało mi się tłuc po nocy w poszukiwaniu nowego. Na początku września noce na Krecie ciągle jeszcze są ciepłe i balsamiczne, mogłem spać bez przykrycia.

Ale i tak byłem pewien, że już nie zasnę. Nie po śnie, w którym kończył się mój świat. I który śniłem z regularnością godną lepszej sprawy kilka razy w tygodniu.

Wyciągnąłem się na wznak, podłożyłem dłonie pod głowę i wystawiłem ciało na chłodny podmuch wpadający przez uchylone okno. Kiedy nie mogę

zasnąć, sporządzam w myślach listę rzeczy do załatwienia na następny dzień. Zazwyczaj pomaga, usypiam najpóźniej przy drugiej pozycji. Tym razem na nic się to zdało. Przeleżałem tak do świtu, a konkretnie do piątej trzydzieści, kiedy zadzwonił budzik.

Wyłączyłem go. Pomacałem po blacie szafki nocnej. Znalazłem zegarek, zapiąłem pasek na nadgarstku.

Usiadłem na łóżku. Wstałem. Zrobiłem dwa kroki, potem obróciłem się w prawo, dałem cztery kroki, potem dwa w lewo i znowu obrót w prawo i trzy kroki, aż wreszcie położyłem dłoń na klamce drzwi do łazienki. Liczę kroki, zawsze, wszędzie, nawet o tym nie myśląc. Podobno osoby, które urodziły się niewidome, nie muszą tego robić, wyczuwają przed sobą ścianę albo pustą przestrzeń. Ale ja oślepiłem zbyt późno. A liczenie kroków daje mi przynajmniej złudzenie kontroli.

W łazience było ciasno, wszystkiego mogłem dotknąć wyciągniętą ręką. Zamknąłem okno, przełączyłem termę z elektrycznej na słoneczną i usiadłem na sedesie (spróbujcie sikać na stojąco z zamkniętymi oczami, to zrozumiecie, dlaczego zrezygnowałem z tej opcji).

Spuściłem wodę, wyszedłem z łazienki, obróciłem się, postawiłem cztery kroki przed siebie i trzy w bok. Zatrzymałem się przy elektrycznej bieźni. Pomacałem podłogę obok, znalazłem sportowe buty i skarpetki. Zawsze wyjmuję świeże przed pójściem spać i wsuwam je do butów, żeby rano nie szukać. Wszedłem na taśmę, zapiąłem uprząż, która nie pozwala mi zrobić fałszywego kroku w bok, i zacząłem powoli, ale szybko podkręcić obroty. Codziennie rano biegam przez pół godziny. Archeologia tylko na filmach wygląda na pracę, przy której człowiek dużo się rusza. W rzeczywistości, jak już raz wejdzie się do wykopu, przez większość dnia siedzi się w kucki ze szpachelką w ręku. A wieczorem garbi się przy komputerze nad dokumentacją. Sklepowa ma więcej ruchu niż archeolog, a ja musiałem trzymać formę.

Bieżnia stoi naprzeciwko okna, w ładne dni otwieram je, żeby czuć powiew wiatru na twarzy. Podobno z naszego wzgórza rozciąga się niesamowity widok. Ale ja nic o tym nie wiem.

Zegarek zapiszczał. Jest wodoszczelny do stu metrów i ustawiony tak, żeby co piętnaście minut piszczał cicho raz, a o pełnej godzinie trzy razy. A kiedy naciskam przycisk po lewej stronie, głośno podaje czas. Korzystam z tej funkcji rzadko, bo przy nagrywaniu pracowała jakaś słodka idiotka z blaszanym głosikiem.

Zszedłem z bieźni, zdjąłem buty. Przepocone skarpety i bokserki ściągnąłem w łazience i wrzuciłem prosto do kosza (na lewo od umywalki). Raz w tygodniu *kyria* Fotini robi mi pranie. Jeśli nie pada, wieszka ubrania na tarasie. Pachną później wiatrem i dzikim oregano.

Wszedłem pod prysznic. Umyłem się i wytarłem ręcznikiem, który wisi po

prawej stronie kabiny. Zrobiłem jeden krok do przodu, w kierunku umywalki. Dokładnie wyszorowałem zęby. Lubię szeroko się uśmiechać i chcę mieć pewność, że to, co szczerzę, jest przyjemne dla oka.

Włosy obcinam krótko, co miesiąc, u fryzjera w Agios. Wystarczyło więc przejechać mokre kosmyki palcami. Odwiesiłem ręcznik i wróciłem do sypialni.

Mam dwie szafy. W tej po lewej trzymam kilkanaście koszul i kilka par spodni. Wszystkie są czarne. Odpada problem z zastanawianiem się, co do czego pasuje. Podobno ten facet od Facebooka ma w swojej garderobie wyłącznie szare tiszerty. Świetnie go rozumiem. Raz na pół roku proszę kyrię Fotini (zapraszam ją potem na kolację), żeby przejrzała ubrania i wybrała te zniszczone albo wypłowiałe. Wkładam je do szafy po prawej, to mój zestaw na wykopaliska. I – uprzedzę wasze pytanie – w czarnej koszuli jest na wykopie tak samo gorąco jak w białej. Za to ciemna tkanina lepiej chroni przed rakiem skóry. A rak to naprawdę ostatnia rzecz, jaka jest mi jeszcze potrzebna.

Ubrałem się i wyszedłem z sypialni. Od szafy w lewo najpierw siedem kroków, potem jeden w bok i w prawo kolejne cztery. Doprowadziło mnie to do ekspresu do kawy. Z miejsca, w którym stałem, musiałem tylko wyciągnąć prawą rękę, żeby dotknąć drzwiczek lodówki. Wyjąłem kawę (na drzwiach, pierwsza półka od góry), łyżkę trzymam w opakowaniu. Odmierzyłem, wsypałem do maszyny, nalałem świeżej wody (kran jest po lewej, też wystarczy sięgnąć ręką). Kubki w szafce po lewej stronie, talerze po prawej, sztucce w pierwszej szufladzie od góry. Pieczywo w chlebaku na blacie, na prawo od ekspresu, miód koło chleba, masło i sery w lodówce, druga półka od góry, mleko na drzwiach, tak jak kawa, tylko na samym dole.

Po lewej stronie stoi stółek barowy. Przysunąłem go i zjadłem przy blacie. Mam co prawda stół i krzesła, ale prawie wcale tam nie siadam. Mam też garnki, patelnie i wszystko, co potrzebne do gotowania, lecz niezbyt często trzymam w ręku coś bardziej skomplikowanego niż nóż do chleba. A przy okazji, znacie ten trik, jak bez patrzenia ukroić kromkę i nie uciąć sobie palca? To proste, trzeba odmierzyć odległość od krawędzi pajdy palcami lewej dłoni (jestem praworęczny). Potem przysuwamy bok powierzchni ostrza do palców i kroimy. W sumie dość proste, przy odrobinie wprawy wręcz banalne.

Po śniadaniu od razu wszystko umyłem. Zlew jest po lewej stronie, już mówiłem. Nie mogę sobie pozwolić na zostawienie nawet brudnej łyżeczki. Mogłaby tak leżeć miesiącami.

Chociaż miesiącami by nie leżała. Kiedy *kyria* Fotini przychodzi wyprać brudne rzeczy, sprząta całe mieszkanie. Zmienia ręczniki i pościel, odkurza, myje łazienkę, kuchnię i podłogi. Czasem też okna, chociaż nieprzejryste szyby mi nie przeszkadzają. Brudna łyżeczka mogłaby leżeć góra sześć dni. A pewnie i krócej. *Kyria* Fotini przychodzi też każdego popołudnia z zakupami. Jak ją znam, nie

darowałyby łyżeczce.

Po śniadaniu zrobiłem cztery kroki w prawo, potem jeden w lewo, potem znowu cztery w prawo i włożyłem buty. Minąłem laskę kurzącą się w stojaku przy progu. Nigdy jej nie biorę.

Nacisnąłem klamkę i wyszedłem. Nie zadałem sobie trudu zamknięcia drzwi na klucz. Na Krecie rzeczy giną tylko w enklawach turystycznych. Nie w małych wioskach. Nie tam, gdzie wszyscy się znajdują i wiedzą, że stąd do Heraklionu pewnie tylko ten ślepy kierownik Kentro, który zawsze łązi w czarnych ciuchach, ma wypasiony odtwarzacz i głośniki.

W przedsiönku obróciłem się w prawo i namacałem poręcz schodów. Najważniejsze to wyczuć pierwszy stopień, potem idzie łatwo. Każde półpiętro to jednaście schodków, zresztą i tak opierałem się o poręcz. Nigdy nie zdejmuję z niej dłoni, schody są z gładkiego marmuru, można się na nich poślizgnąć i złamać kręgosłup, zanim człowiek zdoła powiedzieć *kalimera*. A złamany kręgosłup jest mi mniej więcej tak potrzebny jak rak.

Kiedy stawiałem stopę na podeście półpiętra, usłyszałem szum w uszach. Charakterystyczny narastający dźwięk podnoszącego się ciśnienia, które mogło rozsadzić mi czaszkę. Jak w moim śnie.

Nie zrobiłem tego, co w snach: nie chwyciłem się za głowę. Osunąłem się za to na schody i zacisnąłem dłonie na poręczy. Nie miało to większego sensu: podczas trzęsienia ziemi najlepiej uciec z budynku, a jeśli to niemożliwe – schować się pod stół. Ale ja potrafiłem przewidzieć wstrząs tylko na sekundę wcześniej. Zanim znalazłbym jakiś stół, byłoby po wszystkim. Skupiłem się więc na tym, żeby nie spaść ze schodów.

Podobno niektóre zwierzęta potrafią przewidzieć nadchodzące trzęsienie ziemi. Ropuchy i węże opuszczają swoje nory, pszczoły ule, a mrówki mrowiska. Psy szczekają bez powodu, a pewne gatunki ryb zdychają, też bez powodu.

Trudno mi stwierdzić, czy to prawda, jednak ja też to potrafię. Nie, nie czekać i zdychać. Potrafię powiedzieć, kiedy zbliża się wstrząs sejsmiczny.

Nie wiem czemu ani w jaki sposób. Może dlatego, że nie widzę. Może dlatego, że słyszę lepiej niż większość znanych mi ludzi. A może mam szósty zmysł. Niestety nie włącza się na kilka godzin ani nawet na kilka minut przed spodziewanym wstrząsem (szkoda, wyobrażacie sobie, ile mógłbym na tym zarobić?). Po prostu tak jak podobno koty wiedzą na sekundę wcześniej, że zadzwoni telefon, ja też wiem sekundę albo dwie przed, że ziemia się zatrzęsie.

Chociaż miałem wykopaliskowe buty na grubych podszwach, nogi ślizgały mi się po kamiennych płytach i nie mogłem znaleźć punktu podparcia. Usłyszałem narastające drżenie, jakby tuż obok przejechała wielka ciężarówka, a potem ziemia pode mną się zahuściła. Krew szumiała mi w uszach i zagłuszała dźwięki z zewnątrz, ale zdołałem usłyszeć, że na parterze coś upadło i rozbiło się w drobny

mak.

Trzęsienie trwało kilkanaście sekund, nie dłużej niż pół minuty. Wstrząs nie przekroczył trójki w skali Richtera. Taka tam niewielka huśtawka. Ziemia często drżała tamtej jesieni. Wszyscy zdążyli się już do tego przyzwyczaić, tylko nie ja. Bo dla ślepcy nie ma nic gorszego. Przy każdym trzęsieniu mój poukładany, perfekcyjny świat walił się w gruzy. Kosztowało mnie cholernie dużo energii, żeby go potem pozbierać do kupy.

Podniosłem się ze stopni. Nogi miałem miękkie i nadal kurczowo trzymałem się poręczy. Postąłem jeszcze chwilę w miejscu, ale wstrząsy wtórne były prawie niewyczuwalne. Poczekałem, aż oddech mi się uspokoi i tętno wróci do normy, i z jedną dłonią cały czas na poręczy zszedłem na parter.

Skręciłem w prawo i przesunąłem ręką po ścianie, aż dotknąłem otwartych drzwi do pracowni konserwatorskiej. Wydałem w Kentro zakaz zamykania drzwi, z wyjątkiem wejściowych, żeby klimatyzacja nie pracowała na próżno. Wszystkie wewnętrzne połączenia między pracownikami a korytarzami są cały czas otwarte. W ten sposób mam jedną rzecz z głowy: nie muszę się ciągle martwić, że rozkwaszę sobie nos o zamknięte skrzydło.

Zatrzymałem się w pół kroku. Wciągnąłem powietrze kilka razy, małymi haustami. Poczulem delikatny zapach dymu z papierosa. Starego dymu, który zostaje w ubraniu. Albo we włosach.

– Dzień dobry, Oliwio – powiedziałem. – Wcześniej dzisiaj przyszłaś. Normalnie rzadko cię widuję przed południem. Coś się stało? Nie mogłaś spać?

– Cholera jasna! – Usłyszałem szurnięcie, z jakim odsunęła krzesło. – Od świtu nie zapaliłam ani jednego papierosa i zeszytniałam od siedzenia tu całkiem nieruchomo. Nawet nie wlażłam pod stół w czasie *seismos*. Czułeś wstrząs?

Pokiwałem głową.

– I prawie się udusiłam od powolnego oddychania – dodała. – Czy chociaż raz w życiu uda mi się ciebie nabrać?

Jak będziesz częściej myła włosy, chciałem powiedzieć. Jednak ugryzłem się w język.

Po pierwsze: lubię Oliwię. Lubię ją, chociaż pali jak komin, a ja, podobnie jak większość ślepców, nienawidzę dymu tytoniowego, bo tłumi inne zapachy. To tak, jakby ktoś wam nagle zawiązał oczy. I chociaż w pracowni ma taki burdel, że mogłaby tam zgubić posąg naturalnej wielkości. I chociaż prowadzi swoje notatki ręcznie, w grubym zeszytce zamiast w komputerze, a to, co nie jest na twardym dysku i czego nie mogę odsłuchać programem czytającym, mogłoby równie dobrze dla mnie nie istnieć. Ale Oliwia jest jedyną osobą w Kentro, jedyną osobą, jaką znam, która nikogo nie udaje. Pali, za dużo pije, ma nadwagę, jest niechlujna i wiecznie w złym humorze. Dobrze wiedzieć, że są jeszcze tacy ludzie na tym świecie.

A po drugie: nawet gdyby częściej myła włosy, przestała palić i wyprała kilka razy wszystkie ubrania, żeby pozbyć się zastarzałego smrodu tytoniu, i tak zdradziłyby ją zapach szamponu. Zapach to dla mnie główny drogowskaz. Nagła nuta obcego aromatu w pomieszczeniu świadczy o czyjejs obecności równie wyraźnie jak kichnięcie.

Więc tylko się uśmiechnąłem.

– Idź do diabła, Tom, z tym swoim dobrym humorkiem od rana.

– To nie jest dobry humor – wyjaśniłem. – To fasada, za którą kryje się mrok, smutek i wściekłość.

Oliwia przesunęła coś na blacie.

– Miło to wiedzieć – zauważyła.

Pokiwałem głową.

– Słyszałem, że jakiś zabytek spadł na podłogę.

– Tylko jedno naczynie, ale dopiero zaczynałam nad nim pracować.

Niewielka strata.

Oliwia poczłapała w stronę drzwi. Miała na nogach plastikowe klapki, chyba trochę za luźne, bo przy każdym kroku mlaskały o podłogę.

– Idę na fajkę – powiedziała ponuro. – Jak czekałam, żeby cię nabrać, to myślałam, że umrę.

Z korytarza dobiegł dźwięk wystukiwanego kodu przy drzwiach. W Kentro nie używamy kluczy. Każdy z pracowników zna kod, zmieniam go co tydzień i osobiście przekazuję ludziom nową kombinację cyfr. Zasada jest prosta: ostatni gasi światła i blokuje drzwi.

– Spałaś tu? – krzyknąłem za nią.

– Nie. – Cofnęła się do pracowni i zatrzymała na progu. – Ale chciałam cię nabrać perfekcyjnie. Myślałam, że przejdiesz obok i mnie nie zauważysz, i wreszcie wygram tę kolację, o którą się założyliśmy już chyba z rok temu.

– Oliwio, milion razy zapraszałem cię na kolację. Jeśli chcesz, to nawet dzisiaj wieczorem...

– Nie, Tom. Zakład to zakład.

– No to próbuj dalej.

Pociągnąłem nosem jeszcze raz. I jeszcze raz.

Poprzedniego dnia Oliwia pracowała do późna. Pod wieczór zgłodniała i zamówiła gyrosa z dostawą. Wiem, bo pytała, czy też chcę.

Czułem wyraźnie zapach tego gyrosa z jej podkoszulka.

– A jednak tu spałaś – dodałem. – Masz na sobie wczorajsze ubranie.

Westchnęła.

– I po co ludziom oczy? Ciebie to się jednak nie da oszukać, Tom. Chciałam przyłapać złodzieja.

– Złodzieja?

– Przecież ci mówiłam, co najmniej dwa razy. W zeszłym tygodniu...
– A tak. – Przypomniałem sobie.
– Pomyślałam, że jeśli zostanę na noc, przyłapię tego drania na gorącym uczynku.

Chyba tylko, gdyby siedziała od zmierzchu do świtu nieruchomo, przy zgaszonym świetle. I gdyby złodziej, o ile w ogóle istniał, nie miał tak wyczulonego powonienia jak ja. W zasadzie gdyby w ogóle nie czuł żadnych zapachów.

Nie powiedziałem tego, tylko spytałem:

– Naprawdę myślisz, że ktoś kradnie ci zabytki z pracowni?
– Ja nie myślę! Jestem pewna. Wczoraj znowu nie mogłam znaleźć figurki, no wiesz, tej z uniesionymi ramionami.

Lubię Oliwię i dlatego nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć.

– Słuchaj, a może... No wiesz, w twojej pracowni trochę trudno cokolwiek znaleźć, bo...

– Sugerujesz, że nie wiem, co tu mam?

Delikatnie skinąłem głową.

– Ja nad wszystkim panuję, Tom! Każda rzecz jest na swoim miejscu.

Niewykluczone, tylko najczęściej to miejsce było pod stertą papierów, w jakimś kącie albo pod zwałami ligniny, na której Oliwia suszyła zabytki po oczyszczeniu.

– No wiesz, może po prostu...

– Może po prostu zapomniałam, co tu mam? Może po prostu jestem już za stara do tej roboty, co? Może mój przeżarty papierosami mózg nie rejestruje, gdzie położyłam jakąś pieprzoną śmierdzącą figurkę?

Coś takiego przeszło mi przez myśl. Ale nie odważyłem się tego wyartykułować.

– Podobno nikotyna wyostrza myślenie, więc lepiej pilnuj swojego nosa, Tom, a ja będę pilnować swojego. I sama złapię tego skurwysyna.

Odwróciła się i wyszła. Trzasnęła drzwiami wejściowymi, żeby pokazać, co o mnie myśli.

Tak, lubiłem Oliwię. Nawet jeśli uważała, że o szóstej trzydzieści rano ma prawo nawrzeszczeć na własnego szefa. A może właśnie dlatego.

Postałem jeszcze chwilę w miejscu i kilka razy głęboko wciągnąłem powietrze, w którym ciągle unosiły się molekuły zapachu gyrosa, dymu, niemytych włosów i chemikaliów używanych przez nią do pracy. Potem zrobiłem pięć kroków w kierunku drzwi, a gdy natrafiłem prawą dłońią na futrynę, skręciłem w prawo i znalazłem się w mojej pracowni. Od kilku dni urzęduje tu też Mona. Tuż przed rozpoczęciem wykopalisk zatrudniłem ją jako asystentkę. Na razie pomaga głównie w terenie, ale zdążyła już kupić wiatrak (nienawidzę go, bo hałasuje i nie słyszę

zbliżających się kroków) i zrobić jako taki porządek w papierach. Jeśli się sprawdzi, po wykopaliskach pomogę jej poszukać mieszkania w okolicy i zostanie na stałe, a w każdym razie na dłużej. Wcześniej w Kentro pomagała mi Ifigenia, ale szybko zrozumieliśmy, że wolimy razem sypiać, niż rozliczać rachunki za prąd i kanalizację. Niektórzy określają to bardziej dobitnie: nie sraj tam, gdzie jesz.

Niestety to tylko teoria. W zeszły piątek zasiedzieliśmy się z Moną do późna, bo chciałem jej pokazać dokumentację. Cykady na dworze wariowały od upału, a ja wyjąłem z lodówki butelkę białego wina z Sitii, a potem drugą. Wtedy odkryłem, że Mona ma gładką skórę, wijące się włosy, upięte nad szczupłym karkiem, i rzędy cienkich, pobrzękujących przy każdym ruchu bransoletek na obu nadgarstkach, i że lekka chryпка to nie wynik letniego przeziębienia, tylko budowy krtani. Podobno jej włosy i oczy są brązowe („jak u typowej Włoszki” – powiedziała), ale nazwy kolorów to dla mnie tylko puste słowa. Już sam sprawdziłem, jak smakują jej usta – porzeczkami, a skórę ma leciutko wilgotną od olejku różanego, którego zapach zawsze unosi się wokół niej.

Skończyło się tylko na jednym pocałunku. Potem Mona zerwała się z krzesła, powiedziała, że lepiej będzie, jeśli już sobie pójdzie. I dlatego więcej o tym nie mówmy.

Pracownia to za duże słowo dla tego pokoiku. Pomieszczenie ma siedem kroków długości i tylko dwa szerokości – akurat żeby wstawić biurko. Nie ma za to okna, ale mnie to nie przeszkadza, a tamtego ranka i tak nie zamierzałem przesiadywać w środku. Zabrałem tylko teczkę z dokumentacją i odwróciłem się do wyjścia.

Odliczyłem kroki, przeszedłem do przedsionka i zmieniłem kod w drzwiach, jak w każdy poniedziałek rano. Tym razem było to zero zero zero dwa jeden. Trzy razy przycisk pośrodku u samego dołu, potem w środkowej linii najwyższy i następny obok niego, po lewej stronie. Potwierdziłem zmianę krzyżykiem i wyszedłem na zewnątrz. Oliwia paliła z drugiej strony budynku: zamiast fali papierosowego dymu dochodziła do mnie z daleka tylko cieniutka strużka zapachu. Kierując się nią, przeszedłem na dziedziniec, pod wiatę, gdzie popołudniami sortowaliśmy ceramikę, i podałem Oliwii nowy kod. Przypomniałem, że ma go nikomu nie zdradzać: to ja zdecydowałem, kto może sam wejść do budynku Kentro o każdej porze dnia i nocy, a kto musi dzwonić do drzwi. A potem uciekłem, zanim ubranie i włosy przesiąkły mi dymem tak, że nie mógłbym już czuć innych zapachów. Przysiadłem na murku przy schodach i czekałem na odgłos opon toczących się po żwirze.

Kiedy usłyszałem dźwięk wyłączanego silnika i trzaśnięcie drzwiczek, zszedłem po pięciu schodkach, zrobiłem dwa kroki w lewo, potem znowu skręciłem w lewo i ruszyłem powoli przed siebie. Zatrzymałem się, dopiero kiedy poczułem falę ciepła. Wrześniowe ranki bywają tu dość chłodne, a Romanos

dobrze rozgrzał silnik pod maską.

Trzasnęły drzwi. Usłyszałem kroki.

Na Krecie podjazdy często wysypuje się tłuczniem, więc w Kentro też tak zrobiliśmy. Byłem z tego zadowolony, bo na gładkich nawierzchniach Romanos poruszał się bezgłośnie. Jego ciało nie miało żadnego zapachu, oddech też nie. Czasem miałem wrażenie, że to duch. Nie lubiłem go.

Podszedł bliżej. Poczulem zmianę temperatury powietrza, kiedy stanął między mną a rozgrzaną maską silnika, ale poza tym jakby go nie było, dopóki się nie odezwał:

– Cześć, Tom. Daj mi chwilę, zapomniałem wczoraj zabrać *katalogo*. Skoczę tylko do środka i zaraz wracam. Włączyłeś alarm?

Pokręciłem głową.

– Oliwia już jest.

Chciałem mu podać nowy kod, ale już odszedł. Wsiadłem do samochodu. Owiąta mnie fala mieszanki zapachów: nieprana tapicerka, wykopaliskowy kurz i wyziewy benzyny, w mniej więcej równych proporcjach. Zapiąłem pasy i czekałem, aż na żwirze znowu rozległy się kroki i trzasnęły drzwi od strony kierowcy. W kabinie nie pojawił się żaden nowy zapach, jakbym jechał z widmem. Ruszyliśmy.

Nie rozmawialiśmy. Romanos kilka razy ziewnął. Podobno to zaraźliwy odruch, ale nie dotyczy ślepców.

Romanos zaparkował na jedynym w okolicy mniej więcej poziomym spłachetku ziemi, dokładnie w tym samym miejscu co zawsze. Wysiadłem, położyłem lewą dłoń na masce i ustaliłem kierunki. Za samochodem i przede mną przepaść. Za moimi plecami droga, którą przyjechaliśmy. Po prawej teren wykopalisk.

I tak zaczął się tamten dzień. Chociaż nakłamałem Marinie w wielu innych sprawach, tu powiedziałem prawdę: wyjąwszy trzęsienie ziemi i rozmowę z Oliwią o złodzieju, poranek niczym nie różnił się od zwykłego dnia na wykopaliskach.

Tylko że później już wszystko było inaczej.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 9.21**

– Dużą ma pan ekipę?

– Duże ekipy, proszę pani, były na początku dwudziestego wieku. Kiedy archeolog siedział cały dzień na składanym krzeselku pod parasolem i czekał, aż robotnicy przyniosą mu wykopane złoto i kość słoniową.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Marina powiedziała, wcale nie podnosząc głosu:

– Panie Mara, już pana prosiłam...

– Nie, nie mam dużej ekipy. Romanos Kallergopoulos nadzoruje całość i zastępuje mnie w razie potrzeby. Poza tym jest Annika Driecxs, Jana Hnilová, Yacinta Hernandez – liczyłem na palcach – Melissa Drousaki, Alekos Papagiannis, Jason Leut i Sarah Yo. No i ja. To razem dziewięć osób.

– Ale jeszcze...

– I jeszcze Ifigenia Mitropoulou. Ona pracuje na stanowisku niedaleko, ale to ten sam projekt. Pracuje razem z... – zawahałem się. – Pracowała z nią Mona Abano. Moja asystentka.

Marina albo nie wyczuła napięcia w moim głosie, albo postanowiła go nie komentować. Przez chwilę szeleściła papierami.

– Czyli jedenaścioro – powiedziała w końcu. – Zawsze w takim samym składzie czy czasem się zmieniacie?

Poprawiłem się na krześle. Niewiele to pomogło, nadal było mi twardo i niewygodnie.

– Jestem ślepy. Wykopaliska, którymi kieruję, muszą być do tego dostosowane. Wszelkie zmiany wprowadzają niepotrzebny chaos. Więc tak, zawsze pracujemy w takim samym składzie.

Znowu zapadła cisza. Nawet mucha zniknęła. To znaczy na pewno była w pokoju, drzwi i okna pozostały zamknięte, ale nie bzycała, więc dla mnie przestała istnieć.

– ...na wykopaliskach?

– Słucham?

– Panie Mara, to jest przesłuchanie. Proszę się skoncentrować. Pytałam, jak pan sobie radzi na wykopaliskach.

Nie rozumiałem, o co jej chodzi.

– Jest pan niewidomy.

– Ślepy.

– Tak, ślepy. W każdym razie wykopaliska to dziury w ziemi, przez które łatwo można się przewrócić.

– Co pani nie powie – mruknąłem, ale tak, żeby nie dosłyszała.

Mówiła dalej:

– Te dziury powstają co chwila w nowych miejscach. Mój kuzyn jest archeologiem i czasem mi opowiada, jak wygląda praca. To musi być bardzo trudne dla kogoś, kto nie widzi.

Wyciągnąłem dłoń i znowu dotknąłem szklanki z wodą. Szkło było jeszcze cieplejsze niż poprzednio, nagrzało się na słońcu. Westchnąłem.

– Nie wiem, jak to pani wytłumaczyć.

– Niech pan spróbuje.

– Tworzę mentalne trójwymiarowe mapy przestrzeni, w których zbiory punktów oznaczają obiekty stałe, takie jak wykopy i zabytki, a wektory obiekty poruszające się, czyli moich współpracowników.

– Serio?

– Nie.

Milczała przez chwilę. W końcu zapytała cicho.

– Jak pan sobie radzi na wykopaliskach, panie Mara?

– Tak jak wszędzie – odpowiedziałem wyjątkowo zgodnie z prawdą. – Zapamiętuję. Wszystko. Przestrzeń, odległości, kąty, obiekty...

– To musi być trudne.

– Skoro dałem radę zabić Oliwię i Monę, to radzę sobie też ze znalezieniem drogi przez wykopy.

Nie znalazła na to odpowiedzi. Nie od razu.

HALASMENOS, PONIEDZIAŁEK, 11 WRZEŚNIA, WCZESNY PORANEK

Przeciągnąłem się. Ciągle było dość zimno. Z przyjemnością czułem chłód na skórze po lecie, kiedy nawet wczesnym rankiem słońce wypalało dziury w czaszce, a nocami prześcieradła kleiły się od potu i morskiej wilgoci. A niedługo nadejdzie zima. Dzikie podmuchy wiatru pozwolą zlokalizować wszystkie szczeliny w oknach, a poranki w łazience będą miały wiele z polarnej ekspedycji. No i, z racji globalnych zawirowań pogody, nawet na Krecie coraz częściej pada śnieg (nieodmiennie fascynuje mnie dotykanie lodowatego puchu, który pod moimi palcami zamienia się w krople wody).

Bez dwóch zdań na Krecie najpiękniejszy miesiąc to wrzesień.

Mówiąc „najpiękniejszy”, nie mam oczywiście na myśli widoków. Ifigenia twierdzi, że we wrześniu powietrze jest jak woda i z Katalimaty widać ulice w Agios. Wierzę jej, bo sam nie mogę tego sprawdzić. Dla mnie wrzesień to zapachy i dotyk. Pudrowy aromat wypalanej słońcem ziemi. Gładkie i lekko tłuste łodygi anemonów wyciskających się spomiędzy skał. Same skały: poszarpane i ostre (trzeba uważać na palce), pachnące żelazem. Ciepło promieni słońca na skórze. (Nikt przy zdrowych zmysłach nie wygrzewa się na słońcu w lecie, kiedy temperatura dochodzi nawet do pięćdziesięciu stopni. Lato pachnie wilgotnym, lekko spleśniałym cieniem).

Otuliłem się szczelniej kurtką. Rano w Halasmenos pracowaliśmy jeszcze w cieniu. Zachodnia ściana masywu Tripti zasłaniała słońce do mniej więcej dziewiątej. Ifigenia na górze, w Katalimacie, też miała cień, ale krócej. Podniosłem głowę w kierunku miejsca, w którym powinna się znajdować, ale oczywiście nie mogłem jej zobaczyć. Podobnie jak niczego innego.

Już wyjaśniam: Halasmenos to nasze stanowisko. Niewielkie wykopaliska, bo przed trzema tysiącami lat z małym hakiem była to niewielka wioska. Zbudowana, jak wszystko w okolicy, z ciosanych kamieni ułożonych jeden na drugim bez zaprawy. Kilkanaście domów i wiejska świątynia. *Halasmenos* po grecku to „zniszczone”, „zepsute”, i trudno o lepszą nazwę dla archeologicznego stanowiska. Wszystko zniszczone przez trzęsienie ziemi.

Widzieliście kiedyś taki duży wstrząs? Nie pytam, czy na żywo, ale może na filmie. Wieżowce składają się wtedy jak domki z klocków. W Halasmenos oczywiście nie było wieżowców, ale porównanie jest niezłe. Ściany domów po prostu złożyły się równiutko, jakby przewróciło je schludne dziecko. I pogrzebały wszystko, co pod spodem.

Nie znaleźliśmy (na razie!) żadnego szkieletu. Ostrzeżenie przed wstrząsami musiało przyjść na tyle wcześnie, że mieszkańcy zabrali swoje dzieci, kozy i tych

kilka metalowych przedmiotów, jakie mieli, i uciekli. Dla nich szczęście, dla nas pech. Archeolog niczego bardziej nie kocha jak dowodów, że ludzie stracili wszystko, co mieli, że kamienie i pył pogrzebały to dla przyszłych pokoleń.

Jeszcze zanim nadeszło to trzęsienie ziemi, czasy były niespokojne. Halasmenos stało na szczycie niewielkiego wzgórza, a jego mieszkańcy musieli daleko chodzić, żeby uprawiać pola, i sporo się nabiegać, żeby przynieść wodę do gospodarstwa. Ale miejsce miało jedną zaletę: widać z niego całą równinę i morze po obu stronach: od północy, od Pachia Ammos, i od południa, od Ierapetry, więc odpowiednio wcześniej można się zorientować, kiedy pojawiają się piraci, którzy chcieliby spalić domy, złupić plony i zgwałcić kobiety.

Na takie okoliczności mieszkańcy Halasmenos mieli Katalimatę (tutaj miejscowi Grecy też postarali się z nazwą – *katalimata* to rzeczy, które spadły z góry). Malutkie schronisko na półce skalnej, zawieszonym w powietrzu narożniku, z którego jedno zbocze opadało dokładnie nad wioską, a drugie nad wąwozem Ha, wcinającym się w skalny masyw, z wejściem tuż obok Halasmenos. Żeby się dostać do Katalimaty, trzeba wspiąć się po piarżysku, a potem przespacerować wąską ścieżką, miejscami przytulając się do skały, by nie runąć w przepaść. Kiedy pojawiali się piraci, mieszkańcy Halasmenos pakowali manatki i włązili na górę. Tam mogli spokojnie poczekać, aż było po wszystkim (to znaczy, aż piraci skończą palenie i łupienie, ale bez gwałcenia, bo wszystkie kobiety pluły na nich z góry albo wylewały im na głowy zawartość nocników).

W Katalimacie pracuje Ifigenia, moja dziewczyna. Nasz związek jest dość skomplikowany. Czasami ona spędza u mnie noc (ja u niej nigdy), czasami jemy razem kolację. Razem pracujemy. Nigdy nie rozmawiamy o przyszłości. Są dni, kiedy bardzo bym tego chciał, ale znowu w inne wolę zostawić sprawy tak, jak są.

Ifigenia jest wspaniała. Ma długie twarde mięśnie pleców, silne nogi, gładkie ramiona i sięgające podbródka kręcone włosy, lekko sztywne od kurzu i morskiej soli. Jej skóra, zawsze trochę lepka, pachnie kremem z filtrem przeciwsłonecznym i dzikim tymiankiem – od gór, po których ciągle łązi, bo równiny ją nudzą. Koniuszki palców ma szorstkie od pracy w ziemi. Głośno się śmieje i zawsze ma rację. I lepiej, żeby nigdy nie dowiedziała się o moim pocałunku z Moną. Bo Ifigenia jest potwornie zaborcza. Uważa, że należę do niej i tylko do niej.

Co właściwie jest prawdą. Tylko może nie w stu procentach.

No to teraz już wszystko wiecie.

Romanos trzasnął drzwiami od strony kierowcy i usłyszałem, jak grzebie w bagażniku, żeby wyładować sprzęt. Nie zaproponowałem mu pomocy, tylko ruszyłem w stronę wykopów. Szedłem długimi krokami, liczyłem. Od parkingu dziesięć kroków to początek stanowiska. Żeby wejść w korytarz między murkami, trzeba zrobić dwa kroki w lewo. Później siedem kroków, uwaga na próg, kolejnych pięć, jeszcze jeden próg i zatrzymałem się koło wykopu numer szesnaście po lewej

stronie. Tam znajdował się niewielki dom z paleniskiem w środku. W piątek zeszliśmy do drugiego poziomu podłogi.

– Cześć, Tom!

Kobięcy głos, odległy o jakieś trzy, góra cztery metry. Jana albo Annika. Obie pracowały w tym wykopie. Chyba Annika, ale nie byłem pewny, bo akurat powiał wiatr.

Pomachałem jej i chciałem iść dalej, ale zawołała za mną:

– Poczekaj sekundkę, chcę coś z tobą omówić.

Podeszła bliżej i już wiedziałem, że to Annika. Jest duża i masywna, ma pojemne płuca i niski rezonujący głos. Pachniała zasypką dla niemowląt i lekko potem.

– Tom, zaraz zaczniemy robić zdjęcia. – Zatrzymała się tak blisko, że poczułem ciepło promieniujące z jej ciała. – Musimy sfotografować wykop, zanim zabierzemy się za sondażę pod podłogą. Chcesz tylko plan ogólny czy szczegóły też?

Powiedziałem, że też. W sprawie zdjęć jestem kompletnie do niczego, chyba to rozumiecie, ale kierownik wykopalisk musi mieć zdanie na każdy temat. Poza tym korzystamy z aparatów cyfrowych i nie trzeba oszczędzać kliszy.

– A co z ceramiką z paleniska? W piątek prosiłeś, żeby ją wydzielić.

– Tylko trójnożne naczynia do gotowania. Jeśli dobrze pamiętam, to numer sto dwadzieścia siedem łamane przez dwa tysiące siedemnaście i sto pięćdziesiąt dwa.

To „jeśli dobrze pamiętam” było tylko figurą retoryczną. Już mówiłem, dużo ćwiczę. Pamiętam każdy numer nadany każdej skorupie, każdej warstwie i każdemu drobnemu znalezisku.

– Jak będziesz schodzić niżej w palenisku, przyjrzyj się uważnie skorupom. Niektóre z nich na pewno będą pasować do jednego z tych dwóch.

– Skąd ty wiesz takie rzeczy, Tom?

– Doświadczenie, moja droga.

Nie dodałem, że jest lepsze niż para oczu. I tak by nie zrozumiała.

Annika odeszła, ja obróciłem się powoli, żeby złapać ogólny kierunek. Tamtego dnia to było łatwe – wiatr wiał z północy i niósł ze sobą chłodny wapienny zapach. (Wiatr z południa śmierdzi spalinami z Ierapetry). Przeszedłem przez dwa murki i znowu znalazłem się w wąskim korytarzu między kamiennymi ścianami zachowanymi do wysokości kolan.

Następny wykop, dwudziestka dwójka. Yacinta i Melissa. Zawsze mam kłopoty z odróżnieniem tych dwóch: są podobnego wzrostu, obie drobnej budowy i obie pachną kokosowym olejkiem do opalania, niewykluczone, że tym samym, bo w pensjonacie dzielą pokój. Kiedy podszedłem, Yacinta podawała Melissie pomiary głązów, a Melissa наносiła je na rysunek. Albo odwrotnie. Ich głosy

brzmiały płytko i cienko, jak dzieci bawiących się w piaskownicy.

– Zawalisko już oczyszczone z drobnych kamieni i ziemi – zaraportowała bez żadnego „dzień dobry” jedna z nich, naprawdę nie wiedziałem która.

– Dzisiaj pewnie skończymy rysować – wtrąciła ta druga. – Będzie można zacząć zdejmować duże kamienie.

– Nie mogę się doczekać – zapewniłem je. – Gdzie macie ceramikę z wypełniska?

Któraś z dziewczyn (Yacinta? Melissa?) wstała, podeszła i zaszeleściła przy moich stopach plastikową torebką. Przykucnąłem. W twarz buchnął mi zapach wilgotnej ziemi.

Nic ciekawego. Kilka wylewów, dwa uchwyty i podstawa trójnożnego garnka. Niczego więcej się nie spodziewałem.

– Zajrzę do was, jak skończycie rysować – obiecałem i wstałem. Strzyknęło mi w kolanach.

Znowu wystawiłem twarz na wiatr, odnajdując kierunek, i ruszyłem w stronę świątyni.

Wiem, co sobie wyobrażacie: las kolumn, wysokie sklepienie, marmurowa posadzka i posągi ociekające złotem. A to była tylko zwykła wiejska kapliczka. Mniejsza od mojego salonu, a przecież nie mieszkałem na wyuzdanym metrażu. Trzęsienie ziemi złożyło ją jak domek z kart. Na razie zdejmowaliśmy kamienie z górnej warstwy zawaliska, ale dużo sobie obiecywałem. Może nawet wreszcie trafi się jakiś szkielet. Ludzkie nieszczęście to zawsze radość dla archeologa.

O ile kiedykolwiek dokopiemy się do wnętrza. Pracował tam Jason. W poprzednich latach jeszcze sobie radził, ale w tym roku pojawiła się Sarah i bezmyślnie przydzieliłem ją do tego samego wykopu. Sarah i Jason od razu poczuli na siebie ochotę, a co gorsza, nie skonsumowali tej ochoty od razu. Albo skonsumowali, ale jeszcze nie stracili ochoty na dalszą konsumpcję. Więc zamiast pracować, flirtowali.

Kiedy podszedłem bliżej, usłyszałem chichot Sarah i głęboki jak kontrabas głos Jasona, który pytał ją, czy nie za bardzo opaliła się w weekend, bo chyba schodzi jej skóra z ramienia. Wokół wykopu unosił się obłok jego wody kolońskiej. Nie wiedziałem, jak Sarah może pracować w takich warunkach. Ja przychodziłem tam tylko rano, a potem, przez resztę dnia starałem się trzymać jak najdalej. Kiedy coś odcinało mnie od innych zapachów, czułem się, jakbym oślepl po raz drugi.

– Chciałbym dostać sprawozdanie z zeszłego tygodnia – przerwałem im kipiącą hormonami rozmowę. – Miało być do piątku wieczorem na moim biurku.

Jason poderwał się na nogi: pod jego butami zachrząściła ziemia, fala odoru wody kolońskiej omal nie pozbawiła mnie przytomności.

– Tak, jasne, Tom, to znaczy...

– Ja wiem, że jest aż siedem dni tygodnia i trudno się w tym połapać. Ale

piątek to ten dzień przed wolnym. Kiedy wiesz, że następnego ranka nie musisz rano wstawać i możesz spędzić pół nocy na bzykaniu. Albo przynajmniej na próbie bzykania.

Sarah odchrząknęła. Jason nic nie odpowiedział. Ciszę w powietrzu dałoby się pokroić.

– I jeszcze zestawienie drobnych znalezisk – przypomniałem. – Chcę je mieć dzisiaj. Do dwudziestej.

– Tak, tylko...

Nie byłem w nastroju do wysłuchiwania usprawiedliwień. Uniosłem rękę i uciałem dyskusję.

Obróciłem się dookoła.

– Romane? – krzyknąłem

Podszedł bezszelestnie, nadal nie wydzieliał żadnego zapachu. Mógł stać obok mnie już od kilku minut, a nie wiedziałbym o tym.

– Potrzebujesz pomocy, Tom?

– Potrzebuję, żebyś dopilnował tę dwójkę, zanim do reszty spieprzą stratyografię świątyni – warknąłem. – Nawet jakby odkopali garnek złota, wyrzuciliby go z ziemią na hałdę.

– Jasne.

Wiedziałem, że ma pilną robotę przy dokumentowaniu własnego wykopu i chce jak najszybciej skończyć rysowanie murów północnej części osady, bo musi oddać artykuł do druku. Nie zaprotestowałem jednak. Tego też w nim nie lubiłem.

Romanos odszedł, a w każdym razie tak przypuszczałem, bo nie wydał żadnego dźwięku. W oddali słyszałem głos Yacinty wykrzykującej do Melissy odczytywane wartości niwelacji i Melissę co chwila odkrzykującą: „Zaczekaj, muszę to znaleźć”. A może było na odwrót? Wiatr ucichł, ale pojedyncze podmuchy wciąż rzucały mi w twarz fale wody kolońskiej Jasona. Z sąsiednich wykopów dobiegały uderzenia kilofa, a gdzieś po prawej skrobanie szpachelek.

Obróciłem się twarzą do wschodu, doszedłem do końca muru świątyni i namacałem spory gład. Upewniłem się, że tego miejsca nikt nie chce narysować albo sfotografować. Usiadłem. Wciągnąłem w płuca żelazisty zapach skał.

Mój zegarek zapikał. Kwadrans po dziewiątej. Poczulem, jak promień słońca polizał mi nogę. Każdego dnia kilka minut później. Lato się kończyło. Słońce wyłoniło się już zza góry. Za parę chwil na stanowisku będzie gorąco jak w piekle.

Obróciłem się twarzą w kierunku góry, uniosłem głowę. Gdzieś tam były Ifigenia i Mona. Nie mogłem ich zobaczyć, ale one miały mnie jak na dłoni. Zwłaszcza przez lornetkę.

Odwróciłem się w stronę skały. Po chwili poczułem na twarzy plamę ciepła, a czerwień pod moimi powiekami zmieniła się w jaskrawy pomarańcz. Potem znowu w czerwień, potem znowu mignęła pomarańcz. Z góry, z Katalimaty,

Ifigenia odbijała słońce lusterkiem. Trzy krótkie, trzy długie i trzy krótkie. SOS. Nasz codzienny rytuał. Nasz prywatny żart. Nie *save our souls* tylko *same old song* – wszystko po staremu, wszystko dobrze.

Wyciągnąłem rękę i pomachałem.

Ifigenia nadała morsem SAP. To miało znaczyć *s'agapao poli*. Kocham cię bardzo. Ja też cię kocham, skarbie.

Pomacałem się po kieszeni, wyjąłem telefon, podniosłem do ust i wyraźnie powiedziałem do mikrofonu:

– Wybierz numer: Ifigenia.

W aparacie piknęło i usłyszałem sygnał. Po chwili się urwał. Tam na górze był kiepski zasięg.

Spróbowałem znowu i tym razem się udało.

– Cześć, Tom. – Głos Ifigenii brzmiał, jakby siedziała w studni. – Coś pilnego?

– Nie, chciałem po prostu cię usłyszeć.

Roześmiała się. W słuchawce zazgrzytało.

– No to może pogadamy później, bo ja teraz... Siad, siad, ty kretynie! Nie włącz tam!

Nie, nie krzyczała na mnie. Mona miała psa, przybędę. Podobno przygarnęła go z ulicy, kiedy przypominał obciążony wyleniałym futrem szkielet, z jednym okiem zdrowym, a drugim zasnutym bielmem. Pewnie zdechłby kilka dni później, gdyby go zostawiła.

Ale nie zdechł. Dostał imię Matak, i pod opieką mojej asystentki nabrał ciała i ochoty na zabawę. Miał zwyczaj znieczeka skakać ludziom na nogi i zawsze rozkładał się do snu w przejściu. Mona zabierała go ze sobą do Katalimaty. I to nie był dobry pomysł.

– Jezu, Ifi! Powiedz Monie, żeby nie pozwoliła Matakowi niszczyć stratygrafii.

– Sam jej powiedz!

Już mówiłem. Zawsze znajdowała jakieś usprawiedliwienie.

– Wiesz, że go nie znoszę, Tom...

Powiedzenie „nie znoszę” to eufemizm. Nienawidziła tego psa.

– ...ale on i tak jest o wiele mądrzejszy niż twoja nowa asystentka.

– Moja asystentka – powiedziałem powoli.

W telefonie zatrzeszczało i nie zrozumiałem odpowiedzi.

– Możesz powtórzyć?

– ...jest głupia! Jak but!

– Ifi, czy Mona słyszy, co ty do mnie mówisz? A poza tym wcale nie wydaje mi się głupia.

– Mam w dupie, czy to słyszy czy nie! Zresztą przyda jej się kilka słów

prawdy. A z tobą, Tom, problem polega na tym, że coś ci się wydaje albo nie wydaje, a potem są z tego kłopoty. Ta twoja Mona całkowicie spieprzyła datowanie ceramiki w domu delta.

– To nie jest moja Mona...

Ifigenia nie słuchała. Jak zawsze, kiedy się nakręciła.

– A teraz właśnie rozpierdala datowanie gammy, która jest pod deltą. Nie mogę pracować z kimś, kto nie potrafi...

Nie usłyszałem końcówki, ale mogłem ją sobie sam dopowiedzieć.

– Słuchaj, będę kończyć – stchórzyłem. – Jason z Sarah właśnie rozpieprzają w drobny mak zawalisko świątyni, muszę ich przypilnować.

Zamiast odpowiedzi usłyszałem tylko wściekłe szczekanie w tle.

I wtedy rozległ się krzyk.

Głos najpierw wzniósł się, potem opadł, a kiedy krzyk się urwał, dobiegła do mnie seria „och, och”. To wszystko trwało zbyt krótko, nie potrafiłem rozpoznać, kto krzyczy.

Najpierw poczułem ulgę, że mam doskonały pretekst do zakończenia tej idiotycznej rozmowy, która już po dwóch zdaniach przerodziła się w kłótnię. I dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że dzieje się coś złego. Coś bardzo złego.

Zerwałem się. Wtedy krzyknął ktoś drugi. Ktoś zaczął biec. Kilka osób. Ktoś upuścił szpadel, ostrze zazgrzytało na kamieniach.

Jedyne, co mogłem zrobić, to obrócić się twarzą w kierunku tego zamieszania i ruszyć powoli przed siebie. Natychmiast potknąłem się o jakiś kamień. Kurwa! Musiałem się bardziej skupić.

– Tom! Tom! – Rozpoznałem głos Yacinty. Albo Melissy. – Chodź tu szybko! Pospiesz się!

Co ta dziewczyna myśli? Że od jej wrzasków nastąpi cud i nagle odzyskam wzrok?

Namacalem przed sobą murek. Pochyliłem się, oparłem o niego dłonie i ostrożnie przeszedłem na drugą stronę. Jeden z kamieni spadł. No do diabła, w ten sposób rozpieprzę całe stanowisko!

– Tom! – Annika biegła w moją stronę. Dyszała. – Tom, musisz przyjść!

Wciągnąłem głęboko powietrze. Ostatnią rzeczą, na którą mogłem sobie pozwolić, była panika.

– Chodź tu i podaj mi rękę. Tak będzie szybciej.

Chwyła mnie i pociągnęła. Za mocno. Zachwiałem się i strąciłem kolejny kamień.

– Anniko, stój!

Zatrzymała się jak wmurowana. Pracuje ze mną już trzeci sezon. Nigdy wcześniej na nią nie krzyknąłem.

- Powiedz mi najpierw, co się stało.
- On... – Ciągle nie mogła złapać tchu. – On...
- Co za on?

Pisnęła cienko, a po chwili opanowała się i już spokojniej powiedziała:

- Musisz to sam zobaczyć. To znaczy... przepraszam, wiem, że nie widzisz...

Ale ja nie mogę...

- Dobra – mruknąłem. – Chodźmy już lepiej.

Pomogła mi przejść przez kilkanaście murków, odbiła lekko na północ, a potem z powrotem na wschód. Weszliśmy w pasmo cienia, gdzie nie dotarło jeszcze słońce.

Tu kończyło się stanowisko, prawie przy samym masywie góry, pod skałą. Nie było już murków, tylko pojedyncze kamienie, które musiały spaść z półki skalnej albo z piarżyska. Serce zaczęło mi walić. To niemożliwe, żeby coś się stało Ifigenii, przecież przed chwilą z nią rozmawiałem!

Odruchowo uniosłem twarz.

- Nie, nie – powiedziała szybko Annika. – Na dole. Na ziemi.

A potem powiedziała jeszcze „przepraszam” i „przepuście nas”, i „przepuście Toma”, i kilka razy „przepraszam”. Słyszałem, jak ludzie się przesuwają. Dużo ludzi. Chyba cała ekipa. Czuję ich zapach. Śmierdzieli strachem.

– Tutaj – wysapała Annika. – Dwa kroki do przodu, ostrożnie. A potem przykucnij. I wyciągnij przed siebie rękę. Tylko powoli.

Zrobiłem dokładnie to, co powiedziała. Zrobiłem dwa kroki do przodu. Przykucnąłem. Wyciągnąłem przed siebie rękę.

I dotknąłem nogi.

Należała do mężczyzny. Nawet nieogolona łydka kobieca nie byłaby aż tak mocno owłosiona, a poza tym miałyby inny kształt. Przesunąłem dłonią w górę, a potem w dół. Z jednej strony namacałem sandał, z drugiej krawędź szortów. Więc raczej nie archeolog. Archeolodzy w moim zespole nie noszą szortów, bo nie lubią klękać gołymi kolanami na ostrych kamieniach.

Zalała mnie fala ulgi. Ale szybko minęła. Bo w paśmie cienia, gdzie nie dotarło jeszcze słońce, noga była zimna jak otaczające ją kamienie.

**HALASMENOS,
PONIEDZIAŁEK, 11 WRZEŚNIA, NADAL PRZED POŁUDNIEM**

– Czy on nie żyje? – spytał ktoś.

Nie rozpoznałem kto. Nie potrafię zidentyfikować głosu, kiedy krew dudni mi w uszach.

– Wezwijcie karetkę – odezwał się inny głos.

I kolejny:

– Niech ktoś mu sprawdzi tętno.

Poczułem się jak ślepiec. Straciłem orientację, w otaczającej mnie ludzkiej masie przestałem rozpoznawać strony świata. W stresie zaciskają się kanaliki węchowe, więc nie czułem żadnych zapachów. I wszystkie głosy brzmiały dla mnie tak samo.

Zacisnąłem powieki. Co niczego nie zmieniło. Kilka razy wciągnąłem głęboko powietrze w płuca i spróbowałem wziąć się w garść. Skoncentrowałem całą uwagę w czubkach moich palców.

Zacząłem od dołu.

Sandały. Nowe, niezniszczone, skóra jeszcze trochę sztywna. Pewnie obcierały.

Stopy. Paznokcie obcięte na kwadratowo, równo, ale niezbyt starannie. Z tyłu nad piętą plaster. I warstwa brudu na palcach, piętach i podszwach, delikatny, pudrowy w dotyku kurz. Albo ten facet rzadko się mył, albo przyszedł tu piechotą.

Gdzieś rozdzwoniła się komórka. Olałem ten dźwięk i macałem dalej.

Szorty też jeszcze całkiem nowe. Prane góra raz, może dwa. Materiał ciągle sztywny, chociaż nie czuć już chemicznego zapachu nowej tkaniny. Pewnie kupione specjalnie na urlop.

Usłyszałem, jak ktoś przepycha się za moimi plecami.

– Tom, to chyba twój telefon.

Dopiero teraz poczułem wibrację w kieszeni. Wyjąłem aparat, powiedziałem głośno i wyraźnie:

– Połącz.

– Tom? Co się tam dzieje u was na dole? – Ifigenia była zdyszana, jakby biegła, chociaż półka skalna, na której pracuje, ma pewnie nie więcej niż dziesięć na osiem metrów.

– Studenci znaleźli zwłoki – wyjaśniłem.

– Zwłoki? – Zachłysnęła się powietrzem. – Ludzkie zwłoki? Matko Boska!

– Słuchaj, nie mogę teraz rozmawiać. Zadzwoń do ciebie później.

Zanim się rozłączyłem, usłyszałem jeszcze „uważaj na siebie”. Zirykowało

mnie to. W jaki niby sposób miałbym na siebie uważać w obecności zimnego trupa?

Znowu dotknąłem martwego ciała, tym razem dłoni. Skupiłem uwagę.

Opuszki palców miękkie – pracownik umysłowy, nie fizyczny. Staranny manikiur, o wiele lepszy niż pedikiur. Żadnych ogryzionych skórek ani nierównej płytki paznokcia. Dobrze opłacany mężczyzna z wyższych sfer korporacyjnych, zatrudniony w miejscu, gdzie wymaga się starannego wyglądu. Gdzie stopy chowa się w butach, ale ręce trzyma na widoku.

Żonaty. Obrączka siedziała mocno na palcu. To raczej nie był efekt *rigor mortis*, tylko facet rzadko ją zdejmował. Mężczyzna z wyższych sfer korporacyjnych, który nie zdradzał żony? Czy zdradzał ją z sekretarkami, które i tak wiedziały, że jest żonaty?

I niezbyt młody. Skóra na palcach straciła napięcie, przy nasadzie kciuka czułem wyraźną wiotkość. Chociaż mogłem się mylić, skóra trupa w ogóle jest wiotka.

Dotknąłem koszulki – z kołnierzykiem, nowa, tak jak szorty. Pracownik umysłowy z dobrego biura, który kupił sobie nowe ciuchy na wakacje, bo na co dzień nie nosi szortów ani koszulek polo. To znaczy, że nie ma ogródka ani działki, czyli mieszka w mieście i gania w garniturze od wschodu do zachodu słońca.

– Trzeba mu sprawdzić kieszenie – zadudniła mi nagle nad uchem Annika, a ja omal nie dostałem ataku serca. Nie wiem, czy mówiła do mnie.

– Nie wolno go ruszać, trzeba poczekać na policję! – krzyknął ktoś z tyłu, jakiś facet, chyba Alekos.

Rozpoznałem głosy bez trudu, czyli powoli odzyskiwałem orientację. Co mnie ucieszyło, nawet w tych okolicznościach.

Annika niezbyt przejęła się uwagą Alekosa, bo poczułem, jak szarpie z drugiej strony za materiał szortów trupa.

– Puste – powiedziała po chwili. – Nic nie ma w kieszeniach. Nawet biletu na autobus.

Facet z dobrego biura, w ciuchach kupionych specjalnie na urlop, który szedł kilka godzin piechotą, aż dotarł do stanowiska (podrzędne stanowisko archeologiczne, niewymienione w żadnym przewodniku, bo dla laika nie ma tu nic ciekawego do zwiedzania), bez dowodu tożsamości i choćby dziesięciu euro w kieszeni? Ciekawe. Chyba że ma gdzieś w pobliżu auto.

– Romane? – Odwróciłem się i rzuciłem pytanie w przestrzeń. – Mijaliśmy po drodze jakiś zaparkowany samochód?

– Co? – Romanos przepchnął się bliżej. – Nie... Nie.

Czyli nie w pobliżu, tylko gdzieś dalej. I taki facet na wysokim stanowisku w korporacji zostawiłby w samochodzie pieniądze i dokumenty? Na Krecie zasadniczo nie kradną, ale czy turysta mógł o tym wiedzieć?

– Nie ma nic – powtórzyła Annika. – Ani paszportu, ani komórki, ani aparatu fotograficznego.

Przesunąłem dłońmi po twarzy trupa. Trzydniowy zarost. Pasował do szortów i sandałów. Zdecydowanie po czterdziestce, tak jak myślałem, może nawet koło pięćdziesiątki: miękka skóra pod zuchwą i sieć zmarszczek wokół oczu. Włosy krótko ostrzyżone, bo łyśiał, miał głębokie zakola.

Wróciłem do jego dłoni i nacisnąłem na palce. Były sztywne.

– On, on... – Dziewczyna po lewej stronie dostała nagle czkawki. Chyba Sarah. Ktoś uderzył ją dwa razy w plecy. To musiał być Jason, tylko on wykorzystałby każdy pretekst, żeby jej dotknąć, chociaż wiadomo, że przy czkawce walenie w plecy nie pomaga. – On... Ktoś go zastrzelił!

Skupiłem się na tułowiu trupa. Coś musiało się wylać na nową koszulkę polo, kupioną specjalnie na urlop. Coś gęstego. I to coś zdążyło już zaschnąć. Teoretycznie takich substancji jest wiele, ale na zwłokach, kiedy w powietrzu unosi się zapach żelaza i muchy, setki much, to raczej musi być krew.

– Ja słyszałam... – odezwała się Yacinta. Albo Melissa. Mówiła powoli, jakby ktoś włączył ją na zwolnionych obrotach. – Podobno w weekend byli tu myśliwi. Manolis opowiadał, ten z knajpy. Może to wypadek?

Może. Najprawdopodobniej.

Podniosłem się. Ktoś dotknął mojego ramienia. Strząsnąłem rękę. Chciałem jak najszybciej wydostać się z tłumu. Znaleźć się w miejscu, gdzie nie otaczał mnie szmer przyspieszonych oddechów, okrzyki grozy i smród spoconych ciał.

Odszedłem na bok, uniosłem głowę i wciągnąłem kilka razy powietrze, jak pies. Nie potrafiłem dokładnie określić, gdzie się znajdowałem. To mnie niepokoiło. Nie ma nic gorszego dla ślepego, niż się zgubić. A ja nigdy nie lubiłem prosić o pomoc.

Wziąłem dwa kolejne głębokie wdechy i spróbowałem się skoncentrować.

Ustawiłem się twarzą do słońca.

Nacisnąłem przycisk zegarka.

„Dziewięta pięćdziesiąt dwie”.

Wziąłem poprawkę na kąt padania słońca i godzinę i ustawiłem się twarzą do północy. Potem wykonałem zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w prawo. Byłem zwrócony dokładnie na wschód, w stronę skały. Gdzieś tam, na skalnej półce, siedziały Ifigenia i Mona (i ten idiota Matakis) i pewnie zachodziły w głowę, co się dzieje. Pomachałem im ręką, na wypadek gdyby jedna z nich obserwowała mnie przez lornetkę. Wszystko pod kontrolą, nie ma się czym martwić, możecie spokojnie pracować dalej.

Schyliłem się i namacałem najbliższy murek po prawej stronie. Przeszedłem do jego jednego końca, potem do drugiego. Miał osiem i pół metra długości. Tylko jeden murek we wschodniej części stanowiska położony na osi wschód-zachód

dokładnie tyle mierzył, ale wolałem się upewnić. Policzyłem krokami odległość do następnego, równoległego. Cztery metry z małym hakiem. Czyli znajdowałem się w ósemce, wykopie, który zakończyliśmy badać w poprzednim sezonie.

To był niewielki dom typu megaronowego – dwa pomieszczenia, z tego jedno wyraźnie większe, wejście na krótszym boku, pośrodku palenisko. Wysły tam bardzo ładne dekorowane kubki. Za megaronem, patrząc w stronę skały, znajdował się jeszcze jeden, mniejszy, a potem już koniec wioski. Wiedziałem, gdzie jestem, i to z dokładnością do pół metra. Mówiłem przecież, że nie potrzebuję pomocy.

Słońce paliło. Pamiętałem, że przy północno-wschodnim narożniku megaronu rosły dwa krzaki. Postanowiłem usiąść pod jednym z nich i poczekać, aż przyjedzie policja. I tak nie da się zagonić ludzi do roboty, zanim policjanci zabiorą stąd ciała i skończy się ten cyrk. Dzień pracy w plecy.

Ruszyłem powoli w kierunku narożnika. Musiałem znowu przejść przez murek, i to ostrożnie – po drugiej stronie wykop miał siedemdziesiąt centymetrów głębokości. Pochyliłem się i usłyszałem brzęczenie much.

Przez chwilę, przez krótką chwilę myślałem, że to te muchy na martwym facecie po czterdziestce, raczej bliżej pięćdziesiątki, w nowych sandałach, nowych szortach i nowej koszulce polo, teraz sztywnej od krwi. Ułamek sekundy później zorientowałem się, że się mylę. Tamten trup był za daleko. Nie usłyszałbym much przez brzęczenie głosów studentów.

Pod koniec lata ziemia jest wyschnięta i twarda. Pod moimi butami wydawała metaliczny odgłos. Ciało, kiedy trąciłem je nogą, nie wydało żadnego dźwięku.

Uklęknąłem. Te zwłoki okazały się cieplejsze od tamtych, cień krzaka nie był tak gęsty jak cień góry. I należały do kobiety. Ogolona łydka (przed co najmniej dwoma dniami), sandały o innym fasonie, lakier na paznokciach, nowe ciuchy. Kobieta musiała być po czterdziestce, na serdecznym palcu prawej ręki nosiła obrączkę – na pierwszy dotyk bardzo podobną do tamtej na palcu mężczyzny.

Dźwignąłem się z kolan i obszedłem ją ostrożnie. I znalazłem to, czego szukałem. Mały damski plecak ze skóry. Powąchałem. Z dobrze wyprawionej skóry, chociaż teraz śmierdział krwią. Kobieta też śmierdziała krwią, ale przód jej koszulki polo (o identycznym kroju, chociaż pewnie w innym kolorze niż koszulka męża) był czysty. Może dostała w plecy?

W plecaku namacałem dużą butelkę wody, baton, kosmetyczkę, paczkę chusteczek do nosa, dwa paszporty i ciasno zwiniętą plastikową torebkę. Wyjąłem ją. Nawet przez plastik czułem znajome kanciaste kształty. Ceramika z wykopalisk.

Namacałem w kieszeni telefon i kazałem mu wybrać numer Romanosa.

Usłyszałem, jak dzwoni kilkanaście metrów dalej.

– Jestem koło ósemki, przyjdź tu, proszę – powiedziałem. – Jak najszybciej. Tylko dyskretnie, bez zwracania na siebie uwagi.

Rozłączył się bez komentarza. Po chwili usłyszałem chrzęst jego wykopaliskowych butów na kamieniach. A jeszcze ułamek sekundy później, jak gwałtownie zaczerpnął powietrze.

– O rany!

– To chyba jego żona.

Staram się zatrudniać samych inteligentnych ludzi, mniej roboty, nie trzeba im wszystkiego tłumaczyć, a Romanos był bardzo inteligentny.

– Na oko obrączka identyczna – zauważył.

– Znalazłem plecak.

– Niepotrzebnie go dotykałeś. Alekos już zadzwonił na policję. Powiedzieli, że jada, ale z Agios to potrwa z pół godziny.

– W środku są paszporty – powiedziałem. – Może dobrze byłoby wiedzieć, kto to.

Romanos pochylił się, usłyszałem brzęknięcie sprzączki plecaka i szelest kartek.

– Piotr Wojnar, urodzony w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym drugim roku w Warszawie. Iwona Wojnar, urodzona w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku, też w Warszawie. Tak, miałeś rację, to musi być żona. – Dalej szeleścił kartkami paszportów. – Za okładką są dwie wizytówki. Piotr Wojnar, *law attorney*. Firma Lex Varsovia. Nie znam się, ale jeśli to adwokat, to chyba biedny nie jest.

– Chyba nie. To dlaczego kradnie skorupy z wykopalisk?

– Co?

– Skorupy. – Pomachałem w powietrzu foliową torebką. – Znalazłem je w plecaku.

– Naprawdę nie powinieneś być tego dotykać – zwrócił mi uwagę. – Zostawiłeś odciski palców. I mogłeś zatrzeć inne.

– Trudno. – Wzruszyłem ramionami, czyli wykonałem gest, którego nienawidziłem u innych, bo nie mogłem go zobaczyć. Jak zresztą wszystkich pozostałych gestów. – Powiem policji, żeby zdjęli moje odciski.

– Hm. – Romanos brzmiał, jakby nad czymś się zastanawiał. – Na pewno nie kradli tych skorup na sprzedaż. One nie mają żadnej wartości kolekcjonerskiej. Może chcieli sobie ozdobić gzyms kominka?

– Może. Chociaż gdybym był adwokatem, to chyba wolałbym jakąś marmurową główkę.

Romanos coś mruknął, nie zrozumiałem, czy się z tym zgadza czy nie.

Znowu zadzwoniło w mojej kieszeni.

– Gdzie ty jesteś? Nie widzę cię z góry. – Sygnał zanikał, ale i tak

usłyszałem panikę w jej głosie.

– Nie widzisz mnie, bo jestem za krzakiem. – Zawahałem się, ale gdybym jej nie powiedział, wieczorem byłaby dzika awantura. – Tu jest drugi trup.

– O Boże!

Przez chwilę milczała.

– Tom, co się dzieje? – zapytała w końcu.

– Nie wiem. To chyba jacyś turyści. On dostał postrzał w klatkę piersiową, a ona pewnie w plecy.

Usłyszałem, jak Romanos wstaje ze swojego miejsca i podchodzi do zwłok. Na szczęście nie przyszło mu do głowy, żeby je obrócić. Znowu tylko coś mruknął.

– To najprawdopodobniej wypadek podczas polowania – powiedziałem. – Zaraz przyjedzie policja.

Ifigenia zaczęła coś mówić, ale w słuchawce zabulgotało, a potem sygnał zanikł.

Wcisnąłem komórkę do kieszeni.

– Włóż rzeczy z powrotem do plecaka – powiedziałem do Romanosa. – I zaczekajmy na tych policjantów z Agios.

I tak zrobiliśmy.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 9.34**

– A co było potem?

– Resztę już pani wie. Przyjechaliście, ogrodziliście teren, najpierw zabroniliście nam w ogóle pracować, a potem doszliście do wniosku, że stanowisko jest duże, więc możemy coś robić, byle z dala od trupów. I tak zmarnowaliście nam dzień, studenci nie mogli się na niczym skupić.

– My zmarnowaliśmy wam dzień. – Marina powoli i starannie wymawiała każde słowo. – Interesujący punkt widzenia.

– Może kuzyn tego pani nie powiedział, ale na wykopaliskach liczy się każda godzina. Czego nie zrobimy w ciągu trzech tygodni, będzie musiało poczekać do następnego roku – nakręcałem się coraz bardziej, ale nie potrafiłem się opanować.

– Nie można sobie tak po prostu zostać kilka dni dłużej, to wymaga przedłużenia pozwolenia, zdobycia dodatkowych funduszy, przesunięcia biletów lotniczych i tak dalej, i tak dalej. A my przez jakiegoś prawnika z Polski i jego żonę, którzy w nowych szortach i nowych sandałach spędzali na Krecie wakacje, kradli skorupy i dali się głupio zastrzelić, zmarnowaliśmy...

– Tak, już zrozumiałam, panie Mara.

Nie dokończyłem zdania i wypuściłem z płuc resztkę powietrza.

– A co działo się później tamtego dnia?

– Wróciliśmy z wykopu. Wziąłem prysznic, zjadłem obiad zostawiony przez kyrię Fotini. Zszedłem na dół. Pracowaliśmy do wieczora, jak każdego dnia.

– To znaczy, co robiliście?

– Kuzyn pani nie powiedział, co archeolodzy robią po zejściu z wykopu?

Mucha oderwała się od szyby i przeleciała tuż obok mojej głowy. Zacisnąłem szczęki, żeby opanować chęć machnięcia ręką. Staram się ograniczać gesty do takich, które coś dają.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie. Chciałabym się dowiedzieć, co robił każdy z członków pana ekipy.

Wciągnąłem głęboko powietrze, a razem z nim molekuły kurzu, pleśni, potu i starej farby ze ścian. Przytrzymałem to wszystko przez chwilę w płucach.

– Studenci uzupełniali dokumentację, kończyli rysunki, wprowadzali dane do komputera. Romanos ich nadzorował, studenci zazwyczaj mają sporo pytań, potrzebny im jest ktoś doświadczony do pomocy. Oliwia przez całe popołudnie i wieczór siedziała w swojej pracowni i nie wystawiała stamtąd nosa, więc nie wiem, co dokładnie robiła. Pewnie to co zawsze, zajmowała się konserwacją wykopanych przez nas zabytków. Ja pracowałem nad ceramiką, mamy do tego miejsce na dziedzińcu, pod wiatą. Razem ze mną były Mona i Ifigenia,

dokumentowały swoją ceramikę z Katalimaty.

Marina odsunęła się z krzesłem do tyłu. Nogi zapiszczały na posadzce i z trudem powstrzymałem się, żeby nie zatkać uszu. Oparła łokcie na blacie: jej bluzka miała długie rękawy i jedwab delikatnie otarł się o krawędź stołu. Musiała pochylić się do przodu, bo kiedy się odezwała, jej głos zabrzmiał inaczej, głębiej:

– Panie Mara, dla pana własnego dobra powinien mi pan opowiedzieć wszystko ze szczegółami.

Przycisnąłem dłonie do ciepłego blatu. Jestem pewien, że opuszki palców mi zbielały, ale oczywiście nie mogłem tego stwierdzić.

– Chętnie. Zajmowałem się ceramiką z obiektu siedem łamane przez dwadzieścia jeden łamane przez dwa tysiące siedemnaście. To interesujący obiekt, bo znalazłem tam aż pięć różnych kalathosów, a jak pani może wie od kuzyna, te naczynia są bardzo rzadkie, szczególnie w ośrodkach wiejskich takich jak Halasmenos. Oprócz tego trafiłem tam na standardowy zestaw, trzy fragmenty trójnożnych garnków, jedną...

– Panie Mara, nie chodzi mi o ceramikę.

– Tak? – Postarałem się, żeby zdziwienie w moim głosie było przesadne i sztuczne. – A o co?

– Czy ten dzień wyglądał tak jak każdy? Czy nie wydarzyło się nic, co odbiegało od normy?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie jestem Duchem Świętym i nie potrafię przebywać we wszystkich pomieszczeniach Kentro naraz. Ale gdyby wydarzyło się coś niezwykłego, na pewno bym o tym wiedział. A nie wiem. To był dzień jak co dzień.

– Wyjąwszy zwłoki na wykopie.

Nie odpowiedziałem, bo nie lubię gadać o rzeczach oczywistych.

HALASMENOS, A PÓŹNIEJ KENTRO, PACHIA AMMOS, PONIEDZIAŁEK, 11 WRZEŚNIA, PO POŁUDNIU

Usłyszałem odgłosy silnika co najmniej jednego samochodu, a potem szuranie opon na żwirze, ale uznałem, że lepiej będzie poczekać, i miałem rację. Po dziesięciu minutach Romanos przyprowadził policjantkę, Marinę Jakaśtam. Miała wilgotne dłonie, jak wszyscy w tym upale. Pachniała perfumami, jednocześnie słodkimi i gorzkimi. Nie znałem tego zapachu.

Słuchałem, jak Romanos opowiada, co się wydarzyło. Nie miałem wiele do dodania.

Potem pojawili się technicy, a ja odsunąłem się na bok. Ślepcy zawadzają nawet w normalnych sytuacjach, a co dopiero przy dwóch trupach. Słyszałem szelest rozwijanej taśmy, którą zagrządzali teren (wydawała taki sam dźwięk jak taśma używana do znakowania wykopów), a potem szelest ich ochraniaczy na buty. I ciche rozmowy, choć niewiele z nich rozumiałem, bo nie znam terminologii kryminalistycznej po grecku.

Odszedłem na skraj stanowiska. Usiadłem na pierwszym lepszym kamieniu i odwróciłem twarz w stronę skały, ale Ifigenia pewnie nie patrzyła w dół. A może patrzyła, ale nie posłała już zajączków w moją twarz. Żadnych więcej sygnałów.

Nikt nie pracował. Właściwie mogliśmy się zawinąć i wrócić do Kentro, ale studenci gapili się na pracę techników policyjnych. Ja tylko wdychałem smród potu (plastikowe kombinezony są niepraktyczne w upale) i słuchałem szmeru podnieconych rozmów. I tak siedzieliśmy, dopóki mój zegarek nie zapikał trzy razy, a gdy wcisnąłem przycisk, głosem idiotki oznajmił trzecią, czyli czas powrotu.

W Kentro Oliwia już wiedziała. Dmuchnęła mi dymem prosto w twarz i spytała, czy widziałem zwłoki.

– To znaczy, sorry, Tom, wiesz, co mam na myśli.

Ostatnio zbyt często musiałem zgadywać, co ludzie mają na myśli. Wyminąłem ją i poszedłem schodami prosto na górę. Długo stałem pod prysznicem, a potem nago rzuciłem się na sofę. Nie miałem apetytu. Próbowałem o niczym nie myśleć. Nie udało mi się.

Kiedy zegarek znów zapikał trzy razy, ubrałem się i zszedłem na dół. Na palcach ominąłem pracownię Oliwii i zatrzymałem się przy pokoju, gdzie studenci siedzieli nad notatkami z wykopów, wprowadzali karty zabytków i warstw do komputerów i uzupełniali plany. To znaczy robili to zazwyczaj, ale nie tamtego dnia. Tamtego dnia nie przestawali rozmawiać o trupach.

– O, Tom. Dobrze, że jesteś.

– Bo Jason mówi, że to nie mógł być wypadek w czasie polowania.

- I podobno to nie byli turyści.
- A Alekos myśli, że to jakieś porachunki mafii.
- I ci turyści to wcale nie turyści, tylko handlarze narkotyków.
- No, z Rosji. Albo gdzieś stamtąd.
- I my się teraz boimy.
- I nie wiemy, co mamy robić.

W powietrzu unosił się zapach wilgotnych włosów i świeżego potu. Nie czułem natomiast zapachu rozgrzanych komputerów ani papieru i kurzu z dzienników wykopaliskowych.

Przełknąłem ślinę.

- Skończyliście dokumentację?
- Ale Tom, posłuchaj, a co będzie, jeśli do nas też zaczną strzelać?
- Bo jeśli to nie byli myśliwi, to znaczy, że tych ludzi ktoś zamordował. To logiczne, nie?

– Ja się boję teraz siedzieć na wykopie. A w zeszłym tygodniu chyba raz słyszałam strzały.

Nie potrafiłem powiedzieć, czy to Yacinta czy Melissa, nawet w panice ich głosy brzmiały identycznie.

– Nie bądź idiotką, to jakiś gaźnik. Tutaj jeździ mnóstwo trupów. To znaczy, przepraszam, Tom, miałem na myśli stare samochody.

– To ty nie bądź idiotą. Jak cię zastrzelą, to później będziesz żałował, że nie uważałeś.

Kurwa, pomyślałem. Kurwa, kurwa, kurwa.

Przełknąłem ślinę.

– Pogadamy później – powiedziałem głośno i wycofałem się z pracowni rakiem. Kiedy zniknąłem już z ich widoku, oparłem się o ścianę i naciągnąłem mięśnie karku. Były zeszywniałe jak stare zwłoki. Takie sprzed kilku tysięcy lat, nie sprzed dnia albo dwóch.

Ruszyłem przez patio do wyjścia na dziedziniec. Dochodziło wpół do piątej, słońce oświetlało pół posadzki i padało mi na twarz pod kątem czterdziestu stopni. Nie potrzebowałem macać ścian, żeby trafić do drzwi.

Zatrzymałem się w holu przy lodówce. Oliwia dba o to, żeby nigdy nie zabrakło zimnych napojów, i na pewno pójdzie za to do nieba. Uchyliłem drzwi, sięgnąłem po lodowatą puszkę i wtedy rozdzwonił się telefon na moim biurku. Podskoczyłem. Rzadko słyszę ten dźwięk, bo wszyscy mają komórki i prawie nikt już nie dzwoni na stacjonarny. Ale jesteśmy poważną instytucją i musimy trzymać przynajmniej jedną linię, której numer podajemy we wszystkich oficjalnych dokumentach.

Miałem nadzieję, że Oliwia odbierze, ale telefon dzwonił i dzwonił. W końcu rzuciłem kurwą, zatrzasnąłem lodówkę i poczłapałem z powrotem przez

patio. Telefon nie przestał dzwonić, kiedy wszedłem do gabinetu. Podniosłem słuchawkę, spodziewając się kogoś, kto sprzedaje ubezpieczenia na życie, a w najlepszym wypadku komplet garnków, jednak to był tylko jakiś facet, chciał rozmawiać z Annie. Niewyraźnie go słyszałem, ale domyśliłem się, że chodzi o Annikę. Powiedziałem, że jej nie ma i już dzisiaj nie będzie. Zmartwił się i powiedział, że od kiedy przyjechała na Kretę nie może jej złapać. Poradziłem mu, żeby spróbował na komórkę. Powiedział, że nie odpowiada, chyba zmieniła numer, i spytał, czy mogę zanotować wiadomość od byłego chłopaka, od Martina. Zgodnie z prawdą odparłem, że nie, i rzuciłem słuchawkę, żeby zakończyć tę idiotyczną rozmowę. Telefon prawie natychmiast znowu zaczął dzwonić. Starannie zamknąłem za sobą drzwi, dotarłem do lodówki, wyjąłem zimną puszkę coli i przytknąłem sobie do karku. A potem wyszedłem na dziedziniec.

Na zewnątrz panował upał. Czulem strumyczki potu płynące po wewnętrznej stronie ud i wsiąkające w koszulę na plecach. Powietrze stało nieruchomo i ciężko się oddychało. Środek dziedzińca zastawiały wielkie blaty na krzyżakach. Cztery rzędy, po trzy stoły w każdym. Tutaj rozkładaliśmy ceramikę.

Namacąłem drewniane krzesło z wyplatany siedzeniem, takie jak w tawernach. Zamawiamy je w tym samym magazynie meblowym co wszyscy właściciele knajp w okolicy. Położyłem dłonie na skorupach, ciągle gorących od słońca, ale nie mogłem się zabrać do pracy. Łyknąłem coli. Była lodowata.

Za moimi plecami trzasnęły drzwi. Poczulem zapach dzikiej szalwii i oregano.

– Cześć, kochanie. – Ifigenia zaszurała butami na żwirze. Podeszła bliżej i cmoknęła mnie w czubek głowy. – Co to za historia z tymi trupami?

– Jezu, Ifi. Wchodzisz tu prosto z wykopu i pierwsza rzecz, o jakiej mówisz, to zabici turyści?

– Jezu, Tom! – Nienawidziłem, kiedy Ifigenia mnie przedrzeźniała, ale robiła to często i chętnie. – To pierwsza rzecz, o jakiej mówię, bo to wydarzenie dnia. A nawet tygodnia. A nawet – pochyliła się i jej głos zabrzmiał wyraźniej – nie uwierzysz, Tom, ale to na pewno wydarzenie roku. No wiesz, nie tak często znajdujemy trupy na wykopaliskach.

Wciągnąłem głęboko powietrze i bardzo powoli je wypuściłem.

– Opowiedz mi wszystko – nadawała dalej Ifigenia. – Co to za ludzie i w ogóle? Bo studenci wygadują niestworzone rzeczy. Ci zamordowani byli z Holandii?

– Nie z Holandii, tylko z Polski – sprostowałem. – Słuchaj, Ifi, musisz na siebie uważać. Ci pieprzeni myśliwi nie patrzą, do czego strzelają, a ty często łazisz sama po górach...

– Mam dziesięć lat doświadczenia wspinaczkowego i dyplom instruktora, Tom. O czym dobrze wiesz.

– Nic ci nie pomoże doświadczenie ani dyplom, jeśli znowu będą polować w tej okolicy.

– Obiecuję, że skoczę jutro do Agios i kupię sobie odblaskową kamizelkę. I taką samą czapkę z daszkiem.

– To nie jest śmieszne. Może powinniście na jakiś czas zawiesić prace w Katalimacie?

– To też nie jest śmieszne, Tom. Na jaki czas? Sezon łowiecki trwa, zdaje się, do grudnia albo i dłużej.

Zacisnąłem palce na krawędzi blatu ze sklejki.

– Po prostu boję się o ciebie.

– Po prostu jesteś nadopiekuńczy. A ja tego nie lubię, przecież wiesz. – Oparła się biodrem o blat. Stojak się zakołysał, a skorupy zagrzechotały. – Lepiej mi opowiedz o tych zabitych turystach. Naprawdę byli z Polski? Bo Jason jest przekonany, że to jakieś mafijne porachunki. Przemysł narkotyków, coś takiego.

– Jason to półgłówek – mruknąłem.

– Ale podobno mieli cały plecak nielegalnie wykopanych zabytków.

Westchnąłem.

– Możemy o tym nie mówić?

Ifigenia odsunęła się ode mnie.

– Jezu, coś ty taki sztywny?

Jej buty zaszurały, gdy zrobiła krok na żwirze. Zapach dzikiego tymianku przybrał na sile i stał się lekko kwaśny, trochę ostry, jakby ktoś dodał pieprzu.

– Kolacja dzisiaj? – Oparła się o moje udo i wyszeptwała mi do ucha: – I może jeszcze coś, później?

– Może się nie udać – powiedziałem, starannie dobierając słowa. – Zdaje się, że studenci wybierają się do Jorgosa. Jak nas zobaczą, na pewno będą chcieli się przyłączyć.

Ifigenia nachyliła się niżej. Nie wzięła prysznicą po pracy. Pod aromatem dzikiego tymianku pulsowała nutka potu jednocześnie słodkiego i słonego, jak lukrecja. Poczułem, że mógłbym przewrócić ją teraz, na żwir. Bo żaden z blatów na stojakach nie wytrzymałby ciężaru naszych ciał.

– Myślałam o kolacji we dwoje – zamruczała. – Tylko ty i ja. Nie chcę się tobą z nikim dzielić.

Chwyciłem ją za rękę i przyciągnąłem bliżej. Z trudem powstrzymywałem ochotę, żeby polizać ją w tym delikatnym miejscu za uchem, gdzie czuć pulsowanie tętnicy.

Zamiast tego odsunąłem usta od policzka Ifigenii i powiedziałem najostrożniej, jak potrafiłem:

– Jestem szefem, Ifi. Nie mogę kazać studentom spieprzać, choćbym miał na to straszną ochotę. Poza tym ktoś powinien przypilnować, żeby nie puszczali po

wsi tych idiotycznych plotek.

Wyszarpnęła nadgarstek z mojej dłoni i zrobiła krok do tyłu. Już wiedziałem, że nie zostanie u mnie na noc. Bo Ifigenia była najgorliwszą na świecie wyznawczynią zasady: albo będzie tak, jak ja chcę, albo nie będzie wcale.

Potarłem dłonią kark. W powietrzu wisiało takie napięcie, że mógłbym naładować komórkę bez ładowarki.

– Usiądź – powiedziałem. – Proszę cię. Muszę z tobą porozmawiać.

Westchnęła głośno i wyraźnie, żebym nie miał wątpliwości, że jej się to nie podoba, ale po chwili krzesło zatrzeszczało pod ciężarem jej ciała. Fala aromatu dzikich ziół przybrała na sile.

– Źle ci się pracuje z Moną?

– Chcesz teraz rozmawiać o Monie? – W jej głosie usłyszałem niedowierzanie. I złość.

– Chcę teraz rozmawiać o Monie – potwierdziłem.

– Dobra, to ja coś ci powiem o Monie. „Źle pracuje” to niedopowiedzenie roku! – Chciałem się wtrącić, ale mi nie pozwoliła. – Ta twoja asystentka spieprzyła mi datowanie połowy stanowiska!

– Ifi, może trochę przesadzasz...

– Przesadzam? Dobra, Tom, zaraz ci coś pokażę! – Zerwała się z krzesła. – Mam tu depozyt z domu, który znajduje się bezpośrednio pod deltą. Więc ceramika musi być wcześniejsza. A tymczasem ta twoja głupia Mona twierdzi, że jest późniejsza. Sam zobacz!

Odeszła w kąt dziedzińca. Pod murem (żebym się nie potknął), na drewnianych ramach z rozpiętą siatką suszyły się skorupy. Ceramikę wydobytą z ziemi myje się jak naczynia po obiedzie, w misce z wodą, tylko bez detergentu. Płaciłem za to dziewczynom z wioski.

Tamtego dnia w ogóle nie było wiatru i kiedy żadne z nas się nie odzywało, na dziedzińcu panowała głęboka cisza. Dlatego nawet z odległości kilkunastu metrów usłyszałem, jak Ifigenia nagle wzięła głęboki wdech.

– No żeż do kurwy, zabiję tego idiotę!

Nie powiedziała tego do mnie. Nawet gdybym się nie domyślił, nie pozostawiła wątpliwości:

– Pierdolony Mataki!

Pierdolony Mataki. Pies Mony. Nie tylko rozkłada się w przejściu i skacze na każdego, kto nie zdąży uciec (czyli na mnie), ale i uwielbia ogryzać drewniane plakietki z informacjami o ceramice. Które zawsze leżą razem ze skorupami, żeby się nie pomyliło.

Złoto złotem, każdy chciałby je znaleźć na swoim stanowisku i prawie nikt go nie znajduje. Prawdziwym skarbem dla archeologa jest ceramika. Potłuczone gliniane skorupy, które wyglądają jak śmieci. Ich kształt i dekoracja zmieniają się

na tyle często, że mogą służyć za archeologiczny zegar. Tylko że bez drewnianych plakietek z informacją o miejscu wydobycia to zegar rozbebeszony na części i nie nadaje się do użytku.

– Do diabła! – mruknąłem. – Znowu to samo. To już chyba trzeci raz...

– Mówiłam jej milion razy, no milion razy, do cholery, żeby nie wpuszczala tego pieprzonego kundla na dziedziniec! I teraz wszystko pomieszanę – jęczała Ifigenia. – Całe depozyty do wyrzucenia. Ja pierdołę, no!

Sam bym tego lepiej nie ujął.

Ifigenia szurnęła stopami na żwirze i podeszła bliżej. Fala zapachu ziół uderzyła mnie w nozdrza.

– Weź jej w końcu coś powiedz, Tom. To ty jesteś szefem. Ten pies nie może mieć tutaj wstępu. Niech go zostawia we wsi, w pensjonacie. Albo niech siedzi przywiązany pod bramą Kentro.

– Mona mówi, że on nie może znieść uwiązania.

– A ja nie mogę znieść, jak mi niszczy pracę. No i jak ja teraz, kurwa, udowodnię, że moje datowanie było dobre? No może mi powiesz jak?!

Nie powiedziałem, bo sam nie wiedziałem.

– Ta cała Mona pracuje tu od tygodnia, a już się rządzi, jakby Kentro należało do niej i tylko do niej.

– Ifi – powiedziałem. – Przecież to ty ją poleciłaś. Najpierw stwierdziłaś, że dłużej nie wytrzymasz pracy biurowej ze mną...

– Bo ty chcesz mieć zawsze wszystko perfekcyjnie, Tom. Jak robot, nie jak człowiek.

Bo tylko wtedy mogę zapanować nad światem, którego nie widzę. Zacisnąłem zęby i mówiłem dalej:

– ...a później znalazłaś Monę. Na początku się dogadywałyście.

– Na samym początku. I szybko zrozumiałam, że pomyliłam się co do niej. – Ifigenia musiała wzruszyć ramionami, bo jej włosy otarły się o podkoszulek. – Każdy może się pomylić, nie? A ty mi obiecaj, że każesz jej trzymać tego pieprzonego kundla z dala od Kentro. I zabronisz jej go zabierać do Katalimaty, zanim tam też coś rozpierzdoła w drobny mak.

– Mona się stara, Ifi. Daj jej szansę.

– Ciekawe, że tak jej bronisz... – Urwała na chwilę. – Chyba przypadła ci do gustu.

Nie odpowiedziałem. To było pytanie, na które bałem się odpowiedzieć.

Ifigenia odczekała chwilę, a potem rzuciła:

– Jesteś pieprzonym tchórzem, Tom. – I załomotała butami na schodach, a potem zatrzasnęła za sobą drzwi.

Otarłem pot z czoła i poruszyłem głową na obie strony, żeby rozluźnić mięśnie barków. Cieszyłem się samotnością góra dziesięć minut. Później zazgrzytał

metal, zabręczczała siatka ogrodzenia i trzasnęła furtka, którą można wejść na dziedziniec od tyłu, bez przechodzenia przez całe Kentro. Usłyszałem chrobot pazurów na żwirze i dyszenie, a po chwili kroki i brzęk bransoletek. I poczułem zapach olejku różanego.

Od kiedy poznałem Monę, najbardziej podoba mi się w niej głos. Jest niski i zmysłowy, zawsze z leciutką chrypką, brzmi, jakby jego właścicielkę właśnie łąpało przeziębienie. Ale tym razem tylko się wkurzyłem, kiedy usłyszałem:

– Cześć, Tom – lekko dyszała. – Obeszliśmy z Matakim całe wzgórze od drugiej strony. Ale to nie na tenupał. Jezu, ale się spociłam.

Miałem gdzieś jej spacer.

– Zabierz tego bydlaka – warknąłem. – Znowu pogryzł etykiety z ceramiki.

Buty zgrzytnęły na żwirze. Zabręczczała sprzączka przy obroży i bransoletki na nadgarstkach Mony. Przytuliła psa.

– Mój słodki pieseczek. – Zmiękczała wyrazy w tak wkurwiający sposób, że musiałem zacisnąć zęby. – Mój kochaniutki pieseczek. Powiedz pańci, znowu narozrabiałaś? Zabrałaś wujkowi Tomowi etykiety? Ach ty, łobuziaku. I jak teraz wujek Tom poradzi sobie ze swoją ceramiką?

– To ceramika Ifigenii – warknąłem. – Potrzebna jej, żeby zweryfikować datowanie. Które, podobno, spieprzyłaś.

– Spieprzyłaś? Ja je spieprzyłaś? – Jej głosu nie tłumila już sierść psa. Mona podniosła głowę. – Matak nie narobił wiele szkód, bo to datowanie Ifigenii i tak było do niczego.

– Nie możesz tego wiedzieć, a ona nie może tego sprawdzić. Przez twojego psa.

Dziewczyna parsknęła.

– Ifigenia pewnie sama powyciągała te etykiety, żeby nikt nie mógł udowodnić, że to ona na niczym się nie zna.

– Mona, na litość boską!

– Sam powinieneś to wiedzieć, Tom. Przecież podobno znasz na pamięć każdą skorupę na Krecie. No powiedz, czy te skorupy z delty przypominają ci jakiegokolwiek inne z trzy C jeden?

– Nie pamiętam – skłamałem. – Ale tak czy inaczej, przez twojego psa nie można tego teraz zweryfikować.

– Oj, niedobry pieseczek. – Zacmokała. – Niedobry. Nie wolno ruszać patyczków pańci, wiesz?

Usłyszałem pełne zachwyty dyszenie Matakiego, a potem plaśnięcie, kiedy uwalił się na ziemię, żeby pozwolić się drapać po brzuchu. Zacisnąłem zęby jeszcze mocniej, aż poczułem ból promieniujący od żuchwy do obojczyka.

– Mona – wycedziłem. – Wczoraj była niedziela, ale ty pojechałaś do Halasmenos i Katalimaty, prawda? Mówiłaś, że chcesz coś sprawdzić.

– Chodzi ci o tych zabitych turystów – domyśliła się.

– Posłuchaj. – Rozluźniłem zaciśnięte szczęki, bo nie mogłem mówić. – Musisz uważać. Ci pieprzeni myśliwi strzelają, gdzie popadnie. To nie jest pierwszy wypadek w tej okolicy. W zeszłym roku...

– Niczego nie widziałam – przerwała mi. – Ani niczego nie słyszałam, a strzały to chyba słychać z daleka.

– Owszem. Tylko gdy się je słyszy, może być już za późno.

– Niczego nie słyszałam, Tom.

– Nie powinniście pracować w weekendy. Ani ty, ani Ifigenia. Chyba wzruszyła ramionami, bo jej bransoletki znowu brzęknęły.

– Co do Ifigenii to sam musisz z nią porozmawiać, bo ona i tak nie słucha, co ja do niej mówię. A ja poszłam wczoraj, żeby sprawdzić jeszcze raz układ warstw w delcie. Ifigenia upiera się, że tam nie ma żadnego późniejszego wkopu, a przecież jest, jak byk, widoczny na całym wschodnim profilu. Chyba jest ślepa, skoro go nie widzi. To znaczy... przepraszam, Tom.

– Mona, posłuchaj. – Naprawdę nie wiedziałem, jak to powiedzieć, żeby do niej trafiło. – Po zakończeniu wykopalisk będziesz pracować ze mną, nie z Ifigenią. Ale do tego czasu spróbujcie się dogadać. To tylko niecałe dwa tygodnie, a Katalimata to ważne stanowisko, nie chcę, żeby prace ucierpiały przez wasze kłótnie.

– Ja się z nią nie kłócę, Tom. To nie moja wina, że ona nie potrafi wydatować głupiej ceramiki.

– Mona!

– No dobra. – Westchnęła i nawet ktoś, kto widzi, rozpoznałby w tonie jej głosu sztuczną nutę. – Będę się starać, obiecuję. A teraz chodź, obejrzymy jeszcze raz razem te skorupy, z których Mataka nie powyciągał etykietek. Sam zrozumiesz, o co mi chodzi.

Wyprostowałem plecy i powoli podniosłem się z krzesła.

– Chcesz zimną colę? – spytałem. – Bo ja bym się napił, okropny dziś upał. Przyniosę świeżą z lodówki.

Nie odpowiedziała na moje pytanie. Mimo to odwróciłem się na pięcie i odszedłem.

**KENTRO, PACHIA AMMOS,
PONIEDZIAŁEK, 11 WRZEŚNIA, PO POŁUDNIU**

Tak mnie wytrąciła z równowagi, że zapomniałem liczyć kroki i omal nie przewróciłem się na pierwszym schodku. Zatrzymałem się na chwilę, żeby ochłonać. Nic nikomu z tego nie przyjdzie, jeśli wyląduję w szpitalu ze złamaną nogą. Chociaż może wtedy Mona i Ifigenia przestaną się kłócić i zostaną najlepszymi przyjaciółkami. Nie miałbym po co wracać.

Zrobiłem kilka głębokich wdechów i wspiąłem się po schodkach. Uniknąłem zderzenia z drzwiami, a dalej poszło już gładko. Otworzyłem drzwi lodówki, wyjąłem lodowatą puszkę coli i przyłożyłem sobie do karku. Najlepsza rzecz tego cholernego dnia.

Mój telefon zabrzączał krótko. Dostałem esemesa. Otworzyłem puszkę, wypilem połowę jednym haustem i skręciłem w lewo do łazienki.

Kiedy przyjąłem Monę do pracy, powiedziała mi z zachwytem, że w konkurencji „najlepszy widok z kibla” przegrywamy tylko z męską toaletą w Niemieckim Instytucie Archeologicznym w Stambule. Podobno u nas z małego okienka za sedesem rozpościera się widok na całą równinę, masyw Tripti, wąwóz Ha i oczywiście Halasmenos, Katalimatę, piarżysko i ścieżkę, po której codziennie wspinają się Ifigenia i Mona. Z kolei z okna kibla w Stambule widać Bosfor i Aja Sofię, więc to zrozumiałe, że zajmujemy drugie miejsce.

Piękne widoki nie robiły na mnie wrażenia, ani tamtego dnia, ani jakiegokolwiek innego. Chciałem tylko odsłuchać wiadomość w samotności.

Pociągnąłem za klamki do obu kabin. Były puste. Wyjąłem z kieszeni komórkę i nacisnąłem przycisk.

– Masz. Jedną. Nową. Wiadomość. Z. Numeru. Zero. Sześć. Dziewięć. Zero. Pięć. Osiem. Pięć. Dziewięć. Trzy. Trzy. Dwa. – Głos w telefonie brzmiał metalicznie, nie dało się stwierdzić, czy jest męski czy kobiecy. Poza tym miał poważne kłopoty z interpunkcją. – Dostępne. Opcje. Czytaj. Wiadomość. Skasuj. Wiadomość. Zachowaj. Wiadomość. Bez. Czytania.

Nie znałem tego numeru. Ale jak się jest kierownikiem czegośkolwiek, nawet malutkiej archeologicznej placówki na zadupiu wschodniej Krety, czasem próbują się z człowiekiem skontaktować nieznani ludzie.

– Czytaj wiadomość – powiedziałem wyraźnie.

W telefonie zachrobotało:

– Treść. Wiadomości. Zabawimy. Się. Znak. Zapytania. Koniec. Wiadomości.

„Zabawimy się?”

Chętnie, ale nie byłem pewny, czy ja i autor wiadomości mamy takie samo

wyobrażenie o zabawie. Bo ja z przyjemnością wyciągnąłbym się na plaży, z dala od kłócących się kobiet i niszczących dokumentację psów. Z kolei autor (lub autorka) wiadomości, z pewnością pracujący na niezwykle odpowiedzialnym stanowisku marketingu telefonicznego, za ubaw życia uważał sytuację, kiedy udało mu się wcisnąć komuś nową lodówkę. Albo nóż kuchenny.

– Dostępne. Opcje. – Telefon odezwał się tak nagle, że drgnąłem i omal go nie upuściłem. – Odpowiedz. Na. Wiadomość. Skasuj. Wiadomość. Zachowaj wiadomo...

– Skasuj wiadomość!

– Czy. Na. Pewno. Chcesz. Skasować. Wiadomość.

– Tak.

– Wiadomość. Została. Skasowana.

– Bogu niech będą dzięki.

– Polecenie. Nieznane. Powtórz. Polecenie.

Wyłączyłem program głośnomówiący.

Obmyłem twarz chłodną wodą, wypilem reszkę coli i wysikałem się. Podczas sikania wystawiłem twarz na wiatr z okienka.

Telefon znowu piknął sygnałem nowej wiadomości, dokładnie w chwili, kiedy odkręciłem wodę, żeby umyć ręce. Namydliłem starannie dłonie, opłukałem i zakręciłem kran. Przy szumiącej wodzie nie rozumiemy się nawzajem z programem głośnomówiącym.

Wyjąłem komórkę.

– Masz. Jedną. Nową. Wiadomość. Z. Numeru. Zero. Sześć. Dziewięć. Zero. Pięć. Osiem. Pięć. Dziewięć. Trzy. Trzy. Dwa.

Ten sam co poprzednio. Numery zapamiętuję automatycznie, podobnie jak wszystko inne.

– Czytaj. Wiadomość. – Mimowolnie zacząłem naśladować interpunkcję maszyny.

– Treść. Wiadomości. To. Jest. Pierwsza. Zagadka. Z. Trzech. Dwukropek: Co. Nie. Pasuje. Do. Zabitych. Wojnarów. Znak. Zapytania. Koniec. Wiadomości.

Na pewno znacie taki słynny eksperyment psychologiczny. Prowadzący mówi do grupy: spróbujcie teraz nie myśleć o różowych słoniach. Oczywiście wszyscy, obojętnie, czy to mężczyźni czy kobiety, młodzi czy starzy, wykształceni czy nie, mają natychmiast przed oczami obraz różowego słonia. Mózg ludzki tak działa.

Nie jestem wyjątkiem. Mój mózg też natychmiast zaczął przetwarzać informacje. Wszystko, co wiedziałem o trupach z Halasmenos. I co do nich nie pasowało.

Zacisnąłem powieki (choć w moim przypadku niewiele to zmieniło) i dłonie na krawędziach umywalki. Wzięłem głęboki wdech, potem wypuściłem

powietrze. Spróbowałem się skupić.

Zagadka, jedna z trzech. Co nie pasuje do zamordowanych...

Bzdury!

Mój numer komórki nie figuruje w książce telefonicznej (a w ogóle są jeszcze książki telefoniczne?), ale nie jest też zastrzeżony. Zna go wiele osób. Każdy ze studentów mógł go zdobyć bez trudu. Stawiałem na Jasona. Taki głupi dowcip po tym, jak go rano opieprzyłem w obecności Sarah.

Ale mój mózg i tak pracował nad rozwiązaniem.

Co nie pasuje do zabitych Wojnarów? Wszystko, drogi Watsonie, wszystko. Ludzie, którzy przyjeżdżają na wakacje, nie powinni leżeć martwi w kałużach krwi. To nie pasuje.

– Skasuj. Wiadomość – powiedziałem do telefonu. Osiągnąłem już mistrzostwo w naśladowaniu głosu metalowej puszki.

– Czy. Na. Pewno. Chcesz. Skasować. Wiadomość.

– Tak.

– Wiadomość. Została. Skasowana.

No i tyle. Wsadziłem komórkę do kieszeni i jeszcze raz polałem chłodną wodą twarz i kark.

Na korytarzu zatrzymałem się. Położyłem dłoń na klamce drzwi na dziedziniec. Nie mogłem się zdobyć, żeby ją nacisnąć.

– Przed kim tak się chowasz, Tom? – odezwała się Oliwia za moimi plecami.

Podsłoczyłem i złapałem się za serce. Chętnie bym jej odpowiedział, ale nie mogłem nic wydusić.

– Nie. To niemożliwe! – W jej głosie słyszałem śmiech. A ta kobieta przecież nigdy się nie śmiała.

Pokiwalem głową i odchrząknąłem.

– Chyba jednak możliwe. Wygrałaś zakład, Oliwio. Podeszłaś mnie tak, że się nie zorientowałem.

– Nareszcie! – Płaśnięcie dłoni we framugę. – Nareszcie. Dzisiaj stawiasz kolację!

Jeśli pójde z nią do knajpy, Ifigenia mnie zamorduje. To znaczy nie, zostawi mnie przy życiu, tylko nie będzie się odzywać przez tydzień.

Nagle ta perspektywa wydała mi się ogromnie kusząca.

– Po prostu wybierz knajpę.

– Pojedźmy do Ierapetry – odpowiedziała bez wahania. – Mają tam lepsze żarcie. I droższe niż u nas, w Pachia Ammos.

Doskonale. Ifigenii nie przyjdzie do głowy mnie tam szukać, a szansa, że po całym dniu ciężkiej pracy studenci pojawią się przypadkiem w mieście odległym o dziesięć kilometrów, kiedy w wiosce u stóp wzgórza mają do wyboru trzy przyzwoite knajpy, równała się zeru.

Zaszeleścił papier i poczułem zapach świeżego tytoniu. Oliwia wyjęła papierosa z paczki, ale go nie zapaliła.

– Tak właściwie to cię szukałam, Tom. Chciałam z tobą porozmawiać.

– Jeśli o tym zabójstwie na wykopaliskach, to nie jestem w nastroju – ostrzegłem.

– O zabójstwie? – zdziwiła się tak wyraźnie, że wyobraziłem sobie jej uniesione brwi. – Studenci tak się darli, że już wszystko wiem bez opuszczania mojej pracowni. Nawet więcej niż ty. Wiem na przykład, jakiego koloru koszulki mieli ci zamordowani turyści. A ty pewnie nie.

– Jakiego? – To było silniejsze ode mnie.

– Ona cytrynową, a on szarą. I podobno to nie turyści, tylko handlarze narkotyków z Rosji. – Znowu zaszeleściła paczką papierosów. Podeszła bliżej, a zapach starego dymu tytoniowego z jej fartucha i niemytych włosów ścisnął mnie za gardło. Wyszeptała mi do ucha: – Chcę porozmawiać o tych kradzieżach zabytków z mojej pracowni.

Odsunąłem się o krok. Westchnąłem.

– Oliwio...

– Tsss. – Przerwała mi. – Posłuchaj. Słyszysz coś?

Skupiłem się. Słyszałem cykady w gaju oliwnym na stoku wzgórza. Bicie mojego własnego serca. Szum krwi w uszach. Delikatne klekotanie komputerowej klawiatury w jednym z pomieszczeń obok.

– Nie – powiedziałem.

– No właśnie. A na patio siedzi Romanos. Przed chwilą był u mnie w pracowni. Wszedł tak cicho, że omal nie dostałam zawału.

Pokiwałem głową. Dobrze wiedziałem, o czym mówi.

– Pytał o te figurki z szesnastki – nadal mówiła szeptem.

– Tak?

– Tom, to te, które zginęły.

– Hm, tak. A powiedziałaś mu o tym?

– Nie, powiedziała na razie tylko tobie. Ale nie sądzisz, że to podejrzone? Zakrada się jak złodziej i pyta mnie dokładnie o te dwie figurki?

– Oliwio, posłuchaj...

Odsunęła się ode mnie.

– Nie wierzysz mi.

– Masz jakiś dowód?

Zaszeleściła fartuchem, a potem paczką papierosów.

– Nie, ale będę miała.

– To może wtedy pogadamy?

Nie odpowiedziała.

Z pokoju studentów słyszałem, jak Alekos tłumaczył komuś, że „wieczorami

do Manolisa przychodzi teraz blondynka, niezła laska”, i jak Melissa i Yacinta kłócą się, do której należy ołówek z cienkim wkładem. Annika mówiła: „Sprawdzę te numery zabytków, ale nie mogę tak szybko”, a Jana krzyczała, żeby na nią poczekali. Za drzwiami, na dziedzińcu, Mona czekała, żeby mi udowodnić, że ma rację z tym datowaniem ceramiki. Tylko Ifigenia gdzieś zniknęła. Z żadnego z pomieszczeń nie dochodził zapach szaławii, tymianku i lukrecji.

Nacisnąłem przycisk w zegarku. „Siedemnasta dwadzieścia siedem”.

– Wiesz co – pochyliłem głowę w stronę Oliwii – chodźmy już teraz na tę kolację.

– O siedemnastej dwadzieścia siedem?

Wzruszyłem ramionami.

– Zanim dojedziemy, będzie prawie osiemnasta. Nie jadłem nic po południu.

– O tej porze nikt nie da nam jeść. Szanujący się Grek nie pojawia się w knajpie przed dziewiątą. Dziewiątą wieczorem, Tom!

– To chodźmy do jakiegoś baru. Napijemy się raki, coś przegryziemy i poczekamy do kolacji.

– No nie wiem. Mam jeszcze coś do zrobienia...

– Stawiam, raki też. Będziesz mogła palić przy stoliku.

– Łaskawca! Słuchaj, kochany, tutaj jesteś szefem i możesz mi zabraniać, czego chcesz, ale w knajpie to wiesz, gdzie możesz sobie wsadzić te swoje...

Mataki zaczął szczekać tak głośno, że słyszałem przez grube drewno drzwi.

– Chodźmy już – poprosiłem.

– Dobra. Tylko zdejmę fartuch.

– Pójdę z tobą. – Odwróciłem się w kierunku pracowni. – Wyjdziemy z drugiej strony, dobrze?

Oliwia podała mi ramię i ruszyliśmy. Poczekałem na progu. Zaszleściła laboratoryjnym kitlem, szurnęła krzesłem, trzasnęła szufladą. Potem znowu wzięła mnie pod rękę.

– Ale wiesz o tym, że jesteś tchórzem?

– Już ktoś mi to dzisiaj mówił.

I żeby nie usłyszeć tego po raz kolejny, wyłączyłem komórkę.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 9.43**

– Czyli pracował pan do wieczora nad ceramiką. Razem z Ifigenią Mitropoulou i Moną Abano.

– Zgadza się.

– I studenci byli w tym czasie w swojej pracowni.

– Już pani mówiłem, uzupełniali dokumentację. To dużo pracy, siedzieli do późna.

– A reszta pana współpracowników?

– Oliwia zamknęła się u siebie, a jeśli idzie o Romanosa, to szczerze mówiąc, nie wiem. Być może sprawdzał coś w bibliotece.

Przełożyła kartki. Miałem wielką ochotę otrzeć pot z czoła, ale nie zrobiłem tego.

– Kto wyszedł z Kentro ostatni?

– Trudno mi powiedzieć. Na pewno ktoś z pracowników, bo studenci nie mają kodu do drzwi.

Tamtego wieczora nikt nie miał kodu do drzwi. Zapomniałem go podać Ifigenii, Monie i Romanosowi, a Oliwia była ze mną na kolacji. Wróciliśmy późno. Romanos na nas czekał. Mruknął, że nie chciał zostawiać otwartego Kentro, życzył mi dobrej nocy i odszedł jak zwykle bezdźwięcznie. Ani słowa wymówki, chociaż następnego ranka musiał wstać bladym świtem.

– A pan poszedł spać. Sam.

– Tak. I spałem do rana jak niemowlę.

– Widać, że pan nie ma dzieci. – Znowu zaszeleściła papierami. – No dobrze, to mamy następny dzień. Ten, w którym odwiedził mnie pan na komisariacie. I zrobił sobie nielegalną wycieczkę do kostnicy.

– Jeśli się nie mylę – powiedziałem powoli – zarówno pani, jak i patolodzy w szpitalu opłacani są z pieniędzy podatników. Więc jeśli podatnik ma ochotę wpaść i zobaczyć, co się dzieje z jego kasą, raczej nie łamie prawa.

– Chyba że podatnik ogląda ciała ofiar zabójstwa bez porozumienia z policją.

– Podobno to był wypadek, nie zabójstwo. Zdarzył się na terenie moich wykopalisk...

Uniosła rękę, jedwab na jej rękawie zaszeleścił. Po sekundzie zorientowała się, że nie widzę tego gestu.

– Może zacniemy od samego rana? Co pan robił tamtego dnia?

– To samo co poprzedniego, wyjąwszy znalezienie zwłok.

– A pana głowa?

Dotknąłem bandaża na czole.

– Przewróciłem się i uderzyłem skronią o kamień.

Poprawiła się na krześle. Słyszałem, jak tkanina odkleja się od jej spoconego ciała.

– Chyba dość poważny wypadek. Podobno ma pan aż siedem szwów.

– Wie pani więcej niż ja. – Rozłożyłem ręce. – Nie liczyłem.

– A dlaczego pan się przewrócił?

– Wykopaliska to trudny teren dla ślepcy. Co chwila coś się zmienia. Nie zorientowałem się w porę, podszedłem za blisko krawędzi wykopu i wpadłem do środka.

Cicho stuknął długopis, który podniosła z biurka, i po chwili usłyszałem skrobanie po papierze. Mimo że przesłuchanie było nagrywane, Marina znowu coś zapisała. Pewnie uwieczniła dla potomności moje kłamstwo.

KENTRO, PACHIA AMMOS, A PÓŹNIEJ HALASMENOS, WTOREK, 12 WRZEŚNIA, PORANEK

Niebo było wyjątkowo błękitne. I tak jasne, że musiałem osłonić ręką oczy. Za to słońce przybrało kolor purpury, ciemnej, bliskiej czerni.

Wiedziałem, że coś się nie zgadza.

Po pierwsze: kiedy słońce jest purpurowe, niebo musi być fioletowe, czerwone, pomarańczowe, ale na pewno nie błękitne.

Po drugie: gdyby słońce było prawie czarne, nie emitowałoby światła i niczego bym nie widział.

I po trzecie: słońce to płonąca kula gazu, gwiazda licząca zaledwie koło czterech i pół miliarda lat. Czarna nie ogrzewałaby Ziemi i na planecie w ogóle nie powstałoby życie. Nie byłoby bakterii, płazów ani Matakiego, a przecież biegł przede mną z rozplątanym brzuchem. Jelita wlekły się po ziemi, ale jemu to w ogóle nie przeszkadzało. I nie byłoby też Mony, która stała obok i przyciskała obie ręce do piersi. Spomiędzy jej palców wypływały strużki krwi, równie czarne jak słoneczna kula.

A potem wydarzyło się to, co w każdym śnie: szum w uszach, a pod powiekami czerwień ciemna jak krew i błękitne błyskawice. I świat rozpadający się na kawałki.

Usiadłem na łóżku. Opuściłem nogi na chłodną podłogę, oparłem łokcie na kolanach i ciężko dyszałem. Kiedy udało mi się opanować ręce, żeby nie drżały, sięgnąłem po zegarek. „Czwarta trzynaście” – powiedział.

Do świtu było jeszcze daleko. Normalnie nie robi mi to różnicy, ale tamtej nocy przerażało mnie, że musiałem jeszcze przez dwie godziny leżeć w ciemności.

Nic dziwnego, że następnego ranka wszystko wyprowadzało mnie z równowagi.

Na przykład to, że nigdzie nie mogłem znaleźć Oliwii, chociaż przeszedłem krok po kroku wszystkie pomieszczenia Kentro: pracownię konserwatorską, mój gabinet, ciemnię fotograficzną, pracownię studentów, patio i bibliotekę. Zajrzałem nawet do kibla. Węszyłem, ale nigdzie nie złapałem nieuchwytniej mieszanki starego tytoniowego dymu i niemytych włosów.

Albo to, że ktoś ustawił krzesło w przejściu i walnąłem się boleśnie w goleń.

Albo to, że Romanos się spóźnił. Ja wiem, że jesteśmy w Grecji i mieliśmy jechać na wykopaliska, a nie spieszymy się na samolot, połączenie z przesiadką, ale wkurwiało mnie, że musiałem stać i czekać.

Uznałem, że zamiast sterczeć jak kołek przed wejściem, lepiej będzie zająć się czymś pożytecznym. Postanowiłem przerzucić ceramikę, z której Mataka powyciągał etykiety. Może jeszcze coś da się uratować. I oczywiście wkurwiłem

się, bo ledwo dotknąłem palcami pierwszych skorup, od bramy rozległo się trąbienie.

Zamierzałem opieprzyć Romanosa, że zamiast kulturalnie wysiąść i mnie poszukać, naciska klakson. Szarpnąłem drzwi od strony pasażera i wciągnąłem powietrze. Było tam wszystko: smród benzyny i oleju, dawno niepranej tapicerki i taniego plastiku. Z wyjątkiem zapachu człowieka.

– Cześć, Tom.

– Spóźniłeś się – burknąłem.

– Musiałem zatankować, bo wczoraj zapomniałem.

Nawet jeśli przejął się moim złym humorem, nie mogłem tego poznać po jego głosie. Przekręcił kluczyk w stacyjce. Najpierw opony zazgrzytały na żwirze, później skrzynia biegów, kiedy wrzucił dwójkę, a potem trójkę. Romanos chyba powinien oddać samochód do przeglądu, ale nie powiedziałem tego. W ogóle nic nie powiedziałem, on też nie, przez całą drogę. Nie zatrzymaliśmy się na kawę i dojechaliśmy na miejsce w milczeniu. Na parkingu tylko trzasnął drzwiami i rzucił:

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, krzycz. Albo zadzwoń.

Przeszedłem wzdłuż wykopów. Opieprzyłem Jasona, tym razem za to, że nie uwzględnił na rysunku dużego skupiska ceramiki. Annice powiedziałem, że jeśli będzie tak długo chrzanić się z fotografowaniem jednej warstwy, to prędzej ludzkość wyginie, niż ona zamknie ten wykop. Znalazłem cztery błędy w niwelacjach Melissy albo Yacinty. Uznałem, że zawałisko w południowej części świątyni jest niedostatecznie oczyszczone i trzeba wszystko zrobić od nowa.

Jednym słowem, zachowywałem się jak prawdziwy szef.

Kiedy nie został już nikt, na kogo mógłbym nakrzyczeć albo wytknąć mu błędy, ustawiłem się twarzą do skały i zacząłem liczyć kroki. Osiem, niski murek, dwanaście, skręt w lewo, dwa, wyciągnąć dłoń i ominąć drzewa, potem dziesięć i jeszcze dwa kroki w prawo, a później szedłem już bardzo ostrożnie. Ale taśma wokół miejsca, gdzie leżały ciała, już zniknęła. Trupy też, a z nimi muchy. Uklęknąłem i przesunąłem dłońmi po ziemi. Nie pozostały na niej żadne plamy krwi.

Zrobiłem jeszcze osiem kroków do przodu, ostrożnie, bo tutaj leżało dużo kamieni. Podeszedłem pod samą skałę masywu, dotknąłem dłonią zimnej szorstkiej ściany. Zadarłem głowę, choć Ifigenia mogłaby mnie zobaczyć, tylko gdyby położyła się na brzuchu przy krawędzi i wystawiła głowę nad przepaść. Miałem nadzieję, że nigdy tego nie robiła.

Skała ciągle rzucała cień na miejsce, gdzie siedziałem. Wystawiłem twarz na lekki podmuch wiatru.

„Co nie pasuje do zabitych Wojnarów?”

Nie mogłem przestać o tym myśleć. I ze wszystkich rzeczy, jakie wkurwiały

mnie tamtego ranka, ta była najgorsza.

Nie miałem ochoty na głupie dowcipy z zagadkami. Nie miałem też ochoty na pracę ani na telefon do Ifigenii. W takie dni najchętniej przestałbym istnieć.

Usłyszałem ciężkie kroki, a potem poczułem ledwo uchwytny zapach zasyпки dla niemowląt i wyraźny odór potu. Annika. Obróciłem się twarzą w kierunku, z którego nadchodziła.

– Skończyłam fotografie. Schodzimy niżej.

– To super – burknąłem.

– Słuchaj, chcę cię o coś zapytać...

Zawiesiła głos. Wkurwiło mnie to, podobnie jak milion innych rzeczy tamtego poranka.

– A masz zamiar zrobić to dzisiaj?

Wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Co się dzieje, Tom? Jesteś w takim strasznym nastroju, to do ciebie niepodobne.

Potarłem twarz dłońmi.

– Źle spałem.

– Ja też. Wczoraj była pełnia.

– Myślisz, że księżyc działa na ślepców?

– Dobre pytanie – przyznała Annika. – Skoro jednak podnosi wodę w oceanie...

– To jest jakiś argument. Ale kiepski. Ja zawsze źle sypiam. Zdaje się, chciałaś o coś zapytać.

– Tak, ale jeśli jesteś w złym nastroju...

– Annika! – Zorientowałem się, że krzyknąłem, i od razu ściszyłem głos. – Po prostu to powiedz.

– Romanos twierdzi, że całe naczynia, to znaczy wiesz, takie kompletne, znalezione w całości albo prawie w całości...

– Wiem! – Uniosłem dłoń. – Wiem, co to są całe naczynia. Co z nimi?

– No bo Romanos twierdzi, że powinny być katalogowane razem z ceramiką. Do tej pory wpisywałam je jako drobne znaleziska, a to jest przecież oddzielny katalog. Mówiłeś, że całe naczynia są bardzo ważne, i bałam się, że jeżeli zarejestruję je razem ze skorupami, to nie będziemy wiedzieli, ile ich naprawdę mamy...

Potarłem palcami oczy. Czuję piasek pod powiekami.

– I teraz już nie wiem, co powinnam dalej robić, Tom.

Ja też nie wiedziałem. Za to wiedziałem, co sam powinienem zrobić. Powinienem rzucić to wszystko w cholerę i zafundować sobie wolny dzień. Czyli dokładnie to, na co nie mogłem sobie pozwolić do końca sezonu i co najmniej przez dwa tygodnie po zakończeniu wykopalisk, aż zamknę całą dokumentację.

– Tom?

– Tak. Przepraszam. Już ci mówiłem, że źle spałem. – Nie mogłem się skupić na tej pieprzonej ceramice. – Słuchaj, a ile masz tych całych naczyń do tej pory?

– Dwa.

– Dwa?

– No tak. Przecież sam wiesz, że kompletne naczynia są bardzo rzadkie. Oba to trójnożne naczynia do gotowania...

– W takim razie – wszedłem jej w słowo, mówiłem powoli i wyraźnie, jak do debilnego dziecka – to nie powinno być dla ciebie strasznie wielkim problemem, jeśli cię poproszę, żebyś dodała je też do katalogu ceramiki, prawda? Zajmie ci to pięć minut. Siedem z włączeniem komputera i szukaniem odpowiedniego folderu.

– No tak, Tom, ale ja chciałam wiedzieć, jak to powinno być porządnie zrobione...

W moim telefonie piknął sygnał esemesa. Doskonały pretekst, żeby zakończyć tę bezsensowną rozmowę.

Wstałem i odszedłem kilka kroków w prawo. Cały czas dotykałem ręką skalnej ściany, bo trudno jest jednocześnie pilnować orientacji i odsłuchiwać wiadomości.

– Masz. Jedną. Nową. Wiadomość. Z. Numeru. Zero. Sześć. Dziewięć. Zero. Pięć. Osiem. Pięć. Dziewięć. Trzy. Trzy. Dwa.

– Tom, ja chciałam ci jeszcze powiedzieć... – krzyknęła za mną Annika.

Uniosłem dłoń w uniwersalnym geście „poczekaj”. Telefon mówił dalej:

– Dostępne. Opcje. Czytaj. Wiadomość. Skasuj. Wiadomość. Zachowaj. Wiadomość. Bez. Czytania.

– Czytaj wiadomość.

– Treść. Wiadomości. Więc. Jak. Przecinek. Tom. Przecinek. Zabawimy. Się. Dzisiaj. Znak. Zapytania. Koniec. Wiadomości.

Westchnąłem. Ten ktoś był strasznie upierdliwy. I nudny.

– Dostępne. Opcje. Skasuj. Wiadomo...

– Skasuj wiadomość.

– Czy. Na. Pewno. Chcesz...

– Tak, tak. W stu procentach.

– Polecenie. Niejasne. Powtarzam. Czy. Na. Pewno...

Kiedy jest się ślepym, dużo czasu spędza się z maszynami. Pomagają czytać, znajdować drogę, słuchać muzyki i komunikować się z ludźmi. I w ogóle mają wiele zalet. Za to jedną wadę: ciężko z nimi pogadać. Już dawno powinienem był się tego nauczyć. Maszynom nie należy opowiadać o tym, jak minął dzień, o swoich problemach, o pożądaniu, o lękach... Trzeba im wydawać jasne polecenia. Wyraźnym głosem.

– Skasuj wiadomość.

– Kasuję. Wiadomo...

Coś szarpnęło mnie do tyłu. Zatoczyłem się. Wyciągnąłem rękę, żeby zamortyzować upadek. Zrobiłem to odruchowo, chociaż znam teorię i wiem, że to najprostszy sposób, żeby złamać nadgarstek. Tylko teorie mogą się gonić, kiedy pojawiają się instynkty.

Telefon poleciał gdzieś na bok, usłyszałem suchy trzask plastiku o kamienie. Upadłem. Uderzyłem biodrem o róg murka i poczułem, jak moja czaszka zderza się z czymś twardym.

Chciałbym móc powiedzieć, że zrobiło mi się ciemno przed oczami, ale to nieprawda. Ciemno było już wcześniej. Za to zaczęło mi dzwonić w uszach. Przez chwilę słyszałem tylko to dzwonienie, tętnienie mojej krwi i własny oddech. I dopiero po chwili dotarł do mnie krzyk Anniki.

A po minucie albo dwóch zrozumiałem, że płacze i powtarza co chwilę „kurwa” i „Jezus Maria”.

Podparłem się dłońmi i dźwignąłem na kolana. Chyba jednak nic nie złamałem. Dotknąłem głowy. Na skroni namacałem mokre miejsce. Bolało, jednak krew sączyła się powoli.

– Annika? – Próbowałem pojąć, z którego punktu dobiega jej głos. Przez to dzwonienie w głowie i szum w uszach nie szło mi łatwo. – Annika?

– Och, Tom, dzięki Bogu. Nic ci nie jest?

– Chyba nic, ale co się...

– Jesteś cały we krwi! – Chwyciła mnie za rękę. – Możesz wstać? Zawiozę cię do szpitala.

Próbowała dźwignąć mnie na nogi.

– Nic mi nie jest! – Przytrzymałem jej dłoń. – Annika, co się stało?

– Mataki...

Jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby ją zatkało. Najwyraźniej zawsze musi być pierwszy raz.

– Mataki? Pies Mony?

– Tak, on...

Czekałem.

Annika przełknęła ślinę.

– On spadł z góry. Prosto na ciebie. Gdybym cię nie odepchnęła...

– Mataki? Spadł z góry? – Nienawidzę, kiedy ktoś powtarza po kimś zdania. To straszna strata czasu. Sam słyszałem, jak idiotycznie brzmię. I nie mogłem tego powstrzymać. – Jak to spadł z góry?

– Nie wiem. Kątem oka zobaczyłam, że coś leci. Prosto na ciebie.

– Sam spadł?

– Nie wiem, Tom. Po prostu zobaczyłam, jak leci na dół.

Podniosłem się powoli i znowu opadłem na kolana. Przesunąłem dłońmi po ziemi przed sobą. Zrobiłem krok do przodu i powtórzyłem ruch. Nie musiałem długo szukać.

Miał wywalony język, ciągle mokry od śliny, i otwarte oczy. Nie wiem dokładnie, gdzie szuka się tętna u psa, ale obmacałem szyję i nie wyczułem pulsu w żadnym miejscu.

– On chyba zdechł – powiedziała za moimi plecami Annika. – Nie żyje. Kurwa, nie wiem, jak się mówi o psie!

Nigdzie nie wyczułem krwi. Ale skała pomiędzy Halasmenos a Katalimatą ma około stu dwudziestu metrów wysokości. Mataki ważył ze dwadzieścia pięć kilo, może nawet trzydzieści, to był kawał psa. Uderzył w ziemię z prędkością stu siedemdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę, plus minus. Nawet jeśli nie miał otwartych ran, jego organy wewnętrzne pewnie zamieniły się w zupę.

Odruchowo zadarłem głowę, chociaż osiągnąłem tylko tyle, że czerwień pod moimi powiekami zamieniła się w jasny pomarańcz.

– Tom, jedziemy do szpitala.

– Znajdź moją komórkę – poprosiłem.

– Tom, to nie żarty. Bardzo krwawisz. Musi cię obejrzeć lekarz.

– Za chwilę. Podaj mi komórkę.

Usłyszałem, jak przetyka ślinę. Po chwili odeszła kilka kroków i zaraz wróciła. Włożyła mi aparat do ręki.

– Pękł wyświetlacz, ale poza tym chyba działa.

Przesunąłem palcami po szkle. Wyczułem ukośną rysę. Nie robiło mi to żadnej różnicy.

Włączyłem telefon i podniosłem go do ucha.

– Masz. Jedną. Nową. Wiadomość. Z. Numeru. Zero. Sześć. Dziewięć. Zero. Pięć. Osiem. Pięć. Dziewięć. Trzy. Trzy. Dwa. Dostępne. Opcje...

Nacisnąłem przycisk, żeby się zamknął. Zacisnąłem powieki. Głęboko wciągnąłem powietrze. Odszedłem kilka kroków dalej, żeby nie słuchać jęków Anniki.

– Wybierz numer – powiedziałem. – Mona.

– Wybieram. Numer. Mona.

Coś zachrobotąło, zapikało i usłyszałem sygnał. Jeden. Drugi. Potem trzeci. Potem czwarty. Potem piąty. Potem szósty.

Cholera jasna, odbierz, kobieto!

Siódmy sygnał. Ósmy. Dziewiąty był słaby, jakby zanikał zasięg.

Rozłączyłem się. Natychmiast spróbowałem ponownie.

– Numer. Z. Którym. Próbujesz. Się. Połączyć. Jest. Poza. Zasięgiem.

Przesunąłem dłonią po włosach. Natychmiast stała się lepka od krwi. Wytarłem ją o spodnie.

Słyszałem, jak Annika podchodzi.

– Wybierz. Numer. Ifigenia – powiedziałem tym razem.

– Nie. Rozumiem. Polecenia.

– Wybierz jej numer, do kurwy nędzy!

Annika wyrwała mi komórkę. Usłyszałem, jak naciska ekran. Czekałem. Próbowałem nie oddychać.

– Nie odbiera.

Oddała mi aparat.

– Posłuchaj – powiedziałem. – Musimy pójść na górę i sprawdzić, co tam się dzieje. Natychmiast.

– Tom, natychmiast to ty musisz jechać do szpitala. Boję się, że się wykrwawisz.

Czułem krew spływającą mi po szyi. Koszulę na ramieniu miałem moką.

– Nie można się wykrwawić z rany w głowie.

Szarpnęła mnie za ramię i krzyknęła mi w ucho:

– Nie jesteś lekarzem, do diabła!

Namacałem dłońmi jej ramiona, chwyciłem mocno i potrząsałem. Przez takie macanie dramatyczne gesty trochę tracą na sile, ale było mi wszystko jedno.

– Czy ty nie rozumiesz? Może tam na górze coś się stało?

– Zawołam Alekosa i Jasona, niech wleżą na Katalimatę. – Annika dyszała jak po długim biegu, a ostry zapach jej potu zagłuszał wszystkie inne zapachy w okolicy. – Ty musisz jechać do szpitala. Jak najszybciej, Tom!

Z przyczyn oczywistych nie jestem najlepszy w odczytywaniu mimiki. Nie znam tych wszystkich sztuczek z mikroekspresją, kiedy drgnięcie jakiegoś mięśnia twarzy może zdradzić ukryte myśli osoby. Wiecie, takich jak: spojrzenie ukośnie w górę oznacza kłamstwo, wzrok skierowany w dal podczas odpowiedzi na pytanie – głęboki namysł, a drgający kącik ust – pogardę. Za to jestem naprawdę dobry w słuchaniu intonacji głosu. Potrafię bez trudu rozpoznać emocje. Na przykład to, kiedy podobam się dziewczynie, a kiedy kłamię, mówiąc, że niedługo zadzwoni, kiedy zapytana o drogę kobieta na ulicy spieszy się, a kiedy chętnie wzięłaby mój numer telefonu, kiedy ktoś jest zakochany, smutny albo zdenerwowany.

Tym razem w głosie Anniki brzmiała czysta panika.

Ale nie miałem czasu, żeby się w nią wsłuchać. Aparat w mojej kieszeni zadzwonił.

– Rozmowa. Przychodząca. Od. Mona.

– Połącz!

– Nie. Rozumiem. Polecenia.

Głęboki wdech.

– Połącz.

Trzask w słuchawce.

– Tom, posłuchaj. Miałyśmy wypadek. Mataki spadł ze skały. O Boże!
– Poczekaj! Nic ci nie jest?
– Nie, wszystko w porządku. Tylko Mataki... Nie wiem, jak to się stało. Czy wy tam na dole... Czy on...
Wziąłem głęboki wdech.
– Znaleźliśmy go... – Nie wiedziałem, co powiedzieć: że zdechł czy umarł. Wybrałem kiczowaty eufemizm. – Już go z nami nie ma.
Nie wiem, czy dobrze trafiłem czy nie, bo połączenie się urwało. Spróbowałem znowu, ale usłyszałem tylko, że abonent znajduje się poza zasięgiem. Stałem nieruchomo. Bałem się, że jeśli się ruszę, to upadnę.
– Tom?
Potrzęsnałem głową.
Z mojej kieszeni znowu rozległo się brzęknięcie. Olałem je. To nie był najlepszy moment na kretyńskie żarty.
– Tom. – Annika delikatnie dotknęła mojej dłoni. – Jedziemy do szpitala. Teraz.
No to pojechaliśmy.

**AGIOS NIKOLAOS,
WTOREK, 12 WRZEŚNIA, KOŁO POŁUDNIA**

Pojechaliśmy jej samochodem. Ubabrałem krwią tapicerkę. Annika powiedziała, żebym się nie przejmował. Że jeśli bardzo chcę, mogę zapłacić za czyszczenie, ale dopiero kiedy pozszywa mnie lekarz.

To był grecki szpital, czekaliśmy dwie godziny. Krew z mojej głowy w końcu przestała ciec strumieniem, chociaż cały czas lekko się sączyła. W końcu Annika oznajmiła, że jeśli dalej będę macał ranę brudnymi rękami, pełnymi bakterii, da mi po łapach. I poszła zobaczyć, czy nie można szybciej.

Siedziałem na krześle pod ścianą, a na korytarzu przewalał się tłum. Ludzie śmierdzeli potem, liśćmi winogron i smarem, takim do części w samochodzie i łóżysk kulkowych. Ich zaduch zabijał nawet szpitalny odór środków dezynfekcyjnych. Mdlilo mnie i czułem, że moja głowa jest lekka jak wypełniony helem balon. I bolało jak cholera, nie tylko rana – miałem wrażenie, że boli mnie cały mózg. Uderzenie w bok głowy jest bardziej niebezpieczne niż w przód lub tył, ludzki mózg nie jest ewolucyjnie przystosowany do bocznych ruchów w obrębie czaszki. Na pewno doznałem wstrząsu mózgu.

Ktoś ciągle potykał się o moje nogi, więc w końcu nie wytrzymałem i wstałem. Oparłem się o ścianę. Język miałem suchy i zdrętwiały, oddałbym posadę kierownika Kentro za szklanek wody, ale bałem się, że jeśli zrobię kilka kroków w którąkolwiek stronę, Annika nigdy mnie nie znajdzie i będę się błakał po szpitalnych korytarzach, aż posiwieją mi włosy i wypadną zęby.

Z mojej kieszeni dobiegło kolejne brzęknięcie. Przypomnienie o esemesie. O którym całkiem zapomniałem. Trudno było nie zapomnieć, zważywszy na okoliczności.

Wyjąłem komórkę.

– Przypomnienie. Masz. Dwie. Nowe. Wiadomości. Tekstowe.

Nie usłyszałem, kiedy przyszła druga. Dla ślepcy nie usłyszeć czegoś w porę, to jak dla widzącego oślepnąć. Serio. Wiem, co mówię.

– Dostępne. Opcje. Odczytaj. Wiadomości...

– Odczytaj wiadomości.

– Pierwsza. Nowa. Wiadomość. Tekstowa. Wiadomość. Z. Numeru. Zero. Sześć. Dziewięć. Zero. Pięć. Osiem. Pięć. Dziewięć. Trzy. Trzy. Dwa. Treść. Wiadomości. Wolisz. Żeby. To. Była. Mona. Znak. Zapytania. Koniec. Wiadomości.

Trzymałem telefon przed sobą i trwałem bez ruchu. Na korytarzu ciągle kłębiły się tłumy. Ktoś mnie znowu potrafił.

– Druga. Nowa. Wiadomość. Tekstowa. Wiadomość. Z. Numeru. Zero.

Sześć. Dziewięć. Zero. Pięć. Osiem. Pięć. Dziewięć. Trzy. Trzy. Dwa. Treść. Wiadomości. Pytanie. Nadal. Brzmi. Tak. Samo. Co. Nie. Pasuje. Do. Zabitych. Wojnarów. Koniec. Wiadomości.

Bałem się odetchnąć.

– Tom?

Annika wróciła. Nie usłyszałem jej kroków w tym tłumie. Nie wyczułem zapachu jej potu. W ogóle czułem się jak ślepiec. Wyłączyłem komórkę i wcisnąłem ją do kieszeni.

– Dlaczego stoisz, a nie siedzisz? Teraz nie znajdę dla ciebie już żadnego wolnego krzesła. W tym pieprzonym mieście chyba wybuchła bomba. Albo spadł samolot. Nie mogłam się przepchnąć do pokoju pielęgniarek.

Chwyła mnie za ramię tak mocno, jakby w wolnych chwilach ćwiczyła rwanie i wyciskanie.

– Tom? Źle się czujesz? Jesteś strasznie blady.

– Nie. – Zdobyłem się nawet na ruch głową. Poczulem, jak sztywny od krwi kołnierz koszuli obciera mi szyję. – Wszystko w porządku.

– No, w porządku to na pewno nie jest. Będziemy jeszcze czekać Bóg wie ile!

Czekaliśmy ponad godzinę.

Za to kiedy już przyszła moja kolej, lekarz kazał Annice poczekać na korytarzu, a potem uwinął się w niecałe piętnaście minut, w każdym razie zmieścił się między dwoma piknięciami zegarka. Dał mi zastrzyk znieczulający, oczyścił ranę, ogolił włosy, założył szwy i opatrunek, a na koniec jeszcze zaaplikował zastrzyk przeciwbólowy i spytał, co się stało. Powiedziałem mu, że się potknąłem. To przecież normalne, że ślepcy ciągle się o coś potykają, nie? I upadają, raniąc się poważnie w głowę. Lekarz chyba też tak uważał.

Powiedział, że w przypadku podejrzenia wstrząśnienia mózgu każe się delikwentowi wodzić wzrokiem za palcem, co w moim przypadku ciężko zastosować. Spytał mnie więc o imię, nazwisko, datę, dzień tygodnia i o to, kto jest premierem Grecji. Tego ostatniego nie pamiętałem, ale według lekarza mieściło się to w normie. Nie wspomniałem mu o mdłościach i bólu głowy. Uznałem, że ustąpią, kiedy wreszcie wydostanę się ze szpitala.

Annika wyprowadziła mnie przez skłębiony tłum na zewnątrz. Z ulgą wciągnąłem w płuca świeże powietrze, w każdym razie na tyle świeże, na ile może być w centrum miasta wczesnym popołudniem. Wolnym krokiem poszliśmy do samochodu. Annika usiadła za kierownicą i syknęła. Na parkingu nie rosły żadne drzewa i wewnątrz auta było rozgrzane do czerwoności. Czułem, jak skóra na całym moim ciele pokrywa się warstewką wilgoci, bałem się, że plaster odklei się od spoconej skóry.

– Powinniśmy podjechać do apteki i kupić coś, żebyś mógł zmienić później

opatrunek.

– Możesz włączyć klimę? – spytałem.

– Tak, racja.

Przekręciła kluczyk w stacyjce i pomajstrowała przy nawiewie, ale klimatyzacja potrzebowała czasu, żeby przemielić gorące powietrze, i podmuch kratki miał temperaturę monsunu. Otworzyłem okno.

– Jak się czujesz tak w ogóle? – spytała Annika. – Bo może najpierw podjechalibyśmy coś zjeść, skoro już tu jesteśmy? Zanim dotrzemy do Pachia Ammos, będzie dobrze po drugiej.

Strużki potu spływały mi z karku i wsiąkały w koszulę i tapicerkę siedzenia. Od upału świat zaczął tracić kontury. Miałem wrażenie, że znowu śnię.

– Możemy – wykrztusiłem.

Wrzuciła jedynekę i opony mlasnęły na miękkim asfalcie. I wtedy mój telefon piknął jeszcze raz.

Szybko wyłączyłem głośnik i przycisnąłem aparat do ucha.

– Odsłuchaj wiadomość.

– Treść. Wiadomości. Ups. Wypadło. Mi. Z. Pamięci. Masz. Dwie. Godziny. Na. Odpowiedź. Kropka. Od. Tej. Chwili. Kropka. I. Chyba. Nie. Muszę. Ci. Mówić. Żebyś. Nie. Szedł. Z. Tym. Na. Policję. Znak. Zapytania. Ani. Nikomu. O. Tym. Nie. Opowiadał. Kropka. Katalimata. Znajduje. Się. Sto. Dwadzieścia. Metrów. Nad. Ziemią. Przecinek. Pamiętasz. O. Tym. Prawda. Znak. Zapytania. Koniec. Wiadomości.

Po chwili ciszy usłyszałem jeszcze:

– Dostępne. Opcje. Zachowaj. Wiadomość...

– Skasuj. Wiadomość.

Kazałem mu skasować też dwa poprzednie esemesy i wyłączyłem aparat.

Po sekundzie znowu go włączyłem. Czułem, jak Annika zawraca, a słońce przesunęło mi się po twarzy. Wracaliśmy, skąd przyjechaliśmy.

– Zatrzymaj się! – krzyknąłem.

Przestraszyłem ją. Szarpnęła kierownicą w lewo. Opony zapiszczały, ktoś na nas zatrąbił. Annika odbiła w prawo, aż uderzyłem potylicą o zagłówek. Syknąłem z bólu.

Wreszcie wcisnęła hamulec.

– Co się stało?

Przesunąłem palcami po opatrunku. Poczułem wilgoć. Krew znowu zaczęła sączyć się przez szwy.

– Stań w jakiejś zatoczce.

– Co się stało, Tom? O Boże, twoja rana znowu krwawi. Wracamy do szpitala.

Wykręciła na trzy. Znowu ktoś na nas zatrąbił, a Annika mruknęła „debil”.

Na szpitalnym parkingu wyłączyła silnik. Namacałem klamkę i wysiadłem. Od upału krew zaczęła mi tętnić w skroniach, a rana znowu stała się wilgotna.

– Wybierz numer. Mona – powiedziałem do telefonu.

– Polecenie. Niejasne.

Wziąłem głęboki wdech. Starałem się mówić najspokojniej, jak tylko potrafiłem.

– Wybierz. Numer. Mona.

– Polecenie. Niejasne.

Annika otworzyła drzwi od swojej strony.

– Tom, chodź, musimy jak najszybciej coś z tym zrobić.

– Czy możesz chociaż przez sekundę być cicho? – wycedziłem.

Usłyszałem jej sapnięcie, a potem, jak wsiada i zatrzaskuje drzwi.

Skupiłem się.

– Wybierz. Numer. Mona.

W komórce słyszałem pojedyncze sygnały. Jeden. Drugi. Trzeci... Zacząłem znowu oddychać.

– Tom – Annika musiała wychylić się przez otwarte okno.

– Zamknij się! – ryknąłem.

Uderzyła w blachę okna czymś twardym, chyba głową i syknęła z bólu.

– Tom, co...

– Zamknij się! Po prostu się zamknij! Przez chwilę nic nie mów!

Zamilkła. Na pewno się obraziła. Nie miałem czasu jej przeproszać.

Czwarty sygnał. Piąty. Szósty. Mona nie odbierała.

Poczekalem do dziesięciu. Rozłączyłem się.

Spróbowałem zadzwonić do Ifigenii, jednak efekt był ten sam: abonent znajdował się poza zasięgiem.

Dwie godziny. Miałem na rozwiązanie zagadki dwie godziny. Dwie godziny, podczas których Mona tkwiła na półce skalnej nad studwudziestometrową przepaścią. Razem z Ifigenią, za to już bez Matakiego. Chyba że znajdował się tam jeszcze ktoś.

Schowałem komórkę do kieszeni i wsiałem do samochodu.

Dwie godziny.

Annika milczała. Siedziała bez ruchu w rozpalonym aucie i śmierdziała potem i złością. Wiedziałem, że będzie milczała, dopóki jej nie przeproszę. Miałem gdzieś humory, ale niestety jej potrzebowałem. Nie za dwie godziny. Teraz.

– Annika, przepraszam.

Milczenie. Tylko gwałtowne, urywane oddechy. Jakby powstrzymywała szloch.

Do samochodu wpadł powiew wiatru, tak gorącego jak wszystko dookoła, więc nie przyniósł ulgi.

– Annika, nie powinienem był na ciebie krzyczeć.

Poruszyła się.

– Przepraszam. Bardzo, bardzo cię przepraszam.

– Nie powinieneś był – powiedziała cicho.

Dobrze mi szło.

– Nie powinienem był – potwierdziłem. – Po prostu źle się czuję. Upał, ta rana na głowie, resztki adrenaliny... Przepraszam cię, naprawdę. Wierz mi, nie codziennie prawie spada mi na głowę pies i cudem unikam śmierci.

Nadal milczała, ale jej oddech się uspokajał.

– Nigdy nie czułem się tak bezradny jak dzisiaj. To dość głupie, kiedy człowiek nie może zobaczyć, jak coś leci na niego z góry.

Wybrałem najprostszy wariant: jestem biednym kaleką, ulituj się nade mną. Zadziałał bez pudła. Zawsze działa.

I darujcie sobie wyzywanie mnie od cynicznych kutasów. Miałem tylko dwie godziny. Nie chciałem zmarnować całego tego czasu na podlizywanie się Annice.

Siąknęła nosem.

– Rozumiem, Tom.

– Podaj mi rękę – poprosiłem.

Wahała się tylko przez sekundę. Wsunęła wilgotną od potu dłoń w moją.

– Uratowałeś mi dzisiaj życie. A ja, zamiast ci podziękować, drę się na ciebie.

Siąknęła nosem energiczniej. Ucisnęła moje palce.

– Masz rację, Tom, jesteś złamasem. – W jej głosie brzmiał już śmiech. – Chodź, zobaczmy, co z tą cholerną raną.

Napięła mięśnie, żeby cofnąć rękę, ale przytrzymałem ją.

– Później. Muszę teraz załatwić coś pilnego.

– Tom, to nie może poczekać. Cały opatrunek przesiąkł krwią. To pewnie od gorąca.

– Na pewno – zgodziłem się, trochę nieuważnie. – Na szczęście wcale mnie nie boli.

Co nie było prawdą. Bolało jak cholera, tylko na ból też nie miałem czasu.

– Lekarz i tak powinien to obejrzeć.

– Posłuchaj. – Znalazłem jej drugą dłoń i też ucisnąłem. – Mam teraz bardzo ważną sprawę do załatwienia. Proszę, pomóż mi. Obiecuję, że jak tylko się z tym uporam, przyjedziemy tu i bez słowa dam sobie zrobić, co będzie trzeba. Nawet operację.

Próbowała wyrwać dłonie, ale trzymałem je mocno.

– Annika, proszę. Potrzebuję twojej pomocy.

Pokażcie mi kobietę, która nie zareaguje na prośbę o pomoc wyartykułowaną łamiącym się głosem przez przystojnego kalekę. To znaczy nie pokazujcie, bo i tak

jej nie zobaczę. Zresztą nie musicie się wysilać – nie ma takiej, w każdym razie jeszcze żadnej nie spotkałem.

Annika nie była wyjątkiem.

– Pół godziny – powiedziała i przekręciła kluczyk w stacyjce. – A potem wracamy do lekarza.

Dwie godziny. Ale tego nie powiedziałem.

– Oczywiście.

Silnik zawył.

– Dokąd chcesz jechać?

– Poczekaj chwilę – poprosiłem. – Wyłącz to.

Przekręciła kluczyk.

Wysiadłem. Natychmiast oblał mnie pot. Poczułem świeżą strużkę wilgoci na karku.

– Nie powinieneś stać na słońcu! – krzyknęła za mną Annika. – Zrobi ci się słabo.

– Daj mi minutę. – Nie mogłem odpowiedzieć, że to nie jej sprawa i żeby się odpieprzyła, bo znowu by się obraziła i straciłbym jeszcze więcej czasu. – Muszę zadzwonić.

Co nie pasuje do zabitych Wojnarów? Co do nich nie pasuje...

To znaczy oprócz tego, że nie żyją. Że zostali zastrzeleni na urlopie, pewnie przez myśliwych idiotów, których nie brakowało na Krecie. Bo to była główna i największa rysa na pocztówce z wakacji: dwa trupy zamiast uśmiechniętych i machających do obiektywu państwa w średnim wieku, z poparzeniami słonecznymi w różnych miejscach.

Kiedy odrzuciłem ten element, zostało mi tylko jedno: plastikowa torebka pełna ceramiki. Prawnik z własną kancelarią (nawet we wschodniej Europie) i jego żona nie powinni interesować się czymś takim jak skorupy. Chyba że w dzieciństwie chcieli zostać archeologami. Co w sumie jest możliwe. Może mamy czytały im w kołysce za dużo mitów greckich.

Zaryzykuję.

Wyjąłem komórkę.

– Nagraj wiadomość tekstową – powiedziałem głośno i wyraźnie i podałem numer.

– Po. Usłyszaniu. Sygnału. Nagraj. Wiadomość. Tekstową.

Wziąłem głęboki wdech.

– Bogaty prawnik nie powinien zbierać starych skorup na stanowisku. Koniec wiadomości.

– Wiadomość. Tekstowa. Została. Wysłana – poinformował mnie telefon.

Teraz mogłem już tylko czekać. Odpowiedź przyszła po niecałej minucie.

„Pudło”.

Pudło. No dobra. Drugie podejście.

– Bogaty prawnik nie powinien spacerować pieszo. Brak samochodu. Koniec wiadomości.

Tym razem trwało to może dwie minuty. Pewnie dlatego, że odpowiedź była dłuższa.

„Znowu pudło. Tracisz czas, Tom”.

Znowu pudło...

Nie chodziło o ceramikę. Nie chodziło o brak samochodu.

O co chodziło, do kurwy nędzy?

Pozostała mi tylko jedna opcja.

Wsiadłem do samochodu. W środku temperatura zdążyła już się obniżyć, klimatyzacja wreszcie zaczęła działać.

– Tom! – krzyknęła Annika. – Ciągłe krwawisz, chyba coraz bardziej.

Machnąłem ręką, żeby się uciszyła.

– Wiesz, gdzie jest posterunek policji w Agios?

– Mam Google Maps w telefonie. Chcesz zgłosić tego psa? Nie jestem pewna, czy oni to przyjmą, to w końcu Grecy. Wiesz, że oni nie bardzo przejmują się zwierzętami.

Miałem już dosyć jej nadopiekuńczości, mądrości życiowych i dobrych rad. Zacisnąłem dłoń w pięści i powiedziałem słodko:

– Proszę, zawieź mnie tam jak najszybciej.

Postukała palcami w wyświetlacz. Ekran wydawał ciche piśnięcia. Miałem wrażenie, że wwiercają mi się w mózg.

– Nawet niedaleko. W bok i tuż obok szpitala. Tylko nie wiem, czy tam będzie miejsce do zaparkowania.

Raczej nie. To w końcu centrum turystycznego miasta pod koniec sezonu. Ale co ja tam wiem o parkowaniu.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 10.00**

– Po co pan przyszedł wtedy na posterunek?

Chciałem odpowiedzieć, ale w gardle całkiem mi zaschło. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem palcami szklanki.

– Czy mógłbym dostać wodę? Zimną...

Marina musiała obejrzeć się na drzwi, jej włosy przesunęły się po kołnierzu bluzki. Ktoś nas z pewnością obserwował na monitorze w innym pomieszczeniu, bo po dziesięciu sekundach usłyszałem na korytarzu kroki, a później zaskrzypiała naciśnięta klamka. Do pokoju wszedł mężczyzna. Był drobnej budowy ciała, miał eleganckie półbuty (skórzane podeszwy wydają na linoleum zupełnie inny odgłos niż sztuczne tworzywo) i sztywną od prasowania na mokro koszulę, która ocierała się o jego marynarkę i ciągle pachniała żelazkiem. Za to włosy śmierdziały mu pomadą. Nie odezwał się ani słowem. Postawił nową szklankę na blacie tak energicznie, że kilka kropel prysnęło na moją dłoń. Wypiłem wodę duszkiem do dna.

– Mogę prosić o jeszcze jedną? – spytałem.

– Później – powiedziała Marina, a jej podwładny zabrał mi z ręki pustą szklankę i wyszedł. W gardle nadal mnie drapało od upału, a w powietrzu unosił się gęsty smród pomady.

– Panie Mara, po co przyszedł pan tamtego dnia na posterunek?

– Szukałem pani.

– Tak, dyżurny oficer mi wspomniał.

– Więc czemu pani pyta?

Odsunęła się z krzesłem.

– Pytam, bo to jest przesłuchanie, panie Mara. Dlaczego mnie pan szukał?

– Już mówiłem – wychrypiałem. – Chciałem pomóc w śledztwie. Pomyślałem sobie, że jeśli określe tę ceramikę, która znalazła się w plecaku tych zabitych Wojnarów, coś to pani ułatwi. Czy mogę dostać jeszcze wody?

Nie przejęła się umierającym z pragnienia człowiekiem. Przerzuciła kartkę w swoich notatkach.

– Pamięta pan nazwisko ofiar. To interesujące.

– Już pani mówiłem, że mam dobrą pamięć.

Milczała długo. Chciałem przesunąć językiem po podniebieniu, ale było tak wysuszone, że język natychmiast się przykleił.

– I tak bardzo chciał mi pan pomóc – powiedziała w końcu Marina – że przyjechał pan prosto ze szpitala, ze świeżą raną.

– Staram się jak mogę – burknąłem.

– No dobrze, nie zastał mnie pan na komisariacie. Dlaczego zamiast poczekać albo zadzwonić, albo po prostu wrócić do domu i przyjść kiedy indziej, poszedł pan do kostnicy?

– Chciałem się umówić na randkę z patolożką.

Uderzyła dłonią w stół. Obudziła muchę, która zaczęła krążyć dookoła mojej głowy.

– Niech pan przestanie wciskać mi bzdury!

– To niech pani każe mi przynieść jeszcze jedną szklankę wody!

Pstryknęła palcami. Nie wiem, czy podgląd na monitorze miał włączony dźwięk, ale gest był jasny. Tym razem kroki usłyszałem już po ośmiu sekundach. Asystent, ten sam co poprzednio, elegancik ze śmierdzącą pomadą, wszedł szybko i postawił szklankę na stole. Rzuciłem się na nią, jakbym wrócił z tygodniowej wyprawy na pustynię.

Marina odczekała, aż za asystentem zamknęły się drzwi.

– Dlaczego poszedł pan do kostnicy?

– Szczerze? – Odstawiłem szklankę.

– Do diabła, panie Mara...

Uniosłem ręce.

– Poszedłem tam, bo pomyliłem wejścia do szpitala. W upale moja rana znowu zaczęła krwawić i chciałem, żeby ktoś mi ją opatrzył.

Dotknąłem opatrunku na skroni, licząc, że wezmę ją na litość. Nie podziałało.

– Ale zorientował się pan, że to zły oddział. Dlaczego prosił pan o pokazanie zwłok? I do tego udawał kuzyna ofiar?

Milczałem.

Westchnęła.

– Dlaczego pan kłamie, panie Mara?

Bo nie mogę powiedzieć prawdy.

**AGIOS NIKOLAOS,
WTOREK, 12 WRZEŚNIA, WCZESNE POPOŁUDNIE**

Annika manewrowała między motorynkami (irytujące bzyczenie silnika, czasem tak wysokie, że na granicy słyszalności) i samochodami dostawczymi (stukot metalu o metal przy zatraskiwaniu paki, pokrzykiwania kierowców, eksploatowane do granic możliwości skrzynie biegów), a ja myślałem. W każdym razie próbowałem, ale uderzyłem głową o podsufitkę, bo Annika wjechała przednimi kołami na wysoki krawężnik. Syknąłem z bólu.

– No, jesteśmy na miejscu. Przepraszam, Tom. Tu nie ma nawet ćwierci miejsca do zaparkowania. I tak stoję na zakazie. Nie wiem, co masz do załatwienia, ale możesz się pospieszyć? Bo za chwilę wlepią nam mandat.

– Nie wlepią. Pod własnymi drzwiami nie sprawdzają.

Chyba jej nie uspokoilem, ale nie zależało mi.

– Zadzwoń na posterunek... – zacząłem.

– Przecież pod nim stoimy.

– Zadzwoń na posterunek – powiedziałem jeszcze raz powoli przez zaciśnięte zęby – i spytaj, czy jest dzisiaj Marina... – Nie mogłem sobie przypomnieć nazwiska. – Ta policjantka, co była u nas wczoraj. Powiedz, że dzwonisz z wykopalisk, to będą wiedzieli.

– Teraz? – upewniła się.

Nie, za rok!

– Tak, kochana Anniko, właśnie w tej chwili.

Zamarła na moment, ale chyba nie wiedziała, do czego się przyczepić.

– A jak mnie połączą, to co mam powiedzieć?

– Spytaj, czy już możemy pracować na terenie, gdzie znaleźliśmy zwłoki.

– Przecież powiedzieli, że możemy.

– Powiedz, że nie jesteśmy pewni. Tylko, Annika... nie mów jej nic o Matakim, dobrze?

Mruknęła coś i zaszeleściła ubraniem, kiedy wyjmowała z kieszeni komórkę. Usłyszałem, jak naciska wyświetlacz, szukając numeru, a potem się łączy.

Mariny nie było. Szczęście się do mnie uśmiechnęło.

– Marzyłaś w dzieciństwie, żeby zostać aktorką? – spytałem Annikę, kiedy z powrotem schowała telefon do kieszeni. – Podobno wszystkie dziewczynki o tym marzą.

Pokręciła głową, a zapach jej potu stał się jeszcze bardziej intensywny.

– Chciałam zostać kosmonautką.

– Hm, no trudno, więc dzisiaj nie spełnią się twoje najskrytsze marzenia.

Poprosiłem, żeby trzymała mnie mocno za ramię i nie puszczała bez względu

na to, co się będzie działo. Najlepiej, żeby udawała osobę pogrążoną w głębokiej żałobie. Może pociągać nosem, a nawet wycierać go w rękaw mojej koszuli. Trudno, wrzucę to potem do pralki.

– Dasz radę?

– Spróbuję. – Jej głos był pełen podejrzliwych niuansów, ale nie miałem czasu ich analizować.

– Ja z kolei będę udawał, że widzę. Tylko mnie nie zdradź.

Annika pociągnęła nosem, może w ramach próby generalnej.

– Po co to wszystko, Tom?

– Później ci wytłumaczę – skłamałem. – I jeszcze będę udawał, że nie rozumiem po grecku.

Siedziała przez chwilę w milczeniu, a potem westchnęła.

– Twój opatrunek jest całkiem przesiąknięty krwią – zaznaczyła swoje stanowisko.

A, opatrunek. Całkiem zapomniałem.

– Nie masz jakiejś chustki? Potem ci odkupię.

– Mam bandanę.

Jakimś cudem sama, bez proszenia domyśliła się, że ma mi ją podać.

Zawiązałem chustkę na głowie i obmacałem dookoła, żeby sprawdzić, czy cały opatrunek jest pod spodem.

– Jakiego ona jest koloru? – spytałem.

– Czerwona.

Super. Nie będzie widać krwi.

Przesunąłem okulary słoneczne na czubek bandany. Chętnie przejrzałbym się w lusterku, ale musiałem zadowolić się parsknięciem Anniki. Prawdopodobnie wyglądałem jak turysta, i to z tych głupszych. Dokładnie o to mi chodziło.

Wysiedliśmy. Zaczekałem, aż obejdzie samochód i poda mi rękę.

– Trzy schodki – szepnęła do mojego ucha. A potem: – Drzwi.

Przesunąłem dłoń po framudze, znalazłem klamkę, pociągnąłem do siebie.

– Próg.

Dałem większy krok.

– Drugi próg. Potem już gładko.

Komenda policji w Agios Nikolaos nie różniła się niczym od innych budynków administracji publicznej w Grecji, w jakich kiedykolwiek postawiłem nogę. Pachniała stęchlizną i starym jedzeniem, a podłogę w korytarzach (ale tylko gdzieś tam) pokrywał chodnik, pozwijany, żeby łatwiej było się potknąć. Doszliśmy do kontuaru, za którym siedział oficer dyżurny.

– *Good morning*. Czy zastałem panią Marinę...

Nadal nie mogłem sobie przypomnieć jej nazwiska, ale na posterunku pracowała tylko jedna Marina. Pojechała na pogrzeb kuzyna, będzie dopiero jutro.

– No to mamy problem – powiedziałem do Anniki, głośno i wyraźnie, żeby dyżurny na pewno zrozumiał. Potem znowu odwróciłem głowę w jego kierunku. – Mieliśmy zidentyfikować zwłoki mojego kuzyna Piotra Wojnara.

– Pani porucznik będzie jutro – powtórzył dyżurny.

Postarałem się nadać mojej twarzy najbardziej zirytowany wyraz. Czasami zastanawiałem się, jak to musi wyglądać w lustrze.

– Tak, tylko że jutro nas nie będzie. Jesteśmy z żoną na Krecie tylko do rana, potem odlatujemy do Manchesteru. Prawda, kochanie?

Dłoń Anniki zacisnęła się na moim ramieniu. Nic nie powiedziała, tylko się poruszyła, może przytaknęła ruchem głowy.

– Ale pani porucznik dzisiaj nie ma.

– Tak, już rozumiałem. Tylko jutro nas nie będzie. Powiedziałem, że przyjdę dzisiaj.

Annika znowu pokiwała głową.

Oficer dyżurny był rozdarty – poznałem po tym, jak ciężko oddychał – rozdarty między chęcią załatwienia sprawy i przypodobania się szefowej a chęcią napięcia się kawy i spędzenia reszty dnia na przeglądaniu wiadomości sportowych w internecie. Oraz graniu w pasjansa, sądząc po dźwięku, jaki wydał jego komputer, kiedy weszliśmy.

– Ciała są w *osteofilakio* – powiedział w końcu.

– *Osteofilakio*? – Nie znałem tego słowa, więc nawet nie musiałem udawać, że nie rozumiem.

– No, w szpitalu – zniecierpliwził się dyżurny. – Nie przechowujemy zwłok na komisariacie.

– A, w kostnicy. – Miałem ochotę palnąć się w czoło, że nie pomyślałem o tym wcześniej, kiedy byliśmy tuż obok. – Tak, rozumiem. No trudno. – Pociągnąłem Annikę w kierunku wyjścia. – W takim razie proszę przekazać tej całej pani Marinie, że nie będę mógł jej pomóc. Zaraz jedziemy do Chanii, a jutro wcześniej rano mamy samolot. *Yia sas* – Na końcu wysiliłem się na grecki, dokładnie tak, jak zrobiłby to turysta.

Mój zegarek zapiszczał. Wpół do pierwszej. Zostało półtorej godziny.

Annika wyprowadziła mnie na słońce. Kiedy chciała wsiąść do samochodu, zatrzymałem się.

– Szpital jest przy sąsiedniej przecznicy, prawda?

Przytaknęła.

– Może prościej będzie pójść pieszo, niż znowu szukać miejsca.

Wymamrotała coś o parkowaniu na zakazie, ale olałem ją. Dogoniła mnie po dwóch krokach. Dzięki temu nie musiałem przez całą drogę macać ręką po ogrodzeniach i murach mijanych domów.

Przy schodkach prowadzących do izby przyjęć znowu się zatrzymałem.

– Kostnica musi chyba mieć oddzielne wejście. Nie przepychają się przecież ze zwłokami przez ten tłum.

– Tom, musimy opatrzyć ci ranę.

– Później. Teraz, proszę, zaprowadź mnie do kostnicy.

Nie zareagowała na prośbę. Próbowałem ją skłonić do ruszenia się z miejsca, ale równie dobrze mógłbym spróbować przepchnąć ciężarówkę.

– Nigdzie nie pójde, póki nie powiesz, o co ci chodzi.

– Nie ma sprawy. – Puściłem jej ramię, znalazłem poręcz, chwyciłem ją mocno i wbiegłem po trzech schodkach. – Zapytam w środku.

Sapnęła za moimi plecami.

– Dobra, Tom, jak chcesz. Chodź tu i nie rób cyrku.

W innych okolicznościach z pewnością pouczyłbym ją, że nie należy zwracać się tak do szefa, jednak teraz powoli zszedłem i ująłem ją z powrotem pod rękę. Drugie wejście znajdowało się kilkadziesiąt metrów dalej, za rogiem. Przez całą drogę Annika powiedziała tylko: „Mam nadzieję, że wiesz, co robisz”.

Nie wiedziałem.

W kostnicy było pusto. Zawołałem kilka razy „halo”, ale dopiero dobrą minutę później usłyszałem stukanie obcasów. Patolożka miała jasny, młody głos, chociaż z jej fartucha buchał smród papierosów. Dmuchnęła mi dymem prosto w twarz. Widocznie uważała, że skoro i tak pracuje z trupami, nie musi mieć wyrzutów sumienia z powodu nałogu.

Przedstawiłem się. Powiedziałem, że przysyłają mnie z komendy. Że mam zidentyfikować zwłoki kuzyna. Piotra Wojnara. I jego żony Iwony Wojnar.

Przygotowałem się na różne pytania i konieczność wymyślenia kłamstw w odpowiedzi, jednak patolożka mruknęła tylko: „Proszę za mną”, i poszła przodem. Stawiała szybkie kroki na linoleum stwardniałym na kamień ze starości i z trudem za nią nadążaliśmy.

Zaprowadziła nas do wychłodzonego pomieszczenia, a potem powiedziała, że jest zawałona robotą i jak skończymy, mamy zapukać do trzecich drzwi od końca korytarza po lewej stronie. Tylko żeby raczej nie wchodzić, bo będzie robić sekcję, a nie każdy może znieść ten widok. Nie wspomniałem, że od lat żaden widok nie jest w stanie zrobić na mnie wrażenia.

– Pomóż mi – zwróciłem się do Anniki, kiedy ucichł stukot pantofli na korytarzu.

– Tom, co ty wyprawiasz, do cholery? – spytała cicho, chociaż trupy nie mogły nas usłyszeć. – Po co tu w ogóle przyszliśmy?

Ty po to, żebym nie musiał potykać się o progi, chciałem odpowiedzieć, chociaż wtedy z pewnością by się na mnie obraziła. Nie powiedziałem jednak nic, bo usłyszałem piknięcie zegarka. Dwunasta czterdzieści pięć.

– Annika, proszę cię. Potrzebuję pomocy, nie pytań. Teraz. W tej chwili.

Westchnęła. Wzdychała ostatnio tak często, że mogła przewentylować sobie płuca.

– Co mam zrobić?

– Gdzie są ciała?

Podprowadziła mnie do stołu. Wyciągnąłem dłoń i dotknąłem krawędzi stalowego blatu.

– To jest ten facet. Jego żona jest obok, na drugim stole.

Ciało było przykryte prześcieradłem. Nie wiedziałem, czego szukam. W ogóle nie wiedziałem, co tu robię.

Wiedziałem tylko, że nie mogę dopuścić, żeby Mona została zepchnięta ze skały. Jak Mataki...

Obróciłem się dookoła własnej osi. Śmierdziało papierosami, lizolem i jeszcze innymi chemikaliami. Zabijały zapach potu Anniki.

Znowu dotknąłem stołu.

– Musisz mi powiedzieć, jak on wygląda.

Głęboki wdech.

– Trzeba zdjąć prześcieradło.

Nie chciałem znowu zaczynać. Przełknąłem ślinę.

– Proszę, zrób to.

Zrobiła kilka kroków w jedną, a potem w drugą stronę.

– Ja tego nie dotknę, Tom.

Nie wiem, dlaczego większość archeologów bez oporu odkopuje szkielet sprzed trzech tysięcy lat, ale brzydzi się dotknąć dwudniowego trupa. Tu, w kostnicy, nie było nawet much.

Namacąłem krawędź prześcieradła, szarpnąłem i ściągnąłem na podłogę.

– Ale patrzeć możesz?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, Tom. Po co mnie tu ściągnąłeś i po co w ogóle...

Czułem promieniowanie jej ciała przy moim prawym ramieniu. Stanowiła jedyne źródło ciepła w tym pomieszczeniu.

– Annika, proszę, skup się. Przyjrzyj mu się uważnie. Czy on wygląda normalnie?

– Normalnie?

Co nie pasuje do zabitych Wojnarów?

– Chodzi ci o coś konkretnego?

– Nie wiem – przyznałem.

– Wygląda normalnie. Jak dla mnie. Ma jedną głowę, dwie ręce i dwie nogi i... czekaj... po pięć palców u każdej kończyny. A także siusiaka i jądra. Chciałbyś wiedzieć coś więcej? Bo nadal nie rozumiem...

Usłyszałem, jak odchodzi kilka kroków w bok.

Oparłem się obiema dłońmi o stalowy stół i próbowałem się skupić. Nie mogłem. Co nie pasuje do zabitych Wojnarów...

– Proszę, opisz mi jego wygląd. Szczegółowo.

Podeszła bliżej.

– Włosy krótko ostrzyżone. Siwe. W górnej części czaszki mocno przerzedzone.

Starła się używać fachowego słownictwa. Ton głosu miała zimny.

– Uszy normalnej wielkości, lekko odstające, nieprzekłute. Nie widzę żadnych blizn ani tatuaży z przodu ani na bokach. Może mieć coś na plecach, ale jeśli myślisz, że ja go dotknę...

– Wróćmy do tego później. Najpierw powiedz, co widzisz.

– Hm. Twarz... No, normalna. Facet jest koło pięćdziesiątki. Ma zmarszczki, skóra trochę zwiotczała, zwłaszcza w okolicy uszu. Trzydniowy zarost, widać, że jest na wakacjach.

Trupom rosną włosy. Zarost na twarzy też, ale nie wiedziałem, w jakim tempie. Zresztą to było normalne, a ja miałem stwierdzić, co się nie zgadza.

– Na klatce piersiowej rany wlotowe od postrzału. A może wylotowe? Kurwa, nie znam się na tym. W każdym razie rany.

– Tak, jasne. – Postarałem się nadać mojemu głosowi maksymalnie uspokajający ton. – Jedź dalej.

– Twarz, przedramiona i nogi do połowy ud ma brązowe, pod kąpielówkami jest całkiem biały, a klatkę ma czerwona.

Znaczący więcej zwiedzał, niż leżał na plaży. Trochę jednak leżał – do pierwszego oparzenia słonecznego.

– Poza tym chyba nie bywał na siłowni. Sądząc po brzuszku, to raczej miłośnik piwa przed telewizorem.

– To prawnik – przypomniałem jej.

– No to miłośnik chardonnay do serialu z Netflix. Może być?

Pokiwałem głową.

– Dłonie normalne. Ślad po obrączce na serdecznym palcu prawej dłoni.

Przypomniałem sobie dotyk chłodnego metalowego kółka, kiedy obmacywałem trupa poprzedniego dnia. Obrączki pewnie były przechowywane oddzielnie, razem z innymi rzeczami znalezionymi przy zwłokach.

– Paznokcie czyste, zadbane, nie ma żadnych nagniotków ani odcisków. Dobra, schodzę niżej. Siusiak normalny, jak to siusiak. Nieobrzezany, nie ma na nim żadnych kolczyków... W ogóle nie ma nigdzie żadnych kolczyków. W każdym razie nie na przedniej części ciała. Z tyłu nie widzę.

– Już to mówiłaś – mruknąłem.

– Słuchaj, jak chcesz, to możesz sobie sam...

Wyciągnąłem rękę w kierunku Anniki i dotknąłem jej ramienia.

– Wspaniale sobie radzisz – powiedziałem. – Opisuj dalej.

Jak na razie żadnej rzeczy, która by nie pasowała. Coś jednak musiało być!

– Nogi też niezbyt muskularne, miałam rację z tym piwem. Paznokcie u nóg prosto obcięte. Pięty... – Głos lekko się oddalił, chyba się pochyliła. – Pięty trochę zrogowaciałe. Chodził na manikiur, ale na pedikiur to już nie.

– Bo na zebraniach zarządu miał na nogach skarpetki i buty. A co z palcami stóp? Jakież rany, skaleczenia, egzemy?

Annika przez chwilę milczała. W kostnicy panowała cisza absolutna.

– Nic. W każdym razie nie widzę niczego bez dotykania.

– No dobra. To może przejdźmy do kobiety. Podprowadź mnie do drugiego stołu.

Pokierowała mną we właściwą stronę. Ściągnąłem prześcieradło.

– Włosy do ramion, farbowane, chyba świeżo przed wyjazdem, bo nie widzę żadnych odrostów ani siwizny. Ciemny brąz. Dalej... Zero makijażu. No tak, wakacje, długi staż małżeństwa, uznała, że skóra powinna pooddychać.

Nie miałem na ten temat zdania.

– Opalona mniej więcej równomiernie, nie tak jak jej mąż, musiała spędzać więcej czasu na plaży. To znaczy więcej niż on. Opalała się w kostiumie, nie nago ani topless, są wyraźne ślady po staniku i majtkach.

– To też wydaje mi się typowe – mruknąłem.

– Coś mówiłeś?

– Nic. – Uniosłem obie dłonie i cofnąłem się o krok. – Nic. Mów dalej.

– No dobra. Cycki nierobione...

– Słucham?

– No, nieoperowane. Bez implantów.

– Aha.

– Staranny manikiur i pedikiur, to chyba jakiś lakier hybrydowy albo coś takiego, bo na wakacjach byli już co najmniej tydzień, a nie złazi. Na palcach u rąk blady róż, na nogach ciemny, to nazywa się chyba fuksja.

Staranny manikiur. Blady róż.

– Annika!

Nie miałem zamiaru krzyczeć. Samo wyszło.

– Jezu, Tom!

Brakowało mi powietrza. W kostnicy było coraz mniej tlenu. W końcu trupom nie jest potrzebny. Przyłożyłem dłoń do gardła.

– Annika, obejrzyj ich palce – powiedziałem zdławionym głosem. – U rąk.

– Już oglądałam. Mówiłam ci. Manikiur i tak dalej.

– Czy są brudne?

– Słucham?

– No, czy mają brud pod paznokciami, brudną skórę...

– Zaraz, poczekaj. – Chyba znowu się pochyliła, jej głos dobiegał gdzieś z dołu. – Niespecjalnie.

– Czy trupy się myje w kostnicy?

– Nie wiem. Może. Tych chyba jednak nie umyli. Ona ma ślady ziemi na kolanach, musiała na nie upaść.

– Ale dłonie są czyste?

– Mniej więcej, mówiłam ci. Pewnie jak ją postrzelili, to się podniosła, przeszła kilka kroków, a potem już upadła i nie wstała. Gdyby się czołgała, miałyby ręce całe w ziemi.

– Oboje mają czyste dłonie?

– Pytasz po raz trzeci. Albo czwarty. Czy to coś dziwnego?

– A jakie ty masz ręce, jak schodzisz z wykopu?

– Czarne. Ale to nie archeolodzy, tylko zwyczajni turyści. Ludzie normalnie myją ręce. Czasami.

Państwo Wojnarowie zebrali cały worek ceramiki do dekoracji kominka albo doniczek z kwiatkami. Wygrzebali z ziemi kilkadziesiąt skorup i nie ubrudzili sobie nawet małego paluszka?

Cholera!

Gdzie są te skorupy?

– Gdzie są wszystkie ich rzeczy? – spytałem głośno.

– Skąd mam wiedzieć?

– Rozejrzyj się. Może gdzieś tu leżą.

Usłyszałem piszczenie wykopaliskowych butów Anniki na linoleum. Obracała się wokół własnej osi.

– Nic tu nie widzę.

Do diabła, gdzie to może być?

– Wiesz, Tom, ja jestem tylko archeologiem, ale w filmach to policjanci zabierają przedmioty osobiste ofiar morderstwa, bo stanowią one materiał dowodowy. Może naprawdę tak się robi? To znaczy przepraszam, zapomniałam, że ty nie oglądasz filmów...

Jestem idiotą!

Co gorsza, jestem idiotą, któremu zostało mało czasu. A zapłaci za to Mona.

– Weź mnie pod rękę.

Czułem, że się odsunęła.

– Dopiero kiedy wyjaśnisz, o co ci chodzi. Obiecałeś, że mi powiesz.

– Annika, później. Nie mam teraz czasu.

– Ciągniesz mnie na posterunek, każesz w żywe oczy kłamać policjantowi, a na to na pewno jest jakiś paragraf, potem każesz iść do kostnicy, a jakby jeszcze tego było mało, muszę ci opowiadać, jak wyglądają trupy jakichś turystów. Z intymnymi szczegółami.

– Annika...
– Chyba już wystarczy na jeden dzień!
– Annika, posłuchaj!
– Czekam na zewnątrz. Skoro udajesz, że widzisz, to na pewno znajdziesz drogę.

I wyszła. Trzasnęłyby pewnie drzwiami, ale miały opóźniacz. Może ludzie zawsze wychodzili stąd zdenerwowani.

Nacisnąłem przycisk zegarka. Cztery po drugiej. Zostało mi pięćdziesiąt sześć minut. Mimo to zmarnowałem aż dwie z nich na kolejną próbę dodzwonienia się do Ifigenii i do Mony. Dowiedziałem się tego, co poprzednio: Ifigenia prawdopodobnie wyłączyła komórkę, a Mona była poza zasięgiem. Wychodziło na jedno.

Wdychałem głęboko w płuca zapach formaliny, lizolu i papierosów, żeby tylko nie panikować. Panika zaciemnia orientację, a ja musiałem znaleźć patolożkę.

Wyszedłem z chłodni, skręciłem w lewo i ruszyłem powoli korytarzem, przesuając lewą dłoń po olejowej lamperii. Doszedłem w ten sposób do ściany na końcu. Odwróciłem się. Położyłem prawą dłoń na ścianie i poszedłem z powrotem. Jedna wnęka, druga wnęka. Patolożka miała być za trzecimi drzwiami. Zapukałem, a kiedy nie doczekałem się odpowiedzi, wszedłem.

Nie mogła usłyszeć mojego pukania, bo miała włączoną piłę. W pomieszczeniu unosił się smród palonego ciała i jakiegoś środka dezynfekującego.

– Mówiłam, żeby państwo nie wchodzili! – krzyknęła.
Pstryknęła wyłącznikiem. W nagłej ciszy smród jeszcze bardziej się nasilił.
– Proszę się nie martwić. – Wykonałem szeroki gest dłonią. – Jestem odporny na takie widoki.

Co było prawdą.

– Zidentyfikował pan kuzyna?

– To właściwie nie mój kuzyn, tylko przyjaciel. Bardzo bliski.

Stuknęło jakieś narzędzie, które patolożka odłożyła na stalowy stół. Usłyszałem trzask zapalanej zapalki i wciągnąłem do płuc dym z papierosa, zdecydowanie przyjemniejszy niż sekcyjny odór.

– Mnie też to pomaga – powiedziała patolożka. – Najgorszy jest smród palonych kości.

Zrobiła kilka kroków, znowu czymś stuknęła, podeszła i poczułem powiew. Podsunęła mi coś.

– Proszę tu podpisać.

Zesztywniałem. Bez pomocy Anniki...

– Ja niestety bardzo się spieszę, chciałem tylko powiedzieć, że skończyliśmy, i zapytać...

Zrobiłem krok do tyłu i dotknąłem drzwi. Przesunąłem dłonią przy framudze i chwyciłem klamkę, ale patolożka zablokowała skrzydło nogą.

– W dwóch egzemplarzach.

Postukała długopisem o twardą podkładkę.

– Kiedy ja naprawdę się spieszę.

– Więc proszę to podpisać szybko. – Stała tak blisko, że czułem w jej oddechu nie tylko papierosowy dym, ale i zapach miętówek.

Wykonałem błyskawiczne obliczenie, w którym miejscu znajduje się jej dłoń, i zmówiłem szybki paciorek, żeby była praworęczna. Była. Chwyciłem podkładkę, dotknąłem palcami prawego dolnego rogu i gdzieś tam namazałem zygzak. Miejsca do podpisu zawsze są w prawym dolnym rogu. Albo miałem pecha.

– Jeszcze drugi. – Zaszleściła kartką.

Zrobiłem to samo.

– No brawo. Dał pan radę.

Ledwo, ledwo.

Jej pantofel stuknął o linoleum, odsunęła nogę od drzwi.

– Może pan iść. Droga wolna.

– Chciałbym panią jeszcze o coś zapytać.

– Jak mam na imię?

Ze wszystkich pytań na świecie, jakie mogłem zadać, to akurat nie przyszło mi do głowy.

– Margarita. Przyjaciele mówią na mnie Margaro, pan też może.

– Margaro – powtórzyłem. – Chciałem spytać o coś jeszcze.

– O mój numer telefonu? Proszę.

Wcisnęła mi do ręki mały kartonik.

Wciągnąłem głęboko powietrze, chociaż było gęste od dymu.

– Chciałem spytać, gdzie są rzeczy, które kuzyn miał przy sobie.

Podeszła bliżej i dmuchnęła mi dymem prosto w twarz.

– Przecież to nie pana kuzyn.

– Przyjaciel.

Jeszcze raz dmuchnęła na mnie dymem.

– Policja wszystko zabrała. To w końcu zabójstwo.

– Aha. Tak. To w takim razie dzięku...

– Mam wolny wieczór jutro. I pojutrze.

Wypadłem na korytarz. Odczekałem chwilę, ale nie wyszła za mną. Zza drzwi rozległ się jazgot piły.

Nacisnąłem zegarek. Zmarnowałem osiem minut. Zostało mi czterdzieści sześć.

**AGIOS NIKOLAOS,
WTOREK, 12 WRZEŚNIA, NADAL WCZESNE POPOŁUDNIE**

Drogę do wyjścia pamiętałem. Zawsze ją zapamiętuję. Pierwsza i najważniejsza zasada: musisz wiedzieć, gdzie są drzwi.

Annika czekała na schodkach pod wiatą.

– Idziemy do szpitala – zaordynowała.

– Właśnie z niego wyszliśmy – zażartowałem, chociaż wcale mi nie było do śmiechu.

– Nie bądź głupi – zgasła mnie. – Chcesz, żeby ci się wdało jakieś zakażenie?

Chwyciłem ją za rękę.

– Annika, muszę jeszcze na chwilę wpaść na posterunek.

– Nie ma mowy, umawialiśmy się, że wrócisz do lekarza po półgodzinie.

Minęło już prawie półtorej.

No właśnie, do diabła! Minęło już prawie półtorej godziny. Zostało trochę więcej niż pół. Dokładnie czterdzieści dwie minuty.

– Proszę cię.

Odwróciła się i odeszła. Namacałem poręcz i prawie zbiegłem ze schodów. Wpadłem na Annikę, chwyciłem ją za ramię. Ustawiłem się tak, żeby nasze twarze znalazły się na tej samej wysokości. Po raz pierwszy żałowałem, że nie mogę spojrzeć jej w oczy.

– Nie dam sobie bez ciebie rady – powiedziałem.

Po chwili, po bardzo długiej chwili wzruszyła ramionami. Nie strząsnęła mojej ręki z ramienia. Ruszyliśmy w stronę posterunku.

Okrążenie kwartału zajęło nam jedenaście minut. Osiem z nich przeznaczyłem na próbę dodzwonienia się do Ifigenii i do Mony. Żadna z nich nie odbierała.

Zostało trzydzieści jeden.

Prośba do Anniki, żeby jeszcze raz pozwoliła mi mówić i sama się nie odzywała: dwie minuty.

Zostało dwadzieścia dziewięć.

Pokonanie dystansu od drzwi do miejsca, gdzie urzędował oficer dyżurny: kolejne dwie.

Zostało dwadzieścia siedem.

– Czemu tak ciągle sprawdzasz czas? – szepnęła mi do ucha Annika. – Spieszysz się gdzieś?

Olałem ją.

– Chciałbym zobaczyć rzeczy mojego kuzyna – powiedziałem bez żadnego

kalimera.

Dyżurny odsunął się z krzesłem, ale nie powiedział nic.

– Byłem tu wcześniej – przypomniałem.

– A tak – oświeciło go.

Zamyślił się i zaczął szeleścić papierami. Myślał dwie minuty. Zostało dwadzieścia pięć.

– Nie mogę panu udostępnić tych przedmiotów.

– Bo?

– Bo na to muszę mieć osobistą zgodę pani porucznik.

– Już panu tłumaczyłem. – Oparłem się o kontuar i pochyliłem w jego stronę. Starąłem się jak najdobitniej wymawiać słowa. – Jutro wyjeżdżamy. Muszę obejrzeć te rzeczy dzisiaj. To bardzo pilne!

Krzyczałem i nie zwróciłem uwagi na odgłos otwieranych drzwi. Ani na kroki. Zorientowałem się, że Marina stoi obok mnie, dopiero kiedy poczułem zapach słodko-gorzkich perfum.

– Co jest takie pilne?

– Podobno pojechała pani na pogrzeb – warknąłem. – Czemu tak szybko pani wróciła? Nieboszczyk zmartwychwstał?

– Skończyło się wcześniej, bo nad trumną doszło do bójki. Normalnie, jak to w kreteńskich wsiach. Ale to pan podobno doświadczył dzisiaj cudu. Mój podwładny twierdzi, że nie ma pan kłopotów ze wzrokiem.

Dwadzieścia cztery minuty.

– Chciałbym dostać do ręki rzeczy, które mieli przy sobie Wojnarowie. Tylko na chwilę.

Westchnęła. Jej oddech pachniał landrynkami.

– Proszę pana, ile rzeczy ja bym chciała. Na początek wakacje. I to nie na tej parszywej wyspie, tylko w wakacyjnym raj, na przykład na Malediwach, zanim zatona. *All inclusive*, nie musiałabym nawet ruszać palcem, tylko leżeć pod palmą...

Zapraǳnęłam ją potrzasać. Tak bardzo, że zacisnąłem zęby.

– Pani Marino, muszę zobaczyć te rzeczy. Muszę zobaczyć tę ceramikę.

– Ceramikę.

To nie było pytanie.

– W plecaku tej zabitej kobiety, Wojnar, znajdowała się ceramika. W foliowej torebce. Kiedy ją znaleźliśmy, myślałem, że to skorupy z Halasmenos, z naszego stanowiska. Ale to niemożliwe. Oni oboje mieli czyste ręce. Zero ziemi pod paznokciami. Nie zabrali ze sobą wilgotnych chusteczek, więc nie umyli dłoni. Gdyby zebrali te skorupy w Halasmenos, byłyby czarne.

– Aha, czyli odwiedził pan już kostnicę. Mój podwładny nic na ten temat nie wspomniał.

Powiedziała coś po grecku, tak szybko, że nie zrozumiałem. Oficer dyżurny

zaczął coś tłumaczyć, równie szybko. Nacisnąłem zegarek. Dwadzieścia minut.

Uniosłem obie ręce. Dyżurny zamilkł.

– Kradzież ceramiki ze stanowiska archeologicznego to też jest przestępstwo.

– Wiem o tym – warknęła Marina.

– Pomogę pani określić, skąd ona pochodzi. Może to pomoże w dochodzeniu.

– To ja decyduję, co pomaga w dochodzeniu, a co nie.

Dziewiętnaście minut.

Długa chwila milczenia.

Osiemnaście minut.

– Jak pan może określić, skąd pochodzi ceramika? Przecież pan nie widzi.

– A pani skąd może wiedzieć, kto popełnił przestępstwo? Przecież nie jest pani aniołem stróżem, który unosi się nad miejscem zbrodni.

Niepotrzebnie mnie poniosło.

– Przepraszam. – Postarałem się złagodzić ton. – Zdenerwowałem się.

– Właśnie widzę.

Znowu chwila ciszy. Siedemnaście minut.

– Jestem specjalistą od ceramiki minojskiej. Zajmuję się nią od piętnastu lat. Po dotyku rozpoznaję, z jakiego naczynia pochodzi skorupa. I z jakiego stanowiska. I jak to naczynie jest datowane.

Ubranie Mariny zaszeleściło, jakby wbiła dłonie w kieszenie.

– Wiem. Zrobiłam wywiad na pana temat. Jest pan słynny w swoim środowisku.

To dlaczego, głupia kobieto, tracisz czas na bezsensowne pytania?! Zostało piętnaście minut.

– Niech pan tu zaczeka.

Odwróciła się i zastukała obcasami w korytarzu.

Namaciałem drogę do najbliższej ściany i oparłem się o nią. Kolana się pode mną ugiwały.

– Co to za ceramika, Tom?

Annika mówiła cicho, jakby się bała, że dyżurny ją usłyszy. Niepotrzebnie, od strony komputera dobiegały znowu regularne dźwięki pasjansa.

– Później ci wytłumaczę – powtórzyłem moją mantrę.

– Oni mieli w plecaku jakąś ceramikę?

– Tak, ale nie z Halasmenos. Potem ci wyjaśnię.

Marina nie wracała.

Nacisnąłem zegarek. Dziewięć minut.

Znowu wybrałem numer Mony. Zamiast sygnału na linii zachrobotowało.

– Tom?

Osunąłem się plecami po ścianie. Usiadłem na linoleum.

– Wszystko w porządku? – spytałem.

Jej głos brzmiał, jakby była na dnie morza.

– Tom, strasznie kiepskie połączenie.

– Posłuchaj mnie...

Urwałem. Co miałem jej powiedzieć? Że jakiś szaleniec zepchnął jej psa ze skały i teraz czai się, żeby zepchnąć ją? Że mogę nie zdążyć odesłać odpowiedzi na idiotyczny quiz z limitem czasowym, jak telewizyjne Koło Fortuny?

– Jesteś jeszcze na górze? – spytałem.

Zatrzeszczało. Nie zrozumiałem ani słowa.

– Halo?

Jeszcze więcej trzasków. A potem zajęty sygnał.

Siedem minut!

Kroki na korytarzu. Zerwałem się z podłogi.

– Nie wiem, gdzie znajdziemy stół, żeby rozłożyć tę całą ceramikę. Może w sali...

– Proszę mi ją podać.

Włożyła mi w ręce foliowy worek.

Przykucnąłem. Rozsypałem skorupy na wykładzinie. Przesunąłem po nich dłońmi.

Szybko oddzieliłem dna, wylewy i ścianki naczyń. Po tych ostatnich przejechałem palcami w poszukiwaniu dekoracji. Nic nie znalazłem. Amatorzy z tych Wojnarów. Nie wiedzieli, że niedekorowane skorupy z brzuśców nie mają żadnej wartości nawet dla archeologów. I wcale nie wyglądają ładnie na kominku.

Sześć minut.

Odsunąłem skorupy z brzuśców na bok. Rozłożyłem wylewy i oddzielnie fragmenty dna.

Dotknąłem każdego z nich. Cofnąłem dłoń. Po chwili przesunąłem nią jeszcze raz po ceramicznych fragmentach.

Coś się nie zgadzało.

Kiedy zbiera się ceramikę w wykopie, zazwyczaj każda skorupa pochodzi z innego naczynia. Archeolodzy skaczą z radości, jeśli uda im się znaleźć dwa pasujące do siebie kawałki, z tego samego garnka albo talerza.

Na śmierdzącej gumą wykładzinie rozłożyłem w sumie siedemnaście skorup, jednak nie pochodziły z siedemnastu naczyń. Ani z szesnastu. Tylko z trzech...

Poprzesuwałem szybko elementy, żeby je do siebie dopasować. Wysoki dzban z wylewem w kształcie liścia koniczyny. Misa z płaskim brzegiem. I mały koniczny kubek.

Dałbym sobie uciąć rękę, że gdyby je skleić, wyszłyby kompletne naczynia, nie brakowałoby ani kawałka.

Jeszcze raz przesunąłem dłonią po rozłożonych skorupach.

I nagle zakręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, że zużyłem cały tlen w komisariacie.

Znałem tę ceramikę. Znałem te naczynia!

Zerwałem się na nogi. Nacisnąłem przycisk zegarka.

Dwie minuty!

– Gdzie jest toaleta? – spytałem.

– Drugie drzwi na prawo – odpowiedziała Marina tak szybko, jakby tylko czekała na to pytanie. – Pomóc panu znaleźć?

– Dam sobie radę.

Ominąłem rozłożone skorupy i zacząłem macać ręką po ścianie.

– Tom, co z tym zrobić, pozbierać? – krzyknęła za mną Annika.

Nie odpowiedziałem. W głowie tykał mi zegar.

Minuta i dwadzieścia sekund.

Otworzyłem drzwi i oparłem się o nie. Nie miałem czasu szukać kabiny. Wyciągnąłem z kieszeni telefon.

Minuta i pięć sekund.

– Nowa wiadomość tekstowa – powiedziałem do aparatu.

– Polecenie. Niejasne. Proszę. Powtórzyć. Polecenie.

Zacisnąłem dłoń na obudowie, aż plastik zatrzeszczał.

– Nowa. Wiadomość. Tekstowa – powtórzyłem powoli i podałem numer.

Miałem czterdzieści sekund, żeby powiedzieć, o co mi chodziło. A musiałem mówić wolno i wyraźnie.

– Wojnarowie. Mieli. Czyste. Palce. Nie. Zebrali. W. Halasmenos. Ceramiki. Którą. Mieli. W. Plecaku. Ta. Ceramika. Pochodzi. Z. Knossos. Z. Depozytu. Gamma-Lambda-Dwanaście.

Wciągnąłem powietrze.

– Koniec. Wiadomości – powiedziałem do telefonu. – Wyślij. Wiadomość.

Mój zegarek zapikał. Była czternasta.

Zdążyłem.

Ochlapałem twarz zimną wodą. Oparłem się o umywalkę i skierowałem niewidzący wzrok przed siebie, tam, gdzie powinno być lustro. A może w policyjnych toaletach nie montuje się luster?

Zdążyłem. Nie wiem, czy to była prawidłowa odpowiedź, ale do zabitych Wojnarów na pewno nie pasowały czyste ręce. Nie nazbierali ceramiki w Halasmenos.

W ogóle jej nie nazbierali.

Ceramika z depozytu Gamma-Lambda-Dwanaście została wykopana dawno temu, na samym początku dwudziestego wieku. Od tego czasu jest w Muzeum Stratygraficznym w Knossos. Wojnarowie najpewniej nielegalnie kupili ją od

jakiegoś pracownika muzeum, który postanowił dorobić do rodzinnego budżetu.

Otarłem pot z czoła. Ściągnąłem z głowy tę idiotyczną bandanę i dotknąłem opatrunku. Krew już zaschła. Może obejdzie się bez kolejnej wizyty w szpitalu.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Panie Mara, czy wszystko w porządku?

To był głos tej policjantki, Mariny.

– Tak! – odkrzyknąłem. – Już wychodzę.

Schowałem telefon do kieszeni, jeszcze raz ochlapałem twarz zimną wodą i otworzyłem drzwi.

Odliczyłem kroki i zatrzymałem się obok miejsca, gdzie rozłożyłem na podłodze ceramikę. Przykucnąłem. Na wykładzinie zostało tylko odrobinę pyłu.

– Gdzie są skorupy?

– Pana asystentka je spakowała – powiedziała Marina.

Annika nie odzywała się ani słowem.

Ciągle miałem ściśnięte gardło i z trudem wypowiadałem wyrazy:

– Nic nie szkodzi, wszystko już wiem. Przyślę pani raport. Proszę, niech pani poda Annice swój adres mejlowy.

Nie czekałem, aż to zrobi. Pożegnałem się i ruszyłem w kierunku wyjścia, jednak po dwóch krokach zderzyłem się z Mariną. Bezszelestnie zaszła mnie od drugiej strony.

– Chciałabym z panem porozmawiać.

– Jestem ranny. – Obróciłem się i pokazałem jej bok głowy. – Muszę pojechać do szpitala, żeby lekarz to obejrzał.

Zakrwawiony bandaż najwyraźniej nie robił na niej wrażenia.

– Krew już zaschła – powiedziała to, co i tak wiedziałem. – Szpital może poczekać. A co właściwie się panu stało?

– Uderzyłem się o kamień.

Usłyszałem, jak Annika bierze wdech, ale nie odezwała się ani słowem. Obiecałem sobie w duchu, że postawię jej za to kolację w najlepszej knajpie w nomie Lasiti.

– Powinien pan bardziej uważać – zauważyła Marina. Pomilczała chwilę i dodała: – I po wypadku, zamiast odpoczywać, urządza pan tajemnicze oględziny zwłok i znalezionej przy nich ceramiki.

Nie było sensu zaprzeczać faktom.

– Powie mi pan po co?

Nie miałem najmniejszego zamiaru opowiadać jej o esemesach od dziwnego świra, który zadawał idiotyczne zagadki, a pomyłka w odpowiedzi groziła śmiercią lub kalectwem. Nie mogłem niczego udowodnić. Pierwszych kilka wiadomości z pytaniem o Wojnarów skasowałem, a pozostałe to zaledwie kilka nieznaczących zdań.

Odchrząknąłem.

– Po prostu chciałem sprawdzić tę ceramikę. To mój obowiązek jako archeologa. Wy zajmujecie się ściganiem przestępców, ale my musimy wiedzieć wszystko o ukradzionych zabytkach.

– Szukał pan ceramiki w kostnicy?

– No przecież nie wiedziałem, gdzie trzymacie rzeczy. – Chętnie wałnąłbym w coś ręką, ale ściana znajdowała się za daleko, kontuar dyżurnego też. – Myślałem, że jest razem z ciałami.

– A dlaczego udawał pan, że pan widzi?

– Jestem tylko próżnym facetem. Nie lubię, kiedy traktują mnie jak kalekę. I to ostatnie zdanie nawet było prawdziwe.

Marina milczała. Czuję jej wzrok świdrujący moją twarz. Przełknąłem ślinę, ale nie powiedziałem już ani słowa.

– Dostanie pan wezwanie na przesłuchanie, za kilka dni – oznajmiła w końcu.

– Wie pani, gdzie mnie znaleźć – rzuciłem przez ramię i poszedłem do wyjścia.

– Niech pan mi jeszcze powie, jak pan to robi – krzyknęła za mną.

Odwróciłem się.

– Co robię?

– No, że zna pan drogę. I że nigdy się pan nie potyka.

Ćwiczę pamięć. Postanowiłem jednak wymyślić coś lepszego na zakończenie.

– Pewnie pani wie, że ślepcy mają zazwyczaj o wiele lepszy słuch niż osoby widzące.

– Coś słyszałam – przyznała.

– No więc ja nie mam po prostu lepszego słuchu. – Zawiesiłem głos dla efektu. – Mam fenomenalny słuch. Jak nietoperz. Echolokalizuję przeszkody.

Byłem już za drzwiami, kiedy usłyszałem jeszcze:

– Tylko nietoperze wysyłają sygnały dźwiękowe, a potem wyłapują aparatem słuchowym ich odbicia. Pan też tak robi?

Pozostawiłem ją z tą zagadką.

Kiedy dotarłem do samochodu, Annika siedziała nieruchomo za kierownicą.

– Wiszę ci bandankę – powiedziałem.

Mruknęła coś niewyraźnie.

– Moja rana już nie krwawi. Nie musimy jechać do szpitala.

– To cudownie – powiedziała matowym, pozbawionym emocji głosem.

– Myślałem, że się ucieszysz.

– Szaleję z radości. Zapnij pasy.

Zrobiłem, o co prosiła. Aż do Pachia Ammos nie odezwała się ani słowem.

Ja też nie. Trzymałem rękę w kieszeni i dotykałem skorupy, którą ukradłem z worka z ceramiką.

Skręciliśmy już z głównej drogi na podjazd do Kentro, kiedy telefon w mojej kieszeni zapikał.

– Masz. Jedną. Nową. Wiadomość. Tekstową. Z. Numeru. Zero. Sześć. Dziewięć. Zero. Pięć. Osiem. Pięć. Dziewięć. Trzy. Trzy. Dwa. Dostępne. Opcje...

Chciałem przełknąć ślinę, ale gardło miałem całkiem suche. Musiałem odchrząknąć, żeby powiedzieć:

– Czytaj wiadomość.

– Treść. Wiadomości. Pudło. Kropka. Zła. Odpowiedź. Kropka. Koniec. Wiadomości.

**KENTRO, PACHIA AMMOS,
WTOREK, 12 WRZEŚNIA, POPOŁUDNIE, JUŻ NIE TAKIE WCZESNE**

Jak się jest ślepy archelogiem i nie można w dowolnej chwili pójść tak po prostu do biblioteki i sprawdzić informacji w jakimś tomie, tylko trzeba się bawić w skanowanie, programy głosnomówiące i inne takie, człowiek, chcąc nie chcąc, ćwiczy pamięć. Ja robiłem to obsesyjnie. Zapamiętywałem zapachy, kształty i liczbę kroków na każdej trasie, jaką szedłem. I informacje. Nie jestem przesadnie skromny, ale tu nie chodzi o skromność. Naprawdę znałem każdą skorupę wykopaną na Krecie.

Ta ceramika pochodziła z Knossos! Z depozytu Gamma-Lambda-Dwanaście. Byłem równie pewny jak tego, że jeśli skoczę w przepaść, skręcę sobie kark. Jak Mataki.

Zacisnąłem dłoń na skorupie w kieszeni. Annika zahamowała za bramą Kentro. Wskoczyłem z samochodu i wciągnąłem głęboko powietrze.

Nad splechietkiem żwiru zarezerwowanym jako parking unosił się smród oleju i benzyny. Podeszedłem bliżej i dotknąłem dłonią samochodu, a potem drugiego i trzeciego. Ekipa wróciła już z wykopu.

Wyjąłem telefon.

– Połącz z numerem: Ifigenia.

Tym razem sygnał zabrzmiał czysto i wyraźnie. Jej głos też:

– Tom, gdzie jesteś?

– Właśnie przyjechałem. Idź do biblioteki, zaraz do ciebie przyjdę.

Wspiąłem się po schodach. Do biblioteki prowadziły trzy drogi: przez pracownię Oliwii i połączony z nią pokój komputerowy, przez pracownię studentów albo przez patio. Chyba już wiecie, którą wybrałem.

Okazałem się jednak zbyt powolny. Usłyszałem szuranie kłapek i owiał mnie zapach starego papierosowego dymu i niemytych włosów.

– Tom, masz chwilę?

Westchnąłem.

– Mam.

Oliwia pociągnęła mnie w stronę swojej pracowni. Zamknęła za sobą drzwi.

– Jak się czujesz?

– Po to nas tu zaryglowałeś? Żeby dyskretnie dopytać o moje zdrowie? Dziękuję, już lepiej.

To nie była prawda. Nadal kręciło mi się w głowie, a smród jej kitla sprawiał, że coraz bardziej chciało mi się rzygać. Oliwia przysunęła się bliżej. Zacząłem oddychać przez usta, ale nic to nie dało.

– Znowu ktoś ukradł mi figurkę.

– Oliwio, proszę. Może porozmawiamy o tym później.
– Tom, ja nie żartuję. – Przez chwilę jej głos dobiegał z oddali, jakby obejrzała się za siebie. – Taką małą terakotową boginię z uniesionymi rękami. Miałam dwie, a teraz jest tylko jedna.

Może raczej: położyłam ją gdzieś i nie wiem, gdzie się znajduje?

Albo: wpisałam dwa razy do ewidencji tę samą figurkę?

Staralem się, żeby w moim tonie nie usłyszała śladu zniecierpliwienia.

– Może jest w pracowni fotograficznej?

– Już wszystko sprawdzałam. Przeszukałam każdy kąt.

– To może zostawiłaś ją do wyschnięcia na patio? Często tak robisz z zabytkami po umyciu.

– Tom, już ci mówiłam, nigdzie jej nie ma. Ktoś ją ukradł!

Znowu obejrzała się za siebie.

– A może po prostu źle ją wpisałaś do dokumentacji.

Zassała powietrze.

– Chcesz powiedzieć, że mam burdel w papierach?

Chciałem, nawet bardzo. Ale zamiast tego powiedziałem:

– Oliwio, tu nikogo nie ma oprócz naszej ekipy. Nikt z tych ludzi nie kradnie figurek.

– A jednak giną.

– Oliwio, posłuchaj...

– Tutaj nie ma żadnych obcych.

– Oliwio...

– Więc to musi być ktoś z nich. I nawet wiem konkretnie kto. To Romanos!

Podszedłem do drzwi.

– Posłuchaj, poszukaj jej jeszcze, dobrze? Jeśli rzeczywiście nigdzie nie znajdziesz, porozmawiamy jutro.

– Nie znajdę! – zawołała za mną. – Ani dzisiaj, ani jutro, ani pojutrze. Bo Romanos ją ukradł!

Ale już nie słuchałem. Przeszedłem przez pokój komputerowy (na szczęście pusty), przez korytarz koło lodówki z napojami i pociągnąłem za klamkę drzwi do biblioteki. W środku pachniało szałwią i dzikim tymiankiem. Usłyszałem szybkie kroki w wykopaliskowych butach. Ifigenia bez ostrzeżenia rzuciła mi się w ramiona.

– Tom, to było straszne!

Przytuliłem ją mocno i pocałowałem w czubek głowy. Jej włosy pachniały kurzem. Nie takim zwykłym kurzem jak przy drodze, tylko pyłem sprzed tysięcy lat. To zupełnie inny zapach.

Za to ciało Ifigenii wydzielalo odór gniewu. I strachu.

– Myślałem, że go nie znosisz – wyszeptałem jej do ucha.

Odepchnęła mnie.

– Myślisz, że płaczę po tym kundlu? Chyba zwariowałeś.

Próbowałem ją znowu przyciągnąć, ale jej mięśnie się napięły.

– Straszne było, jak Mona zmusiła mnie, żebyśmy go odszukały pod tą skałą.

A potem jeszcze wykopała dół, żeby go pogrzebać. Musiałam jej pomóc zawlec tego śmierdziela, bo wszyscy już poszli. A nad ścierwem krążyły muchy. Bueee. Ciągle chce mi się rzygać, jak o tym myślę.

Usłyszałem szelest tkaniny, jakby wytarła ręce o ubranie.

Przyciągnąłem ją do siebie, chociaż się opierała. Tak naprawdę chciałem się ogrzać. W tej części Krety jedynie w bibliotece w Kentro (w każdym razie tylko o tym miejscu mi wiadomo) wczesnym popołudniem na początku września każdy marzył o grubym swetrze i szaliku. Coś zepsuło się w klimatyzacji i nie dało się ustawić temperatury powyżej czternastu stopni, a jedyny od Agios po Sitię technik pojechał do chorej matki na Chios i nie powiedział, kiedy wróci. Czuję na ramionach gęsią skórę. Brzegi rany pod opatrunkiem skurczyły mi się z zimna, ale chłód łagodził ból.

– Tom, czy ty mnie słuchasz?

– Oczywiście. – Wciągnąłem w płuca jeszcze raz tysiącletni kurz z jej włosów. – Słucham cię cały czas.

– To było okropne, nie mogę przestać o tym myśleć.

Wsunąłem dłoń pod jej bluzkę na plecach. Poczułem pod palcami miękką skórę. Przesunąłem palce wyżej, pod zapięcie stanika.

Wyszarpnęła się.

– Masz to w dupie, prawda?

– Ifi, proszę.

Odepchnęła mnie. Usłyszałem, jak przysuwa sobie krzesło. Ja też usiadłem – w plamie słońca przy oknie, jedynym miejscu w tej pieprzonej bibliotece, gdzie nie groziła hipotermia.

– Ifi... – Wyciągnąłem do niej rękę.

Krzesło szurnęło. Odsunęła się dalej.

– Uważasz, że przesadzam?

– Uważam, że jesteś bardzo zdenerwowana.

Wstała tak gwałtownie, że krzesło upadło.

– No jasne, kurwa, że jestem zdenerwowana.

– Widziałaś to?

– Co? – Sądząc po jej głosie, wybiłem ją z rytmu.

– Jak Mataki spadał.

Rzecz jasna, nie mogłem złapać jej spojrzenia, ale czułem, jak pełen politowania wzrok wwierca mi się w czaszkę.

– Ja tam pracuję, Tom. Nie spędzam czasu na sprawdzaniu, co robi ten

kundel.

– A widziałaś tam kogoś obcego? Jakiegoś pasterza, turystę, zbłąkaną staruszkę, bo ja wiem?

Ruch powietrza. Ifigenia pokręciła głową.

– Nie.

– Dzisiaj na górze byłaś tylko ty i Mona?

– Ile razy jeszcze mnie o to zapytasz?

Plama słońca przesunęła się, więc ja też odsunąłem się z krzesłem trochę na bok.

– A jak ona się czuje?

– Ta idiotka twierdzi, że Matakci spadł przeze mnie. Że go zepchnęłam, bo mi wyciągał etykiety z ceramiki.

Zesztywniały mi mięśnie, i to nie z zimna.

– Na pewno nie mówiła tego poważnie – powiedziałem jak automat.

– Ty jej bronisz, Tom? Naprawdę?

Ifigenia mówiła coś jeszcze, ale nie słuchałem, bo mój mózg przetwarzał dane.

Ifigenia nienawidziła Matakiego, to fakt. I pracowała w Katalimacie, to drugi fakt. Mogła wykorzystać nieuwagę Mony. Mogła kupić sobie na kartę drugą komórkę, której numeru nie znałem, i wysyłać do mnie esemesy. Co prawda nigdy wcześniej nie przejawiała morderczych instynktów, ale przecież gdyby takie miała, starałaby się je głęboko ukryć, nie?

Tak, teoretycznie to było możliwe. Nawet więcej niż możliwe...

Tylko że głupie. Jeśli naprawdę chciała zepchnąć tego durnego psa, dlaczego po prostu tego nie zrobiła i już? Dlaczego zadała mi tę głupią zagadkę? Dlaczego chciała, żebym jak najszybciej ją rozwiązał? Co ją obchodzili jacyś turyści z Polski, którzy nielegalnie kupili kilka skorup z Knossos?

– A ty mnie znowu nie słuchasz, Tom!

Umilkła. Przez chwilę w powietrzu unosił się tylko pomruk klimatyzatora. Pociągnąłem nosem i wyczułem lekki zapach pleśni. Kiedy ten technik wreszcie wróci od mamusi, będzie musiał nie tylko ustawić termostat, ale i zmienić filtry.

Na korytarzu rozległy się kroki. Ktoś się zaśmiał, ktoś walnął drzwiami.

Ifigenia przesunęła krzesło na miejsce.

– Wracam do pracy, Tom.

– Przepraszam, Ifi, ja...

Odeszła. Zatrzymała się dopiero przy drzwiach.

– Nie wiem, czy to takie dobre dla naszego związku, że nie obchodzi cię, co czuję.

– Obchodzi mnie – powiedziałem. A co miałem powiedzieć? Ale i tak wyszła.

Podszedłem do okna. Przesunąłem palcami po szybie. Była gorąca od słońca, choć rama w cieniu miała temperaturę, jakby ktoś wystawił ją na mróz. Na zewnątrz rozciągał się niewidoczny dla mnie świat. Jeszcze do dzisiejszego ranka myślałem, że nie muszę go widzieć, żeby rozumieć. Okropnie się myliłem.

Czy to naprawdę Ifigenia pisała do mnie esemesy z idiotycznymi zagadkami, groziła Monie i zepchnęła Matakiego? Czy gdzieś tam, obok półki skalnej, czaił się jakiś świr, który wymyślił sobie okrutną zabawę?

Naprawdę nie wiedziałem, co mam o tym myśleć.

Zadzwoił mój telefon. Odsunąłem się od szyby.

– Cześć, Tom, to ja. – Zachrypnięty głos Mony. – Słuchaj, przepraszam cię, ale okropnie boli mnie głowa. Uzgodniłam z Ifigenią, że nie będę dzisiaj pracować w Kentro, tylko uzupełnię dokumentację w domu. To znaczy w pensjonacie.

– Nie ma sprawy – powiedziałem.

Milczała przez chwilę. Słyszałem jej oddech.

– Jak się czujesz? – spytała w końcu. – Słyszałam o wypadku.

– Doskonale, dziękuję.

A co jej miałem powiedzieć? Że kręci mi się w głowie i boli jak cholera? I że trudno mi chwilami złapać orientację? Po co jej ta wiedza?

– A co powiedział lekarz? – Wyczułem w jej głosie troskę, której nie usłyszałem w głosie Ifigenii.

– Że będę żyć – mruknąłem.

– Może powinienes się położyć.

– Nic mi nie jest, naprawdę.

– Tom, to nie są żarty. Od takiego uderzenia w głowę można dostać wstrząsu mózgu, a to może się naprawdę źle skończyć. Może powinienes... – Zawahała się. – Może powinienes trochę odpocząć, a nie siedzieć w pracy. Wiem, że to nie moja sprawa, Tom, ale cudem uniknąłeś dzisiaj śmierci. A Matak...

Głos jej się załamał. Pociągnęła nosem.

Przełożyłem aparat do drugiej ręki.

– Mona, co się stało tam, na górze?

Znowu zawahała się, zanim odpowiedziała.

– Nie wiem. Pracowałyśmy normalnie. A potem zaczęłam wołać Matakiego, a on nie przychodził. I wtedy zorientowałam się, że spadł.

– Naprawdę myślisz, że to Ifigenia go zepchnęła?

– Nie wiem, Tom. Ale tam nie było nikogo innego.

– Ten pies miał jedno oko, Mona. Mógł po prostu źle obliczyć odległość, skoczyć na jakiś kamień przy samej krawędzi i stracić równowagę.

– Chyba żartujesz! Matak to najmądrzejszy pies, jakiego znałam. Skoro z jednym okiem tyle przetrwał, myślisz, że spadłby z głupiej skały?

Oczywiście, że nie. Nawet gdyby nie esemesowe groźby, nigdy bym w to nie

uwierzył. Ten głupi bydlak miał instynkt przetrwania, za nic w świecie nie skoczyłby w przepaść. Ktoś go zepchnął albo, co bardziej prawdopodobne, zastawił na niego pułapkę. Mataki przetrwał dzięki zerowaniu na śmietniskach, wciągał jak odkurzacz wszystko, czego nie schowano przed nim w lodówce lub w szafkach. Wystarczyło położyć coś do jedzenia na ruchomym kamieniu nad przepaścią. Do tego nie trzeba było doktoratu.

Nie mogłem tego powiedzieć, bo wtedy musiałbym też dodać dalszy ciąg historii. Ten o esemesach i groźbach wobec Mony. I o moich obawach, że mogła je napisać Ifigenia.

Przesunąłem dłonią po włosach. Zahaczyłem o opatrunek i jęknąłem z bólu.

– Mona... Nie jedź jutro do Katalimaty.

Sapnęła ze zdziwienia.

– Chyba zwariowałeś, Tom. To znaczy, przepraszam, ale zostały nam jeszcze tylko dwa tygodnie, nawet niecałe, a ja mam roboty na cztery. Jeśli mnie tam nie będzie, Ifigenia zrobi z tym datowaniem, co tylko będzie chciała.

Co ci tak zależy? – chciałem spytać. Przecież dołączyłaś do ekipy tydzień wcześniej. To nie są tak naprawdę twoje wykopaliska. Powinnaś mieć gdzieś, co Ifigenia zrobi z datowaniem.

Ale głośno powiedziałem:

– Masz też mnóstwo pracy tutaj, w Kentro. Z katalogowaniem materiału i tak dalej. Zrób sobie jutro wolne. Śmierć Matakiego to na pewno był dla ciebie szok, potrzebujesz odpoczynku.

Zachrypiała bardziej niż normalnie:

– To wykluczone, Tom. Nie wiem, o co ci chodzi, ale nie mogę sobie pozwolić na wolny dzień ani nawet na wolną godzinę.

– Mona, proszę.

– Nie mogę. I nie rozumiem, dlaczego to dla ciebie takie ważne.

Otworzyłem usta. Zaczepnąłem powietrza. Naprawdę miałem jej powiedzieć o tych groźbach. I o tym, że Mataki spadł przeze mnie, bo nie potraktowałem ich poważnie.

I w końcu nic nie powiedziałem. Nie podziękowałem jej nawet za troskę o moje zdrowie. Po prostu rozłączyłem się. A potem wyszedłem z biblioteki i zacząłem szukać Ifigenii.

Zaraz za drzwiami odniosłem wrażenie, że teleportowałem się w tropiki. Koszula na plecach od razu mi zwilgotniała i poczułem, jakby ktoś napchał mi w nozdrza mokrej waty.

Nie powiedziała, dokąd idzie. Nigdzie nie słyszałem jej kroków ani głosu, bo studenci darli się, jakby wszyscy naraz ogłuchli. Nigdzie nie mogłem wyczuć zapachu dzikiego tymianku ani odoru strachu.

Zatrzymałem się na progu pracowni. Studenci znowu klócili się, czy zabici

turyści należeli do mafii rosyjskiej czy azjatyckiej. Dźwięk odbijał się od ścian i nie byłem w stanie rozpoznać, czyj głos należy do kogo.

– Jest tu Ifigenia? – krzyknąłem.

Wszyscy nagle umilkli.

– Nie – powiedziała Yacinta. Albo Melissa. – Nie ma jej tutaj. Chyba poszła do biblioteki.

Odwróciłem się.

– Ifigenia! – krzyknąłem w przestrzeń.

Nikt nie odpowiedział, ale przy lodowce usłyszałem poruszenie i dotarła do mnie fala zastarzałego smrodu papierosów.

Podszedłem bliżej.

– Oliwio, widziałaś Ifigenię?

– Ciiii. – Szturchnęła mnie, żebym się zamknął.

– Co ty robi...

– Bądź cicho. Próbuje podsłuchać, o czym rozmawiają Romanos z Anniką.

Zamknąłem się i też nadstawiłem uszu. Dźwięki głosów dochodziły z pracowni komputerowej. Wcale nie mówili szeptem, przeciwnie, Annika prawie krzyczała:

– Nie rozumiesz, że to całkowicie zmienia sprawę?

Romanos nie podniósł głosu nawet odrobinę. Mówił powoli i trochę przez nos. Może też siedział w bibliotece i złapał katar.

– Nie jestem w stanie wszystkiego przewidzieć i nie wiem, co u kogo siedzi w głowie. Wybacz, nie jestem Duchem Świętym.

– Ale teraz nie wiem, co z tym zrobić. A ty mi wszystko źle wytłumaczyłaś!

– Och, daj już spokój, Annika. Czy to naprawdę tak trudno zrozumieć?

– Nie możesz się wykręcać od odpowiedzialności! – krzyknęła. – To ty mi powiedziałaś, jak to zrobić!

– Bardzo interesujące – powiedziałem półgłosem. – Jeśli kogoś interesuje sposób katalogowania całych naczyń. Już to przerabiali, dzisiaj rano na wykopaliskach.

– Tom, nie dość, że ślepy, to jesteś jeszcze głuchy? Oni przecież rozmawiają o kradzieży tej statuetki, nie słyszysz tego? – Oliwia chwyciła mnie za rękę i pociągnęła. – Chodź i posłuchaj. A ja ci dopowiem, czego nie widzisz. Przed chwilą ona opierała się o niego udem, a on obejmował ją w talii i pocałował w kark. On z nią sypia, to chyba jasne. A ona z wdzięczności robi dla niego wszystko. Aktualnie ta pomoc dotyczy kradzieży zabytków z mojej pracowni.

Wyrwałem się i cofnąłem o kilka kroków.

– Oliwio, na litość boską! Mam w dupie, kto z kim sypia i dlaczego. I wolałbym, żebyś ty też miała to w dupie.

Mruknęła coś, ale nie dosłyszałem, poza tym nie zamierzałem pytać.

Okręciłem się wokół własnej osi. Ifigenia na pewno siedziała na dziedzińcu. Codziennie tam była o tej porze, sortowała ceramikę.

Pociągnąłem za drzwi.

– Ifi!

Nie odpowiedziała, jednak wiało, a wiatr zagłuszał dźwięki i porywał zapachy. Mogła tam być.

Zszedłem powoli po schodkach.

– Ifi?

I wtedy zapikał mój telefon.

Wyszarpnąłem z kieszeni aparat.

– Masz. Jedną. Nową. Wiadomość. Tekstową. Z. Numeru. Zero. Sześć. Dziewięć. Zero. Pięć. Osiem. Pięć. Dziewięć. Trzy. Trzy. Dwa. Dostępne. Opcje...

Poczułem, jak zasycha mi w ustach.

– Odczytaj. Wiadomość.

– Treść. Wiadomości. Nie. Udało. Ci. Się. Z. Pierwszą. Zagadką. Przecinek. Ale. Masz. Kolejną. Szansę. Dwukropek. Skąd. Pochodzi. To. Przecinek. Co. Nie. Pasuje. Do. Pokoju. Mony. Znak. Zapytania. Tym. Razem. Też. Masz. Dwie. Godziny. Kropka. A. Potem. Mona. Może. Się. Poślizgnąć. Kropka. Jak. Mataki. Kropka. Koniec. Wiadomości.

Gdybym widział, pewnie gapiłbym się na telefon, ale po prostu trzymałem go w wyciągniętej przed siebie ręce.

Była piąta z minutami. Po południu. Kilkanaście minut temu rozmawiałem z Moną, która dzwoniła z Pachia Ammos, z pensjonatu położonego tuż przy plaży, na płaskim terenie. Ma wszystkiego kilkanaście schodów, da się tam najwyżej skrócić kostkę, ale na pewno nie kogoś zepchnąć ze skutkiem śmiertelnym.

– Dostępne. Opcje – powiedział nagle telefon. – Odpowiedz. Na. Wiadomość. Skasuj...

– Odpowiedz na wiadomość – rozkazałem.

– Nagraj. Wiadomość. Po. Sygnale. Dźwiękowym.

Próbowałem zebrać myśli.

– Tym razem pudło z twojej strony – powiedziałem wyraźnie. – Mona jest bezpieczna w Pachia Ammos. Koniec wiadomości.

Usiadłem na gorącym od słońca schodku. Nie wiem, czy spodziewałem się odpowiedzi od razu, ale przyszła prawie natychmiast.

Była krótka.

– Jesteś. Pewien. Znak. Zapytania. Koniec. Wiadomości.

Oczywiście, że tak. Pewien jak cholera.

Zerwałem się ze schodka i aktywowałem aparat, który ciągle trzymałem w ręku.

– Połącz z numerem: Mona.

– Łączę. Z. Numerem. Mona.

Czekałem.

Jeden sygnał.

Drugi. Trzeci. Czwarty. Piąty.

Może bierze prysznic. Albo przełączyła go na wibrację i po prostu nie słysza...

Byłem tak zdziwiony, kiedy w końcu odebrała, że omal nie upuściłem aparatu.

– Nie mogę teraz rozmawiać, prowadzę.

Co?

– Mona, dokąd ty jedziesz? Przecież mówiłaś, że boli cię głowa i zostaniesz dzisiaj w pensjonacie.

– Muszę wrócić do Katalimaty. Przez Matakiego – głos jej zadrżał – zapomniałam zanotować numery warstw. Jak nie zrobię tego dzisiaj, do jutra wszystko mi się popieprzy.

– Mona, poczekaj. Przecież cię prosiłem, żebyś tam nie jeździła!

– Nie mam teraz czasu na głupie żarty, Tom. Już ci mówiłam, że prowadzę.

Rozłączyła się bez pożegnania.

Spróbowałem dodzwonić się ponownie. I znowu. I znowu.

Nic to nie dało.

Rana na głowie zaczęła pulsować w rytm uderzeń mojego serca.

– Połącz z numerem zero sześć dziewięć zero pięć osiem pięć dziewięć trzy trzy dwa – powiedziałem.

Telefon dzwonił i dzwonił, i dzwonił. I nikt nie odbierał.

Wsunąłem aparat do kieszeni. Ścisnąłem skronie.

Nie rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi.

Ktoś (Ifigenia?) zadaje mi zagadki. Kiedy udzielam prawidłowej odpowiedzi, dowiaduję się, że to źle. Ten ktoś (naprawdę to Ifi?!) grozi śmiercią Monie, jeśli ich nie rozwiążę. I raczej nie żartuje, skoro zepchnął (zepchnęła?) ze skały Matakiego.

Po co?

I jeszcze jedno pytanie, ważniejsze: kto? Czy to naprawdę Ifigenia? W jaki sposób miałem się dowiedzieć, czy to ona?

Przeszedłem jeszcze raz przez wszystkie pomieszczenia Kentro. Zajrzałem do kabin w kiblu, na górę do mojego mieszkania i do cholernej piwnicy. Sprawdziłem dziedziniec, patio i ogród dookoła budynku. Nigdzie nie było Ifigenii ani odrobiny jej zapachu. Kilka razy próbowałem się do niej dodzwonić. Miała wyłączony telefon.

Skoro razem pracowały, wiedziała, że Mona czegoś zapomniała i po to wróci. Może więc Ifi siedziała właśnie w Katalimacie, czekała na nią

i przygotowywała się, żeby ją zepchnąć...

Do kurwy, co mi przychodzi do głowy?! To przecież moja dziewczyna, nie jakaś ześwirowana seryjna morderczyni. Może jest ambitna, zaborcza i kłótliwa, ale taka jest połowa ludzkości na tej popieprzonej planecie, albo nawet więcej, a nie wszyscy zajmują się spychaniem psów i ludzi w przepaść!

Telefon piknął.

– Masz. Jedną. Wiadomość. Tekstową. Z. Numeru. Zero. Sześć. Dziewięć. Zero. Pięć. Osiem. Pięć. Dziewięć. Trzy. Trzy. Dwa.

Odsłuchałem.

„Nie dzwoń do mnie. Nigdy. I lepiej się pospiesz. Została ci godzina i pięćdziesiąt minut”.

Poderwałem się. Potrząsnąłem głową, żeby wygnać te myśli o Ifigenii. Rana na skroni zapulsowała.

Co nie pasuje do pokoju Mony?

Był prosty sposób, żeby się o tym przekonać.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 10.17**

Mucha kołowała wokół mojej głowy. Pewnie zwabił ją zapach krwi. Kilka razy próbowała usiąść na ranie. Po machnięciu ręki odlatywała i za chwilę wracała. Jeśli to nie był ostatni krąg piekieł, to nie wiedziałem, co zasługiwało na to miano.

– Panie Mara, proszę się skoncentrować.

– Nie jest mi łatwo – wycedziłem przez zaciśnięte zęby. – W tym pokoju jest z pięćdziesiąt stopni.

– Bardzo mi przykro. Budżet komisariatu nie przewiduje w tym roku kupna klimatyzatora. Ani w przyszłym.

– A zasłon?

Marina lekko westchnęła, odsunęła krzesło i wstała. Podeszła do okna i zaciągnęła materiał. Pomarańcz pod moimi powiekami zmienił się w czerwień, ale jasną, zasłony przepuszczały światło.

Marina mruknęła coś w rodzaju „tylko takie mamy” i wróciła na swoje miejsce po drugiej stronie stołu. Kiedy mnie mijala, wciągnąłem głęboko w nozdrza jej słodko-gorzkie perfumy.

Usiadła i przewróciła stronę w swoich notatkach.

– A co pan robił tamtego wieczoru?

– Chwileczkę, muszę się zastanowić. Mówimy o wtorku, tak?

Jej włosy przesunęły się miękko po jedwabiu bluzki, kiedy skinęła głową. Dopiero po chwili zorientowała się, że musi powiedzieć „tak”.

– Chyba położyłem się wcześniej spać. Bolała mnie głowa i byłem zmęczony. Znowu przerzuciła kartkę.

– Podobno widziano pana we wsi, nad morzem.

Odchrząknąłem. Gardło znowu miałem suche.

– A tak, zapomniałem. Wcześniej jeszcze poszedłem na spacer, żeby trochę odetchnąć po ciężkim dniu. Po prostu musiałem odreagować, rozumie pani?

Jej włosy przesunęły się po kołnierzu bluzki. Być może przytaknęła. A może nie.

– Świadkowie zeznają, że spacerował pan w zakrwawionej koszuli. Czyli pewnie tej samej, w której odwiedził pan przed południem szpital. Nie przebrał się pan?

Nie odpowiedziałem.

– Panie Mara – rzekła powoli Marina, tak powoli, że miałem wrażenie, że nigdy nie skończy zdania. – Sam się pan do mnie zgłosił jako winny zabójstwa Mony Abano i Oliwii Papadaki. Zgodził się na przesłuchanie. Nie chciał adwokata.

– Zrobiła pauzę, ale wiedziałem, że to jeszcze nie koniec. – A teraz pan kłamie –

dodała po chwili. – Co ja mam z panem zrobić?

Nie potrafiłem jej pomóc. Nie potrafiłem nawet pomóc sam sobie. Jedyne, co chciałem zrobić, to pomóc Ifigenii, zanim będzie na to za późno.

PACHIA AMMOS, WTOREK, 12 WRZEŚNIA, POD WIECZÓR

Najszybciej, jak mogłem, zszedłem schodami na dziedziniec i natychmiast skręciłem za róg budynku. W drodze do bramy pomyliłem się przy liczeniu kroków, ale na szczęście nie uderzyłem w słupek, a metalowe skrzydła były otwarte. Zwolniłem, dopiero kiedy poczułem pod stopami asfalt.

Odszukałem lewe pobocze i ruszyłem w dół do Pachia Ammos.

Do wsi prowadziła wiejska droga. Tu w okolicy każdy ma samochód, więc co chwila ktoś mnie mijał. Na Krecie, w tej małej wiosce na zadupiu, wszyscy wszystkich znają, a już na pewno wiedzą, kim jest wysoki blondyn w ciemnych okularach i w czarnych ciuchach. Nikt nigdy mnie nie przejechał ani nawet nie potrącił, ale też nie zaproponował podwiezienia. Sympatia do kalek ma w Grecji wyraźnie wytyczone granice.

Pachia Ammos składa się z trzech ulic. Jedna to przelotówka prowadząca na zachód do Agios, a na wschód do Sitii. Druga jest prostopadła do tej pierwszej i kończy się za ostatnimi zabudowaniami, to znaczy płynnie przechodzi w ścieżkę pośród oliwnych gajów, tak wąską, że nawet osioł wychodzi podrapany. A trzecia to nadmorska promenada wzdłuż płytkiej zatoczki, do której w pogodne dni prąd ze wschodu spycha setki jednorazowych reklamówek. Chociaż słowo „promenada” nie bardzo pasuje do betonowego chodnika i wąskiego pasma piasku niezbyt udatnie naśladowującego plażę.

Przy przelotówce są tylko kiosk, spożywczyak mydło i powidło i kafeneion. Za to promenada skupia życie wsi. Kogoś, kto z niejasnych przyczyn by się tu zatrzymał, skręcił za kioskiem w krótką przecnicę wyłożoną pokruszonym betonem i dotarł do morza, mogły kusić (od wschodu na zachód): tawerna Jorgosa, tawerna Yannisa, tawerna i bar Manolisa, lodziarnia i pizzeria (pizza ohydna i chyba z mrożonki). Tutaj też mieści się jedyny pensjonat w okolicy.

Bramka do ogródka, niewielkiego i zarośniętego malwami, które w upalne dni śmierdziały gnijącym mięsem, stała otworem. Drzwi na dole też. Krzyknąłem: „Linda”, żeby się zapowiedzieć właścicielce, ale nikt się nie odezwał. Lindy nie było, jak zwykle. Nie wiem, jakim cudem mogła w taki sposób prowadzić interes.

Chwyciłem poręcz i wspiąłem się na drugie piętro. Skręciłem w korytarz w prawo i odliczałem drzwi po prawej stronie. Do trzecich zapukałem. Wiedziałem, że nikt mi nie otworzy, Mona już pewnie dojechała do Katalimaty, ale na wszelki wypadek zapukałem jeszcze raz, a później cofnąłem się do schodów. Nie zszedłem, tylko skręciłem w lewo i ostrożnie, macając ścianę, dotarłem do drzwi wychodzących na balkon, który obiegał budynek dookoła.

Przekręciłem klamkę i wyszedłem na wąski pas betonu. Znowu skręciłem

w lewo. Wiodłem dłonią po fasadzie i czułem pod palcami na zmianę chropowaty tynk i gładką powierzchnię balkonowych szyb. Doszedłem do trzecich. Nacisnąłem na listwę między szynami i pchnąłem.

Drzwi uchyliły się ze skrzypieniem. Zamarłem i nadśluchiwałem przez chwilę, ale nie dotarło do mnie nic podejrzanego. Morze szumiało, Jorgos pokrzykiwał na kelnerów, a z jednej z knajp dochodził zapach smażonego mięsa. Zaburczało mi w brzuchu.

Zamknąłem za sobą drzwi.

Obróciłem się wokół własnej osi.

Namacałem łóżko i przysiadłem.

Co nie pasuje do pokoju Mony...

Żeby odpowiedzieć na to pytanie, musiałbym wiedzieć najpierw, co pasuje. A nie wiedziałem. Nigdy wcześniej tu nie byłem.

Wstałem. Podszedłem do najbliższej ściany, a potem, pomagając sobie rękami, zacząłem przesuwając się w prawo. Obmacywałem po kolei wszystkie meble na mojej drodze.

Stolik nocny. Na stoliku lampka i sfatygowany egzemplarz powieści, w pozwijanych okładkach. Pewnie z półki, którą zasilają studenci w Kentro. W szufladzie opakowanie pigułek antykoncepcyjnych (żadne inne lekarstwa nie występowały w takich małych pastylkach, w listkach po dwadzieścia osiem), baterie z ładowarką, druga ładowarka, do komórki, kilka chusteczek do nosa i coś, co nie mogło być chyba niczym innym niż gumką do włosów.

Za stolikiem szafa. W górnej części zakurzony koc. Na wieszakach kilka spódnic. Na półkach bielizna, poskładane podkoszulki i wykopaliskowe spodnie. Wszystko pasowało. To znaczy nie wiem, czy to normalne, żeby na wykopaliska wkładać koronkowe majtki, ale ja się na tym nie znam.

Za szafą pokój się kończył. Zacząłem przesuwając się wzdłuż prostopadłej ściany. Nic przy niej nie stało, ale omal nie zrzuciłem obrazka za szkłem. Nie byłem w stanie stwierdzić, co przedstawiał i czy pasował do pokoju czy nie, jednak dla pewności obmacałem ramkę i tył. Nic.

Powiesiłem obrazek z powrotem na gwoździu i dotarłem do załamania ściany, gdzie znalazłem drzwi do łazienki. Postanowiłem ją zostawić na koniec. Sprawdzenie, co nie pasuje do łazienki kobiety, mogło mi zająć wieki.

Dalej ściana znowu zakręcała i tam znajdowały się drzwi na korytarz. Dotknąłem klamki. Zamknięte na klucz. Trochę bez sensu, skoro każdy mógł tu wejść przez balkon.

Odwróciłem się tyłem do drzwi i oparłem o nie plecami. Ciemność przed moimi oczami była trochę jaśniejsza, kiedy patrzyłem prosto przed siebie. Czyli tam musiało być okno. Pokonałem połowę pokoju.

Nadal posuwałem się w prawo wzdłuż ściany. Nic tam nie stało ani nie

leżało na podłodze. Mona miała porządek: żadnych porzucanych ubrań, żadnych śmieci, żadnych papierów. Cisza (wyjąwszy szum morza) i tylko mocny zapach olejku różanego w powietrzu.

Doszedłem do końca ściany i skręciłem w prawo. Tutaj wisiał kolejny obrazek pod szkłem (Linda rozpieszczała swoich gości), a pod nim stała komoda. Z trzema szufladami. Wysunąłem górną. Śmierdziało naftaliną, a pod palcami poczułem wykrochmalone płótno. Czyli to rzeczy Lindy, która najwyraźniej uważała, że kiedy upchnie trochę swoich maneli w wynajętych pokojach, stworzy domową atmosferę.

Z drugiej szuflady też buchnął zapach naftaliny. Sztywne płótno ozdobiono haftem z mereżką. Obmacałem szufladę, ale nie znalazłem nic bardziej podejrzanego niż obrusy.

A w trzeciej szufladzie, tej na dole, na samym wierzchu, na wykrochmalonych, wymaglowanych, ułożonych w sztywne kwadraty serwetach leżała figurka.

Fragment figurki. Ręka.

Rączka.

Niewielka, długości mojego kciuka, ale cieńsza.

Pogładziłem ją. Była wyrzeźbiona z kości słoniowej albo z kła dzika. Żeby odróżnić te dwa materiały, trzeba się znać, mieć mikroskop i móc coś w nim zobaczyć.

Wyrzeźbiona perfekcyjnie. Pod opuszką palca czułem maleńkie paznokcie, żyły i ścięgna.

Nie potrzebowałem wzroku, żeby zrozumieć, jaka jest śliczna.

Ani by zrozumieć, że nie pasuje do pokoiku w pensjonacie w kreteńskiej wsi.

Ale trzeba być archeologiem, żeby wiedzieć, skąd się tu wzięła.

Z Knossos. Z depozytu Gamma-Lambda-Dwanaście.

Z tego samego depozytu, z którego pochodziły skorupy w plecaku Wojnarów.

**PACHIA AMMOS,
WTOREK, 12 WRZEŚNIA, WCZESNY WIECZÓR**

Z powrotem wymacałem łóżko i usiadłem. Rana na głowie pulsowała coraz mocniej.

Gładziłem palcami kościaną rączkę.

Pochodzącą z depozytu z Knossos.

Dlaczego znalazłem ją w pokoju Mony?

Zasada brzytwy Ockhama każe szukać najprostszych rozwiązań. Ślepcy też powinni się do niej stosować, bo to bardzo ułatwia życie.

Więc ogromnie pragnąłem chociaż wierzyć, że Mona znalazła rączkę na drodze, że to własność rodziny Lindy, bo jej dziadek prowadził nielegalne wykopaliska, albo że to po prostu zły sen, prawda była zapewne o wiele prostsza. Rączka znajdowała się w pokoju Mony, zamiast w muzealnym magazynie, bo Mona ją ukradła.

Po co?

Brzytwa Ockhama i tutaj dostarcza sensownego rozwiązania. Na sprzedaż. Archeolodzy raczej nie śmierdzą groszem. Mona nie stanowiła wyjątku. Za taką rączkę można dostać sporo kasy.

Więcej niż za skorupy, na przykład te, które Wojnarowie mieli w plecaku...

Zamyśliłem się. Mona przebywała na terenie wykopalisk tamtego dnia, kiedy myśliwi zakończyli nieudane wakacje prawnika z Polski i jego żony. Twierdziła, że poszła sprawdzić stratyografię. Ale skąd mogłem wiedzieć, czy mówiła prawdę. Może spotkała się z tymi Polakami, żeby sprzedać im skorupy, które ukradła z Knossos razem z rączką. Może na rączkę też już miała kupca.

Jezu, czy aż tak myliłem się w ocenie ludzi? Czy moja nowa asystentka była złodziejką, a moja dziewczyna szantażystką? Czy to jeden z sennych koszmarów i zaraz się obudzę?

Mój zegarek piknął trzy razy, wybiła szósta. Poderwałem się z łóżka i wyciągnąłem telefon. Wiem, że to głupie, ale miałem satysfakcję, że rozwiązałem chorą zagadkę godzinę przed czasem.

Wtedy usłyszałem za drzwiami kroki. W zamku zachrobotał klucz.

Najpierw poczułem, jak zalewa mnie ulga. Mona wróciła bezpiecznie z Katalimaty, nic jej się nie stało.

Ale potem spanikowałem. Bo nie miałem prawa tu być.

Kopnąłem w kierunku, w którym powinna być szuflada. Udało się, wsunąłem ją, chociaż nie zdążyłem już odłożyć na miejsce kościanej rączki. Wcisnąłem ją do kieszeni. Odwróciłem się twarzą w stronę drzwi i uśmiechnąłem głupio.

– Jezu, Tom, ale mnie przestraszyłeś! – To musiała być prawda, jej głos zachrypiał bardziej niż zwykle. – Co ty robisz w moim pokoju?

Nie przygotowałem sobie dobrego wytłumaczenia.

Odchrząknąłem.

– Powinnaś lepiej pilnować rzeczy. Każdy może tu wejść przez balkon.

– No to co? – Mona minęła mnie i podeszła do okna. – Jeśli ktoś chce kraść moje wykopaliskowe ciuchy, proszę bardzo. Tylko że tutaj, w Pachia Ammos, naprawdę nie kradną.

To prawda. Największą zbrodnię, jaka kiedykolwiek wydarzyła się w wiosce, popełnił kilka lat temu pewien angielski turysta, który podglądał przez lornetkę córkę Lindy.

Dziewczyna podeszła bliżej. Owiała mnie fala różanego olejku i poczułem, jakbym stracił wszystkie zmysły, nie tylko wzrok.

– Co robisz w moim pokoju?

Nadal nie miałem sensownej odpowiedzi, więc po prostu chwyciłem Monę za rękę i przyciągnąłem.

I pocałowałem.

Odepchnęła mnie dopiero po dobrej minucie.

– Co się dzieje, Tom?

Działo się bardzo dużo, tylko nie wiedziałem, jak to opowiedzieć.

– Ja po prostu... Nie mogę tego wytłumaczyć.

I to była prawda. Nie mogłem. I nie chciałem.

– Ostatnio dziwnie się zachowujesz.

Chyba każdy zachowywałby się dziwnie na moim miejscu.

– To znaczy dzisiaj dziwnie się zachowujesz. Od czasu tego uderzenia w głowę. – Delikatnie dotknęła mojej skroni. – Boli cię jeszcze?

Bolało, ale nie o to chodziło. Mona myliła przyczynę ze skutkiem. Nie dlatego zachowywałem się dziwnie, że uderzyłem się w głowę. Uderzyłem się w głowę dlatego, że ktoś rozpoczął dziwny ciąg wydarzeń.

– Może powinieneś wrócić do domu i odpocząć?

Czy naprawdę stała za tym Ifigenia?

– Tom? Czy ty mnie słyszysz?

– Co? Tak, oczywiście. Nie uszkodziłem sobie narządu słuchu.

– Więc dlaczego...

Znowu ją pocałowałem. Nie czułem się na siłach dalej prowadzić tej rozmowy.

– Jesteś pewien? – spytała po kolejnej minucie.

Niczego nie byłem pewien, ale pokiwałem głową. I pochylilem się nad Moną jeszcze raz.

– Daj mi pięć minut – wymamrotała.

Wyswobodziła się z moich objęć. Usłyszałem, jak zsuwa z nadgarstka bransoletki i jak ich metal brzęczy o blat nocnego stolika, a ona idzie do łazienki i zamyka za sobą drzwi.

Nagle zakręciło mi się w głowie. Oparłem się jedną ręką o ścianę, a ta zaczęła wirować razem ze mną. Wyciągnąłem z kieszeni telefon. Za szybko. Kościana rączka wypadła i uderzyła o podłogę.

Rzuciłem się na kolana i zacząłem macać wokół siebie. Słyszałem, jak Mona stuknęła czymś w łazience. Po chwili zaszumiał prysznic.

Położyłem się brzuchem na zimnej kamiennej podłodze i wsunąłem pod łóżko. Namacałem sporo kurzu zbitego w kłęby, Linda nie wysilała się ze sprzątaniami. Znalazłem też zmiętą chusteczkę i małe plastikowe kóleczo od cholera wie czego. Rączki nigdzie nie było.

Wylazłem, otrzepałem byle jak koszulę i dalej na kolanach obmacałem podłogę pod szafką nocną. Nic. Wsunąłem rękę pod szafę. Nic. Doszedłem do narożnika i szerokimi ruchami obmacałem połąć podłogi między mną a ścianą. Nic.

Mona nuciła coś pod prysznicem. Powiedziała: pięć minut. I tak na dłużej nie starczyłoby jej ciepłej wody, Linda oszczędzała nie tylko na sprzątanii, ale i na termie.

Przeszedłem na kolanach pod drzwi. Potem wzdłuż ściany do komody, ale pod nią znalazłem tylko więcej kurzu. Następnie wzdłuż kolejnej ściany do drzwi balkonowych i z powrotem do łóżka.

Tej cholernej rączki nigdzie nie było!

Mona zakręciła wodę pod prysznicem.

– Tom? – zawołała. Stłumiony głos dochodził zza drewnianych drzwi. – Tom, przyjdiesz tutaj?

Wciągnąłem głęboko powietrze i powoli je wypuściłem. Najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć ślepcowi, to panika. Jeszcze raz odetchnąłem.

– Tom?

Potem na kolanach przeszedłem na ukos przez pokój, zakreślając rękami łuki na podłodze.

– Tom, jesteś tam jeszcze?

Pieprzona rączka leżała na samym środku.

Wsunąłem ją do kieszeni i wtedy Mona otworzyła drzwi łazienki.

– Tom, co się dzieje?

Zacisnąłem mocno powieki, chociaż w mojej sytuacji niewiele to zmieniało.

– Upadła mi komórka.

Dziewczyna dała krok w moją stronę.

– Trzymasz ją w ręce.

Głos miała dziwny, ale nie analizowałem tego. Rozluźniłem palce zaciśnięte na telefonie, podniosłem się z kolan i otrzepałem spodnie.

– To nic nie da – zauważyła. – Trzeba na mokro. Dobrze się czujesz?

– Znakomicie. Naprawdę świetnie. Nigdy nie czułem się lepiej...

Położyła mi palec na ustach, a potem przyciągnęła do siebie.

Włosy, cały czas spięte w kok, miała wilgotne, na ramionach kropelki wody, a pod rękawiczką, którym się owinięła, zupełnie nic.

Zapach olejku różanego był intensywny jak nigdy wcześniej, jej skóra wilgotna i miękka. Znowu zakręciło mi się w głowie. Wczepiłem się w jej ciało. Pocałowała mnie. Smakowała porzeczkami, dobrze zapamiętałem.

Moja koszula zaczęła nasiąkać wilgocią. Obejmowałem Monę mocno, bo jej ciało było jedynym stałym punktem odniesienia w moim świecie. Nie potrafiłem powiedzieć, gdzie kończą się moje dłonie, a zaczyna jej skóra. Nie potrafiłem dobrze rozpoznać kształtu jej piersi ani bioder, ani brzucha. Czułem się, jakbym oślepl.

Pociągnęła mnie na łóżko. Delikatnie, żebym nie uraził rany na głowie. Prześcieradła śmierdziały naftaliną, jak zawartość szuflad w komodzie.

– Mona, ja muszę jeszcze...

– Nic nie musisz, Tom. Dzisiaj już naprawdę nic więcej nie musisz.

**PACHIA AMMOS,
12 WRZEŚNIA, NADAL WIECZÓR**

Tym razem słońce było zielone. Wpatrywałem się prosto w tarczę. W ogóle nie musiałem mrużyć oczu. Może dlatego, że i tak niczego nie widziałem.

Obudziło mnie piknięcie mojego telefonu. Byłem mokry od potu. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Dotarło do mnie, dopiero kiedy owiała mnie świeża fala różanego aromatu, bo Mona przy moim boku westchnęła, obróciła się i zaczęła cicho pochrapywać.

Zerwałem się. Dziewczyna zamruczała coś przez sen.

Nacisnąłem przycisk zegarka.

Dziewiętnasta trzydzieści dwie.

Zerwałem się. Pomacałem blat nocnego stolika w poszukiwaniu telefonu i zrzuciłem na podłogę bransoletki, ale Mona tylko mruknęła coś pod nosem.

Odsłuchałem wiadomość tekstową. „Termin twojej odpowiedzi upłynął godzinę i trzydzieści minut temu. A jutro też jest dzień, Tom. I jutro Mona też będzie pracować nad przepaścią”.

Pozbierałem z podłogi ubranie, naciągnąłem majtki i spodnie, pozapinałem jak najszybciej guziki koszuli, której kołnierzyk ciągle był sztywny od zaschniętej krwi. Skarpetkami nie zawracałem sobie głowy, wcisnąłem je do kieszeni. Chwyciłem buty i uchyliłem drzwi balkonowe. Zaskrzypiały. Zakląłem. Ale Mona się nie obudziła.

Mój problem polegał na tym, że nie wiedziałem, czy na dworze zaczęło już się ściemniać. Teoretycznie znałem godziny zachodu słońca na pamięć. Dwunastego września słońce w Agios Nikolaos zaszło o siódmej dwadzieścia osiem, czyli pięć minut temu. Czy o zachodzie słońca jest już na tyle mroczno, że mogę wymknąć się niezauważony?

Usiadłem na balkonie i wyjąłem z kieszeni spodni komórkę.

– Nowa wiadomość tekstowa dla numeru zero sześć dziewięć zero pięć osiem pięć dziewięć trzy trzy dwa.

– Nagraj. Wiadomość. Po. Sygnale. Dźwiękowym.

Wziąłem głęboki wdech.

– Do pokoju Mony nie pasuje kościana rączka. Pochodzi z Knossos. Z depozytu Gamma-Lambda-Dwanaście. Koniec wiadomości.

W telefonie coś piknęło.

– Wiadomość. Tekstowa. Została. Wysłana.

Rozłączyłem się, zanim zadał mi pytanie, co chcę dalej zrobić.

Otoczyła mnie cisza.

Nie była to całkowita cisza. Na asfalcie mlaskały opony przejeżdżających

samochodów. Gdzieś daleko czekał pies. Z któregoś domu unosiła się muzyka, jazgotanie kreteńskiego lauto i posepny głos śpiewaka.

Szumiało morze.

W jednym z pokoi ktoś wybuchnął śmiechem. Trzasnęły drzwi. Studenci wrócili już z Kentro, pewnie szykowali się do wyjścia do tawerny.

Mój telefon milczał.

Wciągnąłem w płuca zapach morskiej bryzy, spalin i gotującej się gdzieś w tej samej uliczce kolacji. A potem wstałem, włożyłem buty i posłuchałem, czy nikt nie kręci się w pobliżu, po czym wszedłem z balkonu na korytarz.

Odgłosy wsi ucichły. Słyszałem tylko chichotanie w jednym z pokoi. Głosy były zniekształcone i stłumione przez drzwi, nie mogłem rozpoznać, do kogo należą.

Namacalem poręcz schodów. Oparłem o nią łokcie, bo ręce tak mi się trzęsły, że nie mogłem utrzymać komórki.

– Połącz z numerem: Ifigenia – powiedziałem do telefonu.

I omal nie upuściłem aparatu, kiedy w kompletnej ciszy kilka metrów dalej zadzwonił dzwonek.

Czułem, że palce mi drętwieją, gdy naciskałem telefon, żeby się rozłączyć. Podeszła bliżej. Nadal pachniała potem i dzikim tymiankiem, ale przez te zapachy przebijało jeszcze coś, czego nie mogłem zidentyfikować.

– Co tu robisz, Tom?

Co miałem jej odpowiedzieć? Że właśnie przespałem się z moją asystentką, o którą Ifigenia zawsze była zazdrosna i – jak się okazało – słusznie? Zresztą nie tylko asystentką – na dodatek złodziejką odpowiedzialną za kradzież z Knossos kościanej rączki, a możliwe, że również ceramiki z plecaka Wojnarów.

Ciężko byłoby to wytłumaczyć.

– Czekam na ciebie.

– Myślałam, że jesteś jeszcze w Kentro.

– Musiałem się przejść.

Podeszła bliżej. Jej pot pachniał jednocześnie słono i słodko, jak cukierek z lukrecji, aż chciało się polizać jej skórę, żeby sprawdzić, czy ma też lukrecjowy smak.

Przytuliła się do mnie. Objąłem ją.

– Przepraszam, że wtedy w Kentro nie zapytałam o twoją głowę – powiedziała cicho. – To wszystko okropnie wyprowadziło mnie z równowagi.

Każdego by wyprowadziło, gdyby zepchnął ze skały psa. Pomyślałem to odruchowo. I zniecierliłem się za to.

Pogłaskałem Ifigenię po włosach, szorstkich i sztywnych od kurzu. Miałem nadzieję, że nie czuje, jak trzęsą mi się ręce.

Zaburczało mi w brzuchu.

– Czy ty w ogóle jadłeś coś dzisiaj, Tom?

Pokręciłem głową. Nie mogłem sobie przypomnieć ostatniego posiłku.

– No to daj mi dziesięć minut. Wskoczę pod prysznic, przebiorę się i pójdziemy do Manolisa.

Pochyliłem się i pocałowałem ją.

– Okropnie drapiesz – mruknęła.

Ifi była ciepła, jak ściany starożytnych domów, które absorbują promieniowanie słońca i oddają je dopiero wieczorem. Przesunąłem dłoń po jej plecach. Wyczułem ramiączka stanika pod podkoszulką. Objęła mnie w pasie. Wtuliła twarz w moją pierś i trwaliśmy tak bez ruchu. A potem powąchała moją koszulę.

Pochyliłem głowę i zrobiłem to samo. Bił z niej metaliczny zapach krwi. I potu. I kurzu.

I olejku różanego.

– Do diabła, Tom!

Odepchnęła mnie mocno. Zatoczyłem się na poręcz schodów.

– Niech cię diabli, ty pieprzony kutasie! – krzyknęła.

Śmiechy w pokoju studentek ucichły.

– Ifi, posłuchaj...

Nie wiem, co chciałem jej powiedzieć, ale i tak nie zdołałem niczego wymyślić.

– Naprawdę, kurwa? Naprawdę myślisz, że masz mi do powiedzenia coś, co chciałabym usłyszeć?

Jej buty na grubych podszewkach zapiszczały, kiedy odwróciła się na kamiennej posadzce. Usłyszałem kroki, potem jeszcze raz „niech cię diabli, Tom” i po chwili trzaśnięcie drzwi do pokoju.

W korytarzu zapadła cisza.

Stałem w milczeniu. Słuchałem fal uderzających o betonowe nadbrzeże, szczekania psa, odgłosu rozmów z kafeneionu. Studentki w swoim pokoju znowu wybuchnęły śmiechem.

W końcu położyłem dłoń na poręczy i przesunąłem się do miejsca, gdzie zaczynały się schody. Wyciągnąłem rękę i namacałem ścianę. Odliczyłem drzwi. Zapukałem do czwartych po prawej.

– Ifi.

Nie odpowiedziała.

Pociągnąłem za klamkę. Były zamknięte na klucz.

Zapukałem jeszcze raz. Ale nie usłyszałem nic, żadnego dźwięku.

– Ifi, otwórz.

Nie odpowiedziała.

– Ifi, muszę powiedzieć ci coś ważnego.

Cisza.

– Coś bardzo ważnego.

Cisza.

– Ifi, proszę!

Nic.

Kopnąłem w skrzydło.

– Ifi! Otwórz te pieprzone drzwi.

Nadal nic. Osiągnąłem tylko tyle, że w pokoju chichotek nagle znów zrobiło się cicho.

Wiecie, co jest najgorsze w byciu ślepym? Dam wam chwilę na zastanowienie, chociaż i tak nie zgadniecie, jestem tego pewien. Wcale nie to, że niczego nie widać.

Najgorsze jest to, że ja nie widzę innych, podczas gdy oni widzą mnie, że nie jestem niewidzialny i przez większość czasu czuję się, jakbym występował na scenie.

Można się do tego przyzwyczaić. Codziennie się gołę, co dwa tygodnie chodzę do fryzjera, regularnie piorę ubrania i często proszę kyrię Fotini, żeby przejrzała moją szafę i wyrzuciła wszystko, co ma plamy i dziury albo wyblakło od słońca lub po prostu się sprąło. Dbam o formę, nie garbię się, a ciemne okulary kupuję u zaprzyjaźnionego optyka: są markowe i pasują do owalu twarzy. Tak, wiem, ślepiec w ciemnych okularach, stereotyp. Tylko że na Krecie wszyscy je noszą, nawet w zimie. To bez nich wyglądałbym jak kaleka.

Wszystko po to, żeby stać się niewidzialnym. Żeby nie zwracać na siebie uwagi. Żeby wtopić się w tłum.

Ale i tak ciągle mam wrażenie, że wszyscy się na mnie gapią. Czuję na skórze dotknięcia spojrzeń.

Drzwi pokoju studentek otworzyły się. Usłyszałem, jak czyjaś ręka naciska włącznik światła na korytarzu. Czern przed moimi oczami pojaśniała.

Poczułem się wystawiony na widok, jakbym stał na sklepowej wystawie albo w zoo, czekając na porę karmienia.

– Cześć, Tom. – To była Melissa. Albo Yacinta. – Można ci jakoś pomóc?

A drugą najgorszą rzeczą w byciu ślepym są nieustanne pytania, czy potrzebuję pomocy. Na logikę można by założyć, że jeśli dożyłem prawie czterdziestki, nie umarłem z głodu ani z pragnienia, nie przejechał mnie samochód, nie skręciłem sobie karku i się nie utopiłem, a nawet zrobiłem karierę naukową, zdobyłem i utrzymałem dobrą posadę i poderwałem dziewczynę (niejedną), to jakoś sobie radzę. Ale ostatnio logika jest towarem deficytowym.

– Dziękuję, Melisso, wszystko w porządku.

– Eee, Tom, ja jestem Yacinta.

– Przepraszam. – Zacisnąłem dłonie w pięści. – Macie bardzo podobne

głosy.

I wzrost. I zapach. I w ogóle wszystko!

– No to miłego wieczora – wymamrotała i zamknęła drzwi. Przez chwilę panowała cisza, a potem z pokoju dobiegł kolejny wybuch śmiechu.

Zapukałem jeszcze raz do Ifigenii, chociaż rozumiałem, że jestem bez szans.

– Ifi, posłuchaj mnie. To naprawdę ważne.

Usłyszałem tylko stłumione „Spieprzaj, Tom”. Wiedziałem, że nie otworzy. Mogłem siedzieć pod drzwiami do samego rana, co i tak niewiele by dało. Bo rano Ifigenia wyjdzie, ominie mnie, jakbym był rzygiem zostawionym na korytarzu przez któregoś ze studentów, i pójdzie do swoich zajęć.

Oparłem się o futrynę, ale zanim wymyśliłem, co mam dalej robić, w mojej kieszeni zapiszczał telefon.

Dostałem dwie wiadomości tekstowe. Z numeru zero sześć dziewięć zero pięć osiem pięć dziewięć trzy trzy dwa.

Pierwsza była krótka. Brzmiała: „Znowu zła odpowiedź, Tom”.

Druga nie była wiele dłuższa: „Postaraj się lepiej, bo jutro Mona spadnie”.

Jeszcze przez kilka minut słuchałem ciszy, a potem odszedłem.

Na dworze się ochłodziło, słońce wreszcie zaszło. Wiatr się nasilił i wpychał mi do ust słoną bryzę.

Poszurałem stopami po betonie i odnalazłem krawędź piasku. Usiadłem, zdjąłem buty i skarpetki. Piasek był wilgotny, czułem, jak przesiąkają mi nogawki spodni.

Podniosłem się i doszedłem do linii wody. Wystawiłem twarz na wiatr, drobne fale obmywały mi stopy, a palce coraz głębiej grzęzły w piasku. Wargi miałem słone, ale nie oblizywałem ich. Chciałem, żeby piekły.

Wsunąłem dłoń do kieszeni i namacałem kościaną rączkę.

Niewiele to zmieniło. Nadal nie rozumiałem, o co w tym wszystkim chodzi.

Wyjąłem z kieszeni telefon.

– Nowa wiadomość tekstowa dla numeru zero sześć dziewięć zero pięć osiem pięć dziewięć trzy trzy dwa.

– Nagraj. Wiadomość. Po. Sygnale. Dźwiękowym.

Tylko nie wiedziałem, co powiedzieć. Spytać: „Kim jesteś”? A może: „Kiedy przestaniesz się wygłupiać, Ifi”? W końcu nie nagrałem nic, rozłączyłem się i schowałem telefon do kieszeni.

Nie wiem, ile stałem po kostki w wodzie. Stopy mi zdrętwiały i nie czułem już dotyku fal.

Telefon w mojej kieszeni nagle zapiszczał.

– Treść. Wiadomości. Masz. Jeszcze. Jedną. Szansę. Na. Prawidłową. Odpowiedź. Przecinek. Czas. Do. Jutra. Do. Południa. Koniec. Wiadomości.

Powiew wiatru załopotał moimi nogawkami. Spodnie miałem już mokre do

kolan, mimo to jeszcze długo nie ruszałem się z miejsca. Ciągle czułem słabą woń olejku różanego, a teraz też dzikiego tymianku z materiału mojej koszuli. Od tej mieszanki robiło mi się niedobrze.

Gdybym wiedział, gdybym wiedział na pewno, że to głupia zabawa Ifigenii, wróciłbym do pensjonatu. Wyłamałbym drzwi do jej pokoju i zmusił, żeby z tym skończyła.

Tylko że teraz, po tym, jak odkryła, że przespałem się z Moną, trudniej byłoby mi przekonać Ifi, że ją kocham i że jest dla mnie wszystkim. I żeby nie mściła się na dziewczynie. Bo Ifigenia jest jak pitbull, jak raz coś postanowi, to nie puści. A teraz miała lepszy powód niż kiedykolwiek, żeby zepchnąć Monę ze skały.

A poza tym nie wiedziałem na pewno.

A co, jeśli to nie ona? Jeśli to ktoś inny z Kentro: Romanos, Oliwia, Jason, Annika, chuj wie kto...? Albo ktoś całkiem obcy? Ktoś, kto znał Monę, zanim tu przyjechała i zaczęła dla mnie pracować? Ktoś, kto jej bardzo nie lubi?

Ta niewiedza doprowadzała mnie do szału. Co się stało z moim światem, który jeszcze dwa dni wcześniej był uporządkowany jak ułożone puzzle?

– Dobra, kurwa! – warknąłem.

Na promenadzie za moimi plecami przyspieszyła jakaś staruszka (zapach naftaliny i niemytego ciała, posuwisty krok, stukot laski o beton).

A ja wiedziałem, że muszę podjąć tę grę. Chociaż podejrzewałem, że drogo za to zapłacę.

Właśnie dostałem więcej czasu. Miałem znaleźć prawidłową odpowiedź do południa następnego dnia. Pytanie nadal brzmiało: skąd pochodzi to, co nie pasuje do pokoju Mony?

To musiała być kościana rączka. Ale dodatkowy czas nie miał znaczenia – ciągle nie znałem prawidłowej odpowiedzi.

Bo byłem w stu procentach pewny, jak niczego na świecie, że ułamana rączka od kościanej figurki, tak samo jak skorupy znalezione w plecaku Wojnarów, naprawdę pochodziły z Knossos.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 10.30**

– Następnego dnia pojechał pan do... – Zaszeleściła papierami. – Do Knossos.

Skinąłem głową.

– Poproszę o jeszcze jedną szklankę wody.

Dała swojemu wysmarowanemu pomadą do włosów asystentowi niesłyszalny znak. Wszedł po chwili. Podniosłem szklankę, upiłem mały łyk i odstawiłem na biurko. Asystent nie czekał, aż skończę, zakręcił się w kółko i wyszedł.

– Po co, panie Mara?

– Po co pojechałem do Knossos? Żeby obejrzeć tamtejszy materiał. Sprawdzić analogie, jak to mówimy fachowo.

– Słyszałam ten zwrot od kuzyna.

– No to pani wie. Niektóre przedmioty na naszym stanowisku są podobne do innych przedmiotów na innych stanowiskach.

– Mój kuzyn twierdzi, że takie rzeczy robi się głównie po wykopaliskach. Kiedy już kończy się pracę w terenie.

– Naprawdę rozmawia pani z kuzynem o technikach prac wykopaliskowych?
– Nawet nie musiałem udawać zdziwienia.

Nie odpowiedziała. Zadała kolejne pytanie.

– Dlaczego pojechał pan do Knossos akurat tamtego dnia? Przed chwilą krzyczał pan na mnie, że zmarnowaliśmy państwu pół dnia pracy, kiedy zabezpieczaliśmy teren wokół zwłok tych turystów... – przerzuciła kartkę – Wojnarów. Podobno nie mogliście sobie pozwolić na marnowanie czasu na wykopaliskach, nawet jednej godziny. A pan, jadąc do Knossos w środku tygodnia pracy, stracił ich kilkanaście.

Nie miałem na to dobrej odpowiedzi, jednak wydawało mi się, że Marina takiej nie oczekuje.

– Kto w tym czasie zastępował pana na wykopaliskach?

– Romanos Kallergopoulos. To najbardziej doświadczony...

Przysunęła się z krzesłem do stołu. Płasnęła dłońmi o blat.

– Chciałabym dowiedzieć się, co naprawdę wydarzyło się tamtego dnia, panie Mara. Co naprawdę wydarzyło się we wszystkie dni.

A ja chciałbym, żeby to nigdy nie wyszło na jaw.

Milczeliśmy oboje przez długą chwilę.

– No dobrze, wróćmy do pana wizyty w Knossos. Co konkretnie pan tam robił? – spytała.

Westchnąłem, żeby jej pokazać, że jest upierdliwa. Nie zrobiło to na niej żadnego wrażenia.

– Rozmawiałem z Danielem Bedfordem. To kurator Knossos.

– Mhm – zamruczała i coś zanotowała, pewnie nazwisko.

– A później z Susanną... Nie wiem, jak się nazywa, to miejscowa konserwatorka. Proszę zadzwonić do Daniela, on pani powie.

– Dziękuję za radę, jak mam prowadzić śledztwo.

– Ja nie...

– Co konkretnie robił pan w Knossos? – zapytała znowu.

– Oglądałem depozyt Gamma-Lambda-Dwanaście. – I tak przecież mogła sprawdzić.

Przewróciła stronę w notatkach.

– To ten sam, z którego pochodzi ceramika znaleziona w plecaku zabitych Wojnarów?

Naprawdę nie wiedziałem, jak to wszystko wytłumaczyć.

– Dobrze, powiem pani prawdę.

Podniosła głowę.

– Już najwyższy czas, panie Mara.

Wziąłem głęboki wdech. Potem wypuściłem powietrze z płuc. I zaczerpnąłem je jeszcze raz.

Marina czekała cierpliwie. Nic nie mówiła, nie poruszała się, być może nawet nie oddychała.

– Pojechałem, bo chciałem się zorientować, czy mogę coś ukraść.

KNOSSOS, ŚRODA, 13 WRZEŚNIA, PRZED POŁUDNIEM

Jestem specjalistą od kultury minojskiej. Stworzyli ją ludzie na Krecie, bardzo dawno temu, będzie prawie cztery tysiące lat. Już wtedy byli dziwni. Kobiety miały cienkie talie i odkrywały piersi, więc chyba wołały seks bez zobowiązań od rodzenia dzieci. Mieszkali w pałacach bez murów obronnych, za to z wannami i masą miłych zakamarków, gdzie dało się bzykać. Wymyślili nawet przesuwane ściany, praktyczny wynalazek, jeśli na dużej imprezie chce się pod koniec wieczoru wydzielić kilka intymnych pokoików. Nie pasowali do reszty świata. I pewnie dlatego w końcu wszyscy zginęli.

Minojczycy najbardziej na świecie bali się trzęsień ziemi. Tak jak ja. Ale ja wiem, że wstrząsy sejsmiczne wywoływane są przez przesuwające się płyty tektoniczne. Oni byli przekonani, że ziemia drży, kiedy tratuje ją kopytami gigantyczny byk. Nauka cały czas idzie do przodu i jeszcze się okaże, kto miał rację.

W każdym razie z powodu tego strachu Minojczycy pozwalali zwykłym bykom tratować kopytami najpiękniejsze dziewczyny i chłopaków. Nazywali to tańcem. Wydekoltowane damy na widowni, z umalowanymi ustami i sutkami, na pewno oblizywały wargi, kiedy arena spływała krwią.

Ułamana rączka w mojej kieszeni należała do figurki tancerza z bykami, niewielkiej kościanej figurki znalezionej w Knossos, największym pałacu na Krecie, którego mieszkańcy mieli najwięcej do stracenia. Figurki znajdującej się w depozycie Gamma-Lambda-Dwanaście. Ktoś przed ponad trzema tysiącami lat zakopał ją pod fundamentami tuż obok trzech glinianych naczyń i posążka byka, też wykonanego z gliny. To była prośba skierowana do boskiego byka, żeby oszczędził pałac. Bo, do cholery, strasznie się namęczyliśmy przy jego budowaniu.

Boski byk olał prośbę. Pałac w Knossos został zniszczony przez trzęsienie ziemi. Bogowie zamiast figurek z kości i gliny czy starych garnków zazwyczaj wolą zgrzyt miażdżonych kości, wrzaski pogrzebanych pod gruzami i płacz tych, którzy zostali. Depozyt Gamma-Lambda-Dwanaście odkopał na samym początku dwudziestego wieku Arthur Evans i umieścił, podobnie jak tony innych rzeczy znalezionej w Knossos, w Muzeum Stratygraficznym.

Dokąd jechałem. Żeby zwrócić rączkę.

Oczywiście nie zamierzałem tego robić oficjalnie. Nie planowałem zapukać do drzwi i powiedzieć: „Hej, zawieruszyła się u nas wasza figurka. Proszę, przywiezłem ją z powrotem, a przy okazji zróbcie mi kawę, bo znowu kiepsko spałem i całą noc męczyły mnie koszmary”. Chciałem udać, że szukam czegoś innego i ukradkiem podrzucić rączkę do właściwego pudełka.

Nie miałem pojęcia, jak je rozpoznam pośród paru tysięcy innych pudełek ustawionych na setkach regałów. Muzeum Stratygraficzne to nie jest takie zwykłe muzeum, gdzie dzieci ze szkolnych wycieczek dłubią w nosie, a strażnik pilnuje, żeby nikt nie strzelał selfików z fleszem (bez flesza można). Muzeum Stratygraficzne to wielki magazyn, kolekcja ceramiki i wielu innych przedmiotów wykopanych w Knossos i w okolicach.

W Pachia Ammos nie ma rozkładu jazdy autobusów. To słuszna polityka, bo na Krecie ustalenie dokładnego czasu przyjazdu i odjazdu jest niemożliwe: nie da się przecież przewidzieć, czy któremuś z pasażerów nie zachce się po drodze siusiu albo rzygać (na trasie są straszne serpentyny), albo czy kierowca nie odczuje naglej, nieodpartej potrzeby napicia się kawy. Dobrym sposobem, aby nie spóźnić się na autobus, jest ustalenie czasu jego odjazdu z Sitii, doliczenie godziny (tyle wynosi średnio czas przejazdu) i jeszcze trzydziestu minut na nieprzewidziane zdarzenia oraz odliczenie dwudziestu – na wypadek gdyby akurat tego dnia kierowca poczuł się mistrzem Formuły 1. Ten sposób liczenia czasu zazwyczaj pozwala jeszcze wypić szybką kawę w kafeneionie.

Rano zadzwoniłem do Mony. Nie odebrała. Ifigenia też nie. Tej pierwszej zostawiłem wiadomość, żeby na siebie uważała, tej drugiej – że mam coś do załatwienia w Knossos i spotkamy się po południu. Już się domyśliliście, że nie dostałem żadnej odpowiedzi? Do tego nie trzeba być Sherlockiem Holmesem. Dlatego zadzwoniłem do Romanosa. Nie wiedziałem, co mu powiedzieć, więc uraczyłem go historią o tym, że Ifigenii przydałaby się pomoc przy datowaniu jednego z domów, i spytałem, czy mógłby się temu przyjrzeć. Oczywiście dyskretnie i tak dalej. Nie wiem, czy mi uwierzył. Obiecał, że spróbuje. Nie powiem, że bym odetchnął z ulgą, ale miałem uczucie, że kupiłem sobie trochę czasu.

Do Knossos jedzie się dobre dwie godziny, więc chciałem po drodze przemyśleć kilka rzeczy. Na przykład dlaczego moja asystentka ukradła zabytki z Knossos. I czy Oliwia jednak nie ma racji, bo może to Mona podprowadza jej zabytki z pracowni. I po co to robi. Dla archeologa przyłapanie na kradzieży to zawodowa śmierć, a że greckie prawo bardzo serio traktuje dziedzictwo kulturowe, to również kilka ładnych lat w więzieniu. Jeśli nie kilkanaście.

Chwilowo jednak miałem inne zmartwienie. Bałem się, że nie dożyję do końca podróży.

To był dzień Formuły 1. Musiałem z całej siły trzymać się poręczy przed sobą, żeby nie spaść z siedzenia i nie obijać się o sąsiadkę, która pachniała smażoną cebulą i perfumami z supermarketu. Autobus śmierdział benzyną i starymi, nigdy niepranymi obiciami, za to w nucie zapachowej pozostałych pasażerów dominował czosnek. Kiedy po dwóch godzinach męczarni wysiadłem, najpierw znalazłem drzewo, oparłem się o pień i poczekałem, aż miną zawroty

głowy. Dopiero po kilku minutach mogłem iść dalej.

Posłuchałem, czy nic nie nadjeżdża, a potem przeciąłem jezdnię, ale i tak w ostatniej chwili omal nie przejechał mnie samochód, który wypadł zza zakrętu, ledwo wyhamował i zatraił. Grecy nie mają cierpliwości do kalek.

Za szosą był wysypywany tłucznem podjazd. Dobrze się po nim szło, bo bez trudu odróżniałem nawierzchnię od trawnika, ale chrzęst pod moimi butami zagłuszył inne dźwięki. Drgnąłem, kiedy tuż obok rozległo się:

– Cześć, Tom.

Mężczyzna. Duży, bo głos miał głęboki. Świeżo ogolony, chociaż to środek tygodnia, a archeolodzy rzadko gołą się przed weekendem. Woda kolońska z najwyższej półki. Do tego, chociaż słońce paliło już od kilku godzin, w powietrzu unosił się zapach świeżo wypranych ubrań. I uprasowanych. To mogła być tylko jedna osoba. Daniel Bedford. Kurator Knossos. Bogaty, ciekawski i nadęty dupek.

Gdybym nie rozpoznał go po zapachu i po barwie głosu, udałoby mi się to po jego pierwszym pytaniu.

– A co to, dzisiaj nie pracujecie? To przez tych zabitych turystów?

Odwróciłem głowę na bok i wciągnęłam powietrze, które miało zapach kamienia i trawy, a nie wody kolońskiej.

– Muszę sprawdzić kilka rzeczy w Muzeum Stratygraficznym – powiedziałem przez zęby. – Reszta ekipy jest na stanowisku.

– A co słyhać u Ifigenii? – Gdybym widział, pewnie w tym momencie puściłby do mnie oko. Jednak tylko obrzydliwie mlasnął. – To ona rozwalila ci głowę?

Obszedł mnie dookoła, żeby lepiej obejrzeć bandaż.

– To był wypadek – mruknąłem.

– Oj, Tom, Tom, musisz bardziej na siebie uważać. Ale ty chyba lubisz żyć niebezpiecznie, co?

Kopnąłem go lekko w but, a kiedy się przesunął, ruszyłem dalej.

– Jeśli chcesz, odprowadzę cię do muzeum. Na pewno trudno ci trafić samemu.

Nie chciałem. I łatwo mi było trafić samemu, miałem wprawę, tylko nie wiedziałem, jak się go pozbyć.

Wyszliśmy na słońce. Czerń przed moimi oczami przybrała czerwonawy odcień. Momentami ciemniała, kiedy przechodziliśmy w cieniu wielkich pinii, chociaż nie czułem ich zapachu, bo molekuly wody kolońskiej Daniela wwiercały mi się w mózg. Starąłem się oddychać ustami.

– Jak tam sezon? – kurator gadał dalej. – Macie w tym roku coś ciekawego?

– Niespecjalnie. – Nawet, gdybyśmy mieli, nie powiedziałbym tego w odległości kilkudziesięciu metrów od tego faceta. Wolałem uniknąć jego wizyty na wykopie.

– Czasy skarbów już się skończyły, co, Tom? – Z rozmachem klepnął mnie w plecy. Omal nie straciłem równowagi. – Teraz to tylko ceramika i inne śmieci. Trochę szkoda, nie?

Przytaknąłem. Nie dyskutuje się z idiotą.

– Chociaż to może i lepiej. Człowieka korciłoby cały czas, żeby coś doprowadzić. Ale przy tym, co znajdujemy, to się odechciewa.

Nie wszystkim. Mona postanowiła ukraść rączkę rzeźby, chociaż nie zarobiłaby na niej dużo. Ledwie starczyłoby na kilka miesięcy życia. I pewnie jeszcze na wiele litrów olejku różanego.

Daniel szarpnął mnie za ramię, aż prawie się przewróciłem.

– Bardziej w prawo, Tom. I już jesteśmy w muzeum.

Skrzypnęły zawiasy drzwi. Ze środka buchnęło chłodne powietrze, pachniało stęchlizną. Wszedłem i moje ramiona natychmiast okryły się gęsią skórką, a rana na głowie boleśnie ściągnęła się pod opatrunkiem. Ktoś nastawił klimatyzator na ful.

– Zaraz poproszę, żeby przygotowali ci stół.

– Nie ma potrzeby, Danielu, sam sobie poradzę.

Nie zamierzałem zostawać długo. Tylko tyle, żeby pozbyć się idioty i podrzucić rączkę.

– No coś ty. – Znowu mnie klepnął. Oddałbym mu, ale bałem się, że tylko się wygłupię, kiedy nie trafię. – Jesteś moim gościem. Dla gości wszystko, co najlepsze. Co chcesz zobaczyć?

Westchnąłem i powiedziałem mu.

– O, to ciekawy zespół. A po co ci on?

Po to, palancie, żeby moja asystentka nie poszła siedzieć na dziesięć lat.

– Po prostu mnie interesuje.

– Dobra, nie chcesz, to nie mów. Trzymamy karty przy orderach, co, Tom? Pewnie znowu szykujesz jakąś błyskotliwą książkę.

Skoro sam sobie wymyślił odpowiedź, kimże ja byłem, żeby mu zaprzeczać.

– Dobra, usiądź tu i poczekaj. – Szurnął w moją stronę stołkiem. Stołek przewrócił się i uderzył mnie w śródstopie. Syknąłem, podniosłem go i usiadłem.

Usłyszałem szelest przewracanych kartek.

– Kiedyś musimy wreszcie skomputeryzować ten katalog – mamrotał Daniel. Po mlaskaniu poznałem, że ślinił palec przed przewróceniem każdej kartki. – Ty u siebie w Kentro masz pewnie wszystko high-tech, nie?

Powiedział to tonem, jakby to był zarzut.

– O, jest. Regał szesnasty.

Odszedł. Jego podeszwy piszczały na linoleum. Wrócił, moim zdaniem o wiele za szybko.

– Depozyt Gamma-Lambda-Dwanaście jest w konserwacji. Chodź ze mną,

Tom. Zobaczysz naszą piękną Susannę. To znaczy, tfu, nie zobaczysz. No żałuj, chłopie, żałuj. Ona jest naprawdę, no mówię ci. Zupełnie nie rozumiem, co taka niesamowita laska robi w zapleśniałej pracowni.

W konserwacji! To znaczy, że ktoś już pootwierał pudełka i może się zorientował, że paru rzeczy brakuje!

Ale nie miałem czasu się nad tym zastanowić. Usłyszałem dźwięk naciskanej klamki i poczułem silny przeciąg. Wiatr dmuchnął mi w twarz mieszanką zapachów, wśród których nie wykryłem pleśni, tylko rozpuszczalnik. I cynamon. I jaśmin.

– Idź dokładnie za mną, Tom. Tutaj stoi mnóstwo delikatnych i cennych zabytków. Nie chciałbyś chyba czegoś zniszczyć.

Wyciągnąłem przed siebie rękę i zatoczyłem nią półokrąg. Powoli i delikatnie. Nie natrafiłem na żadną przeszkodę. Dałem kilka kroków do przodu.

– Tom, to jest Susanna. Susanno, to jest Tom Mara. On szefuje w Kentro, wiesz, w Pachia Ammos.

Nie usłyszałem szurnięcia stołka. Nikt do mnie nie podszedł. Więc nie wyciągnąłem ręki.

– Bardzo mi miło panią poznać – wymamrotałem.

Nie wiem, czy Susanna miała zamiar cokolwiek odpowiedzieć, bo Daniel znowu się wciął.

– Susanno, Tom chciałby obejrzeć depozyt Gamma-Lambda-Dwanaście. Zdaje się, że teraz się tym zajmujesz.

– Jeszcze nie... – Cichy głos zmuszał ludzi do wyłączenia uwagi, jeśli nie chcieli przegapić jakiegoś słowa.

– Jak to nie? Widziałem przecież wpisane do rejestru...

– Będę się tym zajmować za kilka dni. Mam jeszcze trochę pracy nad tym kyliksem.

– Mówiłem ci przecież, że powinnaś zdejmować zabytki z półek dopiero wtedy, kiedy zaczniesz nad nimi pracować. Inaczej robi się bałagan!

Cicho westchnęła. Tak cicho, że łatwo było nie dosłyszeć.

– Wyjmuję zabytki, dopiero kiedy nad nimi pracuję, Danielu. Figurka byka z depozytu Gamma-Lambda-Dwanaście musi się trochę namoczyć. To zazwyczaj trwa trzy dni, czasem cztery. Jeśli chcesz mi płacić za to, że siedzę i patrzę przez trzy dni na miskę, to ja nie mam nic przeciwko temu.

Omaliem nie parsknąłem śmiechem, trochę też z ulgi, że nie rozpakowała jeszcze całego depozytu i wciąż miałem szansę. Cofnąłem się, zawadzając łokciem o coś, co się zachwiało, jednak nie spadło na podłogę.

– Tom, mówiłem, żebyś uważał!

Tym razem zaszurał odsuwany stołek, a kiedy znowu się odezwała, jej głos dobiegał z bliska.

– Nic się nie stało, Danielu.

Ujęła mnie pod ramię. Nie lubię, kiedy ludzie robią to bez pytania, ale miała miękkie palce, a zapach cynamonu kojarzył się ze świętami.

Zadzwoił telefon. Usłyszałem szelest materiału i piknięcie ekranu, jednak nie wiedziałem, które z nich odebrało, dopóki nie usłyszałem głosu.

– Dobrze, zaraz tam będę – powiedział Daniel. – Niczego nie dotykajcie! Zwariować można. – To ostatnie było do mnie albo do nas obojga. – Robotnicy coś spieprzyli. Kurator to jest człowiek od wszystkiego, mówię ci, Tom. Zostawiam cię w dobrych rękach – dodał, zmierzając już w stronę wyjścia. – Susanno, pokaż mu wszystko, co chce obejrzeć. I pilnuj, żeby niczego nie potłukł. Ślepiec w składzie porcelany, ha, ha.

Wyszedł. Przeciąg zatrzasnął za nim drzwi.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu. Ciągle trzymała dłoń pod moim ramieniem.

– Nie będę pana przepraszać za mojego szefa – powiedziała w końcu. – To nie ja go wychowałam.

Uśmiechnąłem się. Ślepcy nie umieją się ładnie uśmiechać. Nie mają szansy wyćwiczyć tego przed lustrem ani zobaczyć, jak inni reagują na ich grymas. Mimo to spróbowałem.

– To ja muszę panią przeprosić za to, że zabieram pani czas.

– Zazwyczaj cenię sobie towarzystwo. Kiedy są tu inni ludzie, Daniel jeszcze się hamuje z obmacywaniem, ale niestety pana obecność niewiele zmienia.

Na chwilę zapadła cisza.

– I bardzo dziękuję, że nie pyta pan, dlaczego w takim razie nie rzucę tej pracy w cholerę. Jeśli jest pan z branży, to wie pan, jak mało jest posad dla konserwatorów.

Nie zapytałem, bo ona mogłaby odpowiedzieć pytaniem, dlaczego pozwalam Danielowi poklepywać się po ramieniu. Jechaliśmy na tym samym wózku. Tylko jej miał łyse opony i bardziej skrzypiał.

Poruszyła się. Jej fartuch pachniał leciutko rozpuszczalnikiem, ale spod ubrania przy każdym ruchu buchał aromat jaśminu.

– W czym mogę panu pomóc?

– Daniel już powiedział, za mnie. Chcę obejrzeć depozyt Gamma-Lambda-Dwanaście. To wszystko.

– Czy ślepcy świadomie używają słowa „obejrzeć”, czy tylko się pan przejęzyczył?

– Czy to nie obojętne? – odpowiedziałem pytaniem.

– Pewnie tak – mruknęła. – Dam panu stołek. I zrobię trochę miejsca. Niech pan przez chwilę zostanie tu, gdzie stoi. Bez ruchu.

Na szczęście nic nie mówiła o oddychaniu, więc uznałem, że wolno mi

zaczepnąć powietrza. Jej kroki rozbrzmiewały po całym pomieszczeniu. Musiała mieć miękkie buty na gumie, może tenisówki, bo tylko lekko szurały. Coś stuknęło na stole obok. I zagrzechotało. Pewnie przestawiała tacę pełną ceramicznych odłamków.

– No i już. Ma pan prawie metr kwadratowy blatu. Zakładam, że więcej nie będzie panu potrzeba. To mały depozyt.

Nie potrafiłem stwierdzić, czy na mnie patrzy, ale pokiwałem głową.

– Proszę. – Szurnęła czymś na podłodze, obok mojej lewej nogi. – Tu ma pan stołek. Błat jest po pana prawej stronie, wystarczy wyciągnąć rękę.

Zrobiłem to, dotknąłem krawędzi i zbadałem jej ustawienie. Potem odchyliłem się w drugą stronę i namacałem stołek. Przysunąłem go bliżej stołu. Usiadłem. Susanna odeszła na koniec pracowni, a potem znowu jej głos zabrzmiał tuż przy moim uchu.

– Co chce pan zobaczyć najpierw?

Nie najpierw, tylko wyłącznie, jednak nie mogłem tego powiedzieć. Nie chciałem przyciągać uwagi.

– Wspominała pani o figurce byka...

– Jest w misce z wodą, jak pan słyszał. – Przesunęła po blacie coś ciężkiego, co zachlupotało. – Muszę go porządnie namoczyć. Dodałam do wody trochę kwasu, bo inaczej nie dam rady odskrobać tej inkrustacji. To bardzo małe stężenie, można bez obawy włożyć dłoń. Proszę, tu ma pan ręcznik, żeby wytrzeć palce, jak pan skończy.

Jakiś przedmiot upadł na moje kolana. Serce skoczyło mi do gardła, ale to był tylko kawałek spranej szorstkiej tkaniny. Ktoś powinien porozmawiać z tą kobietą o tym, jak się postępuje ze ślepcami.

– W depozycie znajdowała się też druga figurka – powiedziałem, kiedy moje serce przestało walić jak oszałałe. – Tancerz z kości słoniowej.

– To nie kość słoniowa – mruknęła. – Tylko kieł dzika.

– Nie jestem w stanie tego odróżnić bez mikroskopu – zwróciłem jej uwagę.

– Z mikroskopem zresztą też nie.

– No tak. Myślałam, że zajmuje się pan ceramiką.

Lata pracy z Danielem, była wścibska jak jej szef. Zapach jaśminu przybladł, za to rozpuszczalnika stał się intensywniejszy.

– Zajmuję się różnymi rzeczami.

– Ma pan rację, nie moja sprawa.

Pogłaskała mnie po ramieniu. Siłą powstrzymałem się, żeby się nie odsunąć.

– Figurkę tancerza ma pan tutaj. – Przesunęła po stole tekturowe pudełko.

Uchyliłem pokrywkę i wsunąłem palce do środka. Na wyściółce z waty leżało kilka kościanych fragmentów.

– Jak pan widzi... to znaczy... No, jest w kawałkach. Tak leży od czasu

znalezienia, dopiero teraz dostaliśmy grant na konserwację tego depozytu.

To chyba oczywiste. Gdyby figurka zachowała się w komplecie, Mona nie odłamywałaby rączki, tylko ukradłaby całą.

Nasunąłem pokrywkę z powrotem na miejsce. Ostatnia rzecz, której potrzebowałem, to wspólne oglądanie stanu zachowania figurki.

Usłyszałem, jak coś przesuwają przy swoim stole. Obróciłem się plecami w tamtą stronę, żeby zasłonić przed nią moje dłonie. Naprawdę wkurzające w byciu ślepy jest to, że nie sposób ocenić do końca, co widzi druga osoba. Na co dzień da się z tym żyć, ale ciężko popełnić przestępstwo, nawet takie drobne. Może dlatego wśród ślepców jest niewielu przestępców. Ja w każdym razie nie znam żadnego, radio, prasa i telewizja też milczą na ten temat. Chociaż ślepiec mógłby być świetnym złodziejem. W otwieraniu zamków i sejfów bardziej przydają się zmysły dotyku i słuchu niż wzroku. Zresztą wyczulone palce to zaleta u kieszonkowców. Nie przechodzimy jednak masowo na ciemną stronę prawa, bo nigdy nie wiemy, czy ktoś się na nas nie gapi. Gadanie o tym, że czyjś wzrok wywołuje na karku gęsią skórę i tak dalej, to bzdura. Kiedy jesteś ślepy, nigdy nie wiesz, czy ktoś akurat nie patrzy ci na ręce. Trzeba nauczyć się z tym żyć.

Nie widziałem Susanny, ale mogłem ją słyszeć. Na podstawie barwy i natężenia dźwięku można dość dokładnie określić, gdzie znajduje się jego źródło.

– Nad czym pani teraz pracuje? – zagadnąłem. Chciałem, żeby do mnie mówiła. I nie przestawała, dopóki nie skończę. – To znaczy... Nie chcę pani przeszkadzać... jeśli nie ma pani ochoty na rozmowę...

– Nie przeszkadza mi pan – odpowiedziała miękko. – Cały dzień siedzę tutaj sama, czasem tylko wpada Daniel. Fajnie jest porozmawiać z kimś, kto dla odmiany nie próbuje mi położyć ręki na tyłku.

Nie słuchałem, co mówiła. Wystarczyło, że jej głos dobiegał zza moich pleców. Uniosłem tekturowe pudełko i postawiłem je na samej krawędzi stołu, tuż obok mojej klatki piersiowej. Włożyłem dłoń do kieszeni i namacałem kościaną rączkę.

– Pyta pan, nad czym pracuję...

Nie chciałem zdejmować pokrywki. Uchyliłem ją tylko na tyle, żeby w każdej chwili móc nasunąć. Kiedy wyczuję za plecami ruch albo zmieni się kierunek, z którego dochodzi jej głos.

– Rozłożyłam sobie na początek ceramikę z tego depozytu...

Wsunąłem rękę do pudełka. Musiałem się upewnić, czy to właściwa figurka. Nie wierzyłem co prawda, żeby Susanna pachnąca jaśminem, Susanna o słodkim głosie, notorycznie myliła zabytki, ale nie mogłem zdać się na wiarę, jestem naukowcem, nie księdzem.

– Wie pan, tam są na oko trzy naczynia. Wyglądają na kompletne albo prawie kompletne.

Dotknąłem waty. Najpierw przesunąłem palcami po wierzchu i policzyłem kawałki. Jeden duży i trzy małe.

– Pomyślałam, że może uda się to posklejać w całość...

Dotknąłem największego. Tak, to ta figurka, nie było mowy o pomyłce. Napięte ramiona, odchylona do tyłu głowa, wygięte w łuk plecy, odłamane obie ręce i jedna noga.

– I zrobić witrynę w muzeum – mówiła dalej Susanna. – Byk, skoczek i naczynia.

Przesunąłem palcami po pozostałych kawałkach. Zawsze zdumiewała mnie precyzja minojskich artystów. Na kończyźnie niewiele większej od mojego palca wskazującego potrafili wyrzeźbić mięśnie, ścięgna i żyły. Na stopach. I na obu dłoniach...

– ...to by było ładne i chyba też ciekawe dla zwiedzających...

Na obu dłoniach! Obie odłamane rączki leżały na wacie!

Susanna szurnęła stołkiem i podeszła, zatrzymując się za moimi plecami. Nienawidzę, kiedy ktoś zagląda mi przez ramię, ale nie potrafiłem tego wykrztusić.

– O, widzę, że zaczął pan od figurki tancerza. Wspaniała, prawda? Myślę, że kiedy się ją dotyka, można się zachwycać tak samo jak podczas oglądania. Właściwie to szkoda, że zabytki w muzeach są za takimi grubymi szybami. Żał mi odwiedzających, którzy mogą tylko popatrzeć.

Musiła być naprawdę bardzo stęskniona za rozmową z kimś, kto nie wsadza jej rąk w dekolt. Gadała bez przerwy. Nie mogłem zebrać myśli. Nasunąłem wieczko na pudełko.

– Już pan skończył? A może chciałby pan...

– Przepraszam na chwilę. Muszę się zastanowić.

Starąłem się, żeby wypadło grzecznie, ale wyszło to, co wyszło: warknięcie. Susanna się odsunęła.

– Oczywiście.

Oparłem łokcie na stole, pochyliłem głowę i zatkałem sobie uszy. Słyszałem tylko szum pulsującej w czaszce krwi.

Skąd Mona wzięła tę rączkę, jeśli nie z Knossos? Przecież na całej Krecie nie było takiej drugiej.

Kiedy nie działa wzrok, albo rozwijasz pamięć, albo giniesz. Ja wyćwiczyłem pamięć do granic, które ludziom korzystającym z ołówków, kartek papieru, komputerów, tabletów i komórek mogą się wydawać niemożliwe. Znałem każdą skorupę odkopaną na Krecie, a już na pewno wszystkie ważniejsze. I wszystkie inne zabytki też. Wszystkie!

Taka rączka była tylko jedna. Tak samo jak figurka tancerza. Pochodziła z depozytu Gamma-Lambda-Dwanaście, odkopanego w Knossos przez Arthura Evansa. Istniał tylko jeden taki depozyt.

Poderwałem głowę.

– Co pani mówiła?

– Nic. – W jej głosie brzmiało zdziwienie. – Nic nie mówiłam. Prosił pan o ciszę, bo chciał się pan zastanowić...

– Wcześniej! Co pani mówiła wcześniej!

– Wcześniej?

– Opowiadała pani o ceramice...

– A tak. – Przesunęła się ze stołkiem. – O ceramice z tego samego depozytu, z którego pochodzą tancerz i byk. Rozłożyłam ją, bo chcę zobaczyć, czy udałoby się skleić te naczynia...

– Gdzie ona jest?!

– Nooo... Tutaj.

Zerwałem się. Stołek przewrócił się na podłogę. Nie schyliłem się, żeby go podnieść.

– Proszę mi pomóc.

Podeszła i ujęła mnie za rękę, po czym podprowadziła do swojego stołu i przycisnęła moją dłoń do skorup rozłożonych na blacie.

Dotknąłem każdej oddzielnie. Znałem je doskonale. Studiowałem je kilka lat temu, nauczyłem się wówczas na pamięć kształtów i wzorów.

A nawet gdybym zapomniał, dotykałem ich kilka dni temu. Na posterunku policji w Agios.

Oczywiście nie były identyczne. Jeśli weźmie się dwa takie same kubki i w każdy walnie młotkiem, skorupy będą miały różny kształt. Ale jeśli znowu się je skleji, kubki będą nie do odróżnienia.

To właśnie robiła Susanna – sklejała rozbite naczynia. A ja potrafiłem to zrobić w myślach. Potrafiłem rozpoznać ich kształty, nawet kiedy stanowiły tylko kupę potłuczonych kawałków. To nie była jakaś nadprzyrodzona umiejętność, każdy archeolog to potrafi.

Każdy archeolog mógłby stwierdzić bez trudu, że kawałek w moim ręku pochodził z identycznego naczynia, jak skorupa, którą ukradłem z posterunku w Agios. I którą nadal miałem w kieszeni.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 10.46**

Chyba ją zaskoczyłem, bo strasznie długo się nie odzywała. W końcu powtórzyła głucho:

– Ukraść?

Pokiwałem głową.

– Pewnie już pani sprawdziła, ile zarabiam. Zatem wie pani, że to nie są kokosy. A za mały, ładnie zachowany zabytek można dostać kilka tysięcy euro, a jeśli to coś naprawdę unikatowego, to nawet kilkanaście. – Rozłożyłem szeroko ręce. – Człowiek się nie narobi, a zarobi.

Odchrząknęła. Ale dalej milczała.

– Najłatwiej jest ukraść coś, co akurat jest w konserwacji. Wtedy zazwyczaj panuje bałagan, zabytki przenosi się z miejsca na miejsce, wpisuje się do rejestru, a wiele osób o tym zapomina... – Urwałem, bo przypomniałem sobie Oliwię. Jej szuranie kapciami, wiecznie zły humor, otaczający ją zapach papierosów, to, jak ciągle próbowała mnie niezauważenie podejść. Przełknąłem ślinę i zmusiłem się, żeby mówić dalej. – Wpadłem więc zobaczyć, co ma akurat na warsztacie Susanna, ich konserwatorka. Pytała pani, dlaczego w środku tygodnia wykopalisk. Specjalnie – żeby nikt z ekipy się ze mną nie wybrał. Musiałem być sam, rozumie pani?

Marina ciągle milczała, więc jechałem dalej:

– Ta ceramika z plecaka tych zabitych turystów? Kojarzy pani?

– Nie mam sklerozy – mruknęła.

– Nie pochodzi z Knossos. Wtedy na posterunku nakłamałem, bo wiedziałem, że i tak nie może pani tego sprawdzić. Ta ceramika pochodzi z naszego stanowiska, z Halasmenos. I to ja im ją sprzedałem.

Usłyszałem, jak porusza głową, ale nic nie powiedziała.

– Nie mogłem wiedzieć, że ci idioci zaraz potem dadzą się zabić jakimś myśliwym.

– No nie – powiedziała jak w zwolnionym tempie. – Tego nie mógł pan wiedzieć.

– Dlatego tak mi zależało, żeby wziąć ją do ręki, zanim zleci pani badania odcisków palców. Bo mogłem coś zostawić na torebce foliowej, rozumie pani?

– Rozumiem – odpowiedziała cicho.

DROGA Z KNOSSOS DO PACHIA AMMOS, ŚRODA, 13 WRZEŚNIA, KOŁO POŁUDNIA

Kiedy stałem na przystanku autobusowym, mój zegarek piknął raz. Była jedenasta piętnaście. Miałem czas do dwunastej, żeby odpowiedzieć na zagadkę. Jeszcze czterdzieści pięć minut na to, żeby zgadnąć, z którego z tysięcy stanowisk archeologicznych na Krecie pochodzi kościana rączka, odłamana od figurki tancerza. Z tych tysięcy stanowisk mogłem na razie wykluczyć jedno: Knossos.

Obawiałem się tylko, że wiadomość „nie-Knossos” to nie było to, czego oczekiwał autor esemesów.

Wybrałem numer Ifigenii. Nie odebrała. I tak na to nie liczyłem. Dobrze będzie, jeśli jeszcze kiedykolwiek się do mnie odezwie.

Spróbowałem dodzwonić się do Mony. Zamierzałem wprost powiedzieć, że znalazłem w jej pokoju rączkę, i spytać, gdzie ją ukradła, ale jej telefon też milczał. Mogłem ją spytać później, po południu, w Kentro. O ile wcześniej nie zginie. O ile wcześniej jej czaszka nie roztrzaska się o kamienie, płuca nie pękną, aorty się nie rozerwą, rozlewając krew do wnętrza ciała, a połamane kości nie przebiją pachnącej różą skóry. Przeze mnie.

Ścisnąłem telefon w śliskiej od potu dłoni. Powinienem coś odpisać na esemesa z zagadką, ale nie wiedziałem co. Że potrzebuję więcej czasu? Że nie wiem i nigdy się nie dowiem? Żadna z tych odpowiedzi nie wydawała mi się prawidłowa.

Kiedy wciąż rozważałem, którą z nich wybrać, podjechał autobus. Kierowca wystartował jak astronauta, zanim zdążyłem znaleźć siedzenie. Pulchna kobieta, pachnąca kulkami na mole i jakimiś babcynymi perfumami, podparła mnie ramieniem i nakierowała moją dłoń na poręcz. Nie powiedziała przy tym ani słowa.

Klimatyzacji nie było albo nie działała. Ktoś otworzył klapę w dachu, ale nawiew miał temperaturę piekarnika. Obróciłem komórkę w dłoni, raz, drugi, trzeci. Na zakręcie autobusem zarzuciło i zacisnąłem palce na aparacie. Jeśli go tu upuszczę, nigdy go nie znajdę.

Przysunąłem telefon do ust.

– Nowa wiadomość tekstowa dla numeru zero sześć dziewięć zero pięć osiem pięć dziewięć trzy trzy dwa.

– Nagraj. Wiadomość. Po. Sygnale. Dźwiękowym.

– *Palikari mou, pou prepei na kathevo gia tis Limnes?* – spytała nagle kobieta od okna. – Gdzie mam wysiąść do Limnes?

Nie wiedziałem i powiedziałem to głośno, a kiedy telefon zapytał, co zrobić z wiadomością, warknąłem:

– Skasuj.

Wzięłem głęboki wdech i wstałem, ale od razu się zatoczyłem, bo autobus wszedł w zakręt. Namacałem wolne miejsce trzy rzędy dalej.

Też źle wybrałem. Kobieta obok opowiadała komuś po drugiej stronie telefonu szczegóły porodu córki. Nie chciałem ich znać, więc przeniosłem się jeszcze bardziej do tyłu. Tam dwóch facetów kłóciło się o wyniki wczorajszego meczu Panathinaikos – PAOK. Jak tylko usiadłem, sąsiadka od okna wsadziła mi łokieć w brzuch.

Chciałem poszukać kolejnego miejsca, kiedy zadzwonił mój telefon. Krzyknąłem „odbierz”. Rozmowy wokół mnie ucichły.

– Ifi, to ty?!

Chwila ciszy w słuchawce, a potem połączenie się urwało.

Nacisnąłem zegarek i usłyszałem, że jest za czternaście dwunasta.

Nie miałem wielkich nadziei, kiedy wybierałem numer Romanosa. Tam na górze naprawdę rzadko bywa zasięg. Usłyszałem dwa sygnały, a potem w aparacie zaczęło trzeszczeć. Odsunąłem telefon od ucha, żeby się rozłączyć, i wtedy odezwał się Romanos. Czysto i wyraźnie, jakby nie siedział w górach, tylko zrobił sobie południową sjęstę tuż obok stacji przekaźnikowej.

– Jezu, nareszcie – powiedziałem, chociaż jestem niewierzący. – Jak to dobrze, że udało mi się złapać chociaż ciebie.

– Właśnie zamierzałem do ciebie dzwonić, Tom.

Wszystkie moje mięśnie momentalnie się napięły. Nie potrafiłem nad tym zapanować.

– Czy coś się stało? – spytałem powoli.

– Nie, dlaczego? Masz dziwny głos, wszystko u ciebie w porządku?

Odchrząknąłem.

– To czemu zamierzałeś dzwonić?

Romanos się zawahał.

– Prosiłeś, żebym dyskretnie zobaczył, co się dzieje w Katalimacie. Nie udało się dyskretnie, w ogóle się nie udało. Ifigenia się wściekła, jak mnie zobaczyła. Nawet nie pozwoliła zbliżyć się do stanowiska. Kazała ci powtórzyć, że jak chcesz ją kontrolować, możesz to zrobić sam. Praktycznie mnie stamtąd wyrzuciła.

– Kie... – Znowu odchrząknąłem, gardło miałem suche jak ziemia w dawno wyeksplorowanym wykopie. – Kiedy to się stało?

– Rano, jak tylko tam przyjechaliśmy. Powinienem był wcześniej do ciebie zadzwonić, ale dzisiaj na dole, w Halasmenos, też kiepsko z zasięgiem.

Czyli moja nowa asystentka była przez cały dzień z moją dziewczyną, która nienawidziła jej jeszcze wtedy, zanim się z nią przespałem, i która mogła (choć ciągle nie miałem pewności) wysyłać do mnie esemesy z groźbami i zepchnąć ze skały Matakiego.

Romanos przerwał milczenie:

– Bardzo mi przykro, Tom, ale nie mogę ci pomóc.

Przesunąłem wolną dłonią po włosach, od czoła po potylicę. Skórę miałem mokrą albo od potu, albo rana znowu krwawiła.

– Nie ma sprawy – powiedziałem, bo coś musiałem powiedzieć. – Dziękuję, Romane.

I rozłączyłem się, zanim dodał cokolwiek.

Jeszcze raz przycisnąłem zegarek. Za sześć dwunasta. Musiałem podjąć decyzję.

Podniosłem się i macając, ruszyłem do tyłu. Ostatnie wolne siedzenie, na samym końcu autobusu, znajdowało się przy cicho modlącej się staruszce. Pachniała liśćmi winogron. Kiedy usiadłem, złapała mnie za rękę. Skórę miała chłodną i suchą, jakby pokrytą wykopaliskowym pyłem.

Wyswobodziłem delikatnie dłoń i podniosłem telefon do ust.

– Nowa wiadomość głosowa dla numeru zero sześć dziewięć zero pięć osiem pięć dziewięć trzy trzy dwa.

– Nagraj. Wiadomość. Po. Usłyszeniu. Sygnału. Dźwiękowego.

– *Palikari, palikari.* – Staruszka znowu szarpnęła mnie za rękę i omal nie upuściłem aparatu. Odtrąciłem jej dłoń.

– Wiem już, że rączka nie pochodzi z Knossos – powiedziałem do telefonu tak wyraźnie, jak mogłem w tych warunkach. Od okna słyszałem mamrotanie staruszki. Nie były to błogosławieństwa. – Nie wiem tylko, skąd jest. Potrzebuję więcej czasu.

Urwałem.

Zastanawiałem się, czy dodać coś jeszcze, ale telefon powiedział:

– Dostępne. Opcje...

– Wyślij wiadomość tekstową.

Staruszka pod oknem uraczyła mnie wyjątkowo soczystym przekleństwem. Postanowiłem je zapamiętać.

Wsunąłem telefon do kieszeni, jednak po chwili wyjąłem go z powrotem.

Nagrałem kolejną wiadomość. „Chciałbym porozmawiać. A najlepiej się spotkać”.

Podróż z Knossos do Pachia Ammos trwa dwie godziny. Przez cały ten czas ścisnąłem w dłoni telefon. Nie dostałem żadnej odpowiedzi. Tylko staruszka obok nie przestała obrzucać przekleństwami mnie i mojej rodziny, do dziewiątego pokolenia naprzód i wstecz. Mogła się nie wysilać: moi rodzice i dziadkowie oraz ich rodzice i dziadkowie już nie żyli, a dzieci nie planowałem.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 10.51**

– No dobrze – powiedziała w końcu Marina. – Zostawmy na razie kradzieże zabytków. Przyszedł pan, żeby porozmawiać o zabójstwie Mony Abano i Oliwii Papadaki.

– Dokładnie – przytaknąłem.

– Co było dalej, panie Mara?

Wzruszyłem ramionami.

– Nic. Sprawdziłem w Knossos, co chciałem sprawdzić, i wróciłem do Kentro. Po południu pracowaliśmy normalnie. Jak każdego innego dnia.

Nie skomentowała tego.

– Czy naprawdę muszę pani opowiadać, godzina po godzinie, co robiłem przez cały tydzień? Przyszedłem tu, żeby opowiedzieć o śmierci Mony. I żebyście znaleźli jej ciało...

Urwałem. Nie chciałem, żeby słyszała, jak łamie mi się głos.

Nic nie odparła. Milczała i milczała, aż zacząłem się zastanawiać, czy jakimś cudem udało jej się bezszelestnie wstać z krzesła, otworzyć drzwi i nie wywołując najmniejszego drgania rozpalonego powietrza, wyjść na korytarz.

Niemal podskoczyłem, kiedy wreszcie usłyszałem, jak bierze oddech.

– Czy w Pachia Ammos w tym roku też tak odczuwacie trzęsienia ziemi jak my tutaj, w Agios?

– Będziemy teraz rozmawiać na temat geologii wschodniej Krety? – odpowiedziałem pytaniem na pytanie.

– Mam tu informację na pana temat. – Postukała długopisem w kartki wpięte w folder. – O tym, że stracił pan wzrok w czasie trzęsienia ziemi...

– To był wypadek, już pani mówiłem.

– Dla większości ludzi to byłaby trauma na całe życie. Mało kto po takim wypadku zdecydowałby się żyć w strefie aktywnej sejsmicznie, a pan jest specjalistą od archeologii zniszczeń wywołanych trzęsieniami ziemi. Bardzo znanym, jak twierdzi mój kuzyn. Zadziwiająco łatwo poradził pan sobie z traumą po wypadku.

Nie poradziłem sobie łatwo. Nienawidziłem trzęsień ziemi i bałem się ich jak niczego na świecie. Co noc o nich śniłem.

– Pana znajomi twierdzą, że potrafi pan przewidzieć wstrząs.

To, co usłyszałem w jej głosie, zmusiło mnie do staranniejszego dobierania słów.

– Na kilka sekund przed wstrząsem mam skok ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Zresztą nie wiem, czy to prawidłowa nazwa. Czuję silny

ucisk w czaszce, od wewnątrz. I czasami szumi mi w uszach.

– I nigdy się pan nie myli? Nie ma pan tych skoków ciśnienia z innego powodu?

– Nie pamiętam takiego przypadku.

– Pożyteczna umiejętność – mruknęła.

– Średnio. Jak już mówiłem, to dzieje się na kilka sekund przed wstrząsem. Za późno, by znaleźć bezpieczne schronienie. Wystarcza zaledwie, żeby się czegoś złapać.

– A jak się pan czuje po takim... – Zawahała się. – Nie wiem, jak to nazwać... Ataku?

Gdybym widział, próbowałbym wyczytać w jej oczach, co myśli. Ale nie widziałem. Więc odpowiedziałem najkrócej, jak się dało:

– Kiepsko. Zazwyczaj boli mnie głowa.

Znowu zamilkła. I nie odzywała się naprawdę długo. Nagle zrozumiałem dlaczego.

– Myśli pani, że zwariowałem? – Podniosłem głos. – Że jestem chory psychicznie? Że mam jakieś neurologiczne uszkodzenie mózgu?

Nie odpowiedziała. Przerzuciła kartkę w swoich notatkach.

– Myśli pani, że wszystko to zmyśliłem?! – Teraz już krzychałem. – Że mi się to przyśniło?!

Marina siedziała bez ruchu, nie słyszałem szelestu ubrania, nie słyszałem nawet jej oddechu, zupełnie jakby nagle umarła, a jej ciało zniknęło.

– Myśli pani, że mi odbiło?!

W końcu poprawiła się na krześle.

– Wcale tego nie powiedziałam, panie Mara.

– Ale tak pani myśli!

– Proszę się uspokoić i nie krzyczeć.

Wciągnąłem ze świstem powietrze przez nos.

– Nie myślę tak – mówiła dalej Marina. – Ale sądzę, że żyje pan w wielkim stresie. Ma pan na głowie całe Kentro i wykopaliska, a prowadzenie ich na pewno kosztuje pana więcej wysiłku niż osobę widzącą. Jest pan przemęczony, źle pan sypia, śnią się panu koszmary... I jeszcze te „przewidywania” trzęsienia ziemi.

Nie mogłem zobaczyć, czy kreśli palcami cudzysłów w powietrzu, jednak i tak usłyszałem go w jej głosie. Powoli odchyliłem się i przycisnąłem plecy do oparcia krzesła. Nie zdołałem w ten sposób rozluźnić spiętych mięśni, za to obudziłem muchę. Musiała siedzieć gdzieś na krześle, bo poderwała się do lotu za moimi plecami. Zacisnąłem dłonie w pięści.

KENTRO, PACHIA AMMOS, ŚRODA, 13 WRZEŚNIA, WCZESNE POPOŁUDNIE

Kiedy przekroczyłem bramę i wszedłem na podjazd koło Kentro, otoczyła mnie cisza. Cykady milczały, gdy wspinałem się na wzgórze, a z dołu, z Pachia Ammos, nie dobiegało żadne szczeknięcie. Nawet morze zamilkło. Żwir na ścieżce zachrząścił pod moimi butami. Docierał do mnie tylko ten jeden dźwięk. Głowa mi pękała, jakby mózg chciał od środka rozsadzić czaszkę. Krew w uszach pulsowała mi rytmicznie.

Byłem jednak za bardzo zatopiony w myślach, żeby zwrócić na to uwagę. Myślałem o Monie. I o Ifigenii. I o Monie i Ifigenii razem. I próbowałem miarowo oddychać, żeby stłumić strach, który ścisnął mi płuca.

Dotarło do mnie, co się dzieje, dopiero kiedy poczułem drzenie i usłyszałem narastający łoskot, jakby na podjazd w Kentro wjeżdżał konwój wyładowanych ciężarówek. Tylko że tu nie jeżdżą ciężarówki.

Ziemia pod moimi nogami zafalowała, a ja zatoczyłem się na skrzydło bramy. Zawiasy zaskrzypiały. Usłyszałem trzask pękających szyb, a potem zarzuciło mną w jedną stronę i w drugą. Nie wiedziałem, gdzie jestem. Nie czułem, czy leżę na ziemi, czy jeszcze stoję. Nie potrafiłem określić, w którym kierunku jest morze. Moje arterie wibrowały, jakby miały się lada moment rozerwać na strzępy. Serce waliło mi nierównym rytmem, nie mogłem zaczerpnąć powietrza.

A potem wszystko ucichło.

Wczepiłem się w bramę i powoli uniosłem z kolan. Nie puszczałem metalowego słupa i czekałem na wstrząs wtórny, ale po kilku minutach tylko lekko mną zakołysało. Jakby ziemia ziewnęła, przeciągnęła się i wróciła do swojego wiecznego snu.

A potem w gaju oliwnym odezwała się cykada. Przez chwilę cykała samotnie, później dołączyła do niej druga, trzecia i milion innych. We wsi rozszczękały się psy. Drogą u stóp wzgórza przejechał samochód.

Świat wrócił na swoje miejsce.

Obmacałem obiema dłońmi słupki bramy. Wystawiłem twarz na wiatr i słońce. Powoli docierało do mnie, gdzie jestem i gdzie jest wszystko inne: po jednej stronie ścieżka, gaj oliwny, droga prowadząca w dół wzgórza, a po drugiej – budynek Kentro. Przemogłem się wreszcie i puściłem bramę, a potem powoli ruszyłem w kierunku wejścia. Żwir skrzypiał pod moimi stopami, drewniane skrzydło drzwi zatrzeszczało, kiedy je nacisnąłem. Grube podeszwy moich butów chrzęściły na potłuczonym szkłe i piszczały na kamiennych płytach podłogi. Chciwie słuchałem tych dźwięków. Napawałem się nimi jak szklanką zimnej wody pod koniec upalnego dnia. Nienawidziłem, kiedy świat zniknął.

W Kentro było cicho. Studenci nie wrócili jeszcze z wykopu. Tylko w moje nozdrza wwiercał się smród starego dymu papierosowego.

– Tom? Jezu, czułeś to?

Oparłem się o framugę drzwi jej pracowni.

– Wszystko w porządku, Oliwio? Nic ci się nie stało?

– Nie, wszystko okej – mruknęła. – Na szczęście nie stłukł się ten gliniany byk. Zaczęłam go robić wczoraj i szlag by mnie trafił, bo został znaleziony prawie kompletny, tylko z odłamanym jednym rogiem. Ale przewrócił się regał przy biurku i kilka garnków spadło na podłogę. Między innymi ten kubek, który ci pokazywałam w zeszłym tygodniu. Poszedł w drobny mak. Tydzień pracy w plecy.

– Dobrze, że na podłogę, a nie na twoją głowę.

– Ty to potrafisz pocieszyć człowieka.

Chciałem ją wyminąć, ale trzęsienie ziemi zachwiało moim zmysłem orientacji bardziej, niż myślałem. Nie zmieściłem się między Oliwią a krzesłem.

Albo Oliwia specjalnie zagroziła mi drogę.

– Tom, posłuchaj, te brakujące zabytki z mojej pracowni...

Namacalem to cholerne krzesło i usiadłem. Nie miałem siły stać.

– To Romanos, na pewno.

To nie był Romanos. Ale nie mogłem jej tego powiedzieć.

– No dobrze – zachrypiałem, po czym odchrząknąłem. – Masz już jakieś dowody?

Zaszeleściła fartuchem. Fala papierosowego smrodu przybrała na sile.

– Na razie nie – wyznała. – Tylko podejrzenia, ale...

Podniosłem rękę.

– Nie możesz nikogo oskarżać bez dowodów.

Wypuściła powietrze z płuc.

– Będę miała dowód.

– Już to mówiłaś. Wczoraj – mruknąłem.

Prędzej czy później na pewno go zdobędzie, nie wątpiłem w to. Tylko że ten dowód będzie wskazywać na Monę. Która musiała być skrajną idiotką, skoro porwała się na coś takiego, ale nie chciałem, żeby poszła za to siedzieć.

Oliwia przerwała moje rozmyślenia. Zaszeleściła fartuchem, chyba wsunęła rękę do kieszeni, bo po chwili usłyszałem szumnięcie kartki papieru, którą wyjęła.

– Napisałam... Napisałam mu liścik. „Wiem, że to ty kradniesz zabytki z pracowni. Jeśli nie przestaniesz, pójdę na policję”.

Westchnąłem.

– Myślisz, że to pomoże?

– Może go to otrzeźwi.

Może tak, może nie. Raczej nie. Za to go zaalarmuje. I Romanos zacznie zwracać pilniejszą uwagę na pracownię zabytków. I niewykluczone, że nakryje

Monę. A ja musiałem to załatwić sam, zanim ktokolwiek się zorientuje.

– Daj mi ten liścik – powiedziałem.

– Bo co?

– Bo to nie najlepszy pomysł, Oliwio. To nic nie da.

Pociągnęła nosem.

– Może i masz rację. – Wsunęła w moją dłoń kartkę papieru. Złożyłem ją na cztery i schowałem do kieszeni spodni.

– Posłuchaj – zacząłem. – Myślę...

Przerwała mi. Klasnęła w dłonie.

– Aha! Właśnie wpadło mi do głowy coś innego. Zastawię na niego pułapkę. Jak go złapię na gorącym uczynku, to chyba będzie wystarczający dowód, nie?

– Teraz dla odmiany pułapkę?

– No wiesz. – Zniżyła głos, chociaż nikogo oprócz nas w Kentro nie było. Wiedziałem to na pewno, usłyszałbym najłżejszy szmer. – Zaczaję się w nocy. Pogaszę światła, włączę alarm, żeby pomyślał, że Kentro jest puste, powstrzymam się od jarania fajek...

Zachichotała.

– A skąd pewność, że Romanos, jeśli to w ogóle on, kradnie zabytki właśnie w nocy? Przy tym bałaganie...

Ugryzłem się w język. Niepotrzebnie.

– Tak, Tom, wiem. Przy tym bałaganie mógłby przyjść, wziąć, co chce, i wyjść. I ja bym tego nie zauważyła. Bo Romanos porusza się jak duch.

Coś w tym stylu chodziło mi po głowie.

– Tylko że do mnie nikt nigdy nie przychodzi. Siedzę całkiem sama. Za zamkniętymi drzwiami, bo inaczej zorientowałbyś się, że palę. Gdyby wszedł, chyba bym go zauważyła. Nie jestem przecież ślepa.

Większość osób w tym momencie ugryzłaby się w język i przeprosiła. Ale nie Oliwia. Ona mówiła dalej:

– W nocy najłatwiej coś ukraść. Właściwie – dodała po chwili namysłu – mógłbyś mi w tym pomóc. I tak źle sypiasz. Zaczailibyśmy się oboje. Ja w pracowni, a ty w swoim gabinecie...

– Posłuchaj – powiedziałem szybko. – To bardzo dobry pomysł, naprawdę, ale daj mi najpierw kilka dni. Może uda mi się coś z tym zrobić.

– Ciekawe co. – Pochyliła się i chuchnęła na mnie kwaśnym oddechem. – Pogadasz z Romanosem po dobroci?

– Zaufaj mi.

Coś mruknęła. Nie przekonałem jej.

– Daj mi czas do końca tygodnia, Oliwio – poprosiłem. – Dzisiaj jest środa. Jeśli do poniedziałku nie rozwiążę problemu kradzieży zabytków, możesz robić, co chcesz. Zastawiać pułapki, dzwonić na policję... Będziesz mieć wolną rękę. Tylko

dopiero po niedzieli.

– No nie wiem. A jeśli do tego czasu zginie coś naprawdę cennego?

– A masz tu coś naprawdę cennego?

– Jak dla kogo – mruknęła. – Wszystkie zabytki są cenne.

– Ale niektóre bardziej. Masz coś ze srebra? Ze złota. Z... – zawahałem się – z kości słoniowej albo kłów dzika?

– Nie.

– No to daj mi tych kilka dni.

Zastanawiała się co najmniej minutę. Nie przeszkadzałem jej. Czułem się strasznie zmęczony. Szansa, by posiedzieć przez minutę na krześle i z nikim nie rozmawiać, to był prawdziwy luksus.

Ale się skończył, a Oliwia powiedziała:

– Do końca tygodnia.

– Tak jest.

– Ani dnia dłużej, Tom.

– Masz moje słowo.

Wyciągnąłem rękę. Wsunęła dłoń w moją. Miała szorstką skórę, spękaną od kleju i rozpuszczalników. I nierówno obcięte paznokcie.

Pociągnęła nosem.

– Jesteś dobrym szefem dla starej kobiety, Tom.

– Nie jesteś stara, Oliwio... – zacząłem. Niepotrzebnie. Pociągnęła nosem i nagle się rozplakała.

– Czuję się stara, Tom. Już nie ogarniam.

Dotknąłem jej ramienia i pogładziłem po fartuchu, który choć śmierdział dymem, był sztywny jak świeżo wyprany i wykrochmalony.

– Hej, daj spokój. Nie wiesz, że pięćdziesiątka to teraz nowa trzydziestka? A ty ile masz lat? Pięćdziesiąt osiem?

Oliwia dalej szlochała.

Wyciągnąłem chustkę z kieszeni. Nie z tej, w której ukryłem kościaną rączkę, z drugiej. Tylko na śmierć zapomniałem, że poprzedniego dnia schowałem tam kawałek ceramiki ukradziony z posterunku. Stuknął o posadzkę.

– Cholera, jeszcze jedna skorupa z tych pieprzonych garnków? – Oliwia schyliła się szybciej niż ja, nie musiała macać po podłodze, żeby ją znaleźć. – A nie, to od czegoś innego. Proszę, Tom, to, zdaje się, twoje.

Wepchnąłem kawałek do kieszeni, a Oliwia wydmuchała nos w moją chustkę.

– Przepraszam – powiedziała między jednym smarknięciem a drugim. – Taki dzień.

Może i tak. Może to był taki dzień. Ja też czułem, jakbym dźwigał na plecach stutonowy ciężar.

Pogłaskałem ją po ramieniu i wstałem.

– Będę w moim biurze, jakbyś czegoś potrzebowała.

Nie odpowiedziała. Słyszałem, jak odchodzi i mamrocze pod nosem.

Skreśliłem w lewo do biura i zrobiłem coś, czego nie robię nigdy: zamknąłem za sobą drzwi. Namacałem obrotowe krzesło i zwałem się na nie całym ciężarem.

Wilgotne powietrze śmierdziało stęchlizną. Przesunąłem dłońmi po biurku, aż natrafiłem na wiatrak Mony. Zawył, kiedy włączyłem go na najwyższe obroty. Teraz ktoś mógłby przyjść i mnie zabić – nie usłyszałbym go, nawet gdyby stał tuż obok mnie.

Wyjąłem z kieszeni rączkę i położyłem przed sobą. Pogładziłem ją czubkami palców.

To nieprawda, że ślepcy tęsknią za zmysłem wzroku. Nie można tęsknić za czekoladą, jeśli nigdy jej się nie jadło albo posmakowało tylko w dzieciństwie. Człowiek zapomina. Ja też już nie mogłem sobie wyobrazić, jak to jest widzieć.

Zdarzały się jednak momenty, kiedy tego żałowałem. Na przykład tamtego dnia. Bo rączka była piękna.

Może zamiast ceramiką, powinienem zająć się rzeźbą? To akurat coś dla ślepcy, obmacywanie posążków.

Ale ja przecież kochałem wypaloną glinę. Kochałem jej zapach, lekko szorstką chłodną powierzchnię, smak popiołu na czubku języka...

Przez chwilę poczułem się, jakbym zdradził jedną kochankę z inną. Odsunąłem na bok rączkę i sięgnąłem do drugiej kieszeni. Wyjąłem skorupę, której omal nie zgubiłem w pracowni Oliwii. Pogładziłem wypaloną glinę. Pod palcami czułem wygięcie wylewu, jak krzywiznę kobiecej szyi. I nieznaczną wypukłość wzorów, niczym tatuaż na kobiecej skórze. Ceramika jest lepsza niż kochanka. Wybacz za zdradę i nie wyłącza telefonu.

Tylko czasem oszukuje, tak samo jak kobieta z krwi i kości. Jeszcze rano myślałem, że skorupa w moich rękach jest jedyna na całej Krecie, a później okazało się, że ma siostrę bliźniaczkę.

Wentylator wył i nie mogłem się skupić. Obracałem skorupę w palcach. Przy każdym uderzeniu o stół wydawała metaliczny dźwięk. Tak samo zadźwięczała, kiedy upuściłem ją w pracowni Oliwii...

Zerwałem się z krzesła. Przez jedną straszną chwilę nie mogłem namacać klamki w drzwiach. A potem wypadłem na korytarz. Poczulem świeży zapach dymu i usłyszałem, jak Oliwia zrywa się z krzesła.

– Już gaszę, Tom. – Suchy chrzest tytoniu z rozgniatanego papierosa. – Przepraszam. Po prostu dzisiaj...

Nie interesowały mnie jej tłumaczenia.

– Ta skorupa. – Wyciągnąłem przed siebie dłoń z ceramicznym odłamkiem.

– Skąd wiedziałaś, że to nie z twoich garnków? Gлина jest podobna.

Oliwia odkasznęła. Zawahała się.
– Tu jest napis. Ktoś napisał ołówkiem numer wykopu i depozytu.
Do diabła! Uderzyłem pięścią w stół. Błat podskoczył. Coś spadło i rozłukło się na podłodze.
Oliwia zrobiła krok do tyłu.
– Przepraszam. – Przesunąłem dłonią po włosach. – Przepraszam, zaraz pomogę ci pozbierać.
Odchrząknęła.
– Lepiej zostaw. Jeszcze tylko narobisz więcej szkód.
Cofnąłem się.
– Proszę, przeczytaj mi, co jest napisane na tej skorupie.
Jeszcze raz odchrząknęła:
– H L dwa tysiące siedemnaście, łamane przez czternaście, łamane przez pięćdziesiąt pięć, łamane przez dwa.
H L dwa tysiące siedemnaście. Halasmenos, dwa tysiące siedemnaście! Moje wykopaliska! Moje własne!
W tym roku. A czternaście to numer wykopu koło świątyni. Tego, w którym pracuje Jason. Czy też raczej nie pracuje, tylko podrywa Sarah.
Wypadłem z pracowni. Usłyszałem jeszcze, jak Oliwia mamrocze za moimi plecami: „Nie ma za co, Tom”, i zatrzasnąłem za sobą drzwi gabinetu.
Wiatrak wył jak potępiona dusza w piekle.
Przysunąłem laptopa i włączyłem go.
– Menu – powiedziałem do komputera. – Wyświetl zawartość katalogu „Halasmenos 2017”.
Kazałem mu otworzyć plik o nazwie „Halasmenos 2017_14”.
I przeczytać.
– Znajdź z obiektu czternaście znalezione w roku dwa tysiące siedemnastym na północny wschód od północnego narożnika świątyni. Szesnaście fragmentów ceramiki o łącznej wadze jednego kilograma dwudziestu gramów. Prawdopodobnie trzy naczynia. Stan: do konserwacji. Fragmentaryczna figurka z kości, w nawiasie kły dzika albo kość słoniowa, koniec nawiasu, niekompletna: zachowana tylko odłamana prawa ręka. Stan: do konserwacji. Jedna figurka...
– Zatrzymaj czytanie – poleciłem.
Odetchnąłem parę razy głęboko.
Nic nie wiedziałem o tym znalezisku. Ja, szef wykopalisk. Dumny z tego, że mimo ślepoty mam wszystko pod kontrolą.
Sprawdziłem godzinę. Zegarek wyrecytował: „Czternasta trzydzieści osiem”.
Zamknąłem klapę laptopa.
Ścisnąłem mocno w dłoni telefon.
Chociaż to przeczyło prawom fizyki, powietrze wydmuchiwane przez

wiatrak było lodowate. Na ramionach i karku miałem gęsią skórkę.

Podniosłem aparat do ust.

– Nowa wiadomość tekstowa dla numeru zero sześć dziewięć zero pięć osiem pięć dziewięć trzy trzy dwa.

– Nagraj. Wiadomość. Po. Usłyszeniu. Sygnału.

Wziąłem głęboki wdech.

– Rączka figurki tancerza z kości słoniowej, znaleziona w pokoju Mony, pochodzi z Halasmenos. Z depozytu czternastego, odkopanego w zeszłym roku koło narożnika świątyni. Z tego samego depozytu pochodzi ceramika znaleziona przy zabitych Wojnarach.

Wydawało mi się, że powietrze w pokoiku się skończyło, że oddycham przez grubą chustę zakrywającą mi oczy i usta. Tak muszą się czuć pochowani żywcem.

Wziąłem jeszcze jeden wdech.

– Wyślij wiadomość.

Telefon piknął i poinformował mnie obojętnym głosem, że wiadomość została wysłana.

Drżałem z zimna, ale ciągle nie miałem czym oddychać. Namacałem na blacie podstawę wiatraka i przełączyłem go na najsilniejszy podmuch.

To był zły pomysł. Nie usłyszałem kroków. Drzwi za moimi plecami otworzyły się, a ja nie zdążyłem zgarnąć ze stołu odłamanej rączki.

**KENTRO, PACHIA AMMOS,
ŚRODA, 13 WRZEŚNIA, NADAL WCZESNE POPOŁUDNIE**

Fala różanego aromatu wdarła się do dusznego wnętrza.

– O, Tom... – Mona zatrzymała się na progu. – Nie wiedziałam, że tu jesteś. Nie będę ci przeszkadzać...

– Wejdz – powiedziałem. – I zamknij drzwi.

Stała nieruchomo jeszcze przez dobrą minutę, a potem jej bransoletki brzęknęły cicho, robocze buty zastukały o podłogę i usłyszałem trzask zapadki zamka. Mona podeszła do mnie. Z bliska pachniała słońcem.

– To coś pilnego, Tom? Bo wpadłam tylko na chwilę, prosto z wykopu, przywiozłam ceramikę do mycia. Chciałabym wrócić do hotelu i wziąć prysznic. Więc może pogadamy po połud...

Mówiła więcej niż zwykle, żeby ukryć zmieszanie. Rozumiałem ją. Sam też to czasem robiłem.

– Mona – przerwałem. – Muszę cię o coś zapytać. To bardzo ważne.

– Tak, Tom?

Jej głos brzmiał miękko.

– Czy na wykopie wszystko było dzisiaj w porządku?

Wciągnęła gwałtownie powietrze. Najwyraźniej spodziewała się innego pytania.

– Masz na myśli...

– Mam na myśli, czy wszystko u was w porządku. Czy dobrze wam się pracowało i tak dalej.

Czy nikt nie próbował zepchnąć cię ze skały?

– Jak zawsze. Ifigenia upiera się przy swoim datowaniu i naprawdę nic do niej nie dociera. A czemu pytasz?

Wypuściłem powietrze z płuc.

Tym razem równocześnie wzięliśmy głęboki wdech. W pokoju jakby wciąż brakowało tlenu. Wiatrak miał chyba już tylko dwutlenek węgla.

– Rozmawiałaś z nią?

– O czym?

– No tak... w ogóle...

Mona podeszła jeszcze bliżej. Ciepło promieniowało z jej ciała. Przez chwilę wydawało mi się, że w obezwładniającym aromacie róż wyczułem nutę dzikiego tymianku. Naprawdę byłem cholernie zmęczony i powinienem chociaż raz porządnie się wyspać.

Potrząsnąłem głową i zapach zniknął. Wziąłem głęboki haust powietrza.

– Pracujemy razem, Tom. Muszę z nią rozmawiać. Na przykład jak

zdejmujemy niwelacje albo uzgadniamy numery warstw.

– Myślałem o...

Oparła się o blat tuż obok mnie. Zapach olejku różanego zaczął mnie drapać w gardło.

– Jeśli chciałeś zapytać, czy rozmawialiśmy o tobie, odpowiedź brzmi „nie”.

I musisz wiedzieć...

Uniosłem dłoń.

Urwała.

– Usiądź – poprosiłem.

Przysunęła sobie krzesło i zablokowała ciałem strumień lodowatego powietrza z wiatraka.

Pomacałem blat biurka, natrafiłem na rączkę z kości słoniowej. Położyłem ją na zamkniętej klapie laptopa.

– Co to jest? – spytała.

– Ty mi powiedz.

Musiała pokręcić głową, bo poczułem ruch powietrza.

– To jakiś egzamin? Nie znam się na figurkach.

Czekałem.

Odchrząknęła.

– No dobra, spróbuję. – Po delikatnym szczęku metalu poznałem, że wyciągnęła przed siebie dłoń i dotknęła rączki. – Figurka z kości, z kła słonia albo dzika. Minojska. Oczywiście. Wygląda bardzo podobnie jak ten słynny tancerz z depozytu Gamma-Lambda-Dwanaście z Knossos.

Milczałem.

– No nie wiem, co chcesz jeszcze wiedzieć. Tego datowania nie jestem pewna. Nie znam się na figurkach, już ci mówiłam.

Umilkła i przez dłuższą chwilę tak siedzieliśmy, a wentylator szumiał.

– Skąd ją masz? – spytałem w końcu.

– Ja ją mam? Skąd?

Nie rozumiała, o co mi chodzi.

Albo udawała.

Wszystko wskazywało na to drugie.

– Masz rację, to głupie pytanie – powiedziałem w końcu. – Masz ją z wykopalisk. Ukradłeś prosto ze skrzynki z wykopanymi zabytkami, zanim trafiła do pracowni Oliwii. I z tego samego depozytu wzięłaś ceramikę, którą sprzedawaś Wojnarom, zanim zastrzelili ich myśliwi. A inne rzeczy podprowadziłaś już z pracowni.

– Tom, nie rozumiem, o czym ty mówisz.

Oparłem łokcie na blacie, a głowę na rękach. Rana na skroni zakłuła.

Jako dziecko, kiedy jeszcze widziałem, chodziłem na religię i do kościoła.

I do spowiedzi. Nienawidziłem tego. Myśl o tym, że mam wyznać obcemu facetowi, ile razy marszczyłem w nocy siusiaka i nachodziły mnie nieczyste myśli na widok cycatej nauczycielki, napawała mnie obrzydzeniem.

Ale najgorsze było to, że nikt mnie nie zmuszał. Przeciwnie. Musiałem się zmusić, żeby skończyć z tym cyrkiem.

Ciągle to pamiętam. Na tyle dobrze, żeby nie wymagać spowiedzi od nikogo. Nawet od złodziejki.

Podniosłem głowę.

– Znalazłem to w twoim pokoju – powiedziałem tylko.

– Wtedy, kiedy...

– Tak. Wtedy.

– Więc dlatego tam byłeś...

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Coś jednak musiałem, bo ona milczała.

– Posłuchaj, nie oczekuję od ciebie skruchy, w ogóle niczego, ale, Mona, proszę, nie rób tego.

– Czego mam nie robić? – Jej głos brzmiał tak samo mechanicznie jak głos mojego pieprzonego telefonu.

– Skończ z tym. I nie dlatego o to cię proszę, że to nieetyczne, sprzeczne z kodeksem archeologa i tak dalej. Chociaż to jest nieetyczne i sprzeczne z kodeksem archeologa. Proszę cię, bo to cholernie niebezpieczne. Niebezpieczne dla ciebie, Mona.

Milczała.

– Oliwia już się zorientowała, że ktoś jej podprowadza zabytki z pracowni, chociaż ma tam taki burdel, że mogłaby ukryć trupa. Jeszcze trochę i domyśli się, że to ty. A ja nie zdołam jej wtedy powstrzymać przed pójściem na policję.

– Powiedziała ci, że to ja ją okradam?

Powiedziała, że to Romanos. Ale odkrycie prawdy pewnie nie zajmie jej wiele czasu.

– Nie wymieniła twojego imienia – powiedziałem głośno. – Ale myślę, że już cię podejrzewa.

Milczała. Nie słyszałem nawet jej oddechu. Tylko furkotanie łopat wiatraka.

– A jak nie Oliwia, to ktoś inny zorientuje się, że z wykopaliska znikają zabytki. Nie dasz rady długo tego ukrywać.

Nadal milczała.

– Komu to sprzedajesz? Znasz te osoby na tyle dobrze, żeby czuć się bezpiecznie? Przecież wiesz, jak Grecy poważnie traktują sprawy dziedzictwa narodowego.

Nadal milczała.

– Bo sprzedawanie przygodnym turystom, takim jak ci Wojnarowie, to naprawdę cholerne ryzyko. Nie możesz mieć pewności, że ktoś nie przespaceruje

się z tym na policję.

– Przygodnym turystom? Myślisz, że sprzedalam jakąś ceramikę tym ludziom zabitym w Halasmenos?

Nie myślałem, tylko wiedziałem. I nie jakąś ceramikę, tylko skorupy z depozytu czternastego w Halasmenos, tego samego, z którego pochodziła rączka. Chociaż nie rozumiałem, dlaczego Mona wcisnęła prawnikowi z Polski akurat potłuczone gliniane naczynia. Rączka prezentowałaby się na kominku o wiele lepiej, no i była mniejsza, łatwiejsza do wywiezienia nawet dla przemytnika amatora.

– Mona, naprawdę myślisz, że warto dla kilkuset euro ryzykować karierę? Bo przecież więcej za taką rączkę nie dostaniesz. A za skorupy to pewnie nawet jeszcze mniej.

Jeśli myślałem, że zareaguje na wzmiankę o pieniądzach, to się pomyliłem. Milczała. Jak grób.

– Jeśli potrzebujesz pieniędzy, pożyczę ci. Dam, nie musisz mi oddawać. Ile chcesz? Coś się stało, że nagle musisz mieć większą sumę? Masz jakieś problemy?

Powoli potrzaskała głową. Jej bransoletki zadzwoniły jedna o drugą, a zza dekoltu napłynęła nowa fala różanego aromatu.

– Nie, Tom, nie mam żadnych problemów...

– No to...

– Żadnych z wyjątkiem tego, że mój pieprzony szef uważa mnie za złodziejkę!

Ostatnie słowa wykrzyczała. I walnęła pięścią w stół, aż zatrzeszczała obudowa laptopa.

– Skąd wiesz, że w ogóle coś ukradłam?!

– Nie musisz krzyczeć. Siedzę dwadzieścia centymetrów od ciebie.

– Chyba jednak muszę!

– Mona, znalazłem to w twoim pokoju.

– Aha. – Zerwała się. Nogi krzesła zgrzytnęły o posadzkę. – W pokoju, do którego wszedłeś przez drzwi balkonowe. Do którego każdy może wejść przez drzwi balkonowe, bo zamek się zepsuł i wystarczy je popchnąć palcem.

– Mona...

– Tak po prostu nagle przyszło ci do głowy, żeby szukać tej rączki u mnie? Wstałeś rano i pomyślałeś sobie: „Zajrzę do pokoju Mony, tam na pewno będzie jakiś skradziony zabytek”?

– Ktoś mi powiedział.

– Ktoś ci powiedział. Kto?

Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent to była Ifigenia. Ale nie na sto. Dlatego milczałem.

– Dobra, wszystko jedno kto. A nie wpadło ci czasem do tego zakutego łba,

że może ten ktoś, kto ci powiedział, podrzucił mi tę rączkę?

Nie wpadło.

– Gdzie ją znalazłeś?

– W komodzie. W dolnej szufladzie.

Mona kopnęła krzesło. Upadło.

– Nie obrażaj mojej inteligencji, Tom. Myślisz, że gdybym ukradła jakiś pieprzony zabytek, trzymałabym go między majtkami? Gdzie każdy może go znaleźć?

Szczerze mówiąc, nie miałem na ten temat zdania.

– Gdybym naprawdę coś ukradła, w ogóle nie trzymałabym tego w pokoju, znalazłabym jakieś lepsze miejsce. A już na pewno nie w głupiej szufladzie, do której każdy może się dostać.

– Mona. – Staralem się mówić cicho i spokojnie. Jedna wrzeszcząca osoba w małym pomieszczeniu absolutnie wystarczała. – Ta rączka została znaleziona w depozycie obok świątyni. Przy północnej ścianie. Nie wydzielono jej jako drobnego znaleziska i jest tylko w głównym katalogu. To znaczy, że ukradłaś, zanim wprowadziliśmy ją do wszystkich rejestrów. A sama wiesz, że zabytek, którego nie ma we wszystkich rejestrach, równie dobrze może nie istnieć. Mogłaś z nią zrobić, co chciałaś.

Nagle poczułem dotknięcie jej piersi. Z cichym brzęknięciem bransoletek sięgnęła przez moje ramię i przysunęła sobie laptopa.

– Co to za numer obiektu? – spytała.

Nie czekała na moją odpowiedź. Zaczęła stukać w klawisze.

– No tak, wszystko jasne.

Zatrzasnęła klapę laptopa, aż plastik zatrzeszczał.

– Obiekt czternaście z tego roku. Odkopywał go ten debil Jason. I to on powinien był powpisywać znaleziska do rejestrów, czego oczywiście nie zrobił. Ciekawe, o czym jeszcze zapomniał.

Odepchnęła komputer.

– Zatrudniasz idiotów na wykopaliskach, a potem masz do mnie pretensje. Co gorsza, nie masz pretensji, tylko oskarżasz mnie o kradzież!

– Mona...

– Nie jestem złodziejką! I nie zostanę nią tylko dlatego, że coś sobie ubzdurałeś!

Wyszła i trzasnęła drzwiami. Stół zadrżał, jak przy wstrząsie sejsmicznym.

Brzmiała naprawdę bardzo przekonująco.

Tak bardzo, że omal jej uwierzyłem.

Tylko że wszystko niestety się zgadzało.

Ifigenia napisała do mnie te głupie esemesy, żeby mi pokazać, że zatrudniłem złodziejkę. I zrzuciła Matakiego ze skały, żebym potraktował to

poważnie (no i pewnie też dlatego, że była wściekła, bo mówiłem o Monie w superlatywach). Inaczej – o czym dobrze wiedziała – skasowałbym wiadomości i zapomniał o sprawie, zanim zdołałbym policzyć do trzech.

Oczywiście każda inna osoba po prostu przyszlaby porozmawiać o swoich podejrzeniach. Tylko że Ifigenia nie jest „każdą osobą”. Wszystko robi na sto procent. Jeśli ma faceta, to on musi do niej należeć cały, od najmniejszego włoska na głowie po czubki paznokci. A jeśli ma pograżyć złodziejkę, to też tak, żeby tamta już nigdy nie podniosła się po ciosie.

To była dobra i zła wiadomość jednocześnie.

Zła, bo musiałem spojrzeć prawdzie w oczy: moja dziewczyna zabiła psa, żeby coś udowodnić.

Dobra, bo nie wierzyłem, żeby mogła posunąć się dalej. Pogram z nią trochę w tę głupią grę, jakoś (z naciskiem na jakoś!) rozwiążę sprawę Mony i wszyscy będziemy żyli długo. Czy szczęśliwie, tego nie wiedziałem, ale mogłem się tym zająć w następnej kolejności.

Siedziałem w całkowitym bezruchu, słuchając szumu wiatraka. A potem pomyślałem, że jeśli jeszcze przez chwilę będę sam, w ciszy, to zwariuję. Poderwałem się i szarpnąłem kłamek. Wyszedłem na korytarz i natychmiast zderzyłem się ze śmierdzącym papierosami ciałem Oliwii. Trzymała w rękach kanciastą skrzynkę, z której przy zderzeniu wypadła składana drewniana miarka.

– Tom! Przestraszyłeś mnie – wysapała. – Coś się stało?

Tkwiałem przez chwilę w bezruchu, z zaciśniętymi zębami, a potem powiedziałem:

– Nie, wszystko w porządku.

Oliwia schyliła się, podniosła miarkę i znowu dźwignęła skrzynkę. W środku coś metalicznie zadzwoniło.

– Właśnie wracam z patio. Te figurki wyschły już na pieprz na słońcu.

– Jasne. – Pokiwałem głową.

– No to wracam do roboty.

Odeszła, a ja zostałem przed swoim gabinetem. Oliwia powiedziała, że przed chwilą wróciła z nasłonecznionego patio, ale jej fartuch nie był nagrany od słońca. A byłby, gdyby pakowała do skrzynki kilkanaście figurek, promieniowałyby ciepłem jak piec w tawernie.

Tymczasem jej ramię miało taką samą temperaturę jak moja dłoń.

To znaczy, że najpewniej stała pod drzwiami i podsłuchiwała.

To była zła wiadomość dla mnie i jeszcze gorsza dla Mony.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 11.01**

– Czyli po południu pan pracował, a wieczorem?

– Przecież pani wie. Spędziłem go z narzeczoną. I całą noc też.

Marina znowu przewróciła kartkę. Kartkowała te swoje notatki, jakby była mormonką, a przed nią leżała Biblia.

– Od jak dawna państwo się znają? – spytała w końcu.

– Czy moglibyśmy wreszcie porozmawiać o śmierci Mony? Musicie znaleźć jej ciało. Tam w wąwozie jest mnóstwo dzikich zwierząt i ptaków, które mogą ją...

Nie chciało mi to przejść przez gardło.

– Dojdziemy do tego, panie Mara.

– Dojdziecie do tego? Ona tam leży już kilkanaście godzin. Wie pani, co się dzieje z ludzkim ciałem w takim upale?

– Nie tylko z ludzkim – mruknęła, a potem powiedziała półgłosem: – Tak, panie Mara, wiem. Podejrzewam, że wiem to lepiej niż pan.

– Więc znajdźcie ją, do cholery! – Walnąłem pięścią w stół, potrącając przy tym szklankę. Strużka wody pociekła z blatu na moje spodnie – brudne, podarte i zakrwawione, więc nie robiło mi to różnicy.

Marina nie sięgnęła po szklankę, żeby odstawić ją na miejsce, ani nie przyniosła żadnej ścierki do wytarcia wody. W ogóle nic nie zrobiła.

– Dojdziemy do tego, panie Mara – powtórzyła tylko, jakby ktoś ją zaprogramował. – Niech się pan uspokoi i odpowie na moje pytanie.

– Trzy lata.

– A od kiedy są państwo w związku?

– Od roku. Mniej więcej.

– Mniej więcej?

– Ponad rok. Rok i dwa miesiące. Albo trzy... Musiałbym się zastanowić.

– Nie zna pan na pamięć daty, kiedy zaczęli państwo być razem?

– Nie! Czy to przestępstwo?

– Nie musi pan krzyczeć.

Opadłem na oparcie krzesła.

– Teraz, kiedy już pani wie, że jestem złamanym kutasem, który nie świętuje rocznic, możemy porozmawiać o Monie?

– Za chwilę. W jakich okolicznościach państwo się poznali?

– Proszę pani, Ifigenia jest archeologiem i ja nim jestem. Wie pani, ilu archeologów pracuje na Krecie?

Pokręciła głową, usłyszałem szelest jej włosów i jedwabiu. Dopiero po sekundzie powiedziała:

– Nie wiem.

– Zdziwiłbym się, gdyby było nas więcej niż trzystu. Pani ma pewnie więcej znajomych na Facebooku. Wszyscy się znamy. Z wykopalisk, z konferencji...

– Rozumiem. Ale chcę się dowiedzieć, w jakich okolicznościach poznał pan Ifigenię Mitropoulou.

– Chyba na jakiejś konferencji. Nie pamiętam...

– Tego też pan nie pamięta.

Raczej oznajmiła, niż zapytała, więc nie odpowiedziałem.

– Znają się państwo od trzech lat, są państwo w związku mniej więcej od roku. Przez jakiś czas pracowali państwo razem nie tylko na wykopaliskach. Zatrudnił pan Ifigenię Mitropoulou na stanowisku asystentki w Kentro, stanowisku, które według pana przejęła później Mona Abano.

– Po co pani pyta, skoro pani wie? – westchnąłem.

– Dlaczego już tam nie pracuje?

Potarłem dłonią czoło. Skóra na skroni naciągnęła się i rana zapiekła.

– Za dużo się kłóciliśmy – przyznałem. – Dlatego zatrudniłem Monę. Potrzebna mi jest asystentka na co dzień, ktoś, kto skanuje rachunki, pilnuje dokumentacji i tak dalej.

– A czy pana narzeczona nie miała nic przeciwko zatrudnieniu innej kobiety?

– Nie. Właściwie to ona znalazła Monę i mi ją poleciła.

Marina westchnęła. Pewnie też było jej gorąco.

– No dobrze. Panie Mara, chcę się najpierw dowiedzieć, co wydarzyło się tamtej nocy.

Wyciągnąłem rękę przed siebie, namacałem szklankę i ustawiłem ją na stole.

– Ifigenia do mnie przyszła. Do mojego mieszkania. Uprawialiśmy seks.

– A potem?

Zacisnąłem dłonie na krawędzi blatu.

– Już to mówiłem.

Już to wszystko mówiłem.

– A potem poczekałem, aż zaśnie. Wstałem z łóżka, cicho, żeby się nie obudziła. Zszedłem po schodach i...

Zamilkłem, ale Marina nie przerywała ciszy. Czekala.

Zebrałem się w sobie.

– Odszukałem Oliwię Papadaki i ją zabiłem.

**KENTRO, PACHIA AMMOS,
ŚRODA, 13 WRZEŚNIA, PÓŹNE POPOŁUDNIE I WIECZÓR. I NOC.**

Musiałoby być już późne popołudnie, nie chciałem sprawdzać na zegarku, jak późno, kiedy przeszedłem przez patio do przedsiionka. Wyjąłem z lodówki puszkę coli, bo strasznie mi się chciało pić. Przyłożyłem ją do lewej skroni.

Odliczyłem kroki do drzwi i wyszedłem na dziedziniec. Słońce już nie paliło. Odwróciłem się do niego plecami, żeby wygrzać skórę zmrożoną przez powiew wiatraka.

Przez długi czas stałem nieruchomo i tylko oddychałem.

Na dziedzińcu panowała cisza. Nie usłyszałem żadnego głosu, żadnego szurania żwiru, żadnego stuknięcia ceramicznej skorupy o drewniany blat. Moje nozdrza nie wychwyciły żadnego zapachu.

Usiadłem na schodkach. Marmur był gorący.

Wyjąłem telefon. Obróciłem go kilka razy w dłoni.

A potem schowałem z powrotem.

Podniosłem się i cofnąłem do budynku.

Zatrzymałem się na progu pracowni studentów. Jak zwykle gadali wszyscy naraz. Nie rozróżniałem głosów.

– Romane? – Musiałem krzyknąć, żeby mnie usłyszał.

Podszedł bezszelestnie, jak zwykle.

– Chcesz, żebym teraz zdał ci dzisiejszy raport z wykopu? Bo powinienem jeszcze uzupełnić...

– Możesz później. Chciałbym pożyczyć twoją komórkę. Moja się rozładowała.

Jak wszyscy kłamią, to ja też mogę.

– Eee, jasne. Tylko że to telefon na kartę, nie mam za wiele...

– Tylko krótka rozmowa – zapewniłem go. – Do miejscowej sieci.

– Jasne, oczywiście. A dasz radę go sam obsłużyć? Bo ja nie mam programu głośnomówiącego.

– Przydałaby mi się pomoc. – Zaśmiałem się. Sam słyszałem, że nieszczerze.

– Czy możesz wybrać numer Ifigenii?

– Już się robi, Tom.

Klawiatura jego telefonu brzęczała irytująco przy każdym naciśnięciu, a po chwili Romanos włożył mi aparat do ręki.

– Pójdę porozmawiać na zewnątrz, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Tak, naturalnie.

Uniosłem w podziękowaniu dłoń, w której ciągle trzymałem lodowatą puszkę coli.

Wyszedłem na schody akurat w chwili, kiedy w aparacie coś zgrzytnęło.

– Romane, masz coś pilnego? – Ifigenia była lekko zdyszana. – Bo jeśli nie, to oddzwonię.

– Ifi, to ja. Proszę cię, nie rozłączaj się.

Zamilkła. Ale się nie rozłączyła.

– Ifi, proszę, muszę z tobą porozmawiać. To bardzo ważne. Słyszysz mnie?

Dopiero po dobrej minucie odpowiedziała:

– Słyszę.

Odetchnąłem.

– Ifi, możemy dzisiaj pomówić? Wieczorem? Nie przez telefon?

– Nie wiem, czy mamy sobie coś jeszcze do powiedzenia.

– Proszę cię, daj mi szansę. Pół godziny.

Nie odpowiedziała.

Poczułem, jak ogarnia mnie fala złości.

– Po prostu poświęć mi trzydzieści minut swojego cholernego życia, dobrze? Chyba tyle możesz dla mnie zrobić?

– Teraz na mnie krzyczysz?

– Nie krzyczę. – Ściszyłem głos. – Nie krzyczę. Ifi, proszę cię.

Usłyszałem przez słuchawkę, jak też wciąga powietrze.

– Pół godziny, Tom. Ani minuty dłużej.

– Świetnie. Wspaniale. Niczego więcej nie chcę. Sama zobaczysz...

– O dwudziestej.

– Doskonale. Cudownie...

– Tak, już zrozumiałam, Tom.

– U ciebie?

– Nie, spotkamy się w Kentro. W ten sposób nie będę musiała cię wyrzucić z mojego pokoju, kiedy minie trzydzieści minut.

I rozłączyła się. Ja też nie miałem już nic do dodania.

Otworzyłem colę i wypilem całą, do dna. A potem wstałem i odniosłem telefon Romanosowi.

Widzący facet, zanim zaprosi do siebie kobietę, zbiera najpierw z podłogi brudną bieliznę, likwiduje stos pleśniejących naczyń w zlewie i przeciera lustro nad umywalką. A potem zapala świece. Ewentualnie wstawia do wody jakieś kwiaty. Kwiaty w wazonie mają świadczyć o wrażliwości męskiej duszy.

Pierwsze trzy punkty mnie nie dotyczą. Ze względów, o których już wspominałem, nie rozrzucam brudnych ubrań i nie trzymam w zlewie nieumytych talerzy. Co do lustra nad umywalką, to po prostu go nie mam. A ciętych kwiatów nie potrafię jakoś docenić.

Nie zapalam też świec. Nie lubię w domu otwartego ognia. Nie chciałbym obudzić się w nocy i stwierdzić, że przed snem zapomniałem zgasić świecę i teraz

płonie całe Kentro. Nie jestem pewien, czy potrafiłbym w pożarze znaleźć drogę do wyjścia.

Zrobiłem coś innego.

Po prysznicu wrzuciłem przepocone ubranie do kosza na brudną bieliznę. Włożyłem czyste spodnie i koszulę, a z szafki nocnej wygrzebałem dwie małe fiolki. Nawet bez otwierania czułem, że jedna pachnie mocno cymentem, a druga pomarańczami. Ulubione zapachy Ifigenii.

Rozlałem kilka kropel olejków eterycznych w łazience, w sypialni pod łóżkiem i w pokoju koło sofy.

Zakręciło mi się w nosie, ale powstrzymałem kichnięcie. Odłożyłem buteleczki na miejsce i podszedłem do regału z płytami. Przesunąłem palcami po plastikowych pudełkach, opisanych wypukłymi kropkami. Zatrzymałem się przy *Porgy and Bess*. Ella i Louis. Album z pięćdziesiątego ósmego. Nie, nie miałem go na winylu, tylko na zwykłym kompakcie. Ella i Louis śpiewali tak, jakby umarli i dołączyli do chórów anielskich, więc naprawdę wszystko jedno, czy słuchało się tego z trzaskami czy bez.

Ściszyłem lekko dźwięk i otworzyłem okno. Ifigenia lubiła ciepły wiatr.

Cofnąłem się trzy kroki i stanąłem na środku pokoju.

Poczułem się, jakby ktoś założył mi opaskę na oczy. To znaczy, tak bym się czuł, gdybym wcześniej widział. Straciłem moje najważniejsze zmysły. Nie mogłem zwęszyć żadnego zapachu, poza tą cholerną pomarańczą i cymentem. Oliwia mogłaby podejść na odległość wyciągniętej ręki, a ja nie wychwyciłbym smrodu jej papierosów. I nic bym nie słyszał. Ani kroków, ani skrzypnięć podłogi, ani ocierania się ubrania o ciało. Nic. Tylko leciutką chrypkę Elli (jak u Mony) i zdarty głos Louisa w *It Ain't Necessarily So*. I szum wiatru.

I nawet nie byłem pewny, czy Ifigenia zrozumie, że pozbawiony zmysłu słuchu i węchu oddaję jej całą kontrolę, całkowicie się na nią zdaję i bezgranicznie jej ufam. I czy to doceni.

Nie wiem, ile stałem na środku pokoju. Nie sprawdzałem godziny. Pozwoliłem, żeby czas płynął razem z muzyką. Głosy Elli i Louisa wiły się jak delikatne pasma papierosowego dymu. Bałem się wziąć głębszy wdech, żeby ich nie zdmuchnąć.

Najwyraźniej nie usłyszałem pukania. A może Ifigenia uznała, że nie musi pukać. Otworzyła drzwi i do środka wdarł się powiew ciepłego wiatru.

Obróciłem się wokół własnej osi, twarzą do niej. Nie dobiegały do mnie ani jej kroki, ani szelest ubrania, nie czułem jej zapachu. Nie potrafiłem powiedzieć, jakie ma buty ani co włożyła po prysznicu. Nie wiedziałem, czy w ogóle wzięła prysznic. I czy umyła włosy. I czy nasmarowała skórę kremem po opalaniu.

Nigdy wcześniej w życiu nie czułem się tak bardzo ślepy.

Ona dotknęła mnie pierwsza. Położyła dłoń na moim ramieniu. Tak

delikatnie, jakby usiadł tam motyl.

(Nie żeby kiedykolwiek siedział na mnie jakiś motyl. Ale tak to sobie wyobrażam).

Coś wyszeptała. Nie zrozumiałem, bo Ella akurat załkała: *Oh my Porgy, my man Porgy*. Od tych słów zawsze ścisnęło mnie w gardle.

– Powtórz – poprosiłem.

– Och, Tom – powiedziała Ifigenia głośniej. – Och, Tom.

A jednak doceniła. Chociaż wciąż nie byłem pewny, czy rozumiała.

– Jesteś mój, prawda?

Mornin' time an' evenin' time an' summer time an' winter time – odpowiedział za mnie Louis.

Przyciągnąłem ją bliżej. Ciągle nie mogłem uchwycić zapachu jej skóry, ale czułem pod palcami, jaka jest gładka. I gorąca. Niczym rozgrzana na słońcu skorupa delikatnego naczyńca. Albo fragment figurki z kości słoniowej...

Odpędziłem tę myśl. Odpędziłem wszystkie myśli. Pochyliłem się, żeby ją pocałować.

Jej usta były o smaku malin, chociaż z owocami nie miały nic wspólnego – sztuczny ester wyhodowany w laboratorium i dodany do pomadki. A jej język smakował orzechami. Z odrobiną mięty z pasty do zębów.

Oderwałem się od warg i skupiłem się na szyi, tuż za uchem. Zlizalem pot, który smakował mydłem. Wydawało mi się przez chwilę, że w aromacie tymianku wyczuwam zapach róż. Ale to były tylko moje wyrzuty sumienia.

I love you, Porgy, don't let him take me – zaśpiewała Ella. *Don't let him handle me and drive me mad.*

– Tęskniłam za tobą – wyszeptała Ifigenia.

Nic nie odpowiedziałem. Bo co miałem odpowiedzieć? Że ja też tęskniłem? Że ją kochałem? Że mogła być zazdrosną wariatką, ale gdzieś tam ciągle była moją Ifigenią, i że zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby ją powstrzymać?

Wszystko to mówiła za mnie Ella. Używała innych słów, a jednak radziła sobie o wiele lepiej niż ja.

Ifigenia pociągnęła mnie za rękę. Poszedłem za nią. Skoro dla niej wyłączyłem większość moich zmysłów, mogłem jej też zaufać w tej sprawie. Stawiałem kroki w ciemności i czułem, jakbym płynął w czarnym oceanie. Jedyne punkty orientacyjne stanowił dotyk drobnej ciepłej dłoni.

Nie doszliśmy daleko. Pchnęła mnie tylko na sofę i sztuka po sztuce zdjęła ze mnie ubranie. Potem zrzuciła swoje i przyłgnęła do mnie całym ciałem.

Kręciło mi się w głowie od uderzenia w skroń, chociaż chyba nie tylko od tego. Nie wiedziałem już, gdzie kończy się moja skóra, a zaczyna jej. Fale w mojej czaszce kołysały mną jak morze. Ciało Ifi pod moimi dłońmi było jednocześnie dziwnie znajome i dziwnie obce.

Czułem jej zęby, język, piersi, dłonie na moich pośladkach i palce stóp wczepiające się kurczowo w moje. Czułem, jak naprężają się drobne twarde mięśnie jej pleców i długie mięśnie ud. Słyszałem westchnienia. Smakowałem jej uszy, sutki i wargi. Ella płakała, a ciepły wiatr znad morza osadzał na naszych ciałach drobniutkie cząsteczki soli.

Gdy zacząłem się zastanawiać, ile czasu minęło, Ifigenia odsunęła się ode mnie. Niedaleko, tylko tyle, żeby wiatr mógł osuszyć spoconą skórę i nanieść na nią więcej soli, w miejsce tej, którą zlizalem. Ella już dawno zamilkła, Louis też nie miał nic więcej do powiedzenia, ucichły dźwięki orkiestry. Nie wiedziałem, czy jest jeszcze jasno, czy zaszło już słońce. Czy Ifigenia mogła wciąż odróżnić zarysy przedmiotów, czy była równie ślepa jak ja. Od niej się tego nie dowiedziałem. Leżała spokojnie przy moim boku, przytulona mocno, bo sofa nadawała się raczej dla jednej osoby, nie dwóch. Oddychała równo, ale nie spała, od czasu do czasu przesuwała palcami po moim biodrze.

A potem nagle westchnęła, obróciła się w moich ramionach i dotknęła opatrunku na mojej głowie.

– Boli cię?

– Już nie.

Przez chwilę milczała. Pogłaskałem ją po sztywnych od soli włosach.

– Ale gdyby... Gdyby ten kundel spadł na ciebie...

– Nie spadł.

– Tom, ja tak strasznie...

– Ifi, przestań na chwilę mówić.

Nie posłuchała.

– Tak strasznie by mi ciebie brakowało. Gdyby cię nie było...

– Ale jestem.

– Przecież kiedyś cię zabraknie.

– Ale jeszcze nie teraz.

– Nie. – Przytuliła się do mnie mocniej. – Jeszcze nie teraz.

Ponieważ muzyka już zamarła, słyszałem dźwięk fal rozbijających się o betonowe wybrzeże gdzieś u stóp wzgórza. Wiatr przybrał na sile, chociaż niczego nie chłodził.

– Ifi, wszystko jest w porządku.

To było straszne kłamstwo. Nic nie było w porządku.

Ifigenia milczała jeszcze przez dłuższą chwilę. Jej ciało przestało być już takie miękkie i nie dopasowało się magicznie do mojego. Napięła mięśnie, spychając mnie na sam skraj sofy.

– A Mona? – spytała w końcu.

Usiadłem. Położyłem dłoń na jej rozpalonym biodrze.

Skóra nagle stwardniała pod moim dotykiem.

Wzięłem głęboki wdech.

Chciałem to powiedzieć – że jest dla mnie najważniejsza i że Mona się nie liczy, że niepotrzebnie pisze te głupie esemesy, że nie musiała spychać głupiego kundla ze skały, że to nie ma znaczenia, czy Mona kradnie zabytki czy nie. To znaczy tak w ogóle ma, jednak nie dla mnie i dla Ifigenii, nie dla nas.

Ale to chyba nie był najlepszy moment.

– Nic mnie z nią nie łączy – powiedziałem tylko. I dodałem, bo zostało mi jeszcze powietrze w płucach: – Oprócz pracy, oczywiście.

– Ona naprawdę skopała to datowanie, wiesz?

– Nawet jeśli, powinniście o tym porozmawiać jeszcze raz, na spokojnie. Każdy powinien dostać drugą szansę.

I wcale nie myślałem o Monie.

Ifigenia przesunęła się, a moja ręka zawisła w próżni.

– Wtedy, w pensjonacie...? – Ifi w końcu nie wytrzymała milczenia.

– Musiałem z nią omówić coś ważnego. – Włożyłem w to kłamstwo sto procent przekonania.

– I dlatego śmierdziałeś jej olejkiem różanym?

– Ona wylewa na siebie hektolitry tego świństwa, Ifi. W jej pokoju wszystko nim śmierdzi.

– A nie mogłeś z nią pogadać przez telefon?

– Nie odbierała. A potem okazało się, że miała rozładowaną baterię.

Byłem mistrzem bujdy. Miałem gotową odpowiedź na każde pytanie.

– Więc naprawdę nic...

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem jej twarzy, a potem delikatnie położyłem palec na jej ustach i skłamałem po raz kolejny, już naprawdę nie wiem który:

– Naprawdę nic.

Westchnęła.

– I naprawdę jesteś tylko mój?

Tamtej nocy mogłem pójść za nią i do piekła, a co dopiero powtórzyć te znienawidzone słowa.

– Tak, Ifi, jestem tylko twój.

Przyciągnęła mnie do siebie.

Później, dużo później dotknąłem delikatnie jej ramienia i zaproponowałem, żebyśmy przenieśli się jednak do łóżka. Sofa zrobiła się dla nas za mała.

Tamtej nocy już nie rozmawialiśmy. Tylko raz, nie wiem kiedy, Ifigenia usiadła na łóżku i powiedziała:

– Byłoby mi ciężko bez ciebie, Tom. Wiesz o tym?

Ale nie czekała na odpowiedź. Owinęła się prześcieradłem i odwróciła plecami do mnie. Nie odezwała się już ani słowem. Ja też nie, bo wsłuchiwałem się w szum wiatru i łoskot fal rozbijających się u stóp wzgórza.

A potem usnąłem.

KENTRO, PACHIA AMMOS, CZWARTEK, 14 WRZEŚNIA, PRZED ŚWITEM

Tym razem wszystko było szaro-czarne, bez najmniejszego śladu koloru. Ciemnoszare słońce na jasnoszarym niebie, czarne drzewa i krzaki na tle jasnoszarej (pewnie wyschniętej) trawy. Ciemna ziemia w wykopie, jak po deszczu. Na jej tle twarz Mony leżącej płasko na dnie, z rękami wyciągniętymi wzdłuż ciała, wydawała się biała niczym całun.

– Wstań – powiedziałem. – To już koniec wykopalisk, za chwilę zasypujemy ten wykop. Jeśli tego nie zrobimy, miejscowi będą nas pozywać przez następne sto lat, ilekroć ich koza złamie sobie nogę.

– Ja tu zostaję, Tom. Już na zawsze.

Chciałem powiedzieć, żeby się nie wygłupiała. Chciałem wyciągnąć rękę i pomóc jej się podnieść. Ale nie zdążyłem. Romanos odepchnął mnie, chwycił łopatę i rzucił Monie na twarz stertę ziemi. Nie mogłem wydobyć głosu, więc to nie mój własny krzyk mnie obudził.

Usiadłem na łóżku i nadśluchiwałem przez kilka minut – jeśli odjąć cichy szum fal, wokół panowała cisza. Nawet wiatr się uspokoił.

Wstałem, odliczyłem kroki do łazienki i wysikałem się. Ochlapałem twarz zimną wodą. Znowu zacząłem nadśluchiwać. I znowu usłyszałem tylko cichy szum fal. Morze o świcie musiało być łagodne i miękkie jak skóra śpiącej Ifigenii.

Sprawdziłem godzinę na zegarku. Powiedział mi, że jest czwarta piętnaście. O wiele za wcześnie, żeby zacząć wykopaliskowy dzień.

Wróciłem do sypialni, ale zatrzymałem się w drzwiach. Oddech Ifigenii był cichy i równy. Nie chciałem jej budzić. Odwróciłem się, podszedłem do sofy i zgarnąłem z podłogi wczorajsze ubranie.

Miałem straszną ochotę na kawę, jednak bałem się, że stukanie szklankami i szum ekspresu obudzą Ifigenię. Oliwia też miała ekspres do kawy w pracowni. I nawet wiedziałem, gdzie trzymała kapsułki – za glinianą kopią figurki bogini z uniesionymi ramionami. Dostała ją ode mnie na urodziny.

Stałem obok otwartego okna. Powietrze o świcie na Krecie pachnie tak, jak musiał pachnieć początek świata. Czasem cieszę się, że nie widzę. Domy z pustaków z niewykończonymi piętrami, popękany asfalt na jezdni i plastikowe żaluzje *periptero* na pewno nie nastroiłyby mnie tak romantycznie.

W oddali zapiał kogut, może to ten bydlak Lindy, którego przeklinała cała wieś. Zostawiłem otwarte okno. Ostrożnie zamknąłem za sobą drzwi, żeby przeciąg nimi nie trzasnął, i przysiadłem na najwyższym stopniu schodów, by zasznuować buty.

Cicho zszedłem do pracowni Oliwii. Śmierdziało tam żelazem. U niej

zawsze czymś śmierdzi, ale nie odważyłem się otworzyć okna, bałem się, że zrzucę jakiś zabytek postawiony na parapecie do wyschnięcia.

Wypowiedziałem kilka razy półgłosem jej imię, ale pewnie zmęczyło ją czatowanie na złodzieja i zdecydowała się jednak spędzić noc w domu. A może poważnie potraktowała moje słowa, że do końca tygodnia rozwiążę problem. I jedno, i drugie było dobrą wiadomością – oznaczało, że mam więcej czasu, by jakoś uporać się z Moną. Nie wiedziałem jak, ale to problem techniczny, czyli taki do rozwiązania.

Włączyłem ekspres, poczekałem, aż się nagrzej, i zrobiłem sobie filiżankę mocnego espresso. Postanowiłem zrezygnować z szukania mleka i cukru, o ile Oliwia w ogóle je miała.

Odliczyłem kroki do wyjścia i stanąłem przed drzwiami mojego gabinetu. Pomyślałem, że skoro mam wolną chwilę, przejrzę jeszcze raz depozyt, w którym znajdowała się rączka z pokoju Mony. Nacisnąłem klamkę i wtedy telefon pisnął sygnałem nowego esemesa.

Gdy filiżanka wyslizgnęła mi się z dłoni, porcelana rozpryskała się po podłodze, a na lewe kolano chlapanął mi gorący strumień. Wygrzebałem z kieszeni komórkę.

Wiadomość brzmiała: „Brawo, nareszcie dobra odpowiedź. Tylko, niestety, za późno”. Odsłuchałem ten tekst cztery razy, aż w końcu umiałem go na pamięć.

Nagrałem w odpowiedzi: „Daj mi jeszcze jedną szansę”. Chciałem coś do tego dodać, ale ostatecznie wysłałem to w takiej wersji. Długo tak stałem nad rozbitą filiżanką i ścisnąłem komórkę w dłoni, jednak nic więcej nie przyszło.

Dotknąłem kolana. Plama była już chłodna. Uznałem, że i tak nie będzie jej widać na ciemnym materiale. Wolałem nie zbierać potłuczonej porcelany, żeby się nie pokaleczyć. Zamierzałem poprosić o pomoc Romanosa, chyba że Oliwia zjawi się pierwsza. Ale bardzo potrzebowałem kawy.

Wróciłem więc do pracowni. Na progu zatrzymałem się i wciągnąłem w nozdrza metaliczny zapach. I wtedy to usłyszałem.

W kącie rozbrzmiewało brzęczenie muchy. Kilku much.

Ruszyłem w tamtą stronę – powoli, a i tak się poślizgnąłem. Upadłem na kolano i zamortyzowałem upadek dłonią. Nadgarstek zapłonął żywym ogniem, aż krzyknąłem z bólu. Kiedy mój głos przebrzmiał, znowu w pomieszczeniu słyszałem tylko brzęczenie much.

Czułem, jak wilgoć przesiąka mi przez nogawkę spodni. Obie moje dłonie pokryły się czymś mokrym i lepkiem. Podniosłem palce do twarzy i powąchałem. Pachniały metalem.

Pomacałem wokół siebie. Przemknęło mi przez myśl, że nie powinienem zacierać śladów, ale miałem to gdzieś. Kałuża lepkiej, pachnącej metalem cieczy nie była wielka. I dlatego prawie od razu natrafiłem na ciało.

Oliwia leżała na boku, z nogami zgiętymi pod dziwnym kątem. Obmacałem ją, chociaż wiedziałem, że zostawiam na białym płótnie jej fartucha ślady krwi. Przycisnąłem palce za uchem, potem z boku szyi, aż wreszcie odnalazłem jej rękę i chwyciłem za nadgarstek. W żadnym z tych miejsc nie wyczułem tętna.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 11.09**

Marina milczała i trwała w bezruchu. Nie oddychała albo robiła to tak cicho, że nie dochodził do mnie najłżejszy szmer. Chciałem chrząknąć, krzyknąć, zrobić cokolwiek, żeby przerwać ciszę. W końcu przesunąłem się z krzesłem, aby metalowe nogi zapiszczały na linoleum.

Marina drgnęła i upuściła długopis. Potoczył się pod moje nogi. Schyliłem się po niego, a ona podciągnęła nogi pod krzesło. Czyli włożyła spódnicę – trudno opanować ten odruch, nawet jeśli się wie, że osoba pod stołem nie zobaczy bielizny.

– Jak pan to robi? – spytała.

– Co?

– Skąd pan wie, gdzie upadł. Przecież pan nie widzi.

Byłem zmęczony i nie chciało mi się już zmyślać kolejnych historyjek.

– Ale słyszę. A cała reszta to tylko odrobina dedukcji i macania.

Wyprostowałem się i położyłem długopis na blacie. Marina sięgnęła po niego, jej palce musnęły moje. Opuszki miała szorstkie. Przeleciało mi przez myśl, że albo robiła wczoraj ręczne pranie i zapomniała kupić krem do rąk albo pomagała w winobranii rodzinie na wsi. Stawiałem na to drugie, bo wydawało mi się, że gdzieś tam pod słodko-gorzkiemi perfumami i cytrynowym szamponem czuję nutę cierpkiego zapachu winogronowego soku.

Napisała coś w notatkach i odłożyła długopis na blat. Podniosła głowę.

– Więc przyznaje się pan do zabicia Oliwii Papadaki.

– Już pani mówiłem. Kilka razy. I do zabicia Mony Abano.

Traktowała mnie z łagodną cierpliwością, jakbym był jej debilnym, ale ukochanym dzieckiem.

– Proszę opowiedzieć to jeszcze raz. Na razie tylko o pani Papadaki.

Wziąłem głęboki wdech.

– Wstałem w nocy, żeby odszukać Oliwię. Ona... Ona wiedziała, że ktoś kradnie jej zabytki. I miała zamiar spędzić w Kentro całą noc, czatując na złodzieja. Chciałem to wykorzystać. Zszedłem do niej, porozmawialiśmy chwilę, poczekałem, aż odwróci się do mnie plecami. Wtedy chwyciłem z jednego z jej stołów kamienną figurkę. Nie, zaraz... – Potarłem czoło i udałem, że się zastanawiam. – Figurkę miałem w ręku wcześniej, nawet o niej rozmawialiśmy. I uderzyłem Oliwię w tył głowy...

Znowu mi przerwała.

– Jak się panu udało trafić? Przecież nie wiedział pan, gdzie jest jej głowa, a Oliwia została zabita jednym uderzeniem...

– Położyłem dłoń jej na ramieniu. A reszta to już ekstrapolacja.
– Ekstrapolacja... – powtórzyła jak automat.
– Potem rzuciłem na ziemię figurkę i wróciłem do siebie na górę. Wsunąłem się z powrotem do łóżka. Ifigenia nic nie słyszała.

– Która to była godzina?
– Trudno mi powiedzieć, nie sprawdzałem na zegarku, nie chciałem obudzić Ifigenii. Myślę, że jakaś druga, może wpół do trzeciej?

Szurnęła nogami krzesła. Przysunęła się bliżej stołu. Albo odsunęła od niego.

– Dlaczego pan to zrobił, panie Mara?

– Dlaczego ją zabiłem?

Nie odezwała się, ale już nauczyłem się odczytywać ruchy jej głowy z szelestu bluzki i włosów.

– Przecież mówiłem. Oliwia wiedziała, że to ja kradnę zabytki z pracowni.

– Powiedziała to panu?

– Nie dosłownie. Ale dała mi do zrozumienia.

Policjantka coś zapisała, a potem zadała swoje ulubione pytanie:

– I co było dalej?

– Nie mogłem już zasnąć. Zaczekałem, aż zbliży się piąta i zszedłem do pracowni. I udałem, że znalazłem Oliwię. Resztę pani już zna.

Jej włosy dwa razy przesunęły się po kołnierzyku: pochyliła głowę, a potem ją podniosła.

– Na podłodze znaleźliśmy szczątki rozbitej filiżanki.

– Kiedy rozmawiałem z Oliwią, piłem kawę. Zrobiła mi ją w swoim ekspresie. Filiżanka wyslizgnęła mi się, kiedy wziąłem zamach.

Po chwili ciszy Marina powiedziała:

– Panie Mara, ta stłuczona filiżanka nie znajdowała się w pracowni.

Wzruszyłem ramionami.

– Pewnie ktoś później, podczas tego całego zamieszania, przesunął skorupy.

– Nazywa pan morderstwo pani Papadaki zamieszaniami?

– Nie, nazywam zamieszaniami ten cyrk, który zawsze odstawiacie wokół trupa. A poza tym myśli pani, że gdybym nazwał to mszą świętą, Oliwia by zmartwychwstała?

Nie odpowiedziała. Pochyliła się do przodu, aż krawędź stołu nacisnęła na jej klatkę piersiową i głos zabrzmiał głucho:

– Panie Mara, Oliwia nie została uderzona w tył głowy, tylko w skroń, podobnie jak pan.

– Przecież jestem ślepy, nie widziałem, gdzie trafi...

– W przednią część kości skroniowej. Musiała stać przodem do atakującego. Myśli pan, że gdyby ją pan ostrzegł, kładąc dłoń na ramieniu, nie zdołałaby się uchylić przed ciosem? Albo go jakoś zablokować?

– Może nie. To była stara kobieta...

– To jest odruch, panie Mara, i nie ma nic wspólnego z wiekiem. – Pochyliła się jeszcze bardziej w moją stronę. – A nie znaleźliśmy żadnych śladów walki.

Położyłem sobie dłonie na kolanach. Równo, jedną obok drugiej. Gdybym widział, wpatrywałbym się w nie.

– Panie Mara? Co naprawdę wydarzyło się tamtej nocy?

KENTRO, PACHIA AMMOS, CZWARTEK, 14 WRZEŚNIA, PRZEDPOŁUDNIE

To był jeden z tych dni, kiedy wiatr na Krecie łopocze markizami, przewraca stoliki w kawiarni i na wykopaliskach wzbija w powietrze kłęby kurzu, aż ciężko jest oddychać. Takie dni często zdarzają się jesienią. Podobno morze ma wtedy białe szczyty fal aż po horyzont. Z bardziej praktycznych rzeczy: w takie dni nie odpływają promy. I ciężko jest znaleźć miejsce w samolocie, a także w nadmorskiej knajpie – tam, gdzie od wiatru osłania plastikowa pionowa roleta.

W takie dni wiatr walił boczną okiennicą w pracowni Oliwii. Stuknięcie, chwila przerwy, stuknięcie. Drugie stuknięcie szybko po poprzednim, chwila przerwy i kolejne stuknięcie. Od dawna myślałem, że trzeba poprawić obłuzowany haczyk. Ale przypominałem sobie o tym tylko w takie dni.

Tak jak wtedy, kiedy stałem pod ścianą pracowni i nadśluchiwałem, co robią policjanci.

W Kentro kręciło się pełno ludzi. Ich zapachy, głosy, dźwięk kroków, a nawet szelest ubrań były dla mnie obce. Nie potrafiłem odróżnić tych wszystkich osób, nie znałem ich imion i – co najgorsze – nie umiałem dokładnie określić, gdzie znajdują się w danym momencie. Powietrze wypełniały obce zapachy: chemiczna woń substancji rozpylanych przez techników, odór potu, ciał ludzi, którzy rano zostali wyrwani z łóżek i nie zdążyli wziąć prysznic, a do tego wypili zbyt wiele kawy i nie zjedli śniadania. Ale i tak żaden z tych zapachów nie mógł stłumić zapachu żelaza, najsilniejszego w kącie pracowni.

Punkt w przestrzeni wyznaczają trzy współrzędne. Kręciło mi się w głowie: od nadmiaru bodźców, od nieprzespanej nocy i od uderzenia, więc oparłem się o ścianę i przesunąłem do narożnika, gdzie mogłem dotknąć równocześnie dwóch prostopadłych do siebie powierzchni. Stopy wbiłem mocno w podłogę. Przynajmniej wiedziałem, gdzie jestem.

Potrzebowałem punktu odniesienia. Potrzebowałem odrobiny pewności, przynajmniej co do geometrii przestrzeni, w której żyłem. Bo cała reszta mojego świata trzęsła się jak podczas trzęsienia ziemi. Nic już nie było takie jak dawniej.

Mona kradła zabytki z pracowni Oliwii. Oliwia to odkryła. Podejrzewała Monę. Pewnie mimo moich prośb zaczęła się na nią w nocy. I Mona ją zabiła. Kiedy ja i Ifigenia słuchaliśmy wiatru i szumu morza i kiedy zlizywaliśmy sól z naszych ciał, Mona weszła do pracowni i uderzyła Oliwię w głowę. Może się pokłóciły i zdenerwowana złapała pierwszą twardą rzecz, jaką miała pod ręką. Może to zbrodnia w afekcie, a może zaplanowała to wcześniej. Że przyjdzie tu, kiedy wszyscy będą spali, i uciszy Oliwię na zawsze. Tylko skąd wiedziała, że Oliwia powiedziała mi o swoich podejrzeniach – czy to znaczy, że jestem następny

w kolejce? Że od tej pory mam zamykać się w naszej kanciapie na klucz i uważać, żeby nigdy nie zostać z Moną sam na sam?

Ktoś w szeleszczącym fartuchu potrącił mnie i nie przeprosił. To był mężczyzna, uprawiał poprzedniego wieczora seks i potem się nie wykąpał, a rano wypalił więcej niż jednego papierosa. Po chwili potrąciła mnie jeszcze kobieta, która od tygodnia nie myła włosów wodą, tylko suchym szamponem, i miała psa. Przeszkadzałem im, ale nie zamierzałem się przesunąć.

Marina podeszła bliżej. Ona przynajmniej umyła rano głowę – szamponem o sztucznym cytrynowym zapachu, ale też nie zdążyła zjeść śniadania, wypiała tylko kawę i już w samochodzie wypaliła papierosa. Miała buty na twardych podszewkach i szerokich obcasach, pustych w środku, głośno stukwały o posadzkę.

– Może pójdziemy porozmawiać gdzie indziej?

– Tu jest dobrze – zapewniłem ją.

– Trochę tu zawadzamy.

– Od ciała Oliwii dzieli mnie dokładnie pięć i pół metra. To chyba dostatecznie dużo miejsca, żeby zmieściło się nawet dziesięciu techników. A pani ma tylko troje.

Jej włosy zaszeleściły o kołnierz bluzki: odruchowo obróciła głowę, żeby spojrzeć na miejsce, gdzie ciągle leżała Oliwia. Każdy to robi. Nie można zapanować nad potrzebą sprawdzenia informacji.

– Lubi pan mieć wszystko pod kontrolą, co?

Owszem.

– No dobrze, porozmawiamy tutaj. To pan ją znalazł.

To nie było pytanie. W sumie słusznie, bo opowiadałem o tym już przynajmniej trzy razy.

Marina oparła się o ścianę obok mnie. Wciągnęła głęboko powietrze, a potem wypuściła. Miała kwaśny oddech. Praca w policji nie pozwalała na regularne i zdrowe odżywianie.

– Wie pan, Kreta to jest niewielka wyspa. To znaczy, jeśli weźmie się pod uwagę liczbę kilometrów kwadratowych, trochę tego jest, ale większość to góry. Ludzi nie ma tu wielu i naprawdę prawie wszyscy wszystkich znają, jeśli nie bezpośrednio, to przez kuzynów lub pociotków.

– Po co pani mi to mówi?

– Po to, żeby panu uświadomić, że znalazł pan trzy ciała w ciągu jednego tygodnia. Trzy ofiary morderstw. To więcej niż ja w ciągu miesiąca, bo wioskowe bójki na noże co prawda zdarzają się tu prawie każdego dnia, ale zazwyczaj nie kończą się śmiercią, więc papiery rzadko trafiają na moje biurko, już prędzej do szpitalnych rejestrów.

– Wojnarowie nie zostali zamordowani – przypomniałem jej. – To przecież podobno był wypadek podczas polowania.

– I pamięta pan ich nazwiska... – Wciągnęła powietrze w taki sposób, jakby zaciągała się papierosem.

– Jestem ślepy. Już to pani tłumaczyłem, mam bardzo dobrą pamięć.

– Najwyraźniej – mruknęła. – Zastanawiam się tylko, dlaczego w ostatnich dniach na stanowisku i w ośrodku archeologicznym, którymi pan kieruje, pojawiło się więcej ofiar śmiertelnych niż w całym nomie Lasiti w ciągu ostatniego miesiąca.

Otworzyłem usta. Mogłem to wszystko wyznać Marinie – esemesy, podejrzenia Ifigenii, ceramika w plecaku Wojnarów, rączka w pokoju Mony, to, że to ona...

– Chce mi pan coś powiedzieć, panie Mara?

Nie mogłem się na to zdobyć.

Może to po prostu był wypadek. Może Oliwia oskarżyła Monę wprost, ta się zdenerwowała i... I zamiast wyjść i trzasnąć drzwiami, jak to zrobiła po rozmowie ze mną, walnęła ją w głowę kamienną figurką. A z głowy Oliwii wypłynęło tak dużo krwi, że do końca życia nie pozbędę się z nozdrzy tego zapachu.

Potarłem czoło. Oliwia umarła. Przeze mnie, bo uznałem, że sprawy same się ułożą, ale się nie ułożyły.

– Nie wiem – powiedziałem w końcu. – Niczego nie słyszałem. Całą noc spędziłem na górze, razem z moją narzeczoną.

Marina przestąpiła z nogi na nogę. Może miała niewygodne buty.

– Czy ona może to potwierdzić?

– Proszę ją zapytać. Gdzieś tutaj jest. – Obróciłem się w prawo, a potem w lewo. Próbowałem złowić zapach Ifigenii, ale zagłuszał go smród krwi.

Jeden z techników, mężczyzna, ten od seksu, który nie miał w domu prysznic, podszedł i powiedział coś tak szybko i bełkotliwie, że nie zrozumiałem ani słowa.

– Niech pan będzie w pobliżu – powiedziała do mnie Marina. – Na wypadek, gdybym chciała jeszcze pana o coś spytać.

– Nigdzie się nie wybieram – odburknąłem.

Stukot jej obcasów oddalił się do innego pomieszczenia.

Obróciłem się jeszcze raz, węsząc. Niczego nie wyczułem w tej kakofonii zapachów, ale wydawało mi się, że słyszę głos Ifigenii gdzieś od strony pracowni studentów. Poszedłem w tamtym kierunku powoli, z dłonią na ścianie, jak ślepiec. Tego dnia nie byłem panem Kentro, to nie była moja przestrzeń, czułem się w niej obco, jakbym zawitał tam pierwszy raz.

– Ifi? – zawołałem.

– Tu jestem, Tom.

Podeszła szybkim krokiem. Pozazdrościłem jej tego jak nigdy.

Ifigenia ziewnęła. Przytuliła się do mnie.

– Przepraszam, Tom. Nerwowa reakcja.
– Chodź na górę. – Pociągnąłem ją za rękę. – Napijemy się kawy.
– Ale ta policjantka...
– Na górę idzie się po dwudziestu dwóch schodach – przypomniałem jej. –
Myślę, że to się mieści w definicji słowa „poblize”.

Nikt nas nie zatrzymywał, kiedy przechodziliśmy przez pracownię. Technicy rozstawiali coś obok ciała, jakiś sprzęt na statywie, którego nogi nieprzyjemnie ocierały się o kamień podłogi. Nie chciałem wiedzieć, co to jest.

Weszliśmy do mieszkania. Ifigenia zamknęła się w łazience, żeby, cytuję: „choć umyć zęby”. Ja usiadłem ciężko przy stole w kuchni. Potrzebowałem kilku minut, by zebrać myśli. Za chwilę pojawią się studenci. I Romanos. I Mona...

I będę musiał zejść na dół i stawić wszystkiemu czoła.

Piknął mój telefon.

Wiadomość tekstowa.

I będę musiał stawić czoła jeszcze temu. A naprawdę nie miałem ochoty na udawanie przed Ifi, że się nie domyślałem, i na dalszą grę w zagadki.

Ifigenia wyszła z łazienki. Dźwignąłem się i podszedłem do szafek, ale mnie odsunęła.

– Usiądź, ja zaparzę – powiedziała.

Nawet ludzie mi bliscy nie do końca wierzą, że to nie przez przypadek do tej pory nie umarłem z głodu i pragnienia.

Ale posłuchałem jej.

Ifigenia podeszła i włożyła mi w rękę filiżankę z kawą.

– Chcesz mleko?

Wciągnąłem aromat naparu w płuca, tak głęboko, by wwiercił mi się w mózg.

– Poproszę. Trochę.

Kroki. Odgłos otwieranych drzwi lodówki. Stuknięcie. Znowu kroki. Chłupot kawy, do której wlewa mleko. Ifigenia schowała karton z powrotem i usiadła obok mnie.

Telefon piknął znowu, przypominał o esemesie, którego nie otworzyłem.

– Nie odbierzesz wiadomości? – spytała.

– Później.

Łyknałem kawy. Była ledwo letnia.

– Może to coś pilnego?

Chciałem powiedzieć: „Daj już spokój, Ifi”, jednak w jej głosie zabrzmiało coś takiego, że podjąłem grę.

– Na pewno nie – odpowiedziałem.

– Może ta policjantka czegoś od ciebie chce?

– Myślę, że prościej byłoby wejść na górę, niż wysyłać wiadomości.

Milczała przez chwilę, a potem odstawiła filiżankę na stół. Kawa zachlupotała. Ifigenia upiła najwyżej jeden łyk.

– Dziwnie się ostatnio zachowujesz, wiesz o tym? – spytała.

Moim zdaniem to ona dziwnie się zachowywała, ale sam wiedziałem, że to coś, czego nie powinienem mówić.

– Ukrywasz przede mną różne rzeczy. Masz jakieś sekrety z Moną. Zamiast pracować, robisz sobie wycieczki, jak wczoraj.

– Mówiłem ci przecież, że musiałem coś sprawdzić w Muzeum Strat...

– Nie o to chodzi. – Ifigenia zerwała się od stołu. Krzesło upadło. Nogi zaszurały o podłogę, kiedy je podnosiła. – W ogóle jesteś ostatnio dziwny.

A ona to nie?

– Nieprawda – zaprotekowałem, ale słabo.

– Naprawdę myślisz, że wystarczy mnie bzyknąć kilka razy w nocy, żebym przymknęła oczy na wszystko?

– Na jakie wszystko? Ifi, posłuchaj mnie...

– Dobra, Tom. Jak chcesz. Jak sobie chcesz! Ja stąd spadam. Nie będę mieć z tobą nic więcej do czynienia.

– Dokąd idziesz?

– Nie twój zasrany interes!

– Marina mówiła, żebyśmy pozostali w pobliżu.

– Marina? Marina? Znasz się z nią aż tak dobrze?

– Ifi, nie, ona po prostu...

– Mona? Marina? Ktoś jeszcze na literę M?

Nie odpowiedziałem, bo to i tak nie miało sensu.

Ifigenia stała przez chwilę bez ruchu, a potem odwróciła się na pięcie i poszła w stronę drzwi.

Zerwałem się na nogi.

– Ifi, proszę, zostań tu ze mną. Proszę.

– Odpieprz się, Tom.

I wyszła. Wiatr szarpnął skrzydłem i szeroko otworzył drzwi. Słyszałem jej kroki na schodach, a potem doleciał do mnie aromat cytrynowego szamponu do włosów, zmieszany ze świeżym zapachem wypalonego do połowy papierosa.

– Długo pani podsłuchuje?

– Strasznie głośno krzyтелиście – odpowiedziała, chociaż nie o to pytałem.

I przekroczyła próg, wchodząc do środka, chociaż wcale jej nie zapraszałem.

– Przyjemne mieszkanko. – Podeszła do okna. Chyba się wychyliła i wyjrzała. – Rewelacyjny widok, ale pana to chyba nie interesuje.

– Wyobrażam go sobie. I gościom się podoba.

– Często pan miewa gości?

– Zdarza się. Czy to przesłuchanie w związku ze śmiercią Oliwii?

Odwróciła się tyłem do okna, słyszałem jej głos wyraźnie, wiatr przestał go tłumić.

– A tak, zapomniałam, po co przyszłam.

To była taka figura retoryczna, więc nie zareagowałem. Marina mówiła dalej.

– Chciałam pana spytać, kto mógł dostać się w nocy do Kentro. Nie znaleźliśmy śladów włamania.

– Wszyscy, którzy znają kod do drzwi, czyli moi współpracownicy. Kiedyś mieliśmy kilka kompletów kluczy, ale ciągle musieliśmy je dorabiać, bo się gubiły. Kod jest bardziej praktyczny.

– Z pewnością. Jednak można go komuś zdradzić. Czy pana współpracownicy mówili o nim komuś?

Wzruszyłem ramionami.

– Może sama powinna pani ich zapytać.

– Jak tylko tu przyjadą – mruknęła. – Zadzwoiłam, powinni zaraz być.

Aha, czyli za chwilę Kentro będzie pełne studentów śmierzących strachem i wykrzykujących: „O Boże!” i „To straszne!”.

Marina znowu wyjrzała przez okno.

– Niesamowity widok, naprawdę. Dlaczego nie chciał pan pokazać narzeczonej telefonu?

Chwilę trwało, zanim załapałem zmianę tematu.

– Nie pani sprawa.

– To może być ważne w śledztwie. Może pokaże go pan mnie?

– Niech pani przyjdzie z nakazem. Wtedy go pani obejrzy.

– Mogę to zrobić. Ale może po prostu mi pan powie prawdę.

Westchnąłem. Prawda była ostatnią rzeczą, jaką mogłem jej powiedzieć. Mogłem jednak skłamać.

– Bo mam kochankę.

Pewnie pokiwała głową, chociaż tego nie widziałem ani nie słyszałem, żeby jej włosy otarły się o kołnierz ubrania.

– I to od niej ten esemes?

– Dokładnie tak.

I wtedy doszło do mnie poruszenie przy drzwiach. Przy drzwiach wejściowych otwartych na klatkę schodową.

I głos.

Głos Ifigenii.

– Kurwa, Tom! Niech cię diabli! I niech diabli porwą tę pieprzoną Monę! A ja im w tym pomogę, tyle mogę ci obiecać!

A potem stukot butów, coraz niżej i niżej.

Odwróciłem się do Mariny.

– Wiedziała pani, że ona tam jest?

Nie odpowiedziała. Nie musiała.

Nie powiedziała nawet, po co przyszła na górę. Po prostu odwróciła się i wyszła.

A ja zamknąłem się w łazience. Nareszcie sam.

I nareszcie mogłem odsłuchać wiadomość.

„Czas na trzecią zagadkę. Może tym razem uda ci się odpowiedzieć na czas. Bo jeśli nie...”

I ani słowa więcej.

Z całej siły walnąłem pięścią w kafelki. Usłyszałem suchy trzask, kiedy jeden z nich pękł.

Kurwa, tę kobietę popierdoliło.

Tak, już to do mnie dotarło, że Mona jest złodziejką. Już to wiedziałem, a także to, że na dodatek jest morderczynią. Że kiedy bzykałem się z tą idiotką Ifigenią, weszła do Kentro i zamordowała czającą się na złodzieja Oliwię.

I nagle poczułem, jak drętwieją mi palce, ale nie od uderzenia. Cała krew odpłynęła mi z twarzy. Oparłem się o umywalkę, bo zakręciło mi się w głowie.

Mona nie weszła nocą do Kentro. Nie znała kodu.

Nikt go nie znał w tym tygodniu poza Oliwią i mną. Zapomniałem go podać pozostałym, przez te trupy Wojnarów i historię z esemesami.

A Oliwia włączyła na noc alarm.

Więc to nie Mona ją zabiła. A szansa, że sama walnęła się w głowę figurką tak mocno, że padła trupem, była raczej niewielka.

Mogła to zrobić tylko jedna osoba.

Ifigenia...

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 11.16**

– Kiedy rozmawialiśmy w poranek po zabójstwie, twierdził pan coś innego. Podobno spał pan całą noc i niczego nie słyszał.

Tak, bo jeszcze wtedy nie wiedziałem, że to Ifigenia. I jeszcze nie dotarło do mnie, że policjanci mogą sprawdzić, kiedy w nocy alarm był włączany i wyłączany. I zobaczyć, że od wieczora do rana ani razu.

Marina trwała nieruchomo i chyba wpatrywała się we mnie. Musiałem coś odpowiedzieć.

– Zareagowałem odruchowo. Chciałem wyprzeć się wszystkiego.

– Aż zrozumiał pan, że to nie ma sensu?

– Dokładnie – przytaknąłem.

Przełożyła jakąś kartkę. Potem postukała w nią długopisem, a następnie tym samym długopisem postukała się po przednich zębach. I w końcu zapytała, po raz kolejny:

– Dlaczego pan kłamie, panie Mara?

A ja po raz kolejny nie mogłem powiedzieć prawdy.

– Nie mógł pan zabić Oliwii Papadaki...

– Zabiłem ją – upierałem się. – Bo zorientowała się, że jestem złodziejem.

Czy to tak trudno zrozumieć?

– Więc ten esemes, którego nie chciał pan odsłuchać przy narzeczonej, i ten drugi o zabytkach z pracowni...

– To od mojego wspólnika. To znaczy nie wspólnika, od kogoś, kto odkupuje ode mnie te zabytki. Kogoś takiego chyba nazywa się paserem.

– Czyli od kogo?

– Chyba pani nie myśli, że podam nazwisko, imię i numer telefonu.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nie myślę.

– No właśnie. A na wszelki wypadek, gdyby chciała pani grzebać w szczątkach mojego telefonu, leżącego tam gdzieś w Kentro, to skasowałem te esemesy zaraz po odsłuchaniu.

– Sprawdzimy to – powiedziała sucho i przewróciła stronę w notatkach. – I dlatego próbował pan później dostać się do pracowni Oliwii, chociaż wejście było zagrodzone?

– Dokładnie – ucieszyłem się, że to powiedziała i że nie musiałem sam zmyślać. – Mój wspólnik, to znaczy ten paser, czekał na figurkę. Obiecałem mu ją i miałem nadzieję, że może uda mi się niepostrzeżenie...

Marina wzięła głęboki wdech.

– Panie Mara, to, co pan opowiada, nie trzyma się kupy. Gdybym teraz pana

aresztowała, każdy prokurator wyśmiałby mnie z takimi zeznaniami i z takimi dowodami.

Podniosłem dłonie z kolan i potarłem palcami skronie.

– Boli pana głowa? – spytała.

– Trochę.

– A tamtej nocy też pana bolała?

– Boli mnie, od kiedy się zraniłem. Lekarz uprzedzał, że tak będzie. Pewnie doznałem lekkiego wstrząsu mózgu. Ale to minie.

– A ma pan jakieś inne objawy? Zawroty? Mdłości?

– Czasami. – Staralem się mówić wolno i starannie artykułować słowa. – Jak to po silnym uderzeniu.

– A przed tym trzęsieniem ziemi, później, tamtego dnia?

– Wtedy bolała mnie strasznie. Już pani mówiłem, przed trzęsieniem ziemi rośnie mi ciśnienie wewnątrzczaszkowe. To okropnie nieprzyjemne. A im większy wstrząs, tym silniej to odczuwam.

– A to był, z tego, co wiem, największy wstrząs w tym sezonie. Ciekawe, ile w skali Richtera.

– Nie wiem – mruknąłem. – Jakoś nie miałem okazji tego sprawdzić.

– No tak. A czy możliwe, by już wcześniej dawało się to panu we znaki? Ta pana... – szukała słowa – ta pana przypadłość. W połączeniu ze skutkami uderzenia...

Zamilkła. Jestem co prawda ślepy i nie mam zdolności parapsychicznych, ale czułem, jak świdruje mnie wzrokiem.

– Pyta pani, czy zwariowałem? Czy przez to uderzenie zacząłem mieć przywidzenia?! Pyta pani – znowu zacząłem krzyczeć – czy tylko mi się ubzdurało, że zabiłem Oliwię?!

Nie odpowiedziała.

KENTRO, PACHIA AMMOS, CZWARTEK, 14 WRZEŚNIA, JUŻ PO POŁUDNIU

Ifigenia zabiła Oliwię. I groziła Monie. I wszystko wskazywało na to, że nie poprzestanie na groźbach.

Z powodu mojej głupoty. Bo najpierw pozwoliłem się przyłapać zaraz po tym, jak wyszedłem z łóżka Mony, a później, kiedy prawie już wszystko załagodziłem, zachciało mi się dociąć policjantce.

A teraz gdzieś zniknęła. Chowała się przede mną w Kentro, nie odzywała się, a ja nie mogłem wyczuć jej zapachu, bo technicy rozpylali w pracowni Oliwii śmierdzące substancje, po których całkowicie zablokowały mi się komórki węchowe. Nie przysłała żadnej zagadki, żadnej następnej wiadomości, nic. Próbowałem do niej dzwonić, na jej telefon i na ten od esemesów, ale wyłączyła oba. Nagrałem się dwa razy. Za pierwszym mówiłem, że to wszystko nieprawda i że o kochance powiedziałem tylko na użytek policjantki. Za drugim – że się o nią martwię i żeby wróciła. Nie odpowiedziała.

Nie wiedziałem, co ze sobą zrobić, nie miałem gdzie się podziać. Mój gabinet blokował jeden z policjantów. Jego rodzina hodowała kozy i przyjechał do pracy prosto ze wsi: śmierdział, jakby dopiero zszedł z pastwiska. Przesłuchiwał studentów, jednego po drugim. Pozostali nie mogli znieść czekania. Zagoniłem ich do roboty, kazałem uzupełniać dokumentację i narysować wszystkie diagnostyczne skorupy. Jana twierdziła, że nie potrafi rysować ceramiki. Kazałem jej się nauczyć.

Ale to oznaczało, że ich pracownia też była zajęta.

Bibliotekę okupował Romanos, jak zawsze bezwonny i bezszelestny. Nie potrafiłem powiedzieć, przy którym stole siedział, a kiedy wstawał po inną książkę, nie mogłem go zlokalizować między półkami. Nienawidziłem czuć się jak ślepiec, więc po kilku minutach wyszedłem stamtąd.

Marina chodziła tu i tam, stukała obcasami, często się zatrzymywała i nic nie mówiła. Obserwowała nas. Już samo to wystarczyło, żeby doprowadzić mnie do szału.

Nigdzie, w żadnym pomieszczeniu nie wyczuwałem zapachu różanego olejku. Marina też nie zapytała mnie o Monę. To dobrze, bo nie wiedziałbym, co odpowiedzieć.

Co chwila sprawdzałem telefon, ale poza podaniem czasu, dokładnego co do minuty, uparcie milczał.

Po kilku godzinach miałem dość. Byłem gotowy podjąć grę i grać w nią do końca świata. Byłe tylko Ifigenia wróciła. Byłe tylko mógłbym zamknąć ją w ramionach i pomóc jej poradzić sobie z tym, że jest morderczynią. Albo oddać ją w ręce Mariny. Sam nie wiedziałem, co zrobić. Na razie jednak nie robiłem nic, bo

Ifi zniknęła.

Zamknąłem się w kiblu, i nagrałem esemesa:

„Jeśli chcesz odpowiedzi na pytanie, musisz je najpierw zadać”.

Telefon zapiszczał, kiedy otwierałem puszkę z colą, już trzecią tego dnia. Cofnąłem się do toalet. Wylałem resztę napoju do zlewu i odsłuchałem wiadomość.

„Treść. Wiadomości. Tekstowej. Zagadka. Brzmi. Dwukropek. Skąd. Pochodzi. To. Przecinek. Co. Zginęło. W. Nocy. Z. Pracowni. Oliwii. Znak. Zapytania. Masz. Godzinę. Przecinek. Tom. Kropka. Koniec. Wiadomości”.

Za plecami usłyszałem dźwięk spuszczonej wody i otworzyły się drzwi kabiny po lewej. Tej, z której, jak twierdzi Mona, jest lepszy widok.

– Tym razem to chyba nie wiadomość od kochanki. – Marina podeszła do drugiej umywalki, po mojej prawej stronie. Puściła wodę i podstawiła pod nią dłonie.

– Od kolegi – burknąłem. To nawet była w pewnym sensie prawda.

– Pana kolegę interesuje, co zginęło w nocy z pracowni Oliwii?

– Jak pani słyszy.

– A jak się nazywa ten kolega?

– Joannis Smitopoulos.

Milczała przez chwilę.

– Co zginęło w nocy z pracowni Oliwii? – zapytała w końcu.

Rozłożyłem szeroko ramiona. Zazwyczaj unikam takich gestów. Tym razem uderzyłem grzbietem dłoni o ścianę.

– Nie wiem.

– Czemu pan kłamie, panie Mara?

Westchnąłem.

– Czemu się pani ode mnie nie odczepi?

– Chcę zobaczyć pana telefon.

– Jak będzie miała pani nakaz.

Odwróciła się na pięcie i trzasnęła drzwiami.

Sprawdziłem jeszcze drugąabinę, plując sobie w brodę, że nie zrobiłem tego wcześniej, ale nikt więcej nie usłyszał wiadomości.

A później spróbowałem połączyć się z Ifigenią, ale nie odbierała. Jej telefon dzwonił i dzwonił, a potem przerzucało mnie na pocztę głosową.

Nagrałem jej wiadomość: „Ifi, daj już spokój”. Jak sami się pewnie domyślacie, nie dostałem odpowiedzi.

Oparłem się o umywalkę, ochlapałem twarz i kark zimną wodą. I wtedy zadzwonił mój telefon.

Odebrałem od razu.

– Ifi?

– Tom? – To nie był głos Ifigenii. – Ledwo cię słyszę.

– Mona, gdzie ty jesteś?

W słuchawce zatrzeszczało i straciłem początek zdania.

– ...Katalimacie, a gdzie mam być? Gdzie wy jesteście? Dlaczego nikogo nie ma na wykopaliskach?

– Mona, posłuchaj...

Znowu coś zatrzeszczało, tak głośno, że musiałem odsunąć aparat od ucha. Usłyszałem tylko „coś tam, coś tam, Ifigenia”.

– Mona, przyjedź do Kentro.

– ...mogę... masę roboty.

– Mona, do diabła! – wrzasnąłem. – Zabieraj dupę w troki i wracaj tu natychmiast.

– Co powiedziałeś? Połączenie jest strasznie...

Znowu seria trzasków.

– Tom, jesteś tam? – Nagle usłyszałem ją czysto i wyraźnie, jakby stała obok.

– Mona, posłuchaj...

– Widzę na dole samochód – przerwała mi. – To chyba Ifigenia... Tak, właśnie wysiadła, to ona. Dobra, Tom, i tak cię źle słyszę. Zapytam ją...

Połączenie zostało przerwane.

Oparłem się o ścianę. Nogi miałem tak miękkie, jakby ktoś odkroił mięśnie od kości.

Mona była w Katalimacie. I właśnie przyjechała tam Ifigenia. Być może po to, żeby spełnić swoją groźbę. To w sumie byłaby niezła okazja, bez świadków. Jeśli Ifi rozwalila głowę Oliwii (dlaczego, kurwa? dlaczego?!), co zrobi Monie teraz, kiedy (znowu dzięki mojej głupocie, brawo, Tom, naprawdę niezłe się spisales) jest pewna, że z nią sypiam?

Uspokoilem się, głęboko oddychając, bo panika jeszcze nigdy nikomu nie pomogła. Może (może, może) istniała jedna rzecz, która mogła powstrzymać (a w każdym razie opóźnić Ifigenię): rozwiązanie jej zagadki.

Skąd pochodzi to, co zginęło w nocy z pracowni Oliwii. Na to pytanie nie dało się odpowiedzieć, a Ifigenia dobrze o tym wiedziała.

Jeśli chcecie, mogę wam z pamięci wymienić, co jest gdzie w Kentro:

Na dziedzińcu ceramika. Pięć rzędów stołów, na pierwszym, licząc od wejścia, skorupy z Katalimaty, na pozostałych z Halasmenos. W pracowni studentów oryginały rysunków na regale na prawo od drzwi, oryginały dzienników wykopaliskowych w metalowej ognioodpornej szafie z szufladami, robocze plany stanowiska w skrzyni pod oknem, a na stołach to, nad czym akurat pracują. Sprzęt do rysowania w szafce przy stole kreślarskim plus dwa komputery na biurkach obok drugiego okna – dla tych, którym nie przyszło do głowy, żeby zabrać własne laptopy na wykopaliska. W moim gabinecie wszystkie dokumenty trzymałem na

regale ustawionym prostopadle do ściany, zaraz przy drzwiach. Patrząc od lewej: rachunki za elektryczność, sprzęt, środki do konserwacji, środki czyszczące, faktury za naprawy, umowy z pracownikami, wnioski grantowe przyjęte, wnioski grantowe odrzucone (o wiele grubszy plik) i tak dalej, i tak dalej. Dokumenty były w większości zeskanowane, żebym miał do nich dostęp w komputerze, ale i tak wiedziałem, w której teczce, na której półce jest każdy papier. W bibliotece znam położenie każdej książki i każdego czasopisma, chociaż i tak korzystam tylko z ich elektronicznych wersji. Obarczam sobie pamięć tymi wszystkimi niepotrzebnymi duperkami, bo może jestem ślepy, ale nie chcę czuć się zagubiony.

A tak czuję się tylko w jednym pomieszczeniu w całym Kentro – w pracowni Oliwii. Codziennie na każdym ze stołów leżą tam inne zabytki, przedmioty zmieniają położenie na półkach i parapetach. Oliwia przestawia swój komputer i zarzuca blaty papierami, bo nigdy nie ma czasu ich posegregować i pochować w szufladach. Rejestr zabytków do konserwacji prowadzi w zeszycie, zamiast, jak Bóg przykazał, w komputerze. A że zeszyt często jej ginie, Oliwia zaczyna nowy.

To znaczy powinienem był użyć czasu przeszłego. Oliwia już nie narobi większego bałaganu.

Ustalenie, co zginęło w nocy z pracowni Oliwii, przekraczało moje siły. Obawiam się, że nawet gdybym mógł zobaczyć, co jest w środku, też nie dałbym rady. Potrafiłem tam znaleźć tylko ekspres do kawy, a rano jeszcze stał na swoim miejscu.

Schowałem telefon do kieszeni i oparłem się dłońmi o umywalkę. Gdybym widział, gapiłbym się w lustro wiszące naprzeciwko mojego nosa. Ale nawet wtedy nie miałbym z niego żadnego pożytku. Zobaczyłbym w nim co najwyżej kogoś, kto niedługo straci wszystko.

Ochlapałem twarz i kark zimną wodą. I myślałem. Myślałem.

Skąd pochodzi to, co zginęło w nocy z pracowni Oliwii...

Skoro dostałem tylko godzinę, a w pracowni Oliwii ciągle siedzieli technicy Mariny, i tak nie miałem szans, więc równie dobrze mogłem spróbować rozwiązać tę popieprzoną zagadkę od dupy strony. Zamiast przeszukiwać pracownię Oliwii (zwłaszcza że jeśli coś stamtąd zginęło, to i tak już tej rzeczy nie ma), trochę podedukować. Wcześniejsze dwie zagadki dotyczyły obiektów z tego samego depozytu, znalezionego w narożniku świątyni i z niejasnych dla mnie przyczyn identycznego jak ten z Knossos, może więc w trzeciej zagadce też chodzi o coś stamtąd.

Drzwi mojej pracowni były otwarte, słyszałem głośny szum wiatraka. Z pomieszczenia nie dobiegał żaden głos. Może śmierzący kozami asystent już zakończył przesłuchanie. Ruszyłem w tamtą stronę, ale zatrzymałem się na progu, bo uderzyła mnie woń potu i miętowej pasty do zębów.

– Tom? – usłyszałem zdyszany alt Anniki. – Nie chciałam ci przeszkadzać.

To znaczy... Wszystkie komputery w naszej pracowni są zajęte, a ja chciałam sprawdzić... Już sobie idę.

Zerwała się z krzesła.

– Chciałam ci jeszcze powiedzieć... Bo wczoraj zapomniałam... Jak już wieczorem poszedłeś do siebie na górę... To znaczy po południu...

Zacisnąłem zęby. Musiała zobaczyć, jak napinają mi się mięśnie żuchwy, bo zaczęła mówić jeszcze szybciej:

– Dzwoniła do ciebie jakaś konserwatorka z Knossos. Susanna... Przepraszam, nie zapamiętałam nazwiska. Gdzieś sobie zanotowałam, poczekaj.

Usłyszałem szelest materiału jej spodni, kiedy wsunęła dłoń do kieszeni.

– Wiem, kto to. Co powiedziała?

– Powiedziała, że nie ma twojej komórki, a nie chciała prosić o numer jakiegoś Daniela i dlatego dzwoni na stacjonarny. Ten depozyt Gamma-Lambda-Dwanaście, który wczoraj oglądałeś, będzie gotowy, to znaczy już po konserwacji, w przyszłym tygodniu. Myślała, że praca zajmie jej dłużej, ale chyba skończy wcześniej. I możesz jeszcze raz wpaść go obejrzyć, posklejane naczynia i tak dalej.

– Coś jeszcze?

– I jeszcze dzwonił jakiś facet, nie przedstawił się i chciał rozmawiać z jakąś Annie...

– To chyba do ciebie – powiedziałem przez zaciśnięte zęby. – Twój ekschłopak.

– Mój ekschłopak? – zdziwiła się. – Nie, to pomyłka.

Umilkła.

– Czy mam przez to rozumieć – spytałem powoli – że wczoraj przez cały wieczór też siedziałas w moim gabinecie?

– No, nie było cię, Tom. A ja sobie pomyślałam, że jak nikomu nie przeszkadzam, to szybciej tu wpiszę wszystko do katalogów, bo te komputery w naszej pracowni są ciągle zajęte...

– Rozumiem, Anniko. Czy możesz już sobie stąd pójść?

Zachłusnęła się powietrzem. Poczekalem, aż minie mnie w drzwiach, i zatrzasnąłem je, aż się zatrzęsły. Usiadłem przy biurku i przysunąłem sobie laptopa. Obudowa zdążyła się już solidnie nagrzać, Annika widocznie pracowała przy nim dłuższy czas. Nienawidzę, naprawdę nienawidzę, kiedy ktoś korzysta z mojego komputera, ale nigdy tego nikomu nie powiedziałem, więc skąd ta biedna dziewczyna miała to wiedzieć?

Włączyłem program głośnomówiący i kazałem mu odszukać ten sam katalog co wczoraj, a potem otworzyć plik „Halasmenos 2017_14”. Chciałem wysłuchać jeszcze raz tego, co się w nim znajduje, tym razem do końca.

– Znalaziska z obiektu czternaście znalezione w roku dwa tysiące

siedemnastym na północny wschód od północnego narożnika świątyni. – Już słyszałem te zdania, ale nie chciałem uronić żadnego słowa. – Szesnaście fragmentów ceramiki o łącznej wadze jednego kilograma dwudziestu gramów. Prawdopodobnie trzy naczynia. Stan: do konserwacji. Fragmentaryczna figurka z kości, w nawiasie kły dzika albo kość słoniowa, koniec nawiasu, niekompletna: zachowana tylko odłamana prawa ręka. Stan: do konserwacji. Jedna figurka... – Urwało się w połowie zdania. Ze złości walnąłem dłonią w stół. Miałem ochotę zatrzaskać klapę laptopa, ale zmusiłem się, żeby wydać polecenie odsłuchania tego pliku jeszcze raz. Nagranie skończyło się dokładnie w tym samym miejscu. Czyli to nie komputer się zawiesił, tylko ktoś nie wpisał do katalogu wszystkich informacji.

Zerwałem się z krzesła i najprędzej, jak mogłem, poszedłem do pracowni studentów. Z tego pośpiechu z całej siły walnąłem czubkami palców o framugę, a chwilę później uderzyłem gołenią w drewnianą skrzynkę ustawioną dokładnie w przejściu.

– O, sorry, Tom – powiedziała Melissa. Albo Yacinta. I przesunęła skrzynkę, więc znowu nie wiedziałem, gdzie jest. Ale nie miałem czasu rzucać kurwami.

Zatrzymałem się przy stole, od którego dochodził zapach wody po goleniu, trochę już zwietrzały od rana. I mocne, duszące piżmowe perfumy. Jason i Sarah.

– Depozyt z czternastki – rzuciłem.

Zaszurały papiery, a zapach piżma się nasilił.

– Jeśli chodzi ci o te rysunki, Tom, to niedługo skończę wczorajszą porcję i zaraz będę wszystko skanować.

– Nie chodzi mi o rysunki, Sarah. Mówię do Jasona.

Ciała mają własny język, a ten czasem potrafi powiedzieć więcej niż słowa. Dlatego wielu ludzi nie lubi rozmawiać przez telefon, nie mogą wtedy obserwować rozmówcy. Ja też nie lubię rozmawiać przez telefon, bo na żywo mogę przynajmniej słyszeć dźwięki, jakie wydaje ludzkie ciało.

Łatwiej mi odczytać gesty kobiet niż mężczyzn, dlatego że większość dziewczyn w mojej ekipie ma długie włosy, a te poruszają się przy ruchach głowy i ramion, zawsze wydając przy tym jakiś dźwięk. Mężczyźni w rozmowie ze mną łatwiej jest ukryć swoje prawdziwe uczucia. Wystarczy, że nie pociera ręką o rękę, nie przesuwają dłonią po zaroście i nie potrzęsa przegubem, żeby spojrzeć na zegarek.

Ale rozmowa z Jasonem była łatwa – nie tylko wykonywał te wszystkie gesty, ale też tarł ręką kark, drapał się po głowie, wycierał spocone dłonie w spodnie i nosił koszulkę z jakiegoś dziwnego syntetyku, szeleszczącego przy każdym poruszeniu. I do tego miał półdługie włosy. Czytałem w nim jak w otwartej księdze, w której, notabene, nie mógłbym przeczytać nawet jednego słowa.

– Tak, Tom? – Jason wytarł dłonie w spodnie.
– Depozyt z czternastki – powtórzyłem. – Szybciutko, raz, dwa, trzy, odpowiedz na moje pytanie. Ty go odkopywałeś.
– To jest pytanie? No taaak. Chyba tak. Chyba go odkopywałem.
– Co w nim znalazłeś?
– Eee, no. – Podrapał się po zarośniętym policzku. Sądząc po dźwięku, ostatnio golił się w weekend. – No jakąś ceramikę, nie? Jak zawsze w takim depozycie.

Zacisnąłem dłonie w pięści, ale natychmiast rozluźniłem, bo stłuczone palce bolały. Postanowiłem być cierpliwy. Pomacałem dłonią obok stołu. Sarah domyśliła się i przysunęła mi krzesło. Usiadłem.

– Pamiętasz, w którym miejscu się znajdował?
– E, no, Tom, myślą mi się te wszystkie numery.
– Przypomnij sobie.
– Teraz?
– Teraz.
– Będę musiał zostawić te rysunki i włączyć komputer.
– Zrób to.

Jason zamarł na chwilę w bezruchu, może w nadziei, że zmienię zdanie. Nie zmieniłem.

– Pospiesz się – powiedziałem.

Przesunął papiery na brzeg stołu. Stuknął o blat kilkoma skorupami ceramiki. Wcisnął przycisk na obudowie komputera. To był stary model, słyszałem, jak twardy dysk się rozgrzewa.

Trochę trwało, zanim uruchomił się system operacyjny. W końcu Jason przysunął do siebie klawiaturę.

– Depozyt czternaście, depozyt czternaście... – mrucał. Klawisze lekko zacinały się, w klawiaturze musiało być pełno okruchów, chociaż powtarzałem studentom do porzygania, żeby nie jedli przy komputerach. A myszka wydawała piskliwy dźwięk, kiedy nią przesunął. – Depozyt czternaście, gdzie to cholerstwo jest? Tu go nie ma – powiedział w końcu. – Nie ma w ogóle takiego numeru w głównym rejestrze.

– Bo go nie wprowadziłeś.

– Naprawdę?

Pytanie było tak głupie, że nie zadałem sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

– Sprawdź karty zabytków i dziennik wykopaliskowy – poradziłem mu zamiast tego.

Wstał i szurając nogami, odszedł na drugi koniec pracowni. Szuflada metalowej szafki zapiszczała przeraźliwie. Jason przerzucał kartki.

– O, mam dziennik! – zawołał.

Nie wiem, czy czekał na gratulacje. Nie odezwałem się.

– I karty zabytków.

Walnął szufladą, aż szafka zadrżała, i wrócił do biurka.

– Co chcesz wiedzieć, Tom?

– Chcę wiedzieć, dlaczego masz burdel w dokumentacji. Chyba nie jesteś aż tak głupi, żeby nie rozumieć, że jeśli czegoś nie wprowadzisz do komputera, do wszelkich możliwych rejestrów, to ja tego nie widzę. Jakby nie istniało. Ten depozyt dla mnie nie istnieje, Jason!

Złapałem się na tym, że krzyczę.

Jason stał nieruchomo. Opuścił głowę. Włosy zaszeleściły mu o tę dziwną stylonową koszulkę.

Zniżyłem głos.

– Chcę, żebyś mi odczytał pełną listę zabytków w tym depozycie.

– Teraz?

Znowu zacisnąłem dłonie w pięści i znowu je rozluźniłem.

– Tak, teraz.

Położył dziennik na stole. Obok stuknął segregator z kartami zabytków.

– Ehem. „Szesnaście skorup ceramicznych o wadze jednego kilograma i dwudziestu gramów. Duże fragmenty wylewów. Uwagi...” To też mam czytać?

Przytaknąłem.

– „Uwagi: sprawdzić w konserwacji, czy skorupy się nie łączą, może da się zrekonstruować naczynia”.

– Sprawdziłeś to?

– No nie...

Wziąłem głęboki wdech.

– Czytaj dalej.

– E, no... aha. „Drobne znaleziska: figurka z kości, kość słoniowa albo kieł dzika”, ze znakiem zapytania. – Podniósł głowę. – Tego też nie sprawdziłem.

Nie powiedziałem mu, że do tego musiałby być wysokiej klasy specjalistą od kościanych figurek, z dużym doświadczeniem i przyzwoitym mikroskopem. Chciałem, żeby miał wyrzuty sumienia.

– „Stan zachowania – czytał dalej – zachowana tylko odłamana prawa ręka. Uwagi: oddać do konserwacji”.

Nawet nie pytałem, czy to zrobił.

– I jeszcze: „gliniana figurka byka. Kompletna z wyjątkiem obtłuczonego jednego rogu”.

Odchyliłem się na krześle. Zamknąłem oczy.

Figurka byka!

Depozyt czternaście. Trzy naczynia zachowane we fragmentach. Figurka z kości przedstawiająca skoczka, tancerza byków. I jeszcze gliniana figurka byka.

Wszystko pochowane pod murem świątyni. Naczynia się potłukły, ale dałbym sobie uciąć prawą rękę i pozbawić się na zawsze możliwości dotknięcia ciepłej wilgotnej skóry Ifigenii, że po sklejeniu nie będzie brakowało ani kawałka. Bo to nie były zwykłe skorupy, zmiecione do śmietnika, tylko depozyt. Ktoś wykopał dziurę koło muru świątyni i wsadził do niej kilka glinianych naczyń, glinianego byka i kościaną figurkę skoczka.

Dokładnie jak w Knossos.

Być może, podobnie jak w Knossos, aby błagać bogów o powstrzymanie trzęsienia ziemi.

I – podobnie jak w Knossos – błagania odniosły zerowy skutek.

– Jakiś problem, Tom? – odezwał się nagle Romanos za moimi plecami, a ja podskoczyłem i otworzyłem szeroko oczy, co w niczym mi nie pomogło. Do kurwy! Czy ten człowiek nie mógłby przynajmniej szurać nogami przy chodzeniu?

– A tak, nawet spory – burknąłem. – Niekompletna dokumentacja.

– Przepraszam, jeśli czegoś nie dopatrzyłem... – zaczął Romanos. – Powinienem był wszystko sprawdzić, jak przejąłem te wykopy.

– Pewnie, powinieneś był. – Złościło mnie to jego skradanie się za plecami.

– A chodzi o jakiś konkretny depozyt?

– Jason ci powie.

– Eee, Tom? – Jason usłyszał swoje imię i zaszeleścił koszulką. – Potrzebujesz coś jeszcze z tego depozytu czy mogę schować dokumentację?

– Nie, nie możesz jej schować. – Wyprostowałem plecy. Wstałem. – Masz ją wpisać do komputera. I uzupełnić wszystkie inne brakujące depozyty.

Jason jęknął.

– Od początku sezonu?

– Od początku wykopalisk. Pracujesz ze mną już trzeci rok. Dam głowę, że trochę się nazbierało.

– Pomogę mu – wtrącił Romanos. – Do wieczora będziesz miał cały zestaw danych w komputerze.

Sarah poruszyła się przy stole: dotarła do mnie świeża fala piżma. Niepotrzebnie opieprzyłem Jasona przy dziewczynie, którą tak bardzo chciałby przelecieć, ale miałem to gdzieś. Byłem zły. Byłem zły na cały świat: na Ifigenię, bo zwariowała, na Monę, bo ciężko pracowała na to, żeby znaleźć się w więzieniu za kradzież zabytków, na Oliwię, bo dała się zabić, i na Marinę, bo tak bardzo chciała się dowiedzieć, kto jest mordercą. A najbardziej na siebie.

Wstałem i ruszyłem do wyjścia. Za plecami słyszałem jeszcze, jak Romanos tłumaczy coś Jasonowi spokojnym głosem. Żałowałem, że nie jestem tak opanowany. Po trzech krokach znowu potknąłem się o cholerną skrzynkę, pewnie nawet o tę samą.

– Sorry, Tom – powiedziała znowu Melissa lub Yacinta i kolejny raz

przestawiła skrzynkę. Nie wiedziałem, gdzie dokładnie, ale nie zamierzałem już tu wracać.

Sprawdziłem godzinę. Piętnasta piętnaście. Podobno, kiedy widzi się na zegarku takie same liczby wskazujące godziny i minuty, można pomyśleć życzenie i ono się spełni. „Chcę, żeby to wszystko się dobrze skończyło”, wyszeptałem. Nie robiłem sobie jednak zbyt wielkich nadziei.

Trzy naczynia, znalezione w plecaku Wojnarów. Ifigenia pytała o nie w pierwszym esemesie. Mona najprawdopodobniej znalazła je wśród wykopanych zabytków, zorientowała się, że Jason nigdzie ich nie wpisał, i doszła do wniosku, że nikt się nie zorientuje, jeśli je ukradnie. I sprzedała je w niedzielę polskiemu prawnikowi i jego żonie, którzy zaraz potem dali się zastrzelić.

W drugim esemesie Ifi pytała o rączkę kościanej figurki z pokoju Mony, pochodzącą z tego samego depozytu, numer czternaście, odkopanego w zeszłym roku w Halasmenos. Mona, zachęcona sukcesem z ceramiką, zobaczyła, że w tym nigdzie niezarejestrowanym depozycie są jeszcze inne fajne rzeczy, które mogłaby ukraść i sprzedać.

A w trzecim esemesie Ifigenia pytała o to, skąd pochodzi to, co zginęło z pracowni Oliwii. Chodziło więc pewnie o ten sam depozyt. A w nim pozostała jeszcze tylko jedna rzecz: gliniana figurka byka.

Nagle zadźwięczały mi w uszach słowa Oliwii z poprzedniego dnia, po trzęsieniu ziemi: „Na szczęście nie stłukł się ten gliniany byk. Zaczęłam go robić wczoraj i szlag by mnie trafił, bo został znaleziony prawie kompletny, tylko z odłamanym jednym rogiem”.

Gdybym mógł biegać, pobiegłbym do pracowni konserwatorskiej. Ale nie mogłem. Wziąłem poprawkę na kąt padania promieni słonecznych, wyszedłem na patio i przeciąłem je na ukos, dokładnie do wejścia do małego korytarzyka, skąd dało się dostać do mojego gabinetu, tuż obok otwartych drzwi, zabezpieczonych policyjną taśmą.

Zatrzymałem się na progu. W środku nadal śmierdziało chemikaliami, których zapachu nie mogłem zidentyfikować. Kroki, szelest kombinezonu i zapach potu zmieszanego z papierosami wskazywały, że jest tam tylko jedna osoba.

- Cześć – powiedziałem. Szelest rozległ się znowu, a zapach potu nasilił.
- Proszę tu nie wchodzić – odezwał się zachrypnięty męski głos.
- Potrzebuję pana pomocy.
- Proszę tu nie wchodzić – powtórzył. – To miejsce zbrodni. Zaciera pan ślady.
- Nic nie zacieram, stoję na progu. I nie zamierzam dać nawet kroku naprzód, obiecuję. Ale jestem ślepy. Potrzebna mi informacja.

Gdyby to była kobieta, wziąłbym ją na „biednego przystojnego kalekę”.

- Proszę porozmawiać z panią porucznik – mruknął i odwrócił się do mnie

tyłem.

Wycofałem się. Wróciłem do pracowni studentów, zatrzymałem się na progu i zawołałem Annikę. Podeszła krokiem tak ciężkim, że na stołach drżały puste puszki po coli.

– Anniko, potrzebuję twojej pomocy.

Nie odpowiedziała. Chwilę trwało, zanim skojarzyłem, o co znowu się obrazila.

– Przepraszam, że tak cię wyrzuciłem z pokoju.

Milczenie.

– Oczywiście możesz korzystać z mojego komputera, kiedy zechcesz. Tylko... – Chciałem powiedzieć, że bardzo się spieszyłem, ale przyszedł mi do głowy o wiele lepszy argument: – Tylko tak strasznie mnie rąbnęła śmierć Oliwii.

Annika poruszyła się. Zapach jej potu się nasilił.

– Tak, Tom. – Miała oschły ton głosu, jednak znajdowałem się już na dobrej drodze.

– Chodź ze mną do pracowni Oliwii, muszę tam coś znaleźć, a sam nie dam rady.

Odór jej potu stał się nagle bardziej kwaśny.

– Tam nie wolno wchodzić. Policjantka zabroniła.

– Nie musisz wchodzić. Zatrzymasz się tylko na progu i poszukasz dla mnie jednego zabytku. Wzrokiem.

Oczywiście, jak go znajdzie, weźmie też do ręki, żeby sprawdzić numer. O ile nie nauczyła się lewitować, będzie musiała postawić stopę w pracowni Oliwii, co jednak postanowiłem powiedzieć jej dopiero później.

– Ta policjantka powiedziała, że nie wolno. Za to podobno grożą jakieś kary, a ja już wam wszystkim wystarczająco dużo pomagałam.

Ująłem ją pod ramię. Skórę miała lepka i ciastowata.

– Słuchaj, to naprawdę bardzo ważne – powiedziałem. – I bardzo, bardzo pilne.

Odruchowo nacisnąłem przycisk zegarka. Do wyznaczonej przez Ifigenię pełnej godziny pozostało jeszcze niecałe dwadzieścia minut.

Wyswobodziła się.

– Nie mogę, nie namówisz mnie. Nie chcę już wchodzić w konflikt z prawem.

Jezu, gdzie ona się nauczyła tych sformułowań? Zawsze uważałem, że za dużo telewizji szkodzi.

– Mogę coś dla ciebie zrobić, Tom? – odezwał się nagle Romanos.

Skrzywiłem się. Miał pracować z Jasonem, a nie kręcić się dookoła i podsłuchiwać. Annika wykorzystała moment i odeszła krokiem, od którego zdrząły szyby.

Nie chciałem korzystać z jego pomocy. W ogóle nie miałem ochoty przebywać w jego pobliżu. Ale chyba nie było innego wyjścia.

– Chodź za mną – oznajmiłem i wróciliśmy do pracowni Oliwii.

– Rozejrzyj się – powiedziałem na progu i chciałem wydać mu dalsze instrukcje, ale technik od Mariny zawołał:

– Tu nie wolno wchodzić!

– A stać na progu wolno? – zapytałem.

– Idę po panią porucznik. – Technik przeszedł obok mnie szybkim krokiem i zabrał ze sobą smród papierosów i plastiku.

Odwróciłem się do Romanosa, a w każdym razie w kierunku, w którym chyba stał. Bo jak zwykle ani go nie czułem, ani nie słyszałem.

– Rozejrzyj się i powiedz mi, jakie widzisz zabytki.

Milczał tak długo, aż w końcu pomyślałem, że sobie poszedł.

– Tom, tu jest dużo zabytków – odezwał się wreszcie.

– Dlatego im szybciej zaczniesz, tym szybciej skończysz. – Nawet nie próbowałem ukrywać irytacji.

– No dobrze. Po kolei, patrząc od regału po lewej stronie przy wejściu: cztery kubki koniczne, sklezione i uzupełnione gipsem, jeden *bridge spouted jar* z gipsowym wylewem, dzbanek, cztery figurki zwierząt, trudno powiedzieć, czy to kozy czy krowy...

Wyliczanie trwało długo. Romanos był dokładny, nie opuścił żadnej skorupy, żadnego odłamane go uchwytu. Miliony skorup, tysiące figurek, setki posklejanych garnków, nawet kilka drobiazgów z brązu, tony papierów, połamane plastikowe długopisy, ogryzione ołówki, drewniane i plastikowe linijki, niezliczone pojemniki na różne chemikalia, wata i lignina, tubki kleju, przydeptane pantofle pod biurkiem i dwie popielniczki wyładowane niedopałkami. Ale żadnego byka.

Z tyłu dobiegły mnie kroki dwóch osób. Jedna miała na stopach buty na szerokim, pustym w środku obcasie.

– Czego pan tu szuka, panie Mara? Zabroniłam przecież wszystkim wstępu do pracowni. Pan nie jest wyjątkiem.

– Stoję na progu – przypomniałem i odwróciłem się, żeby odejść. Chwyła mnie za ramię, wcale nie delikatnie.

– Chce pan odesłać koledze informację, czego brakuje w pracowni Oliwii?

– Nie, chcę sprawdzić, czy nie ma tu gdzieś jakiejś flaszki, co nawet nie jest takie nieprawdopodobne, bo Oliwia była dość trunkowa. A chętnie bym się napił, żeby móc dalej znosić pani głupie pytania.

Nie obraziła się ani nie strzeliła focha, na co liczyłem. Zapytała po prostu:

– Czego brakuje?

– Nie wiem.

– Kłamie pan.

– Proszę mi to udowodnić.
– Zataja pan szczegóły, które mogą być ważne dla śledztwa. To podpada pod paragraf.

– Więc proszę mnie aresztować.
Odszedłem, a Marina rzuciła jeszcze za mną:
– Naprawdę mam na to coraz większą ochotę.
– Dzięki, Romane – powiedziałem już w korytarzyku przy wejściu do pracowni studentów.

– Potrzebujesz jeszcze czegoś, Tom?
Żebyś się ode mnie odpieprzył.
– Nie, dzięki, wracaj do swojej pracy.
Odszedł (przynajmniej taką miałem nadzieję, bo nie usłyszałem jego kroków), a ja zostałem sam.

W pracowni Oliwii mogło brakować tysiąca rzeczy, ale byłem dziwnie spokojny, że znalazłem już prawidłową odpowiedź dla Ifigenii.

„Chodzi o glinianą figurkę byka, odkopaną w Halasmenos koło świątyni, w jednym depozycie razem z ceramiką z plecaka zabitych Wojnarów i rączką od kościanej figurki, które ukradła Mona”.

Wyciągnąłem telefon, żeby to nagrać.

I wtedy moja głowa wybuchła. A w każdym razie tak bym się czuł, gdyby we wnętrzu mojej czaszki eksplodował granat. Komórka wypadła mi z ręki na kamienną posadzkę i rozpadła się na kilka części. Poleciały we wszystkie strony, więc nawet gdybym widział, nie mógłbym ich pozbierać. Zgiąłem się wpół i zacisnąłem dłonie na uszach. Nic nie pomagało. Słyszałem wizg, jakby włączył się alarm w drzwiach. Narastające ciśnienie powoli rozsadzało mi czaszkę.

Próbowałem się wyprostować i czegoś złapać. Nie zdażyłem. Wstrząs szarpnął mną mocno i zatoczyłem się na ścianę.

A potem w drugą stronę. Uchwyciłem się krawędzi lodówki, a drzwi otworzyły się i puszki wypadły z łoskotem. Jedna z nich rozprysnęła się i opluła mnie wachlarzem lepkich kropelek. W całym Kentro przez kilka sekund słychać było tylko dźwięk spadających i roztrzaskujących się przedmiotów. I drzenie szyb w oknach.

Wstrząs na pewno nie trwał dłużej niż minutę, chociaż mi się wydawało, że upłynęła cała doba, zanim wreszcie ustał.

Odepchnąłem się od lodówki i powoli się wyprostowałem.

Na zewnątrz coś zatrzeszczało i upadło z rozdzierającym odgłosem dartej blachy. To mogła być wiata na dziedzińcu, ale i tak nie dałbym rady sam tego sprawdzić. Skoncentrowałem się na odgłosach dochodzących z pracowni studentów.

„Nie, nic mi się nie stało” – usłyszałem, i jeszcze „wszystko w porządku”,

„dzięki, Jana”, „ja jestem cały”.

– Wyjdziemy teraz na zewnątrz – powiedziałem głośno, żeby mnie usłyszeli.
– Spokojnie i bez paniki. Mamy mnóstwo czasu. Wstrząsy wtórne rzadko występują szybciej niż po kilku minutach.

Studenci rzucili się do drzwi, biegiem. Usłyszałem jęk Anniki i krzyk Yacinty (albo Melissy): „Puść mnie!”, ale było ich tylko siedmioro – za mało, by stratować się w drzwiach.

– Potrzebujesz pomocy, Tom? – Głos Romanosa odezwał się tuż przy moim uchu.

– Dam sobie radę – burknąłem.

Ruszyłem za studentami. Macałem przed sobą, żeby nie zderzyć się z kolejnym stołem albo skrzynką, a i tak przy drzwiach zderzyłem się z Mariną.

– Powinien pan wyjść – zauważyła. – Wstrząsy wtórne...

– Właśnie to robię. Stoi mi pani na drodze.

Bez pytania ujęła mnie pod ramię. Nienawidzę tego.

– Uwaga: próg – powiedziała.

– Wiem, gdzie jest próg. – Wyszarpnąłem rękę. – Wiem, gdzie jest każdy pieprzony schodek w całym tym pieprzonym budynku.

Ruszyłem przodem. Słyszałem stukot jej obcasów tuż za plecami.

Wiatr jeszcze przybrał na sile. Pożałowałem, że nie włożyłem swetra. Studenci stali przy samych schodach, jakby bali się postawić nawet krok do przodu. Bezpieczniej byłoby przesunąć się tam, gdzie nic nie może im spaść na głowę. Plastikowy kombinezon technika Mariny szeleścił przy każdym podmuchu. Wiatr porывał cząsteczki zapachów, ale i tak wyraźnie czułem w powietrzu odór strachu.

– Czy wszyscy są? – spytałem.

Usłyszałem jednocześnie kilka „tak”, z różnych stron. Odliczyłem je w myślach. Sarah, Jason, Annika, Romanos, Alekos, Yacinta i Melissa (dwa identyczne głosy). Jednego brakowało.

– Jana! – krzyknąłem.

Tłumek studentów się poruszył, ktoś przepychał się do przodu.

– Jestem, Tom.

– To dlaczego, do diabła, nie odpowiadasz, jak cię wołam?!

Słyszałem, jak pociera dłońmi twarz. Chwyciłem ją za rękę.

– Jana, nic ci się nie stało? Jesteś ranna?

– Nie, Tom, tylko... – Wyszarpnęła się. – Cholera jasna, cholera jasna.

Położyłem jej dłonie na ramionach i potrząsałem nią.

– Wszystko w porządku, Tom. Nie jestem ranna. Tylko zgubiłam pierścionek.

– Pierścionek? – Nie rozumiałem, o co jej chodzi.

– Mam taki pierścionek, imitację minojskiego, wiesz, złoty z takim dużym oczkiem. To prezent. – Pociągnęła nosem. – Przez to oczko przeszkadza mi w rysowaniu, więc zawsze go zdejmuję, zwłaszcza gdy mam pociągnąć ołówek tuszem...

– Czy możesz przejść do rzeczy? – wycodziłem przez zęby.

– On mi gdzieś spadł, Tom. Rozumiesz? Odłożyłam go na stół i gdzieś mi spadł, jak wszystko zaczęło się walić.

Potrząsnąłem głową. Wydawało mi się, że w uszach mi dzwoni i źle usłyszałem. Tej idiotce mogło się zwalić na głowę pół Kentro przy tak silnym wstrząsie, a ona martwi się o jakiś głupi pierścionek?

Melissa albo Yacinta (nawet po trzęsieniu ziemi obie pachniały tak samo) podeszła i otoczyła Janę ramieniem.

– Pomogę ci poszukać. Na pewno leży gdzieś pod stołem. Poszukamy go obie, chcesz? Jak tylko będzie można z powrotem wejść do budynku.

Miała zachrypnięty głos.

– Wszystko w porządku, hm... Melisso? – spytałem. – Jakoś dziwnie mówisz.

Zakaszłała.

– Jestem Yacinta, Tom. To przez ten cholerny kurz.

Wszystko ma swoje dobre strony. Przynajmniej przez jakiś czas będę mógł je odróżnić...

Zamarłem. Zacisnąłem dłonie, aż paznokcie wbiły mi się w skórę. Słyszałem, jak zachrypnięta Yacinta powtarza co chwila: „Tom, Tom”, ale jej głos dochodził jak z dna głębokiej studni.

Już wiedziałem, dlaczego depozyt z Knossos, depozyt Gamma-Lambda-Dwanaście, który zawierał trzy ceramiczne naczynia, figurkę tancerza i posążek byka, był tak ważny.

Obróciłem się i ruszyłem w górę schodów.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 11.31**

– No dobrze, panie Mara – przerwała w końcu milczenie Marina. – Pomówmy teraz o tym, co zdarzyło się po trzęsieniu ziemi. Po co wrócił pan wtedy do budynku? Przecież groził zawaleniem...

Znowu musiałem skłamać.

– Bałem się, że ktoś tam został. Słyszałem, jak zawałała się wiata na dziedzińcu. Mogła kogoś przygnieść, bo sortujemy tam ceramikę.

Marina postukała końcówką długopisu o zęby.

– Widziałam, jak liczył pan swoją ekipę.

– No właśnie. Zabrakło mi dwóch osób: Mony Abano i mojej narzeczonej, Ifigenii Mitropoulou.

– Mony Abano?

– Tak.

– Był pan pewien, że tam jest?

I czas na kolejne kłamstwo:

– Tak. Natknąłem się na nią na krótko przed wstrząsem, w bibliotece.

Marina przerzuciła kilka kartek. Potem jeszcze parę. Chyba przejrzała cały swój pieprzony folder.

– Mój asystent jej nie przesłuchiwał – powiedziała w końcu.

Rozłożyłem ręce, żeby okazać swoją bezradność wobec głupoty jej asystenta.

Marina znowu pochyliła się do przodu. Słodko-gorzkie perfumy buchnęły pomiędzy jej piersi.

– I doszedł pan do wniosku, że jeden ślepiec da radę uratować dwie dziewczyny z budynku, który w każdej chwili może się zawalić.

Wzruszyłem ramionami.

– Może mnie pani nazwać głupcem, jeśli pani chce.

Z pewnością pomyślała wtedy coś w stylu „nie tylko głupcem, ale pieprzonym idiotą”. Otworzyła usta, poznałem to po sposobie, w jaki nabrała powietrza, jednak jeśli miała zamiar to powiedzieć, nie zdążyła. Na korytarzu rozległy się szybkie kroki i ktoś otworzył drzwi. Asystent w eleganckich butach i z włosami sztywnymi od żeluz zatrzymał się, pochylił (nieznośny odór wypełnił pomieszczenie) i wyszeptał coś do Mariny. Nie usłyszałem jego słów, tylko jej pytanie w odpowiedzi:

– *Eisai veveos?* Jesteś pewny?

Kiedy potwierdził, podziękowała i wyszedł, jednak smród pomady pozostał w powietrzu.

– Proszę mówić dalej, panie Mara.

Potrzasałem głową.

– Na czym skończyliśmy?

– Wbiegł pan do budynku, bo obawiał się, że zostały tam pana asystentka Mona Abano i pana narzeczona Ifigenia Mitropoulou.

– Po prostu przeszedłem po kolei wszystkie pomieszczenia. Szukałem ich. Nawoływałem.

– A czy nie byłoby logiczne, gdyby wziął pan kogoś do pomocy? Przecież któraś z nich mogła leżeć nieprzytomna i nie odpowiedzieć na pana wołanie.

Wyprostowałem plecy i już zamierzałem zrobić jej wykład na temat tego, że ślepcy posługują się wieloma zmysłami, ale ugryzłem się w język.

– Ma pani rację – powiedziałem po prostu. – W takich sytuacjach człowiek nie myśli racjonalnie. Chyba w tamtej chwili bałem się jeszcze kogoś narażać.

– Czyli rozumiem, że pan Romanos Kallergopoulos panu nie pomógł?

Jezu Chryste, co za czepliwa baba!

– Romanos? – spytałem, żeby zyskać na czasie.

– Tak. Wbiegł do budynku zaraz za panem.

– Nie, nie wiem. – Pokręciłem głową. Trochę dlatego, żeby pokazać, jaki jestem zagubiony, a poza tym sztywny od brudu kołnierzyk koszuli drapał mnie w szyję. – Tam w środku ciężko się było połapać. Pełno pyłu i gruzu...

– Nie znalazł ich pan, prawda? – spytała, chociaż i tak już wiedziała.

KENTRO, PACHIA AMMOS, CZWARTEK, 14 WRZEŚNIA, NADAL POPOŁUDNIE

Chciałem przejść przez patio, najkrótszą drogą do biblioteki. Ale kiedy otworzyłem drzwi i zatrzymałem się na progu, zrozumiałem, że coś jest nie tak z natężeniem światła. Było inne niż zaledwie kilka minut temu, gdy przechodziłem tamtędy z Romanosem. Coś spadło i zasłaniało słoneczny blask albo dach został uszkodzony. Nie powinienem tamtędy iść, nawet gdybym widział.

Ruszyłem przez pracownię studentów. Tu też czyhały pułapki. Zapomniałem o skrzynce przesuwanej co chwilę przez Melisę (albo Yacintę) i walnąłem się w drugą goleń. Wyciągnąłem ręce, unikając zderzenia ze stołem kreślarskim, i blat innego stołu, który nigdy wcześniej tu nie stał, wbił mi się w biodro. Odepchnąłem go, a ten się przewrócił i coś spadło, tłukąc się na podłodze.

Z zewnątrz usłyszałem wołanie: „Tom!”. Nie wiedziałem, czyj to głos, bo krew szumiała mi w uszach.

Dotarłem do drzwi, kiedy nadszedł wstrząs wtórny i budynek znowu się zakołysał. Wczepiłem się we framugę, a potem osunąłem na kolana, skuliłem i osłoniłem głowę rękami.

Podobno podczas trzęsienia ziemi najbezpieczniejsze miejsce, wyłączając odkrytą przestrzeń, gdzie nic nie może się na ciebie zwalić, jest właśnie w świetle drzwi. Podobno to najmocniejsze miejsce konstrukcji domu. Podobno nawet gdy wali się dach, ten kawałek potrafi znieść napór kilkuset kilogramów gruzu.

Tylko że ja za długo kopałem stanowiska zniszczone przez trzęsienia ziemi i widziałem za dużo zwalonych domów. I za dużo szkieletów ulokowanych dokładnie pod światłem wejścia. Dlatego nie robiłem sobie zbyt wielkiej nadziei.

Budynek trzeszczał i skrzypiał. I wył, jakby rozdzierał go ból, jakiego nigdy nie doświadczyłem. A potem wszystko ucichło.

Rozkaszałem się. W powietrzu unosił się pył. Drażnił mi gardło i tchawicę. Powoli podniosłem się, przytrzymując framugi. Przesunąłem ręką po drewnie. Nie wyczułem żadnego pęknięcia.

Ktoś znowu krzychał na zewnątrz. Tym razem więcej głosów. Krzyczały: „Tom!”, „jesteś tam?”, „panie Mara!” i „wszystko w porządku?”. Nie odpowiedziałem. Odruchowo otrzepałem kolana spodni i rękawy koszuli. Nie byłem w stanie stwierdzić, czy coś to dało.

Ruszyłem przed siebie, tym razem wolniej i z wyciągniętymi do przodu rękami. Uchroniło mnie to od wpadnięcia na przewrócony regał. Zaklinował się i leżał teraz ukosem na szafie. Przepchnąłem się pod spodem i dotarłem do lodówki z napojami.

Drzwi do biblioteki nie chciały się otworzyć. Szarpałem je i szarpałem,

a skrzydło nawet nie drgnęło, zaklinowane we framudze. Macałem dookoła dłońmi, ale nie umiałem stwierdzić, z której strony drewno pękło i blokuje prześwit. W końcu natrafiłem na klucz w zamku. Przekręciłem go i poleciałem do tyłu, bo drzwi odchyliły się gładko, jak nasmarowane oliwą.

We wnętrzu bardziej niż normalnie pachniało kurzem i pleśnią z klimatyzacji. Półka z nowymi czasopismami na prawo od wejścia leżała na podłodze. Pochyliłem się i ominąłem ją, macając przed sobą rękami.

Wszedłem między regały. Wszystkie stały pionowo, ale już przy pierwszym rzędzie poślizgnąłem się na kupce książek, które wypadły i leżały na podłodze w bezładnych stosach. Powoli, macając stopą podłogę przed sobą, podszedłem do drugiego regału w rzędzie przy prawej ścianie. Pochyliłem się przy trzeciej półce od dołu. Wszystkie książki w bibliotece mają grzbiety oznaczone alfabetem Braille'a, niepotrzebnie, bo i tak znałem położenie każdej z nich. Namacałem cztery grube tomy. Wyciągnąłem drugi od lewej.

– Szukasz czegoś?

Drgnąłem. Nie usłyszałem go, nie poczułem, nie zorientowałem się, że jest tuż za mną. W normalnych warunkach to było trudne do wytrzymania, a teraz stało się nieznośne.

Romanos nie zauważył mojego rozdrażnienia albo nie chciał go zauważyć.

– Powinieneś wyjść na zewnątrz, Tom. Nie wiadomo, czy to wszystko się nie zawali.

– A ty co tu robisz?

– Sprawdzam, czy nikt nie został w środku.

Nie obchodziło mnie, czy kłamał, czy mówił prawdę. Odwróciłem się i wyciągnąłem przed siebie tom. Automatycznym ruchem wziął go ode mnie.

– Skoro już tu jesteś, przeczytaj mi coś.

– Teraz?

Pokiwałem głową.

Oczekiwałem czegoś w rodzaju „wyjdźmy, to przeczytam ci na zewnątrz” albo „chyba oszalałeś”. Ale spojrzał tylko na okładkę, przeczytał głośno tytuł *The Palace of Minos at Knossos* i spytał:

– Czego szukamy?

– Powinien być rysunek. Z tego, co pamiętam, to czarno-biała rycina, reprodukcja obrazka narysowanego piórkiem albo czymś takim.

Przewrócił kilka kartek.

– Tu jest pełno podobnych rycin. – Stary papier pod jego palcami cicho chrzęścił, jakby przesypywał w dłoniach piasek.

– Poczekaj. To jest rycina na całą stronę. Na pewno są na niej trzy naczynia i figurka tancerza z bykami, wykonana z kości. Mężczyzna, w przepasce biodrowej, wyciągnięte do przodu ręce i naprężone nogi. Taka jak...

Omial nie powiedziałem: „Taka, jaką ukradła Mona”. Zdażyłem ugryźć się w język.

– I jeszcze jeden zabytek. Figurka byka. Pospiesz się.

Kartki szeleściły sucho. Ta książka miała prawie sto lat. Przesuszony papier, kruchy, łamliwy. Jeszcze nie zabytek, ale trzeba było obchodzić się z nią jak z jajkiem. Najlepiej oglądać w bawełnianych rękawiczkach, żeby pot ze skóry nie zostawiał plam, a już na pewno nie należało ślinić palca przed przewróceniem każdej kartki, jak to robił Romanos. Słyszałem ciche mlaśnięcia.

Nie zwróciłem mu uwagi. Wstrzymywałem oddech.

– O, jest – powiedział wreszcie. – Tak jak mówiłeś. Trzy naczynia plus figurka skoczka. I byk, chyba z gliny.

Trzy naczynia, figurka skoczka i figurka byka. Depozyt z Knossos pochowany w rogu świątyni. Depozyt, jak w Halasmenos, jak ten, z którego ceramikę i figurkę skoczka ukradła Mona.

Tylko że Knossos stanowiło największy ośrodek pałacowy na Krecie. Mieszkał tam król albo ktoś taki. I dworzanie. I pewnie królowa i damy dworu. Kobiety spędzały czas na przymierzaniu sukien odsłaniających piersi i oglądaniu krwawych zawodów, a mężczyźni na pokazywaniu szczupłych sylwetek i uprawianiu seksu.

A Halasmenos to była wieś. Nikt w niej nie chodził w sukniach z falbankami i na pewno nikt nie osłaniał się parasolką przed słońcem. Kobiety nie miały czasu dbać o biel skóry, bo całymi dniami zasuwały w polu. Podobnie jak mężczyźni.

A jednak w obu miejscach koło świątyni umieszczono identyczny depozyt.

Dlaczego ten depozyt jest taki ważny?

– Szukasz jeszcze czegoś? Jak nie, to... – Urwał, bo na dziedzińcu coś zważyło się z przeraźliwym hukiem. – Tom, może lepiej stąd chodźmy!

Uchwyciłem ledwo słyszalny ton paniki w jego głosie. Sprawił mi przyjemność.

– Zaraz. Przeczytaj, co tu jest jeszcze o tym depozycie.

Zamilkł. Otarł twarz dłonią, a potem przejechał nią po karku. Typowy gest strachu. Ale przewrócił posłusznie kartkę.

– Według Evansa...

Zamieniłem się w słuch.

– ...to musiała być ofiara prześlągalna dla bogów, poprzedzająca wielkie trzęsienie ziemi. Najpierw były drobne wstrząsy i wtedy prawdopodobnie złożono ofiarę prześlągalną, choć niewiele pomogła, bo krótko potem miało miejsce wielkie trzęsienie ziemi, nie tylko w Knossos, ale i innych ośrodkach na Krecie.

Jak w Halasmenos! Tutaj też ofiara nie podziałała i trzęsienie ziemi zniszczyło świątynię i całą wioskę.

– Evans jeszcze pisze... Mam czytać dalej?

Pokiwałem głową.

– Evans jeszcze pisze, że bezpośrednio pod tym depozytem znajdował się drugi. Znalaziono w nim siedem złotych pierścieni z przedstawieniami byków i akrobatów.

Wiedziałem, że skojarzenie ze złotym pierścieniem Jany było prawidłowe!

Drugi depozyt! Siedem złotych pierścieni! To prawdopodobnie największy skarb znaleziony kiedykolwiek w jednym miejscu na Krecie.

I jeśli w Halasmenos mieliśmy identyczny pierwszy depozyt, z naczyniami i figurkami, istniała naprawdę duża szansa, że pod spodem też ukryto siedem złotych pierścieni. No może nie siedem, to w końcu wieś, ale przynajmniej jeden. A jeśli tak...

Romanos zatrasnęła tom. W tym samym momencie coś po naszej prawej stronie przeraźliwie zatrzeszczało, a jeden z regałów przewrócił się z hukiem. Książki rozsypały się po podłodze.

– Uciekaj, Romane – powiedziałem, najspokojniej, jak potrafiłem. – Wyjdź stąd. Bo ten dach rzeczywiście może się zawalić.

– A ty? – W jego głosie brzmiało zdziwienie.

– Przyjdę za minutę.

– Nie dasz rady się stąd wydostać. Poczekam na ciebie.

– Idź już! – krzyknąłem.

Podziałało. Zakręcił się na pięcie i wyszedł z biblioteki. Odczekałem chwilę i poszedłem do łazienki. Pociągnąłem za dźwignię kranu i ku mojemu zdumieniu woda popłynęła szerokim strumieniem. Pochyliłem się nad umywalką, opłukałem twarz i napiłem się trochę.

Złote pierścienie! Czego jeszcze Jason nie wpisał do rejestru zabytków?

Nie chciało mi się wierzyć, żeby przegapił złoty pierścień, a co dopiero kilka. Chyba że Sarah akurat tamtego dnia włożyła na wykop wyjątkowo krótkie szorty.

Wypadłem z toalety, precyzyjnie się między zwalonymi meblami w pokoju studentów i wszedłem do mojej kanciapy. Usiadłem za biurkiem, przyciągnąłem do siebie laptopa i szarpnąłem klapę do góry. Komputer zapiszczał:

– Bardzo niski poziom baterii, siedem procent!

Do diabła, zapomniałem, że to stary sprzęt, ma słabe baterie. Dlatego nikt nigdy nie wyciąga wtyczki z kontaktu. Pomacałem ścianę. Nadal tam tkwiła. Tylko trzęsienie ziemi pozrywało sieć elektryczną.

Siedem procent mogło starczyć na kilka minut. Włączyłem program głośnomówiący i zacząłem przeszukiwać rejestry. Laptop głośno szumił, jakby ta praca przekraczała jego siły. Nic nie znalazłem pod numerem depozytu ani pod sąsiednimi numerami.

– Krytyczny poziom baterii, cztery procent!

Wrzuciłem hasła „pierścienie” i „złoto”. Nie robiłem sobie większych nadziei. W laptopie coś chrzęściło, kiedy przerzucał katalogi. Powietrze było niezdarnie duszne. Sięgnąłem do włącznika wiatraka i przypomniałem sobie, że nie ma prądu.

Laptop pisnął dwa razy i ucichł, bateria się wyczerpała. Niczego nie znalazł.

– Panie Mara? – krzyknął od wejścia kobiecy głos. Wydawało mi się, że należał do Mariny, ale po trzęsieniu ziemi ciągle jeszcze kręciło mi się w głowie. – Panie Mara! Ten budynek może się zawalić. Proszę wyjść.

Nie odpowiedziałem. Próbowałem się skupić.

– Panie Mara! Proszę wyjść, bo inaczej pana aresztuję!

Olałem ją i tym razem, ale po chwili usłyszałem kroki i nie były to pantofle na obcasie. Śmierdzący potem i liśćmi winogron asystent nie bawił się w prośby, od razu wykręcił mi rękę na plecach.

– Jestem o coś oskarżony? – warknąłem. – Chcę się skontaktować z moim adwokatem.

Nie odpowiedział, wyprowadził mnie przez drzwi i korytarz na zewnątrz. Automatycznie liczyłem kroki, chociaż wcale tego nie potrzebowałem.

Kiedy czerwień pod moimi powiekami pojaśniała i asystent zepchnął mnie ze schodów przed wejściem, szmer głosów na zewnątrz ucichł, a potem znowu przybrał na sile. Nie potrafiłem odróżnić pojedynczych osób w kakofonii zapachów i dźwięków.

Asystent zwolnił chwyt. Zatoczyłem się.

– Tom, co się dzieje? – spytała Annika w całkowitej ciszy.

Wzruszyłem ramionami.

– Dlaczego pan go aresztował? – krzyknęła do policjanta.

– Nikt nie został aresztowany! – odparła Marina. – Ale zaraz będzie, jeśli natychmiast nie odsuniecie się od budynku. Ściany w każdej chwili mogą się zawalić.

Studenci zaszemrali, jednak nikt się nie poruszył. Ja też tkwiłem jak – wybaczone mi banalne porównanie – wkopany w ziemię.

– Czy jest tu gdzieś Jason? – spytałem.

Poczułem, jak przepycha się bliżej. Jego koszulka szeleściła na wietrze, a zapach potu i strachu całkowicie zagłuszył nuty wody kolońskiej.

– Jestem, Tom.

– Jason – mówiłem powoli i wyraźnie. – Zadam ci teraz pytanie. A ty wysłuchasz go uważnie, a potem się zastanowisz, zanim odpowiesz, dobrze?

Skinął głową, jego włosy zaszeleściły o poliester.

– Jasne, Tom.

Przełknąłem ślinę.

– Proszę państwa, proszę się odsunąć od ścian budynku! – krzyknęła jeszcze

raz Marina.

Chwyciła mnie za ramię. Jej słodko-gorzkie perfumy pachniały upajająco, ale wyszarpnąłem się i odwróciłem.

– Słuchaj, Jason. Czy kiedy odkopywałeś depozyty w narożniku świątyni...
Rozumiesz mnie?

– Tak, Tom.

– Czy kiedykolwiek znalazłeś cokolwiek ze złota? Cokolwiek!

– Ze złota? – Po samej intonacji mogłem poznać, że Jason wytrzeszcza na mnie oczy.

Marina pociągnęła mnie, tym razem mocniej. Nie mogłem dłużej się opierać. Odszedłem z nią kilka kroków w bok.

– Nie, Tom! – krzyknął za mną Jason. – Na pewno nie. Przecież jakbym znalazł złoto, to od razu bym ci powiedział. Nie czekałbym nawet, aż wpiszę do katalogu.

Pewnie nie tylko mnie byś to powiedział, dupku. Pewnie też wszystkim dookoła, w knajpie, w wiejskim sklepiku i na plaży. Żeby na sto procent dowiedział się o tym jakiś amatorski poszukiwacz skarbów i wpadł na stanowisko w nocy z wykrywaczem metalu. Ale wtedy ja też bym wiedział.

Pozwoliłem zaprowadzić się jeszcze dalej od budynku, w stronę bramy. Czulem, że grupka studentów postępuje za nami. Przy ogrodzeniu Marina puściła moją rękę i odeszła gdzieś z powrotem w kierunku Kentro.

Ja też odszedłem. Minąłem bramę i ruszyłem ścieżką w dół wzgórza.

**POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, GODZINA 11.40**

Marina wstała i podeszła do okna, ale zasłoniła sobą promienie słoneczne tylko na jedną błogosławioną sekundę. Potem odwróciła się i oparła o biurko, które lekko zadrżało, jakby poruszyło nim miniaturowe trzęsienie ziemi.

– Panie Mara, proszę mi dokładnie opowiedzieć, co wydarzyło się później. Od momentu, kiedy wyszedł pan z Kentro, do chwili, kiedy następnego dnia pojawił się pan na posterunku.

– Wspiąłem się na Katalimatę i zepchnąłem Monę Abano w przepaść.

Czekała jeszcze kilka sekund, jednak nie miałem nic do dodania.

– Może będzie panu łatwiej, jeśli będę zadawała pytania – powiedziała w końcu. – W jaki sposób dostał się pan na teren wykopalisk. Pieszko?

– Złapałem stopa. – Nie miałem powodu, żeby kłamać przy takich drobiazgach.

– A po co pan tam w ogóle pojechał?

– Kentro zostało zniszczone, budynek groził zawaleniem. Musiałem coś ze sobą zrobić.

– Dlaczego nie zszedł pan po prostu do wsi?

– Nie wiem, może byłem w szoku. Zabiłem Oliwię, to chyba wystarczający powód?

Marina pokręciła głową.

– Nie wyglądał pan wtedy na osobę w szoku.

– Nie wiem, jak wygląda taka osoba. Od bardzo dawna żadnej nie widziałem.

Marina przez chwilę szeleściła papierami.

– Znowu próbuje pan być dowcipny... No dobrze – powiedziała w końcu. – Złapał pan stopa i ktoś pana podwiózł na teren wykopalisk. Tylko stamtąd jeszcze trzeba się wspiąć na górę. A pan jest niewi... Ślepy.

– Macałem kamienie przed sobą – powiedziałem po prostu.

– Nikt panu nie pomógł?

– Nikogo tam nie było. Tylko ja, sam. Sam zepchnąłem z góry Monę Abano. Ja i tylko ja jestem winny jej śmierci.

– No dobrze, wspiął się pan na górę i co potem?

Chciałem odpowiedzieć, ale ktoś pociągnął za klamkę drzwi i pokój znowu wypełnił smród pomady do włosów. Asystent w skrzypiących butach podszedł do policjantki i wyszeptał jej coś do ucha.

Marina wstała z krzesła.

– Proszę tutaj poczekać, panie Mara. Jeśli będzie pan czegoś potrzebował,

proszę podnieść rękę. Ktoś zauważy pana na monitorze i przyjdzie.

Podeszła do drzwi.

– Wychodzi pani? – spytałem. – Kiedy pani wróci?

– A spieszy się pan gdzieś? – odpowiedziała pytaniem na pytanie i wyszła.

Nie zamknęła drzwi na klucz, ale i tak nie miałem dokąd pójść.

CZEŚĆ II

KATALIMATA, CZWARTEK, 14 WRZEŚNIA, PÓŹNE POPOŁUDNIE

Złote pierścienie! Depozyt pod depozytem. Na górze byk, figurka tancerza i trzy naczynia. Pod spodem złoto.

Bogowie najwyraźniej mieli dary gdzieś, skoro pozwolili, żeby wioskę pogrzebało trzęsienie ziemi.

Bogowie to bogowie, ale nie znałem archeologa, który nie marzyłby dzień i noc o takim odkryciu, chociaż wolałby raczej wsadzić pierścienie do gabloty w muzeum i ślinić się do nich przez szybę. Mona była głupia, że nie poszperała dokładniej i nie skojarzyła depozytu z Halasmenos z tym z Knossos. Zamiast kilkuset euro za marne skorupy albo rączkę, mogłaby zgarnąć kilkaset tysięcy.

A może jednak nie była taka głupia...

Chociaż wiatr przycichł, poczułem, jak zimno wędruje mi wzdłuż kręgosłupa.

Może też już skojarzyła, że pod skorupami i figurkami odkopanymi niechlujnie przez Jasona kryje się coś więcej. I dlatego zniknęła. Może już nigdy się nie pojawi...

Może właśnie wygrzebywała je z twardej, wysuszonej upałem gleby.

A może Ifigenia właśnie przymierza się, by jednym ciosem rozwalić czaszkę mojej asystentki... Na wykopaliskach kamieni jest pod dostatkiem.

Nie mogłem odpowiedzieć na ostatnie esemesowe pytanie, nie mogłem zakończyć tej głupiej zabawy. Mój telefon leżał roztrzaskany gdzieś pomiędzy zniszczonymi meblami a płatami tynku, które spadły ze ścian Kentro. I dlatego bałem się, bardzo się bałem, że zazdrosna Ifigenia robi Monie coś bardzo złego.

Schodziłem ze wzgórza najszybciej, jak mogłem, chociaż co chwila potykałem się o kamienie. Wiatr znowu przybrał na sile i szarpał moją koszulę. Wiedziałem, że jestem wysmarowany pyłem i tynkiem, białe plamy musiały być z daleka widoczne na czarnej tkaninie, ale nic nie mogłem na to poradzić.

Na dole wiało słabiej, a przy samej drodze nasilił się zapach spalin. Wszedłem na asfalt, dałem duży krok i zatrzymałem się na środku pasa. Usłyszałem narastający szum silnika i szelest opon, coraz głośniejsze, a potem samochód wyłonił się zza zakrętu. Zapiszczały hamulce, klakson przeraźliwie zatrąbił i ktoś wykrzyknął kilka przekleństw, z których znałem tylko *gammoto kieratas*. Auto minęło mnie na kilka centymetrów, tak że poczułem ciepło silnika. I odjechało.

Nie zrezygnowałem. Zrobiłem kilka kroków, żeby odsunąć się od zakrętu i zmniejszyć ryzyko, że ktoś nie zdąży zahamować, a potem zatrzymałem się i kiedy znowu usłyszałem nadjeżdżający samochód, uniosłem obie ręce do góry

i zacząłem nimi machać.

Ten miał dłuższą drogę hamowania. Zatrzymał się przede mną na tyle blisko, że dotknąłem dłonią maski.

– Zwariował pan...?! – zaczął kierowca po grecku, ale mu przerwałem.

– To nagły wypadek. Czy może mnie pan podwieźć do wąwozu Ha?

– Ja nie jadę do Ierapetry, tylko do...

Ale już pociągnąłem za klamkę i wsunąłem się na miejsce pasażera. Siedzenie było nagrzane od słońca. W samochodzie śmierdziało bakłazanami i starymi bąkami, puszczanymi prosto w tapicerkę. Wunder-Baum niewiele zmieniał i tylko na niekorzyść.

Kierowca, o dziwo, nie wyciągnął mnie na siłę z samochodu. Widocznie uznał, że wypadek rzeczywiście jest nagły. Wrzucił jedynkę i ruszył.

– Coś się stało podczas trzęsienia ziemi? – zapytał.

– Nie wiem, co z moimi ludźmi na wykopaliskach, w Halasmenos – odpowiedziałem. – Wstrząs był bardzo silny, muszę sprawdzić, czy wszystko u nich w porządku.

– Aaa, *archaiologos eiste* – domyślił się. – No to jedziemy.

Za Pachia Ammos skręcił w prawo. Wytłumaczyłem mu, w którym miejscu ma zjechać z głównej drogi na szutrową. Zatrzymał się tam, gdzie żwir przechodził w głębokie ziemne koleiny.

– Dalej nie dam rady – powiedział. – Mam za niskie zawieszenie, boję się, że coś mi się urwie.

Podziękowałem mu i wysiadłem. Coś jeszcze za mną krzyknął, jakieś pytanie, ale machnąłem mu ręką, żeby już jechał, i ruszyłem pod górę długą i krętą drogą. Do tej pory nigdy jej nawet nie zauważałem, bo samochodem pokonywało się ją w dziesięć minut. Po kwadransie byłem zlany potem. Chociaż na równinie mocno wiało, słońce ciągle paliło. Lato na Krecie jeszcze się nie skończyło. Kiedy dotarłem na miejsce, myślałem już tylko o tym, że oddałbym złoty pierścień za butelkę wody.

Zatrzymałem się na terenie wykopalisk. Przeszedłem całe Halasmenos wzdłuż i wszerz, wołałem, nadśluchiwałem i węszyłem, ale nie spotkałem nikogo. Ifigenia albo Mona, albo – co gorsza – obie musiały być na górze, w Katalimacie, na półce skalnej zawieszanej sto dwadzieścia metrów nad przepaścią.

Ruszyłem dalej przed siebie, w stronę skały. Szedłem teraz wolniej, szurałem nogami, żeby nie przegapić momentu, w którym zmieni się podłoże. Dwa razy potknąłem się o kamień, a raz upadłem i otarłem do krwi skórę rąk.

Wreszcie namacałem po lewej stronie pierwsze głązy piarżyska. Zatrzymałem się, zadarłem głowę do góry i wrzasnąłem dwa razy „Ifigenia!” i raz „Mona”. Odpowiedziało mi tylko echo w wąwozie Ha.

Zacząłem się wspinać.

To nie było technicznie trudne. Po prostu wdrapywałem się z kamienia na kamień. Głazy dawały dobre oparcie dla dłoni i stóp. Ifigenia i Mona pokonywały piarżysko w piętnaście minut, codziennie dwa razy, tam i z powrotem, ale ja – w odróżnieniu od nich – nic nie widziałem. Nie mogłem rozpoznać na pierwszy rzut oka, który kamień jest stabilny, a który usunie się i potoczy z łoskotem na dół, kiedy tylko go dotknę. Nie widziałem, które z nich leżą przy skalnej ścianie, dotykającej piarżyska jednym bokiem, a które przy krawędzi, nad przepaścią. Zepchnąłem jeden z głazów, a ten uderzył mnie w prawą goleń, zostawiając wielki siniak (na szczęście nie złamałem nogi). Miałem obite łokcie i kolana, rana na skroni pulsowała, a pot zalewał mi oczy. To ostatnie akurat najmniej mi przeszkadzało, i tak nic nie widziałem.

Kiedy kamień zachwiał się pod moją dłonią, natychmiast cofnąłem rękę, ale już było za późno – stoczył się z grzechotem, zahaczając po drodze o moją łydkę. Podniosłem głowę i krzyknąłem jeszcze raz: „Ifigenia!”, ale znowu nie dostałem żadnej odpowiedzi.

Nigdy nie zdejmuję zegarka (chyba że idę spać), więc podczas wspinaczki też miałem go na ręku. Mimo to nie wpadłem, żeby sprawdzić, ile czasu zajęło mi dostanie się na górę. Moim zdaniem trwało to kilka godzin, chociaż kąt padania promieni słonecznych prawie się nie zmienił, wiatr nie ucichł ani upał nie zelżał.

Kiedy wypełzłem na ścieżkę na końcu piarżyska, chciałem tylko napić się wody, a potem umrzeć – w tej kolejności. Kark, szyję i twarz miałem mokre i nie mogłem stwierdzić, czy od potu, czy od krwi. Koszula przylepiła mi się do pleców, a wiatr odrywał ją z nieprzyjemnym mlaśnięciem. W spodniach na kolanie zrobiłem sobie dziurę i zgubiłem okulary przeciwsłoneczne, ale to akurat było najmniejsze zmartwienie.

Podniosłem się, przycisnąłem do skalnej ściany i czekałem, aż moje mięśnie przestaną drżeć. Próbowałem przypomnieć sobie, słowo po słowie, co Mona i Ifigenia mówiły o dalszej drodze. Problem w tym, że nigdy ich nie pytałem o szczegóły. Jedyne, co mi się przypominało, to: ścieżką w poprzek stoku, prosto przed siebie. Wziąłem więc kilka głębokich wdechów, odkleiłem plecy od skały i ruszyłem.

Szorowałem lewym ramieniem po ścianie, a prawą nogą macałem krawędź przepaści, bo nie miałem pojęcia, jak wąska jest ścieżka. A okazała się wąska jak cholera – miejscami zwężała się tak, że musiałem przyciskać się do ściany plecami i przesuwać bokiem. Nie przeszkadzało mi to – ślepcy nie znają lęku wysokości, tylko gdybym wcześniej wiedział, jak to wygląda, zakazałbym Ifigenii w ogóle tu kopać. Postarałbym się, żeby odebrano nam licencję wykopaliskową na ten odcinek. Ale nie wiedziałem, a teraz było za późno.

Przesunąłem się wzdłuż jeszcze jednego zwężenia. Skała za moimi plecami lekko skręciła w lewo. Słońce zaświeciło mi prosto w twarz.

I wtedy wiatr przywiał w moją stronę zapach różanego olejku i usłyszałem głos z lekką chrypką:

– Tom?! Co ty tu robisz, do diabła!

Oderwałem dłoń od skały i prawą nogą próbowałem wymacać krawędź przepaści. Na próżno – w tym miejscu ścieżka rozszerzała się, przechodząc w półkę skalną. Dotarłem do Katalimaty.

Rozejrzałem się. To złe słowo, ale naprawdę nie zastanawiałem się wtedy nad doborem słów. W każdym razie obróciłem głowę w jedną, a potem w drugą stronę. Nadśluchiwałem i węszyłem. Wciągałem w nozdrza tylko rozgrzaną, żelazistą woń skał, suchy aromat rozkopanej ziemi, pojedyncze molekuly spalin, które wiatr przywiewał aż od drogi, i olejek różany Mony. I mój własny pot, i strach.

– Ifi?

– Tylko ja tu jestem, Tom – powiedziała Mona.

Dałem krok w jej stronę. Niewielki krok, musiałem poruszać się ostrożnie. To nie były moje wykopaliska, nie wiedziałem, co mam przed sobą, gdzie położone są wykopy i jaką mają głębokości.

Musiała czytać mi w myślach.

– Przed tobą jest równo – zachrypiała. – Wykopy są po lewej stronie.

Natrafiłem butem tylko na drobne ułamki skał. Wyglądało na to, że mówiła prawdę, ale nie miałem powodu, żeby jej wierzyć.

– Ifi! – krzyknąłem jeszcze raz.

– Jej tu nie ma.

– Przecież mówiłaś mi przez telefon, że widziałas z góry jej samochód.

– Przyjechała na chwilę. A potem się zmyła. Już jakiś czas temu.

Miałem wrażenie, że się uśmiecha, wziąłem to jednak za omam słuchowy.

– To gdzie jest?

Wzruszyła ramionami. Jej bransoletki zabrzęczały.

– Skąd mogę wiedzieć?

Wziąłem głęboki wdech.

– Mona, posłuchaj – powiedziałem. – Tu jest niebezpiecznie. Zejdź ze mną.

– Zwariowałeś, Tom? – Naprawdę się zdziwiła. – Pracuję tu codziennie od ponad tygodnia. Wcale nie jest niebezpiecznie, tylko nie można stawać na samej krawędzi.

– Mataki spadł – przypomniałem jej. – A trzęsienie ziemi...

– To prawda, trochę zatrzęsło. Ale ja naprawdę nie zbliżam się do przepaści, a co mi się może stać w płytkim wykopie. Daj spokój.

– Mona, nie mogę ci tego teraz wytłumaczyć, ale proszę cię, zejdź ze mną. Później wyjaśnię, o co chodzi.

Podszedłem krok bliżej, a ona – usłyszałem wyraźnie chrzęst jej podeszew

na piasku – cofnęła się o krok.

– To wykluczone, Tom. Nawet nie wyobrażasz sobie, ile tu jest roboty. Może i twoja narzeczona olewa i miga się od pracy, co nie znaczy jednak, że ja też mam wszystko gdzieś.

– To ty nie wiesz?

– Czego nie wiem? – Musiała się schylić, bo jej głos przez chwilę zabrzmiał głucho, ale zaraz się wyprostowała.

– Oliwia... – Nie chciało mi to przejść przez gardło. – Ktoś ją zamordował dzisiaj w nocy.

Mona znowu się cofnęła. Nigdy nie byłem w Katalimacie, jednak studiowałem plany. Wiedziałem, że przepaść jest z dwóch stron: od południa i od południowego wschodu. Mona, sądząc po natężeniu głosu, znajdowała się piętnaście kroków ode mnie. Musiała stać na samym skraju stanowiska.

– Czy ty sobie, kurwa, robisz ze mnie żarty? – spytała.

– Niestety nie. – Pokręciłem głową. – Odsuń się od krawędzi.

Nie ruszyła się? Za to spytała:

– Oliwia została zabita? Dzisiaj w nocy?

– Tak, w Kentro.

– Kto ją zabił?

Wiedziałem. Ale nie mogłem powiedzieć. Wzruszyłem ramionami.

– Tam jest pełno policji. Naprawdę nic nie wiesz? Ifigenia nic ci nie powiedziała?

– Wiesz, jaka ona jest. Nie odezwała się do mnie ani słowem. Przyjechała, pokręciła się po stanowisku, coś tam posprawdzała i poszła. A ja zabrałam się do roboty.

Nacisnąłem przycisk zegarka. Siedemnasta osiem.

– Jest już dobrze po godzinach pracy – zauważyłem.

– Postanowiłam tu zostać, jak długo się da. Żeby nadgonić.

Kłamała. Słyszałem to wyraźnie, tylko nie wiedziałem dlaczego. Ani co w jej słowach było nieprawdą.

Zrobiłem jeszcze jeden krok do przodu. I kolejny.

– Głupio postąpiłaś z tymi zabytkami, które ukradłaś – powiedziałem. – Z ceramiką i kościaną rączką. To chłam. Tam, w ziemi czeka złoto.

– Co ty pieprzysz, Tom?

– Prawdziwe złoto. Pod depozytem z ceramiką powinien być przynajmniej jeden złoty pierścień. Ustawiłby cię na resztę życia. Takie samo ryzyko, ale zysk nieporównanie większy.

– Odpierdol się ode mnie wreszcie! Ja niczego nie ukradłam! Dlaczego mi nie wierzysz, do kurwy nędzy?!

I znowu w jej głosie zabrzmiał fałsz. Nie zdziwiło mnie to.

– Nie wierzę ci, bo wszystko do siebie pasuje – odparłem. – Jak układanka.

Dałem jeszcze jeden krok w jej stronę. Podeszedłem tak blisko, że olejek różany wwiercał mi się przez nos prosto do mózgu. Zdałem sobie sprawę, jak bardzo nienawidzę tego zapachu.

Bransoletki Mony cicho brzęknęły, kiedy odsunęła się do tyłu. Tylko odrobinę. Według moich obliczeń nie miała już gdzie się cofać.

– Jesteś chory, Tom, wiesz o tym? Upadłeś na głowę. Tylko nie w przenośni, dosłownie. Naprawdę upadłeś na głowę i wszystko ci się pierdoli. Masz halucynacje? Przywidzenia? Może idź lepiej do jakiegoś lekarza.

I wtedy nagle wciągnęła powietrze.

– No ja nie wierzę – powiedziała, obracając głowę w bok. – Nie wierzę własnym oczom. Pofatygowwałaś się tu dzisiaj drugi raz. Nawet zdążyłaś przed zachodem słońca.

Odwróciłem się w tamtą stronę. Nie czułem zapachu Ifigenii, żadnych dzikich ziół, żadnej lukrecji, bo olejek różany zabił wrażliwość moich komórek węchowych.

– Ifi, to ty? – spytałem szybko. – Dobrze, że jesteś. Szukałem cię.

Nie odpowiedziała. Usłyszałem za to, jak oddech Mony przyspiesza.

– Ifi, to nieprawda, co powiedziałem przy Marinie. Chciałem tylko, żeby się ode mnie odpierzyła. Mona nie jest wcale moją kochanką. Ifi, wierzysz mi?

Nie odezwała się ani słowem.

– Ifi, posłuchaj, chciałem odpowiedzieć na twojego ostatniego esemesa, na twoją zagadkę, ale nie zdążyłem. Zgubiłem telefon w czasie trzęsienia ziemi. Rozleciał się w drobny mak. Jeśli ci na tym zależy, jeśli tak bardzo chcesz grać w tę grę, powiem ci teraz.

Milczenie. I ciężki oddech Mony koło mojego lewego ucha.

– Uwierz mi. Bardzo mi na tobie zależy. Zrobimy wszystko tak, jak będziesz chciała. Wszystko poukładamy. Zaczniemy wszystko od nowa. Ifi, do diabła! Przecież wiesz, że nigdy nie umiałem mówić słodkich słówek, ale... bardzo cię kocham, Ifi... Bardzo...

I to ostatnia rzecz, którą pamiętam. Później wszystko wydarzyło się tak szybko, że nie potrafię tego dokładnie odtworzyć.

Mona krzyknęła:

– Co ty robisz, Ifigenia?!

Usłyszałem szuranie butów.

I cichy okrzyk.

A może w innej kolejności?

Jestem jednak pewien tego, co wydarzyło się na samym końcu.

Usłyszałem grzechot kamieni usuwających się spod stóp Mony. Brzęk bransoletek. I krzyk.

A potem, po dłuższej chwili głuchy odgłos uderzenia jej ciała o ziemię na dole.

Zdrętwiałem z przerażenia. Nie mogłem postawić kroku ani wydusić słowa.

I wtedy, na koniec, usłyszałem jeszcze głos Ifigenii:

– Coś mówiłeś, Tom?

HALASMENOS, CZWARTEK, 14 WRZEŚNIA, WIECZÓR I NOC

– Ifi – powiedziałem miękko.

– Tak, to ja.

Wydawało mi się, że jej usta rozciągnęły się w uśmiechu.

– Ifi, co ty zrobiłaś?

Nie odpowiedziała. Jedyne, co usłyszałem, to oddalające się coraz bardziej kroki. Po chwili ucichły, zagłuszył je wiatr.

– Ifi! – krzyknąłem.

Nie odezwała się. Zniknęła, jakby nigdy jej tu nie było.

– Ifi?!

Na półce skalnej Katalimaty panowała cisza. Prawie całkowita, jeśli odjąć szum wiatru, ćwierkanie ptaków w wąwozie, beczenie zabłąkanej kozy. I walenie mojego serca.

Krzyknąłem jeszcze raz „Ifi!”, a gdy echo znów powtórzyło jej imię, zbiegłem na dół. No dobra, nie zbiegłem. Ostrożnie przesunąłem się po półce skalnej aż do piarżyska. Ręce mi drętwiały, kiedy przyciskałem je do skały i chwilami nie wiedziałem, czy naprawdę dotykam kamienia czy tylko powietrza.

Schodzenie okazało się o wiele trudniejsze niż wspinaczka. Głazy usuwały mi się spod stóp, uderzały boleśnie w ręce. Gdzieś w połowie drogi (w każdym razie tak mi się wydaje) niewielki kamień stoczył się ze szczytu rumowiska i walnął mnie dokładnie w ranę na skroni. Straciłem przytomność i leżałem przez kilkanaście długich minut, jak Syzyf, który nie zdążył wtoczyć na górę swojego głazu. Kiedy się ocknąłem, słońce świeciło mi prosto w twarz. Niedługo miało zejść, ale nie robiło mi to różnicy.

Ostatnie metry piarżyska zjechałem na tyłku, razem z małą lawiną kamieni. W sumie to dobrze, że zapadała ciemność. Malą szansą, że ktoś tu się zaplącze i dostanie zawału na mój widok – pokaleczonego, ociekającego krwią i w podartym ubraniu.

Podniosłem się i upewniłem, że przede mną nie ma już spadku, a potem szybko ruszyłem przed siebie. Nie zwalniałem. Nie musiałem – ruiny Halasmenos to mój dom. W myślach liczyłem kroki.

Minąłem czternastkę i siedemnastkę. Przeszedłem obok dwudziestkidwójki i dwudziestkiósemki. Dotarłem do podnóża skały. Upadłem na kolana i delikatnie zacząłem macać dłońmi ziemię przed sobą. Nie natrafiłem na nic. Przesunąłem się kawałek dalej i jeszcze raz rozpostarłem ramiona, żeby dotknąć jak największej powierzchni. Znowu nic. Przeszedłem w ten sposób na kolanach cały teren wzdłuż kamiennej ściany, po czym odwróciłem się, odsunąłem kilka metrów w kierunku

terenu wykopalisk i powtórzyłem trasę w przeciwnym kierunku. I jeszcze raz to samo, tylko dalej od skały. Nic. Nigdzie nie było ciała Mony.

Podniosłem się z kolan, kilka razy odetchnąłem chłodnym wiatrem, a potem znowu zacząłem szukać.

Słońce już nie świeciło mi w twarz, być może zaszło, pod powiekami widziałem czern, ciemną jak zakrzepła krew. Upał zelżał, a wiatr powoli zaczynał cichnąć. Zbliżała się noc.

Przeszedłem przestrzeń pod skałą na kolanach kilka razy w jedną stronę i w drugą. Nic z tego nie rozumiałem. Przecież wyraźnie słyszałem uderzenie ciała o ziemię. Ale nie było go ani tam, ani nigdzie indziej.

Zacząłem się obawiać, że spadła nie do Halasmenos, ale do wąwozu. Jeśli tak, nie dałbym rady jej znaleźć. Zbyt niepewny teren. Potrzebowałem pomocy. Ale na żadną nie mogłem liczyć.

W końcu wstałem. Wołałem Ifigenię jeszcze wiele razy, jednak nie odezwała się. Zniknęły obie.

Namacalem palcami murek najbliższego odkopanego pomieszczenia. Przesuwałem dłonią po kamieniach, aż doszedłem do narożnika budynku, a potem wróciłem i liczyłem kroki. Przy następnym narożniku zrobiłem to samo z prostopadłą ścianą. Siedemnaście na dwanaście, z wejściem na krótszym boku.

Zrobiłem osiem kroków w lewo, potem obróciłem się w prawą stronę i pokonałem piętnaście i znów odbiłem dwa w lewo, przeszedłem przez skalny próg, jeszcze dziesięć prosto i cztery w lewo. Zatrzymałem się obok muru świątyni. Przykucnąłem i pogładziłem palcami kamienie.

Podczas trzęsienia ziemi ściana zawaliła się i przygniotła wewnątrz, a teraz wciąż czekała, żeby ją podnieść, kamień po kamieniu. Dużo sobie obiecywałem po tym odkryciu. Przed trzema tysiącami lat z hakiem mieszkańcy wioski zajęci byli uciekaniem, a nie ratowaniem dobytku. W świątyni na pewno zostawili wszystko, czego na co dzień używali do modlitwy i do składania bogom ofiar. Bogom, którzy w końcu i tak ich zawiedli. Dzięki temu stała się ona kapsułą czasu i dała nam szansę na zobaczenie przynajmniej kawałka duszy tych dziwnych mieszkańców starożytnej Krety. Wielu archeologów marzyło o znalezieniu czegoś takiego przez całe życie.

Ale prawdziwy skarb krył się gdzie indziej. W małym wkopie obok północno-wschodniego narożnika muru. Gdzie pracował ten idiota Jason i zapomniał o wybraniu stamtąd połowy zabytków, nie wspominając już o wprowadzeniu ich do ewidencji.

Obszedłem świątynię dookoła, pochylony, z prawą dłonią na nierównych kamieniach ściany. Dotarłem do północno-wschodniego narożnika i upadłem na kolana. Nie planowałem jednak się modlić, nawet za duszę Mony.

Nie miałem szpachelki, kilofa ani łopaty, czy nawet długopisu w kieszeni.

Żadnego narzędzia. Odpelzłem kawałek dalej i znalazłem kamień z ostrą krawędzią. Dało się nim jedynie pokaleczyć sobie dłonie, ale już nie wbić w ziemię. Musiałem skrobać powierzchnię i co chwila odgarniać na bok piasek.

Ochłodziło się jeszcze bardziej, ziemia pod palcami stała się teraz cieplejsza od powietrza. Moja koszula, nawet kiedy nie miała jeszcze dziur, nie służyła jako ochrona przed chłodem, lecz przed słońcem – kupowałem najcieńszą bawełnę. Szczękałem teraz zębami, a zresztą może nie z zimna, tylko z nadmiaru adrenaliny.

Bo niszczyłem stanowisko. Niszczyłem stratygrafię i kontekst obiektów. Robiłem dokładnie to, co pospolity rabuś. I miałem to w dupie.

Zeskrobać warstwę gleby i odsunąć na bok. Zeskrobać i odsunąć. Nie spodziewałem się, że pójdzie mi aż tak łatwo. Ziemia wchłaniała wilgoć z nocnego powietrza i była pulchniejsza niż za dnia. Zeskrobałem jeszcze kilka centymetrów i odrzuciłem na bok. Im głębiej schodziłem, tym bardziej intensywny stawał się zapach, który dla mnie zawsze oznaczał przygodę i tajemnicę, ale od tamtego dnia na zawsze już miał kojarzyć się ze śmiercią Mony.

Oprócz zgrzytu od czasu do czasu, kiedy moje kamienne narzędzie natrafiało na drobne otoczaki i żwir, panowała kompletna cisza. Zeskrobać, odrzucić. Zeskrobać, odrzucić. Wpadłem w rytm. Nie czułem już chłodu. Coś spływało mi po lewej stronie szyi – pot albo krople krwi z otwartej rany. Nie wiedziałem co, bo skupiłem się na rytmicznych ruchach i na przesiewaniu palcami ziemi.

Nie musiałem długo kopać. Temu idiotcie Jasonowi naprawdę niewiele brakowało. Dziesięć, góra piętnaście centymetrów.

Pierwszy pierścień był ogromny. Oczyściłem go z ziemi i wsunąłem na palec, oczko sięgało mi do pierwszego kłykcia. Miało wygrawerowany jakiś wzór. Wydawało mi się, że rozpoznaję pod palcami wyciągniętą sylwetkę galopującego byka, a na jego grzbiecie zwiniętą w skoku figurę tancerza. Chłód metalu koił, kiedy przyłożyłem go do czoła.

Drugi był mniejszy. Mógł należeć do kobiety. Byk nie galopował. Stał spokojnie, z opuszczoną głową, może skubał trawę.

Następny pierścień też dekorował byk, to logiczne, skoro miała to być ofiara błagająca bogów o powstrzymanie nadciągającego trzęsienia ziemi, kataklizmu, czyli dla Minojczyków byka tratującego ziemię kopytami. W tle wyryto morskie fale. Z tego, co wiedziałem, to pierwsze znane dotychczas przedstawienie byka i morza na jednym pierścieniu. Nieprawdopodobny unikat. Odkrycie stulecia. Wydobyte przeze mnie podczas nielegalnych wykopalisk.

Trzy złote pierścienie, każdy z wielkim metalowym oczkiem, ozdobionym wygrawerowanym wzorem. To naprawdę ironia losu, że wykopałem je jak złodziej.

Podniosłem się z kolan i z pierścieniem w dłoni usiadłem na murku. Nie pozwalałem tego robić studentom. Mieszkańcy wsi przed trzema tysiącami lat nie używali zaprawy, układali tylko ciasno kamienie jeden na drugim, więc mógł je

zwalić mocniejszy kopniak. Ale teraz było mi wszystko jedno. Właśnie znalazłem największy skarb na Krecie. I bezpowrotnie zniszczyłem jego stratygrafię. I kontekst. Zniszczyłem informację, która dla archeologów jest cenniejsza niż złoto.

Czułem się, jakbym kogoś zabił. Co też się wydarzyło. Bo i Oliwia, i Mona zginęły z mojej winy.

Otaczała mnie cisza. Gdzieś daleko, pewnie we wsi, ujadał pies. Trzy szczeknięcia, chwila przerwy, cztery szczeknięcia. Trzy, przerwa, cztery. Droga u stóp wzgórza, w kierunku na Ierapetrę, przejechał samochód, a gdy silnik w końcu zamilkł w oddali, znów słyszałem tylko psa.

Zacisnąłem palce na metalu. Wstałem.

Wciągnąłem powietrze w płuca.

– Hej! – wrzasnąłem.

Mój krzyk przetoczył się po zboczach góry i jeszcze przez chwilę odbijał się echem w wąwozie.

– Masz tu coś lepszego niż twoja głupia ceramika i figurki, Mona! Złoto! Pieprzone złote pierścienie!

Znowu echo, a potem cisza.

– Znalazłem je dla ciebie!

Echo. Cisza.

– Przyjdź i weź je sobie!

Echo. Cisza.

– No chodź, na co czekasz?!

Nadal nic. Żadnego dźwięku poza moim głosem i pojedynczą cykadą, gdzieś daleko, na drzewie oliwnym.

– Warto było?! Myślisz, że to było warte twojej śmierci?!

Nie odpowiedziała. Wiedziałem, że już nigdy nie odpowie, ale i tak darłem się w noc, a odpowiadało mi tylko echo w wąwozie. Nawet pies we wsi przestał czekać. W końcu ochryplem i nie mogłem już wydusić ani słowa.

Usiadłem ciężko na murku. Jakiś kamień stoczył się w ciemność. Ciemność, która otaczała mnie dzień i noc – oto cały mój świat.

Kiedy ktoś odezwał się tuż za mną, podskoczyłem.

– Cześć, Tom.

Nie słyszałem, jak się zbliżył. Ani kroków, ani opon toczących się na żwirze. Nie poczułem żadnego zapachu oprócz ciepłego aromatu ziemi i wilgoci z wąwozu. Tylko jedna osoba, spośród wszystkich mi znanych, była dla mnie całkowicie niewidzialna.

– Długo tu jesteś? – spytałem.

– Będzie jakiś czas – odpowiedział Romanos.

– Przyszedłeś po skarb?

Zadałem to pytanie, chociaż zdawałem sobie sprawę z tego, że jest głupie, ale on jedynie odchrząknął.

– Śledziłeś mnie? – odezwałem się znowu. – Od chwili, kiedy wyszedłem z Kentro?

– Nie musiałem. Wiedziałem, że tu będziesz.

– Skąd?

Poruszył się. A później chyba obszedł mnie dookoła, bo kiedy znowu usłyszałem jego głos, brzmiał tuż przy moim lewym uchu.

– Nie mam czasu ci teraz tego wszystkiego wyjaśniać, wybacz.

– Poczekaj, Romane! Chciałem cię spytać... Czy widziałeś Ifigenię?

– Dzisiaj? – zdziwił się. – Widziałem ją rano, w Kentro.

– Nie, nie rano. Teraz.

– Przykro mi, Tom. Nikogo nie widziałem.

Podszedł bliżej i pchnął mnie, aż spadłem z murka. Nie był brutalny, tylko praktyczny. Chciał po prostu zabrać złoto i sobie pójść.

– Jesteś pewien, że jej nie widziałeś? – spytałem.

Usłyszałem, jak klęka na ziemi, obok wykopanego przeze mnie dołka.

– Całkowicie – burknął niewyraźnie.

Nie próbowałem wstać. Położyłem się na wznak, rozprostowałem nogi i rozpostarłem na boki ramiona. Wystawiłem twarz na nocny chłód. W takiej pozycji ludzie patrzą na gwiazdy. Ja mogłem tylko o nich pomyśleć.

– Czy jest już ciemno? – zapytałem.

– Owszem – mruknął, zaabsorbowany wygarnianiem ziemi spomiędzy pierścieni. – Ale dzisiaj jest pełnia, księżyc świeci i nie potrzeba nawet latarki, więc nie ludź się, że ktoś zobaczy światło na terenie wykopalisk i przyjdzie sprawdzić, co się dzieje.

Szkoda.

Zamyśliłem się znowu o tych gwiazdach.

– Wiesz – powiedziałem po chwili. – Nigdy bym nie powiedział, że stać cię na coś takiego. Zawsze wydawałeś mi się taki bezbarwny. Chociaż to może nie jest dobre porównanie w ustach kogoś, kto nie widzi kolorów.

– Tak, tak. – Romanos mnie nie słuchał. Przesiewany piasek pod jego palcami szeleścił jak jedwab.

– A jednak okazałeś się kimś całkiem innym, niż myślałem na początku. Nie mydlkowatym asystentem, tylko złodziejem.

– Jasne, Tom. Co tylko zechcesz.

Słyszałem szelest ziarenek piasku, kiedy wygarniał je spomiędzy pierścieni. Metal cicho szcęknął o metal.

– Zawsze ci brakowało kasy, co?

Jego dłonie znieruchomiały.

– Nie każdy ma dobrą posadę i dobrą pensję, jak ty, Tom.

– Nie każdy, kto ich nie ma, kradnie – zauważyłem.

Wyprostował się, jego głos dobiegał z góry.

– Nie okradam ciebie ani nikogo innego. Nie włamuję się do domów i nie zabieram ludziom rzeczy, które zdobyli ciężką pracą. Nie hakuję ich kont bankowych. Nikt na tym nie traci, że zabiorę sobie kilka złotych pierścieni z wykopalisk.

– Nauka traci.

– Nauka! – parsknął. – Nie rozśmieszaj mnie. Serio? Przez to, że ukradłem te złote pierścienie, ludzkość nigdy nie odkryje lekarstwa na raka? Nigdy nie polecą na Marsa?

– Traci nasza wiedza na temat przeszłości.

– Przestań ściemniać, Tom, bo ja też jestem archeologiem i wiem, jak to działa. Wiedza na temat przeszłości istotnie sporo by zyskała, gdybyś nie zniszczył kontekstu tego znaleziska. Sam dobrze wiesz, że to, gdzie i w jakich okolicznościach pogrzebano kiedyś ten skarb, jest o wiele ważniejsze niż samo złoto.

Tak, wiedziałem to. Aż za dobrze.

– Więc nie pieprz już o stracie dla nauki. Ważne informacje zniszczyłeś ty. Ja tylko kończę, co ty zacząłeś.

To prawda. Nawet gdybym chciał coś dodać, nie miałem co, więc zamiast tego zadałem pytanie, które od jakiegoś czasu mnie męczyło:

– Skąd wiedziałeś o skarbie?

– No dobra, powiem ci w skrócie. Zastanowiło mnie, co takiego ważnego jest w depozycie z Knossos, że z raną na głowie lecisz go zidentyfikować na posterunek, a następnego dnia pędzisz do Muzeum Stratygraficznego...

Uniosłem dłoń. Musiał to dostrzec w świetle księżyca, bo urwał.

– Kto ci o tym powiedział? – spytałem. – Że w ogóle oglądałem ten depozyt na komisariacie i w Knossos...

– Annika.

– Annika?

– Oj, daj już spokój, Tom. Trochę mi pomogła.

Pokiwałem głową. Poczulem, że ciągle trzymam w dłoni trzeci pierścień. Wsunąłem go do kieszeni spodni i wyprostowałem się. – Romane?

– Tak?

Ale chciałem tylko usłyszeć jego głos, żeby ustalić kierunek i odległość, zanim się na niego rzuciłem.

Wycelowałem idealnie: walnąłem go z byka w sam środek klatki piersiowej. Nie zauważył, że sprężyłem się do skoku, więc nie zasłonił się ani nie zrobił uniku. Poleciał na plecy, a ja razem z nim. Chwyciłem go za gardło i przyciągnąłem twarz

do jego twarzy.

Odepchnął mnie z łatwością, był ode mnie większy, no i coś tam jednak pewnie widział w świetle księżyca. Zerwał się z ziemi.

Przez chwilę sapał głośno.

– Tom, lepiej tego więcej nie próbuj – powiedział, kiedy w końcu uspokoił oddech. – I tak mnie nie powstrzymasz.

– Nie miałem takiego zamiaru – zapewniłem go. – Chciałem cię tylko powąchać.

Ze zdziwienia nawet nie zapytał po co, a ja ciągle analizowałem ten zapach. Romanos nigdy niczym nie pachniał, jednak tamtego wieczoru złapałem najdelikatniejszą z możliwych smugę miętowej pasty do zębów. I kwaśnego potu.

– Czyli Oliwia miała rację co do ciebie i Anniki – westchnąłem. – Pewnie co do innych rzeczy też. Szkoda, że jej wtedy nie uwierzyłem. Może coś potoczyłoby się inaczej.

Znowu się położyłem i przewróciłem na plecy. Wsunąłem dłonie pod głowę.

– Annika trochę mi pomogła – przyznał Romanos – ale najbardziej pomogłeś mi ty sam. To przecież ty kazałeś mi dopilnować Jasona przy uzupełnianiu dokumentacji, a potem w bibliotece, po trzęsieniu ziemi, przeczytać ten kawałek z Evansa. Dodałem dwa do dwóch. To nie było trudne.

Pewnie, jak na to spojrzeć po fakcie, to nawet bardzo łatwe.

– Więc po prostu skorzystałeś z okazji.

– Więc po prostu skorzystałem z okazji – mruknął nieuważnie, zajęty czym innym.

A tę nieświadomie stworzyła mu Ifigenia, która z zazdrości chciała zwrócić moją uwagę na kradzieże Mony, a kiedy upewniła się, że śpiam z moją asystentką, po prostu ją zabiła. Powiedzenie „okazja czyni złodzieja” nigdy nie było bardziej aktualne.

– A wcześniej z paru innych – dodałem.

– Masz na myśli tych kilka figurek z pracowni Oliwii? Ona tam miała taki straszny burdel, nie sądziłem, że się zorientuje.

– No tak – zgodziłem się z nim.

Poprawiłem się i wygarnąłem spod pleców jeszcze kilka ostrych odłamków. Pojedynczy powiew wiatru owiał mi twarz, ale poza tym powietrze stało nieruchomo, tylko drgało od cykania cykad.

– Weź, co chcesz – powiedziałem.

Znowu odchrząknął.

– Nie potrzebuję twojego pozwolenia, Tom. Nie możesz nikogo zawiadomić, bo twoja komórka leży roztrzaskana gdzieś pod zwałami gruzu w Kentro. A zanim stąd zejdiesz, złapiesz po nocy stopa, jeśli w ogóle złapiesz, bo tu mało co jeździ, i namówisz kogoś na pożyczenie komórki, ja już będę daleko. Na pewno nie na

Krecie i już nie w Grecji.

– Nie będę cię zatrzymywał, Romane. Tylko coś mi obiecaj.

Zawiesiłem głos. Słyszałem, jak podnosi się z kolan. Pierścienie znowu brzęknęły. Pewnie schował je do kieszeni.

– Obiecuj, że pomożesz mi znaleźć zwłoki Mony.

Zamarł.

– Nie mogę jej znaleźć. Jestem, kurwa, ślepy! – znowu zacząłem krzyczeć. Ugryzłem się w język, a potem ściszyłem głos. – A ona zginęła przeze mnie. I pewnie spadła do wąwozu Ha. Nie chcę, żeby poszarpały ją dzikie zwierzęta. Znajdź ją, Romane! Proszę!

Poruszył się. Pierścienie w jego kieszeni cicho brzęknęły. Gdybym nie wiedział, co tam ma, pomyślałbym, że to drobne monety na gazetę albo na kawę.

– Wiesz co, Tom? – powiedział w końcu. – Ostatnio nawet studenci o tobie plotkują. Że dziwnie się zachowujesz. Podobno dręczą cię w nocy koszmary. I na jawie najwyraźniej też. – Podeszedł krok bliżej. – Nie czuję się na siłach udzielać ci porad medycznych, ale odwiedź jak najszybciej lekarza. I nie trać czasu na psychologa, idź od razu do psychiatry.

– Romane, proszę – jęknąłem. – Ona nie może tam zostać sama na noc. A ja nie poradzę sobie sam. Martwi nie pachną tak jak żywi. I nie wydają żadnych dźwięków. Nie mogę, po prostu nie mogę...

Byłem gotowy błagać, nawet na kolanach, jednak on już ruszył w stronę murka. Miał zamiar go obejść, a potem pójść na parking czy gdziekolwiek zostawił samochód. I odjechać.

– Romane!

Zatrzymał się na chwilę.

– Proszę – wyszeptalem.

Zrobił krok w moim kierunku. Potem drugi.

– Nic ci tu nie będzie, Tom. Nie zamarzniesz, to w końcu Kreta na początku wrzeźnia. Najwyżej złapiasz katar. Rano ktoś cię znajdzie. I mówię poważnie: umów się już jutro na wizytę u psychiatry.

Usłyszałem jego kroki. Oddalały się. Więcej się nie zatrzymał.

Nadsluchiwałem dźwięku silnika. Na próżno – musiał zaparkować daleko, pewnie po to, żeby nikt nie zobaczył samochodu. Odszedł i zapadła cisza.

Skuliłem się na boku. Gardło miałem pełne łez, ale nie chciały popłynąć. Myślałem o Monie, której posiniaczone o kamienie ciało leżało gdzieś tu, może nawet niedaleko mnie, a ja nie mogłem go nawet dotknąć. Myślałem o Ifigenii. I o Oliwii. I o złotych pierścieniach.

Podłożyłem ręce pod głowę i na próżno próbowałem znaleźć chociaż trochę wygodniejszą pozycję. Nie miałem siły, żeby wstać. Leżałem i patrzyłem na gwiazdy w mojej głowie.

Po jakimś czasie zrobiło mi się zimno. Objąłem się ramionami, choć niewiele to pomogło, i przymknąłem powieki.

Myślałem, że w tym chłdzie i na kamieniach nie zmrużę oka, a jednak zasnąłem natychmiast. Po raz pierwszy od nie pamiętam kiedy spałem bez marzeń sennych. I bez koszmarów.

**HALASMENOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, ŚWIT**

O świcie obudziłem się mokry od rosy. Nacisnąłem przycisk zegarka. Dwadzieścia siedem minut po piątej, za godzinę zrobi się jasno. Mógłbym wstać, zejść do głównej drogi i spróbować złapać stopa. Na pewno jeździły już jakieś samochody – sklepikarze do pracy, obsługa stacji benzynowej na ranną zmianę, rolnicy na pola albo sprawdzić, czy owce się nie rozlaży. Kreta to dziura, wszyscy w okolicy mnie znali, na pewno ktoś by się zatrzymał i podwiózł do Kentro.

Zamiast tego obróciłem się na drugi bok i spałem dalej.

Nie wiem, która była godzina, kiedy ktoś potrząsnął moim ramieniem.

– Obudź się, Tom.

Wcale nie chciałem się budzić. Cudownie mi się spało. Miałem trochę zeszywniałe mięśnie, od zimna i nocnej wilgoci, ale pół godziny wygrzewania się na słońcu z pewnością dałoby temu radę.

Ktoś potrząsnął mną jeszcze raz, tak mocno, że zadzwoniły mi zęby.

– Tom, obudź się! Nic ci nie jest? Tom? Dobrze się czujesz?

Znałem ten głos. I zapach kokosowego olejku do opalania.

Jęknąłem, uniosłem rękę i pomacałem skroń. Opatrunek odlepił się z jednej strony i zwisał na kawałku plastra. Włosy miałem zlepione krwią. Jej strugi zastygły też na moim policzku i szyi.

Usiadłem. Strzyknęło mi w karku.

– Nic mi nie jest, Melisso.

– O! – zdziwiła się. – Raz mnie nie pomyliłeś z Yacintą.

– To przez chrypkę – wyjaśniłem. – Jeszcze ci nie przeszła od wczoraj.

Chwyciłem dłoń, którą mi podała, i podniosłem się, a ją aż zamurowało. Wyobraziłem sobie, jak wyglądam. Przesunąłem dłońmi po ciele – koszula w strzępach, a w spodniach kilka wielkich dziur.

– To nic takiego. Przewróciłem się.

– Chyba czołg cię przejechał. I jeszcze włókł za sobą przez jakiś czas. Co się stało, Tom?

I nagle przypomniałem sobie wszystko, co wydarzyło się tamtego wieczoru.

– Gdzie są wszyscy?

– Rozładowują sprzęt na parkingu. Mamy dzisiaj małe opóźnienie, ale zaraz wezmą się do pracy.

– Zatrzymaj ich! – krzyknąłem.

Okręciłem się wokół własnej osi. Nie mogłem zorientować się, gdzie jestem. Nie potrafiłem powiedzieć, gdzie jest skała, gdzie słońce, a gdzie wykopy.

– Uspokój się. – Melissa chwyciła mnie za ramię.

Wyrwałem się.

– Niech nikt nie wchodzi na teren wykopalisk. Nikt! Słyszysz?!

– Okej, Tom.

Odwróciła się i odbiegła. Słyszałem, jak z dala krzyczy do pozostałych, by zostali przy samochodach. Annika coś odkrzyknęła, ale Melissa powiedziała, że to moje polecenie.

Ruszyłem powoli w ich kierunku. Zataczałem się jak pijany. Dwa razy potknąłem się o murek, a raz omal nie wpadłem do wykopu. Kiedy wyszedłem na parking, zapadła cisza.

– Ta policjantka was puściła? – spytałem i sam słyszałem, że mój głos brzmi głucho. – Pozwoliła wam przyjść na teren wykopalisk?

– Tom, uderzyłeś się w głowę?

Nie potrafiłem powiedzieć, kto pytał. Doprowadziło mnie to do wściekłości.

– Odpowiedzcie na moje pytanie, do cholery!

Yacinta podeszła bliżej.

– Tom, to było wczoraj: śmierć Oliwii, przesłuchanie i w ogóle. I trzęsienie ziemi. Pamiętasz?

– Oczywiście – warknąłem. – A jak myślisz?

– Noo... – Zawahała się. – W każdym razie po trzęsieniu ziemi ta policjantka sprawdziła tylko, czy wszyscy zostali przesłuchani i czy drugi policjant zapisał nasze adresy i telefony. I powiedziała, że możemy wrócić do pensjonatu. Nic nie mówiła, że nie wolno nam pracować na wykopaliskach.

Zacisnąłem powieki.

– Ty zniknąłeś – dodała Melissa. – Nie wiedzieliśmy, co robić. I wtedy Romanos powiedział, żebyśmy jutro, to znaczy dzisiaj, przyjechali do pracy. I że on cię znajdzie. Ale teraz ty się znalazłeś, a on zniknął.

Już na zawsze. Ale tego nie powiedziałem.

– Dzisiaj... – Musiałem odchrząknąć, żeby oczyścić gardło. – Dzisiaj nie ma pracy na wykopie. Wracajcie wszyscy do Kentro. Na pewno zostały wam jakieś rysunki do uzupełnienia. Albo dokumentacja.

– Ja już wszystko zrobiłem wczoraj, Tom – odezwał się Jason.

– Do Kentro nie można wejść – wtrąciła się Jana. – Nie wiadomo, czy budynek jest stabilny. *Kyria Fotini* mówiła, że dzisiaj mają go sprawdzać jacyś ludzie. Podobno dużo domów w okolicy jest w takim stanie...

Uniosłem rękę, żeby się zamknęła.

– W takim razie jedźcie do pensjonatu. Weźcie sobie dzień wolnego. Idźcie popływać. Cokolwiek.

– Tom? – To musiała być Sarah. – Jesteś pewien, że wszystko w porządku?

Nic nie było w porządku. I już nigdy nie będzie.

– Jedźcie do wsi – powiedziałem. – A jutro rano zobaczymy, co dalej. A ty –

odwróciłem się do Melissy – odwieź mnie na posterunek do Agios.

Bez słowa ujęła mnie za łokieć i zaprowadziła do swojego samochodu. Kiedy ruszyła, usłyszałem jeszcze z tyłu trzaskanie drzwi w innych autach i gorączkowe głosy przekrzykujące się nawzajem, a potem już tylko wiatr.

AGIOS NIKOLAOS, PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, PORANEK

Melissa jechała powoli, przed każdym zakrętem redukowałam bieg do dwójki i zwalniała chyba do pięciu na godzinę. Nie poganiałam jej. Milczała, co przyjąłem z wdzięcznością, bo dzięki temu miałem czas, żeby pomyśleć.

Byłem mordercą. Podwójnym mordercą, zabiłem Oliwię i Monę. To nieważne, że Ifigenia jednej rozwaliła głowę, a drugą zepchnęła w przepaść. Równie dobrze mogłem to zrobić sam, własnymi rękami.

Gdybym tylko potraktował Ifi poważniej... Gdybym nie był taki zadufany w sobie, tak bardzo przekonany, że wystarczy spędzić razem noc, by wszystko się ułożyło...

Nie ułożyło się nic. Dlatego teraz Oliwia leżała w kostnicy, może nawet na tym samym stole, na którym wcześniej złożono zwłoki prawnika z Polski albo jego żony. A Mona gdzieś w krzakach u podnóża skały, gdzie muchy składały na niej jajeczka.

A Ifigenia...

Poprosiłem Melissę o jej telefon. Podała mi z ociąganiem. Samochodem zarzuciło, kiedy szukała go w kieszeni spodni.

Wystukałem sekwencję cyfr, którą znałem na pamięć. Przez krótką chwilę miałem nadzieję, że usłyszę jej głos, że znów będę mógł jej powiedzieć, jeszcze raz, jak bardzo ją kocham. I skłamać, że wszystko będzie dobrze.

Ale usłyszałem tylko pojedynczy długi sygnał, aż w końcu włączył się automat i poinformował mnie, że abonent jest czasowo niedostępny. Spróbowałem wybrać numer po raz drugi. I trzeci. I czwarty. To samo.

Zawahałem się, a potem ścisnąłem telefon mocniej w garści. Wybrałem numer zero, sześć, dziewięć, zero, pięć, osiem, pięć, dziewięć, trzy, trzy, dwa. W telefonie zachrypiało:

– Abonent czasowo niedostępny.

W Agios zrobiliśmy trzy kółka wokół kwartału, zanim Melissa doszła do wniosku, że jeśli po prostu wysadzi mnie przed wejściem i pójdę na posterunek sam, nie będzie musiała szukać miejsca do parkowania. Kiedy wysiadałem, mruknęła:

– Uważaj na siebie, Tom.

Szkoda, że nie powiedziała, w jaki sposób miałbym to zrobić.

CZEŚĆ III

POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS, PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, POPOŁUDNIE

Siedziałem sam przez godzinę i dwadzieścia minut. Dwa razy przesunąłem krzesło, aby wydostać się z plamy słońca, ale niewiele to pomogło, bo cały pokój przesłuchał przypominał piec krematoryjny. Mucha przestała brzęczeć, pewnie zdechła z gorąca. Nie poprosiłem jednak o kolejną szklankę wody. Mordercom się nie należy.

Z upału kręciło mi się w głowie, gdybym widział, zrobiłoby mi się prawdopodobnie ciemno przed oczami. Czuję na zmianę fale mdłości i dreszcze, może miałem gorączkę. Oparłem ręce na stole i położyłem na nich głowę. W myślach odliczałem sekundy. Monotonne liczenie pomagało mi pozbyć się z uszu dźwięku ciała Mony uderzającego o ziemię.

Marina nie mogła dowiedzieć się o tym, że to Ifigenia. Nigdy. Bo to była moja i tylko moja wina. I dlatego robiłem wszystko, by to właśnie mnie uznała za mordercę i złodzieja.

Pojawiła się cicho (a może się zdrzemnąłem), nawet nie zdążyłem podnieść głowy, kiedy nacisnęła kławkę. Nie skomentowała tego, że siedziałem tak długo sam, w czterdziestu stopniach. Jej też musiało być tu gorąco, chociaż w żaden sposób tego nie zdradziła. Odsunęła krzesło i usiadła. Tym razem nie szeleściła papierami. Trzymała dłonie na blacie, leciutko postukiwała opuszkami palców w laminat.

– Panie Mara, mam dla pana dobrą wiadomość.

Upał wysysał ze mnie resztki energii. Nawet nie spytałem jaką. Może na Krecie właśnie podwyższono standard więzień dla morderców odsiadujących dożywocie.

– Udało nam się skontaktować z pana narzeczoną, Ifigenią Mitropoulou.

Poderwałem głowę.

– Zna... Znaleźliście ją.

– Bez trudu. Po prostu do niej zadzwoniliśmy. Na numer, który pan podał.

– Wszystko u niej w porządku? – Straciłem oddech.

– Tak, panie Mara – odpowiedziała powoli Marina. – Wszystko u niej w porządku.

Czuję mrowienie w nogach i rękach po nagłym napływie adrenaliny.

– Trochę nam przerywało, bo jest na swoich wykopaliskach, w Katalimacie, a tam, zdaje się, jest słaby zasięg. Powiedziała, cytuję: „Może Tom oszalał, ale to nie znaczy, że mam zawalić moją robotę”. Koniec cyt...

– Ifigenia jest w Katalimacie?

– Dlaczego tak to pana dziwi, panie Mara? Czy nie powiedział pan

wcześniej, że zawsze tam pracowała?

– Tak – odpowiedziałem krótko. – Tak, oczywiście.

– Przy okazji, skoro już mówimy o Katalimacie: proszę jeszcze raz opisać dokładnie miejsce, gdzie spadły zwłoki Mony Abano.

– Przecież nie mogę! – Niepotrzebnie krzyknąłem. Byłem jednak spocony, w brudnym i podartym ubraniu, spragniony i nieludzko zmęczony. Każdy by krzyknął. – Nie wiem, gdzie dokładnie upadła, ale Katalimata jest niewielka. Jeśli Mona stała na krawędzi i spadła prosto na dół, mogła upaść na teren wykopalisk w Halasmenos, ale też z drugiej strony półki skalnej, do wąwozu Ha. Jestem ślepy, do cholery, nie widziałem tego. Mam tylko pewność, że spadła. Chyba że...

Marina czytała mi w myślach.

– Chyba że ciało zaczepiło się o krzaki albo o występ skalny i nie spadło na sam dół?

Przypomniałem sobie głuchy odgłos uderzenia. Żołądek podjechał mi do gardła. Z trudem przełknąłem ślinę.

– Nie wiem. – Ukryłem twarz w dłoniach.

– Panie Mara, co prawda jest pan niewidomy...

– Ślepy!

– ...jest pan ślepy, jednak muszę panu zadać to pytanie. Czy dopuszcza pan możliwość, że pani Abano przeżyła?

Gdyby nie to, że mówiliśmy o martwym ciele kogoś, kto zginął przeze mnie, roześmiałbym się jej w twarz.

– Odległość w pionie między Katalimatą a Halasmenos albo dnem wąwozu Ha wynosi w przybliżeniu sto dwadzieścia metrów. Wie pani, co dzieje się z ludzkim ciałem przy upadku z tej wysokości?

– Wiem – odpowiedziała, mimo to mówiłem dalej:

– Mona ważyła jakieś pięćdziesiąt, może pięćdziesiąt dwa kilo, co znaczy, że na końcowym odcinku spadku osiągnęła prędkość ponad stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę...

– Panie Mara, wystarczy.

– Jej kości połamały się na kawałki, arterie pozrywały, miękkie organy zamieniły w jeszcze większą papkę...

– Wystarczy! – Marina uderzyła otwartą dłonią w stół. Odgłos zabrzmiał głucho i dziwnie słabo. Może teraz padło mi na słuch. – Pytam pana tylko o teoretyczną możliwość.

– A ja pani opisuję tę teoretyczną możliwość. Nie, ani Mona, ani nikt inny nie mógłby przeżyć upadku z tej wysokości.

Zamilkła. Nadal nie słyszałem szelestu papierów. Doleciał do mnie za to dźwięk, z jakim przełknęła ślinę. Chciała mi coś powiedzieć i nie wiedziała jak.

Nagle mnie olśniło.

– Czy to znaczy, że nie znaleźliście jej zwłok?

Marina pokiwała głową, jej włosy przesunęły się po jedwabnej bluzce.

– Tak, panie Mara.

– Słyszałem wyraźnie odgłos uderzenia, kiedy upadła na ziemię. To wydarzyło się pod wieczór, okolica jest cicha, słyszałem to wyraźnie, przysięgam!

– Tak, zrozumiałam, panie Mara.

– Ktoś musiał ją stamtąd zabrać. Może jakiś inny komisariat dostał rano meldunek, że znaleziono zwłoki?

– Nie, sprawdziliśmy to.

– Powinniście poszukać dokładniej. Na pewno leży w wąwozie. Tam jest nierówny teren, dużo głazów, krzaków, może jej nie być widać na pierwszy rzut oka...

Chciała coś jeszcze powiedzieć, gdy wszedł jej asystent. Już dawno minęło południe, więc do smrodu pomady dołączył odór jego potu. Zatkanym sobie z chęcią nos, tylko wtedy byłbym zdany wyłącznie na zmysł słuchu, a ten najwyraźniej mnie zawodził, bo nie usłyszałem, co asystent wyszeptał do Mariny. To była krótka wiadomość. Kiedy wszedł, policjantka wzięła głęboki wdech. Od razu wiedziałem, że ma dla mnie złą wiadomość.

– Panie Mara, niech pan mnie teraz uważnie posłucha...

– Znaleźliście ją?!

– Niech pan usiądzie i mnie wysłucha, ale najpierw proszę odpowiedzieć na moje pytanie.

Oparłem dłonie o blat, żeby móc w każdej chwili poderwać się z krzesła.

– Kiedy zatrudnił pan Monę Abano na stanowisku asystentki w Kentro?

Podrapałem się w czoło pokryte warstwą zaschniętej krwi, potu i pyłu.

– Kilka dni przed rozpoczęciem wykopalisk, czyli mniej więcej dwa tygodnie temu.

– Podpisał pan z nią umowę o pracę?

– Myśli pani, że zatrudniam ludzi na czarno?

– Proszę odpowiadać na moje pytania.

– Tak. – Wyprostowałem plecy. – Podpisałem z Moną Abano umowę o pracę na czas nieokreślony, z miesięcznym wypowiedzeniem. Ale szczerze mówiąc, nie wiem, czy dokumenty poszły już do urzędu skarbowego. To ona powinna była się tym zająć, a mieliśmy urwanie głowy z wykopaliskami. Z tego, co pamiętam, jest na to trzydzieści dni, więc zostało jeszcze trochę czasu.

– Nie poszły – przerwała mi Marina.

– Tak myślałem.

– W dokumentacji, którą znaleźliśmy w Kentro, też nie ma żadnych papierów, żadnej umowy. Nic, co by potwierdzało, że Mona Abano dla pana pracowała.

Zmarszczyłem brwi. Poczułem, jak zaschnięta skorupa na czole pęka.

– Zanim ją zatrudniłem, dokumentację porządkowała Ifigenia. Może powinniście ją zapytać, gdzie schowała te papiery?

– Już pytaliśmy.

– I?

Marina wzięła głęboki wdech. Usłyszałem, jak jedwab bluzki ociera się o oparcie krzesła, kiedy odchyliła się do tyłu.

– Panie Mara, nigdy nie zatrudnił pan żadnej Mony Abano na stanowisku asystentki.

Zgłupiałem. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

– A na jakim? – spytałem w końcu.

– Na żadnym. W ogóle jej pan nie zatrudnił. W żadnym rejestrze nie ma śladu osoby o takim imieniu i nazwisku. Mona Abano nie urodziła się na Krecie ani nigdy nie przybyła na wyspę żadnym środkiem lokomocji. Mona Anna Abano nie istnieje i nigdy nie istniała.

POSTERUNEK W AGIOS NIKOLAOS, PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, POPOŁUDNIE

Potarłem twarz. Zadrapania i skaleczenia zapiekły, jednak ledwo zwróciłem na to uwagę.

– Chwileczkę. – Opuściłem dłonie z powrotem na blat stołu. – Co pani właściwie chce mi przez to powiedzieć? Że zwariowałem? Że ją sobie wymyśliłem? Wymyśliłem sobie asystentkę, tak jak w dzieciństwie wymyśla się niewidzialnego przyjaciela?

– Pan to powiedział, nie ja.

Potrzasnąłem głową. Miałem wrażenie, że się przesłyszałem.

– Nie wiem, czy pani wie – wycedziłem w końcu przez zęby – ale ja nie żyję na pustyni. Razem ze mną w Kentro i na wykopaliskach pracuje kilkunastu studentów, którzy pewnie nie raz, nie dwa widzieli Monę, rozmawiali z nią. Na Boga, przecież Kentro to nie jest taki duży budynek, musieli się na nią natknąć.

Nie przerywała mi. Słuchała.

– Poza tym Mona wynajmowała pokój we wsi, w pensjonacie u Lindy, gdzie wszyscy studenci. Ifigenia zresztą też, bo chociaż ma mieszkanie w Sitii, nie chciała tak daleko dojeżdżać. Mieliśmy poszukać Monie jakiegoś mieszkania w okolicy po zakończeniu sezonu, ale w czasie wykopalisk jest za dużo pracy i nikt nie ma do tego głowy, a pensjonat jest wygodny...

Złapałem się na tym, że mam słowotok. Zacisnąłem palce na krawędzi blatu i zmusiłem się, by zamilknąć.

– Powinna pani zapytać studentów – dodałem jeszcze.

– Pytałam.

– No to wie pani, że...

– Żaden z nich nigdy nie spotkał w Kentro nikogo, kto odpowiadałby pana opisowi. Żadnej niewysokiej brunetki z kręconymi włosami i ciemnymi oczami. Żadnej Mony Abano.

Odchyliłem się na oparcie.

– To niemożliwe. Przecież...

Próbowałem sobie przypomnieć jakąś rozmowę z Moną i z kimś jeszcze, ale nic nie przychodziło mi do głowy. To chyba normalne, że człowiek nie pamięta o takich rzeczach, nawet o nich nie myśli?

– No to niech pani spyta Lindę.

– Pytałam. Żadna Mona Abano nie wynajęła u niej pokoju.

– Przecież tam byłem! – Walnąłem pięścią w stół. – Byłem w środku. I to z całą pewnością był pokój Mony.

Marina znowu wstała i podeszła do okna. Zastygła przy nim w bezruchu,

może przyglądała się ulicy.

– A knajpy we wsi? Manolis? Jorgos? A sklep? A pizzeria? Lodziarnia? Przecież ona musiała gdzieś jeść. Wszyscy tam jadaliśmy, codziennie.

Policjantka odwróciła się.

– Nikt we wsi nie pamięta Mony Abano ani w ogóle brunetki z kręconymi włosami i ciemnymi oczami. Nikt takiej osoby nie widział, nikt z nią nie rozmawiał. Nigdy. To niewielka wieś, przepytaliśmy wiele osób.

– To niemożliwe – powtarzałem się i nie umiałem nic na to poradzić. – Przecież oni tam nic innego nie robią, tylko plotkują, zwłaszcza gdy w Kentro pojawi się ktoś nowy. Musieli Monę przynajmniej widzieć. To niemożliwe, żeby nikt jej...

Urwałem.

– No właśnie – powiedziała łagodnie Marina.

– W takim razie spytajcie Ifigenię, do cholery! Przecież ona z Moną pracowała, każdego dnia. Każdego, każdziutkiego pieprzonego dnia! Też mi się to przyśniło?

Marina milczała.

Podniosłem się z krzesła.

– Ifigenia powiedziała, że nie zna Mony?

– Według pana narzeczonej jest pan ostatnio bardzo przemęczony. Za ciężko pan pracuje, nie sypia dobrze, dręczą pana koszmary, a po tym uderzeniu cierpi pan na silne bóle i zawroty głowy.

– Nie odpowiedziała pani na moje pytanie. Czy Ifigenia powiedziała, że nie zna żadnej Mony?

– Pana narzeczona powiedziała, że pracowała w Katalimacie sama. Od początku sezonu.

Opadłem na krzesło. Zakręciło mi się w głowie, rana na skroni zapulsowała. Na chwilę straciłem orientację. Nie wiedziałem, gdzie jest okno, gdzie drzwi i w którym miejscu stoi policjantka. Chwyciłem się stołu i mdłości minęły.

Do kurwy nędzy! Jak to Mona nie istniała, skoro istniała. Pracowałem z nią, piliśmy razem wino, nawet się z nią pieprzyłem. Przecież nie pieprzyłbym się z duchem...

Nagle przypomniałem sobie, że czasem spod nuty aromatu róży czułem od Mony zapach dzikiego tymianku. A od Ifigenii aromat klombu. Wymyśliłem to sobie? Naprawdę wymyśliłem sobie asystentkę, bo Ifi czasem zmieniała perfumy? Naprawdę zwariowałem...?

Czułem, jak na czoło występują mi kropelki potu. Potrząsnąłem głową. Rana na skroni znowu zakłuła. Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem...

Marina podeszła bliżej.

– I zanim pan pomyśli, że jesteśmy tylko prowincjonalnym posterunkiem

policii gdzieś na kreteńskim zadupiu: udało nam się znaleźć jedną Monę Abano związaną z archeologią.

– No właśnie – wychrypiałem. – Czyli ona istnieje...

– Jest doktorantką na uniwersytecie w Katanii na Sycylii. O ile nam wiadomo, nigdy nie postawiła nogi na Krecie.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Oparłem się o krzesło, opuściłem bezwładnie ramiona. Rozluźniłem mięśnie. Nic z tego nie rozumiałem.

– Niech pani sprawdzi moje rozmowy telefoniczne. – Dotknąłem czoła. Było rozpalone i wilgotne od potu. – Pracowaliśmy wspólnie, Mona dzwoniła do mnie pewnie ze sto razy. Bez trudu znajdziecie jej numer telefonu.

– Pana rozmowy telefoniczne z którego numeru?

Nie zrozumiałem.

– Przeszukaliśmy Kentro. Znaleźliśmy dwa telefony. Jeden, rozbity, leżał na dole, w korytarzu obok pracowni konserwatorskiej. Moi ludzie sprawdzili kartę, miał numer zero sześć dziewięć trzy dwa cztery dwa osiem osiem siedem jeden.

– Tak, to moja komórka...

– A drugi aparat leżał w pana sypialni. W szufladzie szafki nocnej. Wyłączony. Karta z numerem zero sześć dziewięć zero pięć osiem pięć dziewięć trzy trzy dwa.

Zdrętwiałem. Nawet gdybym chciał odpowiedzieć, nie mogłem, bo zaschło mi w ustach. Zero sześć dziewięć zero pięć osiem pięć dziewięć trzy trzy dwa. Znałem ten numer na pamięć przynajmniej od drugiego esemesa.

Marina podeszła jeszcze bliżej. Przysiadła na krawędzi biurka. Materiał jej spódnicy otarł się o blat. Nie nosiła pończoch (zresztą to byłoby dziwne w tym upale) i kiedy założyła nogę na nogę, skóra jej ud się sklepiła. Owiała mnie świeża fala cytrynowego szamponu i słodko-gorzkich perfum.

– Po co panu dwie komórki, panie Mara?

Nadal nie mogłem wydusić ani słowa. Gorączkowo myślałem. Naprawdę sam sobie wysłałem te esemesy...?

– Panie Mara – powiedziała Marina. – Pana narzeczona bardzo się o pana martwi. Przez to, że pan tak ciężko pracuje, nie sypia i dodatkowo przez tę ranę na głowie... Według pani Mitropoulou przez ostatnie dni dziwnie się pan zachowywał. Unikał pan jej, a potem obsypywał przesadnymi czułościami. Mówił pan dziwne rzeczy. Był rozdrażniony, skory do kłótni... Zasugerowała, że powinien pan znaleźć się pod opieką lekarską.

– Pani też tak myśli?

– Myślę, że powinien pan porozmawiać z lekarzem psychiatrą.

– Nie mówi pani tego poważnie.

– Jak najbardziej – zapewniła.

Opuściłem głowę.

– Panie Mara. – Marina pochyliła się w moją stronę. – Nie wiem, dlaczego przyszedł pan tutaj i twierdzi, że zabił Monę Abano, która nie istnieje, i do tego jeszcze Oliwię Papadaki, która co prawda jak najbardziej istniała, tylko pan nie wie nawet dokładnie, w jakich okolicznościach zginęła.

Chciałem coś powiedzieć, ale położyła mi dłoń na ramieniu. Drgnąłem, nie lubię, gdy ktoś niespodziewanie mnie dotyka, jednak nie zwróciła na to uwagi i mówiła dalej:

– Jeśli jednak miał pan cokolwiek wspólnego ze śmiercią pani Papadaki, nie jest w moim interesie sugerować leczenie u psychiatry, bo sędzia może stwierdzić niepoczytalność i wywinie się pan od odpowiedzialności. Tylko problem w tym, że ja nie wierzę w pana winę, a pan nie ma żadnych dowodów. Według mnie w takim stanie rozchwiania psychicznego, w jakim obecnie się pan znajduje...

Usłyszałem, jak ktoś naciska klamkę i drzwi się otwierają.

– Co znowu?! – warknęła Marina do asystenta, a ten szybko do niej podszedł i zaczął szeptać.

– Do diabła! – warknęła. – Powiedz to normalnie, nie na ucho!

Policjant cofnął się i zatrzymał w połowie drogi między drzwiami a stołem.

– Dzwoniła *kyria* Isaakidou w sprawie zwłok tych turystów znalezionych na stanowisku. Prosiła, żeby podpisała pani protokół. – Był jeszcze bardziej zachrypnięty niż wcześniej. Klimatyzacja to zło. Wykańcza nie tylko policjantów, ale i archeologów. Ciekawe, czy Melissie przeszła już chrypka i czy znowu nie będę mógł odróżnić jej od Yacinty. To znaczy, zakładając, że spotkam je za kilkanaście lat, jak wypuszczą mnie z oddziału zamkniętego.

– No to chyba może poczekać! – Marina pacnęła otwartą dłonią w stół.

– Już jest po czwartej, a *kyria* Isaakidou prosiła, żeby podpisała to pani koniecznie jeszcze dzisiaj. Bo ona musi sporządzić sprawozdanie...

– *Kyria* Isaakidou zawsze coś musi. – Na jedwabnej bluzce zaszeleściły włosy. – Masz tutaj ten protokół?

Zamarłem w bezruchu. Siedziałem tak z otwartymi ustami i opuszczonymi ramionami, wpatrując się w przestrzeń niewidzącym wzrokiem.

– Panie Mara? – W głosie Mariny zabrzmiał strach. – Panie Mara? Wszystko w porządku? Dobrze się pan czuje?

Czułem się tak sobie. Ale to nie miało znaczenia. Bo nagle wszystko zrozumiałem.

SZPITAL W AGIOS NIKOLAOS, PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, POPOŁUDNIE

Przesunąłem ręką po blacie. Dobrze wymierzyłem: szklanka, już pusta, spadła na podłogę i rozbiła się.

– Panie Mara, proszę uważać! – krzyknęła Marina, a jej asystent rzucił przekleństwo, którego nigdy wcześniej nie słyszałem. Podszedł i jego podeszwy zapiszczały o linoleum, kiedy schylił się, żeby pozbierać odłamki. Ja też się schyliłem, chociaż nie mogłem pomóc.

I z całej siły wyrznąłem zranioną skronią o narożnik blatu.

Ból był taki, że nie musiałem niczego udawać. Zsunąłem się z krzesła, podparłem dłońmi i ciężko dyszałem. Po chwili poczułem na policzku ciepłą strugę. I usłyszałem, jak coś kapnęło na podłogę. I druga kropla. I następna.

– Panie Mara! – Marina podbiegła i przykucnęła. Zapach jej ciała nagle się zmienił, kwaśny odór strachu zagłuszył cytrynowy zapach szamponu. – Panie Mara, rany boskie!

Położyła dłoń na moim podbródku i delikatnie uniosła mi głowę. I aż syknęła. Pogratulowałem sobie w duchu: rana musiała wyglądać naprawdę paskudnie.

– Cholera jasna, chyba puściły wszystkie szwy. Jest pan cały we krwi.

Podbiegła do drzwi, otworzyła je i krzyknęła coś na korytarz. Asystent podbiegł do mnie i znowu rozszedł się smród jego pomady, ale przeważał nad nim żelazisty zapach mojej krwi.

Marina z policjantem trajkotali po grecku z prędkością światła. Wyłapałem jedno słowo: *nosokomio*, szpital. I o to mi chodziło.

– Panie Mara. – Znowu przyklękła i usłyszałem mlaśnięcie miękkiego ciała jej ud. Raczej nie była fanatyczką ćwiczeń fizycznych, od których mięśnie stają się twarde jak skała. – Zabierzemy pana do szpitala. Słyszysz mnie pan?

Nie skinąłem głową, za bardzo bolało. Zamiast tego wydusiłem z siebie: „Słyszę” i „Okej”.

Marina pomogła mi wstać.

– Zaprowadzę pana teraz na ostry dyżur. I postaram się, żeby przyjęli pana poza kolejnością. A pan grzecznie pójdzie ze mną, jasne?

Nowa strużka krwi spłynęła mi za kołnierz. Marina ujęła mnie pod ramię i poprowadziła do wyjścia.

– Proszę uważać, chodnik na korytarzu jest pozwijany – ostrzegła, a kiedy przeszliśmy przez drzwi, dodała: – Na zewnątrz są schody. Zaraz skręcimy w lewo i przejdziemy jakieś dziesięć metrów.

Dokładnie było ich jedenaście, liczyłem kroki. Pod szpitalem wspomniała

też, bym uważał na schodkach przed wejściem, a potem, żebym nie potknął się o czyjeś nogi, bo na korytarzu pod ścianami siedziało sporo osób.

Niepotrzebnie. Doskonale to wszystko pamiętałem sprzed czterech dni – do szpitala wchodzi się po pięciu schodkach, korytarz ma dwa zakręty, co dziewięć kroków, a później jest dwadzieścia siedem kroków do gabinetu.

Ale nie zdradziłem się z tym.

Marina musiała chyba pokazać na recepcji odznakę, bo tym razem obyło się bez wielogodzinnego czekania. Pielęgniarka ujęła mnie pod lewe ramię i zaprowadziła do gabinetu. Policjantka szła za nami krok w krok.

Lekarz cmoknął na mój widok.

– Ładnie się pan urządził. Wpadł pan pod pociąg?

– Na Krecie nie ma pociągów – przypomniałem mu.

– No tak.

Stuknęły jakieś narzędzia. Kazał mi usiąść. Spytał, czy podczas poprzedniej wizyty dostałem zastrzyk przeciwtężcowy.

Pielęgniarka dotknęła mojej rany czymś zimnym. Zapieкло. Syknałem.

– Proszę poczekać na korytarzu – powiedział lekarz do Mariny.

– Ten pan jest podejrzany w sprawie zabójstwa.

– Ten pan ma dziurę w głowie, którą muszę od nowa zaszyć i opatrzyć, bo policja nie potrafi zatroszczyć się o to, żeby aresztować człowieka w jednym kawałku. Poza tym jest niewidomy, więc raczej pani nie ucieknie. A pani mi tu roznosi zarazki. Pani Katarino – zwrócił się do pielęgniarki – proszę pokazać tej pani miejsce na korytarzu. I od razu tu wrócić, bo pacjent znowu zaczyna krwawić.

Poczułem ciepłą strużkę na szyi, więc to akurat była prawda.

W odróżnieniu od tego, co powiedział wcześniej – że skoro jestem niewidomy, to nie zwieję.

Taki właśnie miałem zamiar, chociaż lekarz nie mógł o tym wiedzieć.

Usłyszałem, jak miękkie podeszwy Katariny lekko przyklejają się do podłogi, kiedy szła do drzwi. Otworzyła je i hałas z korytarza się nasilił, ale nie na tyle, żeby zagłuszyć kroki Mariny.

Stuknęły jakieś narzędzia. Lekarz i pielęgniarka śmierzdzieli środkami dezynfekującymi, więc nie potrafiłem stwierdzić, które z nich wbiło mi igłę w potylicę i wpompowało pod skórę środek przeciwbólowy. Szkoda tylko, że nie poczekali, aż zacznie działać, tylko od razu wzięli się do szycia. Zacisnąłem zęby tak mocno, że w następnej kolejności mogła mnie czekać wizyta u dentysty. A kto wie, czy dentysta w tym szpitalu stosował znieczulenie.

Kiedy skończyli, moja szyja i kark były mokre nie tylko od krwi, ale i od potu. Pielęgniarka (na pewno ona, bo mówiła do mnie podczas zabiegu) znów przetarła mi skórę czymś zimnym, co zapieкло jak żywy ogień.

Lekarz uściśnął mi dłoń, polecił unikać pociągów i wyszedł, zaśmiewając się

z własnego żartu. Katarina kazała mi poczekać, aż wypełni dokumenty, i też wyszła. Zanim zamknęła za sobą drzwi, dobiegł do mnie głos Mariny. Chciała wejść, jednak pielęgniarka nie pozwoliła jej na to.

Zerwałem się, kiedy tylko drzwi się zamknęły. Podszedłem do nich. Nie, nie zamierzałem wymknąć się na korytarz. Po prostu musiałem zasłonić poszarpane i zakrwawione ubranie, a z tyłu drzwi zazwyczaj są haczyki, na których wieszają się lekarskie fartuchy.

W tym szpitalu też mieli taki zwyczaj.

Naciągnąłem szybko kitel i zapiąłem guziki – pilnowałem, żeby zrobić to prosto. W kieszeni znalazłem okulary przeciwsłoneczne. Uznałem, że mogą się przydać. Potem uchyliłem okno i dokonałem w myślach szybkich obliczeń.

Do szpitala weszliśmy po pięciu schodkach, czyli musiałem być na tak zwanym wysokim parterze. Droga do gabinetu prowadziła prosto – żadnych pochylni ani wewnętrznych schodów, a więc wysoki parter nie był bardzo wysoki. Dolna krawędź okna znajdowała się maksymalnie półtora metra nad ziemią – na tyle nisko, że mogłem zaryzykować.

Nie wiedziałem tylko, co jest pod spodem. Mógł tam stać kosz na śmieci, kwiatnik, wysoki krawężnik albo znajdować się wlot do piwnicy. To w sumie dałoby się łatwo sprawdzić, wystarczyłoby rzucić jakiś drobny przedmiot i posłuchać, jak spada. A jeszcze lepiej dwa, trzy takie przedmioty. Nie miałem jednak czasu na przeprowadzanie akustycznych eksperymentów.

Tak samo jak na szukanie krzesła, które mógłbym wcisnąć pod kłankę. Dlatego po prostu otworzyłem okno na całą szerokość i usiadłem na parapecie. Musiało wychodzić na boczną uliczkę – zero samochodów i prawdopodobnie zero gapiów. Nadśluchowałem przez chwilę, ale nie usłyszałem żadnych kroków, nikt też nie spytał: „Panie doktorze, co pan wyprawia?”

Odwróciłem się i powoli opuściłem z okna. Moje nogi zawisły w powietrzu. Zacisnąłem zęby i skoczyłem. Nie więcej niż pół metra, a i tak z zaskoczenia upadłem na kolana i podparłem się dłońmi. Kawałek szkła z rozbitej butelki przeciął mi palec. Podniosłem go do ust i wyssałem ranę, nie mogłem przecież wytrzeć zakrwawionej ręki o biały fartuch.

Pozbierałem się i ruszyłem przed siebie. W drodze dokonywałem obliczeń. Po wejściu do szpitala skręciliśmy korytarzem w prawo. Przeszliśmy siedemnaście kroków, potem znów w prawo i dalej prosto. Drzwi do gabinetu znajdowały się po prawej stronie.

To znaczyło, że kiedy stanąłem tyłem do muru, uliczka po mojej prawej dochodziła do frontu szpitala, głównego wejścia i parkingu. Ta po lewej – do wolności.

Szedłem energicznym krokiem, ale niezbyt szybko, by nie wzbudzać podejrzeń. Palcami lewej dłoni przesuwalem od niechcienia po fasadzie budynku.

Zatrzymałem się przy rogu ulicy, wepchnąłem fartuch w spodnie i ukryłem pod nim kołnierzyk koszuli. Liczyłem, że wyglądam jak facet w ekscentrycznym ubraniu z lat siedemdziesiątych. Grecja to nie jest bogaty kraj, tu wielu ludzi tak się nosi. To znaczy tak słyszałem.

Zrobiłem to, bo miałem nadzieję, że będą szukać ślepeca w czarnej koszuli albo w lekarskim kitlu. Nikt nie powinien zwrócić uwagi na idącego energicznym krokiem faceta w czarnych okularach przesuniętych na czubek głowy i w dziwnej białej koszuli.

Skręciłem w lewo. Nadal szedłem przy fasadzie i przesuwalem palcami po tynku. Wiązało się z tym pewne ryzyko: mogłem wpaść na śmietnik, kwietnik albo milion innych przedmiotów ustawionych przy ścianie szpitala. Miałem jednak szczęście.

Mijało mnie sporo ludzi, ale nikt na mój widok nie przyspieszał ani nie zwalniał kroku. Widocznie koszula z fartucha nie okazała się aż tak ekscentryczna. Przez cały czas ssałem palec. Wiem, że to głupio wyglądało, ale gdyby krew skapywała na ziemię, byłoby gorzej. I zostawiłbym ślady.

W końcu natrafiłem dłonią na poręcz. Ostrożnie namacałem jej kształt. Stawiałem mniejsze kroki, żeby się nie potknąć. I słusznie, była przymocowana przy kolejnych trzech schodach. Boczne wejście do szpitala.

Wszedłem do środka i skręciłem w prawo. Nie wiem, na jakim oddziale się znajdowałem. Nie miało to znaczenia. Ważne, że daleko od pokoju zabiegowego. Nacisnąłem przycisk zegarka. Od chwili mojej ucieczki minęło dziewięć minut. Pielęgniarka już na pewno wróciła do gabinetu i mnie nie znalazła, Marina na pewno już ją opieprzyła za to, że nie pozwoliła jej towarzyszyć przy zabiegu, a obie zauważyły już otwarte okno i być może także brak fartucha. Miałem tylko nadzieję, że nikt nie wpadnie na to, by szukać mnie w szpitalnym budynku.

Nie obawiałem się, że wzbudzę czyjeś podejrzenia. To, co wygląda głupio na ulicy i natychmiast zwraca uwagę przechodniów, w szpitalu jest normalne. Tutaj nie dziwi widok zdeorientowanej i zakrwawionej osoby. Problem w tym, że oprócz mnie nie było tu nikogo.

Nie słyszałem żadnych kroków, nie czułem zapachów poza szpitalną wonią lizolu. Tylko gdzieś z końca korytarza dobiegał dźwięk wiertarki, pewnie trwał tam remont. Może dlatego nie spotkałem żadnych pacjentów? Bo w chwilach, kiedy wiertarka milkła, panowała absolutna cisza, jak w grobie.

Światłówka nad moją głową brzęczała i co chwila przygasiała, czerwień pod moimi powiekami zmieniała się z ciemnej w jasną i odwrotnie. Tak, to na pewno remont, w szpitalach zazwyczaj każdy kąt jest oświetlony jak stół operacyjny.

– Halo, jest tu kto? – zawołałem. Pewnie wszędzie stoją tu narzędzia, drabiny i puszki z farbą. Nie ruszałem się z miejsca, żeby o nic się nie potknąć. – Halo!

Wiertarka ucichła. Gdzieś daleko otworzyły się drzwi. Przez całą długość korytarza dotarł do mnie smród spalonego białka.

I wtedy zrozumiałem. Było tu jak w grobie, bo to był grób. No prawie. Kostnica. A ten dźwięk wydawała piła do cięcia kości.

Dobiegł do mnie zbliżający się stukot obcasów i poczułem zapach dymu papierosowego oraz miętówek.

– O, to pan – powiedziała patolożka. W jej głosie nie słyszałem zdziwienia. – Miał pan wpaść przedwczoraj. Albo wczoraj.

Rzadko zdarza mi się, że nie wiem, co odpowiedzieć. Tak jak wtedy.

– No ale na pana szczęście jestem wolna dziś wieczorem. Musi pan tylko trochę na mnie poczekać. – Zaszleściła fartuchem, a fala zapachu papierosów, miętówek i palonej kości jeszcze się nasiliła. – Nie mogę tak po prostu zostawić trupa z odciętą do połowy czaszką wyłącznie dlatego, że przyszedł pan bez zapowiedzi. Muszę przynajmniej wsadzić mózg do formaliny.

Odchrząknąłem. Zapach formaldehydu wwierał się w mój własny mózg. Zastanawiałem się, czy obumierają od tego szare komórki.

– Tak. To znaczy chętnie.

– To wspaniale. Chce pan posiedzieć tutaj czy ze mną w sali sekcyjnej? Podobno nie ruszają pana takie widoki.

Mówiłem wcześniej prawdę – nie robiły na mnie najmniejszego wrażenia, w przeciwieństwie do zapachów.

Wybór był trudny, bo z jednej strony chyba nikomu nie wpadłoby do głowy, żeby szukać mnie tam, gdzie robi się sekcje zwłok, jednak z drugiej strony w sali sekcyjnej na pewno mają jaskrawe oświetlenie. A kto jak kto, ale lekarka, nawet taka od krojenia trupów, potrafi rozpoznać lekarski kitel i zobaczyć pod nim podartą, zakrwawioną koszulę. Poza tym, jeśli na kitlu widniało nazwisko, zorientuje się, z której części szpitala go ukradłem.

– Może lepiej poczekam tutaj.

– Aha, czyli zgrywał pan wtedy chojraka. Lubię takich. No to niech pan zaczeka. Obiecuję się pospieszyć. Mojemu pacjentowi i tak już wszystko jedno, czy zrobię to prosto czy krzywo.

Musiała gestykulować, kiedy mówiła, bo z każdym jej słowem zapach palonej kości stawał się coraz mocniejszy. Nagle perspektywa zamknięcia w areszcie wydała mi się kusząca, ale miałem jeszcze coś do załatwienia.

– Mógłbym na chwilę pożyczyć pani komórkę? – spytałem. – Moja wyleciała mi z ręki na parkingu i poszła w drobny mak.

– A, to dlatego pan nie zadzwonił? Nerwy przed randką, co? – zachichotała, a ja pokiwałem energicznie głową. – Uroczy i emocjonalny. Ja to jednak mam szczęście. Proszę, nie jest zablokowany – dodała, podając mi telefon.

– Niech się pani pospieszy – powiedziałem. – Jestem uroczy, emocjonalny

i okropnie niecierpliwy.

– I dowcipny – zachichotała znowu, a mnie przeszedł dreszcz. Posłuchała jednak. Jej kroki i zapach spalenizny zaczęły się oddalać. – Tylko niech pan nigdzie się stąd nie rusza – zaszczebiotała jeszcze z końca korytarza. Nie wiedziałem, co odpowiedzieć, ale to i tak nie miało znaczenia, bo zatrzasnęła za sobą drzwi.

Przekląłem tego, kto wynalazł smartfony. Na starych komórkach wybierałem klawisze bez trudności, tutaj mogłem tylko macać palcami po wyświetlaczu z nadzieją, że w końcu wybiorę właściwy numer.

Za pierwszym razem w ogóle nie udało mi się wyświetlić klawiatury. Za drugim i za trzecim wystukałem zły numer. Wziąłem wdech i spróbowałem odciąć się od smrodu palonej kości i wizgu piły. Powiodłem palcami po krawędziach wyświetlacza, żeby wyczuć jego wielkość. Wyobraziłem sobie klawiaturę i spróbowałem się wpasować w ten prostokąt.

Sygnal w słuchawce zabrzmiał czysto i wyraźnie.

– Słucham? – powiedziała Ifigenia.

– Ifi, to ja – mówiłem półgłosem, chociaż chyba niepotrzebnie.

– Tom?

Potwierdziłem, a wtedy się rozłączyła. I w tym momencie wiedziałem już naprawdę wszystko.

Machinalnym ruchem otarłem szybkę telefonu o spodnie i włożyłem go do kieszeni fartucha. Piła na końcu korytarza ucichła, ale i tak musiałem czekać jeszcze dwadzieścia minut. Tkwiłem na środku korytarza, bo nie wiedziałem, czy jest tu miejsce, gdzie mógłbym usiąść. Gdyby komukolwiek przyszło do głowy tu szukać, zauważyłby mnie od razu, jednak przez cały ten czas nie pojawiła się na oddziale żadna żywa dusza. A martwe mnie nie obchodziły.

Patolożka wróciła akurat w chwili, kiedy próbowałem – bezskutecznie – przypomnieć sobie, jak ma na imię. Zapach formaliny w jej włosach i ubraniu walczył teraz o lepsze z aromatem róży. Zatrzymała się przede mną bez słowa, a potem podeszła bliżej, i jeszcze bliżej, aż jej piersi oparły się o moją klatkę piersiową. Była wysoka, prawie tak jak ja. Miała szczupłe ramiona, długie mocne nogi i płaski brzuch. Nie nosiła stanika. Innego dnia, w innym miejscu i innych okolicznościach uważałbym się za szczęściarza.

– Już jestem, panie niecierpliwy – mruknęła.

– Cieszę się – wyszeptalem w jej śmierdzące włosy.

– Robieś to już kiedyś na stole sekcyjnym?

Napiąłem mięśnie.

Roześmiała się.

– Czyli jednak tylko udajesz chojraka. Spokojnie, myślałam o nowym stole, jeszcze nie używanym. Mamy jedną salę z nowym sprzętem.

Przysunęła usta do mojego ucha.

– Wiesz, tu nigdy nikt nie przychodzi. Nie będą nam przeszkadzać.

Odsunąłem odrobinę głowę.

– Mam lepszy pomysł – powiedziałem. – Robiłaś to już kiedyś na wykopaliskach?

– Prawdziwych wykopaliskach? – W jej głosie zadrżało podniecenie, jakbym był jakimś pieprzonym Indianą Jonesem. – Archeologicznych?

Pokiwałem głową. Opatrunek boleśnie napiął się na ranie, ale środek przeciwbólowy jeszcze działał.

– W prawdziwej starożytnej świątyni – dodałem, nie wspominając jednak ani słowa o tym, że nie ma tam kolumn ani marmurowej posadzki, jest za to masa kamieni o ostrych krawędziach.

– Serio? A nikt nam tam nie przeszkodzi?

– Gwarantuję. Jestem szefem tego projektu.

– No, no – cmoknęła. Decyzja zajęła jej ułamek sekundy. Przycisnęła swoje wargi do moich i całowała mnie, dopóki nam obojgu nie zabrakło tchu. A potem wyszeptała mi do ucha: – No to prowadź, szefie.

**HALASMENOS,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, PÓŹNE POPOŁUDNIE**

- Twój samochód czy mój? – spytała przy wyjściu.
- Twój. Ja nie prowadzę. Jestem ślepy.
- Ty? Ślepy? – Odsunęła się, by mi się przyjrzeć, ale nie puściła mojej ręki.
- Nigdy bym nie powiedziała. Nie masz takiej niepewności w ruchach, jaką miewają ślepcy.

Chciałem spytać, czy tak dobrze się na tym zna, jednak mruknąłem tylko:

- Dużo ćwiczę.
- Naprawdę mam szczęście – powiedziała. – Podobno niewidomi słyną z bardzo wrażliwych palców. No, przekonamy się.

Była pieprznęta, ale wybaczyłem jej to. Bo kiedy wyszliśmy na zewnątrz i zobaczyła mnie w świetle dnia, ani słowem nie skomentowała mojego dziwnego stroju. Chociaż może po prostu uznała, że to typowe ubranie na wykopaliska.

Okazała się też okropnym kierowcą. Gdybym tylko miał wybór, nigdy nie wsiałbym z nią do samochodu. Ale nie miałem. Bo minęła prawie godzina, od kiedy uciekłem ze szpitala, i pewnie ścigali mnie już wszyscy policjanci z Agios, a to niezbyt sprzyjające warunki, żeby łapać stopa, jechać autobusem czy nawet brać taksówkę. A ja musiałem jak najszybciej dostać się na teren wykopalisk.

Ostatni raz układałem puzzle jako dzieciak, z oczywistych przyczyn, coś mi jednak zostało w pamięci. Kartoniki o różnych kształtach, na każdym mały kawałeczek wzoru. Trzeba je wysypać na podłogę albo na stół i odwrócić częścią z wzorem do góry, a później długo kombinować, co do czego pasuje.

Ja też miałem wcześniej przed oczami tylko rozsypane fragmenty układanki.

Widziałem kawałki, ale nie wiedziałem, jak je ułożyć. Do momentu, kiedy jeden fragment zdecydował, że odkryłem wzór i mogłem powstawić wszystkie puzzle na miejsce.

Głos Mony, zawsze z lekką chrypką.

Wpadłem na to, kiedy słuchałem zaziębionego asystenta Mariny. I kiedy przypomniałem sobie, że tylko dzięki chrypcie mogłem wreszcie odróżnić Yacintę i Melisę. Tylko dzięki chrypcie...

Pamiętacie ten kawałek z Sherlocka Holmesa? Nie żebym zaczytywał się w kryminałach, mam dostatecznie dużo roboty, kiedy muszę przebrnąć przez najnowsze publikacje archeologiczne. Jednak to jedno zdanie zapamiętałem jeszcze z czasów, kiedy widziałem i mogłem sam czytać książki. I kiedy bawiły mnie jeszcze takie rzeczy. „Kiedy wyeliminujemy już wszystko, co niemożliwe, cokolwiek by zostało, jakkolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą”. Logika przydaje się w życiu każdemu, ale ślepcowi szczególnie. To, czego nie

widzę, muszę uzupełnić dedukcją.

„Cokolwiek by zostało, jakkolwiek byłoby nieprawdopodobne, musi być prawdą”.

Rozumiecie już?

W moim świecie muszę polegać na szczegółach pozwalających mi odróżnić jedną osobę od drugiej. Osobie widzącej trudno byłoby uwierzyć, że to takie pozornie nieznaczące drobiazgi: inna barwa głosu, inny zapach albo tkanina ubrania, która przy poruszaniu wydaje inne dźwięki.

Przyzwyczajamy się do tych drobiazgów. Traktujemy je jako coś oczywistego i z lenistwa nie wnikamy głębiej.

Melissa to była ta, która chrypiała.

Annika to była ta, która miała ciężki chód i śmierdziała potem.

A Mona to była ta, która obwieszała się podzwaniającymi bransoletkami, otaczała się obłokiem różanego olejku i mówiła z seksowną chrypką.

Gdyby zedrzyć jej te bransolety, zmyć zapach i kazać zamilknąć, nie potrafiłbym jej odróżnić od wielu innych osób, od wszystkich kobiet podobnego wzrostu i budowy ciała.

Na przykład od Ifigenii...

Gdyby Mona zdjęła biżuterię, starła olejek (a aromatu przecież nie da się tak dokładnie usunąć ze skóry, pewnie dlatego czasem czułem różę z domieszką tymianku, a czasem odwrotnie) i przestała chrypieć, mógłbym je łatwo pomylić.

I to właśnie zrobiłem.

Bo Mona nie istniała. Nigdy.

Ale nie przywidziała mi się. Nie wyśniłem jej. Nie była moją halucynacją.

Stworzyła ją Ifigenia.

Wiedziała, że szukam asystentki. I sama mi ją znalazła.

Dwa tygodnie temu nie zwróciłem uwagi na to, że zaborcza, zazdrosna narzeczona poleciła mi inną kobietę. Bardzo atrakcyjną kobietę. Dlaczego nie wzbudziło to we mnie podejrzeń? Miałem roboty po dziurki w nosie, spieszyłem się, by domknąć sprawy przed wykopaliskami, i z wdzięcznością przyjąłem, że Ifi zdejmuję ze mnie jeden obowiązek.

Tak, powinienem być bardziej podejrzliwy, ale z ręką na sercu – kto z was nigdy nie poszedł na łatwiznę?

Tylko że ja drogo zapłaciłem za ten moment nieuwagi.

Mona zawsze mówiła z lekką chrypką. Żadna sztuka chrypieć, a to całkowicie zmienia tembr głosu, nawet w uszach osoby tak wyczulonej jak ja.

Mona zawsze chodziła obwieszona biżuterią, której Ifigenia nigdy nie nosiła. Nic prostszego: mogła zakładać i zdejmować bransoletki, w zależności od tego, w kogo się wcielała.

Mona miała podobno długie włosy, ale zawsze wiązała je w kok, nawet

wtedy, kiedy kochałem się z nią po prysznicu. Ifigenia nosiła fryzurę do ramion. Kiedy była „Moną”, musiała tylko upiąć włosy do tyłu, nie potrafiłem wtedy stwierdzić, jakiej są długości. I to Mona powiedziała mi, że jest brunetką, a Ifigenia podobno miała włosy blond. Tak naprawdę równie dobrze mogła być ruda, i tak bym tego nie sprawdził.

Mona pachniała różanym olejkiem, a Ifigenia ziołami. Cóż to za filozofia wytrzeć ze skóry jeden zapach, a jego resztki zagłuszyć drugim? Upiąć włosy, a potem rozpuścić. Zdjąć i założyć bransoletki. Nic dziwnego, że żaden ze studentów nie wiedział nic o Monie. Widywali tylko Ifigenię, z włosami do góry lub rozpuszczonymi, z biżuterią albo bez, pachnącą tak albo inaczej. Ale kto, oprócz ślepcy, zwraca uwagę na takie rzeczy?

Mona nie istniała, stworzyła ją Ifigenia.

Teraz tylko chciałem się dowiedzieć, dlaczego to zrobiła.

I po to jechałem do Katalimaty. Jedyne miejsce, w którym Ifigenia musiała ze mną porozmawiać. Bo jeśli zablokuję ścieżkę prowadzącą w dół, nie będzie miała dokąd uciec.

Patolożka ścięła zakręt i gwałtownie szarpnęła kierownicą w prawo. Samochód z naprzeciwka przejechał tak blisko, że zakołysał nami pęd powietrza. Tamten kierowca przycisnął klakson i nie puszczał go, nawet kiedy już dawno nas minął.

Nie mogłem namacać uchwyty nad oknem, zresztą może go nie było, więc mocno oburącz chwyciłem się siedzenia.

I myślałem dalej.

I jeszcze ta ich kłótnia! Ten konflikt o to, która z nich lepiej zna się na ceramice. I o Matakiego, który wyciągał Ifigenii etykiety spośród skorup i którego ona tak nienawidziła...

A teraz wychodziło na to, że sama zepchnęła swojego psa w przepaść...

– Czemu jesteś taki zamyślony, Tom? – Patolożka uznała, że wobec zbliżającego się seksu powinniśmy przejść na ty.

– Ślepcy mało mówią – odpowiedziałem. – Ciągłe muszą nadśłuchiwać.

Roześmiała się, a jej śmiech brzmiał, jakby ktoś wysypał na schody szklane kulki. Po to, żeby ktoś inny złamał nogę.

A ja myślałem dalej.

Próbowałem sobie przypomnieć jeden raz, chociaż jeden, jedyny raz, kiedy rozmawiałbym z Moną i Ifigenią jednocześnie.

I nie mogłem.

Bo takiego razu nie było. Zawsze jedna z nich wychodziła, a dopiero potem pojawiała się druga. Począwszy od momentu, kiedy po raz pierwszy rozmawiałem z Moną. Ifi wbiegła wtedy do mojej pracowni, powiedziała, że zaraz przyjdzie ta nowa dziewczyna i że sama się spieszy, więc zobaczymy się później. I wybiegła.

A dopiero po chwili weszła Mona...

Nawet wczoraj wieczorem. Mona odwróciła głowę w stronę, z której rzekomo nadeszła Ifigenia, a ta odezwała się dopiero wtedy, kiedy Mona spadła w przepaść. Wiatr porywał zapachy i zagłuszał odgłosy kroków, czyniąc mnie całkowicie ślepy.

Przeszedł mnie dreszcz. Patolożka położyła mi rękę na udzie. Przesunęła ją do góry, ale po chwili musiała cofnąć dłoń, żeby zmienić bieg. Podziękowałem w myślach wynalazcy ręcznej skrzyni biegów i cofnąłem nogi jak najdalej w lewo.

I myślałem nadal.

Mona nigdy nie istniała, więc wczoraj wieczorem nie mogłem zepchnąć jej z Katalimaty. Nigdy nie spadła i dlatego nie mogłem znaleźć jej ciała. Ifigenia krzyknęła, a potem pewnie kopnęła duży kamień, bym usłyszał dźwięk i wziął go za uderzenie ciała o ziemię.

Patolożka wyciągnęła rękę i pogłaskała mnie po głowie. Jej dłoń natrafiła na świeżo zaszytą ranę. Syknąłem z bólu.

– Do wesela się zagoi – powiedziała.

Z pewnością. Nie planowałem ślubu, nigdy.

Próbowałem odgonić ból i myśleć dalej.

Teraz już wiedziałem, dlaczego Linda, właścicielka pensjonatu, trzymała swoje rzeczy w pokoju Mony. Bo Mona wcale go nie wynajmowała. Pewnie od zawsze stał pusty i Ifigenia dobrze o tym wiedziała. Mogła go wykorzystać, jak tylko chciała. Mogła podrzucić do szafy i łazienki kilka swoich rzeczy tuż przed tym, zanim napisała do mnie tego esemesa o kościanej rączce...

I wiedziałem już, dlaczego zabiła Oliwię. Przedtem wydawało mi się to absurdalne, a teraz stało się logiczne: Oliwia, która ciągle wypatrywała złodzieja, musiała zorientować się w tej całej maskaradzie. I dlatego, kiedy mocno spałem, Ifigenia zeszła do pracowni i uderzyła Oliwię w głowę kamiennym posążkiem.

– Halo, Ziemia do Toma – powiedziała patolożka tak nagle, że podskoczyłem, co znowu pobudziło ją do śmiechu. Ale może nie powinienem jej zbyt surowo osądzać, może jak człowiek cały dzień siedzi z trupami, szuka każdej okazji, by się pośmiać.

Myślałem.

Moja dziewczyna wcale nie chciała, żebym się dowiedział o kradzieżach Mony. I na pewno nie chodziło jej o złoty skarb, pewnie zresztą nie miała o nim pojęcia. Chciała, bym został uznany za wariata, który gada z nieistniejącymi osobami.

Nie wiedziałem tylko jednej rzeczy: dlaczego? Dlaczego tak strasznie jej na tym zależało, że wymyśliła skomplikowaną i ryzykowną grę? Że zabiła Oliwię? Że okłamywała policjantkę?

I właśnie po to jechałem do Katalimaty. Musiałem się tego dowiedzieć.

Rzuciło mną w lewo, prosto w ramiona patolożki, kiedy skręciła ostro w drogę na Ierapetrę. Poklepała mnie po ramieniu i leciutko odepchnęła.

– Jeszcze chwilę, Tom. Lubię napalonych facetów, ale teraz muszę skoncentrować się na prowadzeniu.

Odsunąłem się w przeciwną stronę i spróbowałem znowu uczepić siedzenia, jednak musiałem je puścić, kiedy zjechaliśmy z asfaltu na żwir, a później na ziemną drogę. Auto nie zwolniło, podskakiwało na każdej dziurze, a ja musiałem zaprzeć się o podsufitkę, żeby osłonić głowę. Zastanawiałem się mgliście, czy zwalimy się w przepaść, zanim dowiezie nas na miejsce.

Ale dojechała do końca drogi i zahamowała tak gwałtownie, że poleciałem na deskę rozdzielczą. Pasy się nie zablokowały.

– Oj, przepraszam, Tom – powiedziała. – Już dawno powinnam pojechać do warsztatu. To stary trup, co chwila coś się w nim psuje.

A potem ujęła moją głowę i w ogóle nie przejmując się opatrunkiem ani raną, która w jej uścisku bolała jak cholera, pocałowała mnie prosto w usta.

– Tutaj czy na zewnątrz? – zapytała.

Odsunąłem się.

– Na zewnątrz. – Starąłem się nadać mojemu głosowi zdecydowane brzmienie.

Otworzyła drzwi, usłyszałem, jak stawia stopy na żwirze podjazdu, a potem wysiada. Jej buty zaszurały, musiała obrócić się wokół własnej osi.

– Ale tu pięknie! – krzyknęła, chociaż znajdowałem się metr od niej i słyszałem wyraźnie każde słowo. – O, tu stoi jakiś samochód. Nie jesteśmy sami.

Nie myliła się. Gdzieś na górze, w Katalimacie, była Ifigenia. Nie powiedziałem tego jednak głośno, tylko:

– Wczoraj się zepsuł, nie mieliśmy czasu odholować. Jesteśmy sami, gwarantuję.

Wysiadłem ostrożnie, bo nie miałem gwarancji, że nie zaparkowała tuż nad krawężnią zbocza. Gdy udało mi się namacać stopą grunt, przycisnąłem się do boku samochodu i przesunąłem w jej stronę.

Staliśmy na parkingu koło Halasmenos, jednak to wszystko, co wiedziałem: nie potrafiłem określić kierunków. Niebo zaciągnęło się lekkimi chmurami i w rozproszonym świetle promienie słoneczne nie padały z żadnej konkretnej strony. Wiatr ucichł. Czuję tylko zapach ziemi, trochę spalin z drogi i lekko uchwytny, zawsze obecny aromat soli morskiej. Wciągnąłem tę mieszankę mocno w płuca.

Patolożka podeszła i ujęła mnie pod rękę.

– Masz tu jakieś ulubione miejsce? – odezwała się.

– Musisz mi pomóc tam dojść.

– Och, z przyjemnością.

Wtuliła się pod moje ramię i objęła w pasie. Ciężko mi się w ten sposób szło, ale przylgnęła tak mocno, że nie było sensu jej odpychać.

– Widzisz przed sobą takie niewysokie murki? – spytałem.

Pokiwała głową, co niespecjalnie przydaje się w rozmowie ze ślepcem. Chyba powinienem jej o tym powiedzieć, miałem jednak nadzieję, że nasza znajomość potrwa krótko i ta nauka do niczego jej się nie przyda.

– To znajdź prześwit między nimi. Tam z tyłu, prostopadle do nich, znajduje się droga, no, taka ścieżka, też z obu stron flankowana murkami.

– Flankowana – parsknęła. – Czy wszyscy archeolodzy używają takich staroświeckich słów?

Objąłem ją w talii i zmusiłem, żeby ruszyła z miejsca.

– Wiesz, nigdy nie byłem na wykopaliskach – wyznała. – A mieszkam tu od urodzenia.

– Mhm.

– I wy tu tak kopiecie? – pytała, kiedy szliśmy. – Tak po prostu odkopujecie to wszystko? Łopatom?

– Mhm.

– Sami? Własnoręcznie?

– Mhm.

– Strasznie dużo tego tutaj. – Pokręciła głową, pewnie rozglądała się dookoła. – A ja myślałam, że już nic nie zostało do odkopania.

– Mhm.

– A znaleźliście jakieś złoto?

A i owszem, proszę szanownej pani. Znaleźliśmy, a konkretnie to ja znalazłem. Rozpieprzając przy tym pół świątyni i niszcząc bezpowrotnie jej stratyografię.

Ale powiedziałem jedynie:

– Jeszcze tylko kilka kroków. Ścieżka zaraz powinna skrócić w prawo.

– To naprawdę fascynujące. – Znowu się rozejrzała. – Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie wykopaliska.

– Mhm. A teraz skrócić w lewo. Tam powinien być murek trochę wyższy od innych.

– Jest! – ucieszyła się. – Jak ty to wszystko zapamiętujesz?

– Mam swoje sposoby. Jeszcze kawałek... Dobra, jesteśmy na miejscu.

Przytuliła się do mnie mocniej, obróciła przodem i przycisnęła usta do moich. Jej zęby raniły mi wargi.

– To będzie seks twojego życia – powiedziała, kiedy wreszcie zabrakło jej tchu, i położyła mi dłoń na podbrzuszu.

Mój penis był twardy jak skały, na których patolożka chciała uprawiać seks życia. Nienawidziłem się za to.

Znowu wpiła mi się w usta. Wbrew temu, co głosiło moje ciało, nie miałem ochoty na seks ani na przytulanki, ani na romantyczne sceny w starożytnych ruinach. Jedyne, czego chciałem, to wydusić z Ifigenii dłaczego. Tylko tyle. A co będzie potem, to już mnie nie obchodziło. Potem mogłem uprawiać seks nawet ze wszystkimi patolożkami z Agios.

– Muszę... – wykrztusiłem. – Przepraszam cię na chwilę.

– O, do tego jesteś wstydlivy. Naprawdę trafił mi się tym razem uroczy partner.

Przełknąłem ślinę po „tym razem”.

– Nie jestem tylko pewna, czy uda ci się wysikać w takim stanie. – Musnęła palcami moje podbrzusze. – To fizjologicznie trudne, wiesz?

– Mimo wszystko spróbuję. – Odsunąłem jej dłoń, wcale nie delikatnie. – Poczekaj tu na mnie. To może chwilę potrwać.

Nie chciałem, żeby po dwóch minutach zaczęła mnie szukać.

– Może ci pomóc? – Znowu pogładziła moje krocze. – Przecież jesteś ślepy.

– Poradzę sobie. – Odepchnąłem jej dłoń i odszedłem.

Z pewnością za mną patrzyła i nic nie mogłem na to poradzić, ale wiedziałem, że uzna za całkiem naturalne, gdy skieruję się w stronę wejścia do wąwozu, gdzie zaczynało się piarżysko. Poza nim nie było na całych wykopaliskach miejsca, gdzie mógłbym się dyskretnie odlać.

Przez dłuższą chwilę nie potrafiłem ustalić, gdzie się znajduję. Pochyliłem się i ruszyłem przed siebie, macając dłonią murki i licząc kroki. Nic to jednak nie dało, nadal nie wiedziałem, gdzie jestem. Panika ścisnęła mnie za gardło. Czułem się jak kompletny ślepiec.

A potem wyprostowałem plecy i wziąłem dwa głębokie wdechy. Wystawiłem twarz do wiatru. Wciągnąłem w płuca zapach morza. Nacisnąłem przycisk zegarka. Szesnasta dwanaście. Promień słońca przedarł się zza chmur i szybko oceniłem, pod jakim kątem oświetla mi bok głowy. Znowu się pochyliłem i z dłonią na murku przeszedłem do narożnika, po czym skręciłem. Policzyłem kroki do następnego narożnika i już wiedziałem, że stoję obok ósemki.

Nie potrafiłem opanować odruchu i obejrzałem się za siebie.

– Tu jestem! – krzyknęła patolożka i dałbym sobie głowę uciąć, że pomachała przy tym ręką, chociaż dobrze wiedziała, że nie mogę tego zobaczyć. – Nie mogę się już doczekać. Pospiesz się!

Moje ruchy z pewnością wyglądały niezdarnie i bałem się, że będzie chciała ruszyć mi na pomoc, więc zdjąłem dłoń z murka, wyprostowałem się i licząc kroki, poszedłem przed siebie, byle dalej od niej. Minąłem siedemnastkę, przeszedłem obok dwójki i dotarłem do miejsca, gdzie znalazłem ciało Iwony Wojnar, turystki z jakiegoś dziwnego kraju we wschodniej Europie, od której zaczęła się ta cała historia. Dotarłem do pionowej skały. Położyłem na niej lewą dłoń. Znajdowałem

się dokładnie tam, gdzie spadł Matak. Jeśli Ifigenia dostrzegła z góry samochód i obserwowała mnie, to był to najlepszy moment, żeby spuścić mi coś na głowę. Będzie mogła powiedzieć tej policjantce: „Ups, kolejny tragiczny wypadek. Kamienie ciągle spadają ze skał. A w ogóle po co Tom tam łąził? Czy nie mieliście go pilnować na posterunku? Przecież wam mówiłam, że on jest ostatnio jakiś zagubiony”.

I nikt nie dopatrzyłby się w tym niczego dziwnego.

Przemogłem się, żeby ruszyć z miejsca. Ciągle odruchowo kulilem ramiona w oczekiwaniu na głaz, który zmiażdży mi czaszkę, ale zrobiłem krok, potem drugi i wciąż nic na mnie nie spadło. Albo Ifigenia nie zauważyła mojej obecności, albo uznała, że jeszcze nie czas, żeby ze mną skończyć. Musiałem się spieszyć – patolożka w każdej chwili mogła stracić cierpliwość i wyruszyć na poszukiwanie obiecującego kochanka.

Z jedną dłonią na skale dotarłem do głazów piarżyska i zacząłem się wspinać.

Za drugim razem wcale nie szło mi to lepiej niż za pierwszym. Miałem wrażenie, że kamienie straciły stabilność. Jakby ktoś specjalnie je poprzesuwał, żebym nie mógł znaleźć oparcia dla nóg. Każdy głaz, jakiego dotykałem, zsuwał się na dół. Kilka razy, a może kilkanaście, nie liczyłem, ja też zjechałem parę metrów. Staralem się nie hałasować, ale sami spróbujcie być cicho, osuwając się z lawiną kamieni. Bałem się, że patolożka usłyszy, wlezie tu za mną i stracę jedyną okazję wydobywania z Ifigenii prawdy. Chociaż może straciłem ją już dawno temu.

Kiedy dotarłem na ścieżkę trawersującą zbocze, po prostu zwałem się na plecy i ciężko dyszałem. Było mi wszystko jedno, czy Ifigenia (która musiałaby być tak samo głucha jak ja ślepy, żeby nie usłyszeć łoskotu kamieni na piarżysku) znajdzie mnie tutaj. Miałem gdzieś, czy dopadnie mnie patolożka. Miałem nawet gdzieś to, że ostre odłamki na ścieżce rozcinały mi skórę na plecach. Leżałem z twarzą obróconą do słońca i łapczywie chwytałem ustami każdy podmuch wiatru.

W końcu powoli przekręciłem się na bok, a potem podparłem rękami i kolanami i dźwignąłem. Nie przyszedłem tu przecież, żeby się opalać. Przycisnąłem palce do czaszki. Mój świat nie chciał wrócić na swoje miejsce. W skroniach mi pulsowało, a uszy zatkały się jak podczas startu samolotu. Musiałem kilka razy przełknąć ślinę, żeby znowu zacząć słyszeć.

I usłyszałem. Wołanie z dołu, moje imię. Patolożce znudziło się czekanie, a może uznała, że naprawdę potrzebuję pomocy. Nie mogłem pozwolić, żeby tu za mną wlaźła.

– Poczekaj na mnie! – odkrzyknąłem, ale nie ruszyłem się z miejsca. Leżałem płasko na kamieniach, żeby nie zorientowała się, skąd dochodzi mój głos.
– To jeszcze chwilę potrwa.

– Nie spiesz mi się! Przyjemnie jest posiedzieć trochę na słońcu, dla

odmiany!

Nie odpowiedziałem. I tak zaalarmowałem już pewnie Ifigenię. Odczekałem jeszcze kilka sekund, a potem oparłem dłonie o ścianę i wstałem. Zakręciło mi się w głowie, wczepiłem palce w szczeliny w skale. Jeszcze jeden taki zawrót głowy i runę w przepaść. I nigdy nie dowiem się prawdy.

Nie odważyłem się tak po prostu iść przed siebie. Przyłgnałem do kamiennej ściany i przesuwalem się powoli, a ostre występy rozrywały mi koszulę w tych nielicznych miejscach, gdzie jeszcze była cała. Ale nie odsunąłem się od skały nawet na milimetr.

Trwało to godzinami, dniami, całymi miesiącami. Wydawało mi się, że mijają archeologiczne wieki i że kiedy wreszcie dotrę na miejsce, w najlepszym razie zastanę szkielet Ifigenii przysypany piaskiem. I nagle skała skręciła pod moimi plecami. Zmienił się kąt padania promieni słońca na moją twarz. Dotarłem do Katalimaty.

Przesunąłem się wzdłuż ściany jeszcze trzy metry i odważyłem się wreszcie oderwać plecy od skały.

– Ifi?

Niepotrzebnie pytałem, czułem przecież wyraźnie zapach dzikiego tymianku i oregano, ale ona i tak odpowiedziała:

– Jestem tutaj.

Drgnąłem, dopiero kiedy usłyszałem drugi głos, ten z chrypką:

– I ja też, Tom.

**KATALIMATA,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, PÓŹNE POPOŁUDNIE**

– Możesz się odkleić od ściany – powiedziała Ifigenia. – Masz przed sobą spory równy kawałek, bez żadnych wykopów. I daleko od przepaści.

Była ostatnią osobą, której mogłem wierzyć, ale zrobiłem to. Odsunąłem się od skały, pomacałem nogą przed sobą i natrafiłem tylko na ubitą ziemię i zaledwie kilka skalnych odłamków. Rozluźniłem mięśnie.

– Powinieneś teraz coś powiedzieć, Tom – zwróciła mi uwagę Mona.

Pewnie tak. Tylko nie wiedziałem co.

– Może chciałbyś o coś spytać?

O całą masę rzeczy. A jednak nadal się nie odzywałem.

– No dawaj – syknęła Ifigenia. – Nie mamy całego dnia.

Odwróciłem głowę w kierunku, z którego słyszałem wcześniej głos Mony.

– Więc ty jednak istniejesz?

Zmartwychwstała Mona też nosiła te pieprzone bransoletki, rozdzwoniły się na jej nadgarstku, kiedy obie parsknęły śmiechem. Ale nie czułem się urażony. W końcu zadałem jedno z najgłupszych pytań.

– A myślałaś, że on w to nie uwierzy – prychnęła Ifigenia, gdy już przestała się śmiać. – Chociaż ci mówiłam.

– Mówiłaś. – W głosie Mony ciągle brzmiały ślady śmiechu. – W końcu znasz go lepiej niż ja.

– No, w każdym razie dłużej – sprostowała Ifigenia. – I mówiłam ci też, że tak długo będzie przeprowadzał te swoje dedukcje, aż dojdzie do właśnie takiego wniosku: że nigdy nie istniałaś.

– Dobra, dam ci te pięćdziesiąt euro, jak tylko znajdę bankomat.

Rozmawiały o mnie tak, jakbym ich nie słyszał. Wkurwiło mnie to. I jeszcze założyły się o to, co zrobię!

– Chcesz wiedzieć dokładnie, jak to wszystko zorganizowałyśmy, Tom?

– Wiem – warknąłem.

Zakręciło mi się w głowie. Obróciłem się i wyciągnąłem ręce w kierunku, gdzie powinna być skalna ściana, ale trafiłem w pustkę. Zatoczyłem się i upadłem na kolana.

– Och, ale na pewno nie domyślasz się wszystkich szczegółów – dotarło do mnie niewyraźnie, jakbym napchał sobie waty do uszu. Potrzasnąłem głową, żeby lepiej słyszeć.

– To wcale nie było łatwe, chować się po kątach i uważać, żeby nikt mnie nie zobaczył – powiedziała Mona. – I dlatego Ifigenia przedstawiła mnie jako swoją kuzynkę. Oficjalnie przyjechałam na wczasy i głównie spędzam czas na

plaży. A, i dla twojej wiadomości, Tom: nie mam ciemnych włosów ani brązowych oczu. Jestem błękitnooką blondynką. I oczywiście nie nazywam się Mona Abano.

– A jak?

– Chyba nie myślisz, że ci powiem.

Wspominałem już chyba, że ćwiczę pamięć i potrafię przypomnieć sobie wiele rzeczy, nawet z pozoru nieistotnych. W tamtym momencie przypomniałem sobie o telefonach od faceta, który chciał rozmawiać z Annie. I nie chodziło wcale o zdrobnienie imienia Annika. A potem przypomniałem sobie, co powiedziała policjantka: „Mona Anna Abano nie istnieje i nigdy nie istniała”.

– Anna jak? – spytałem.

– Mówiłam ci, że on w końcu się domyśli – syknęła Mona.

– To nieistotne – odparła Ifigenia. – Anna to popularne imię, a reszty się nie dowie.

Usiadłem. Ścisnąłem głowę w dłoniach, jednak ból czaszki tylko narastał. Czerwień pod moimi powiekami stała się jaskrawa, ale nie mogłem zamknąć oczu, żeby się jej pozbyć.

– No i prawie się udało – powiedziała Mona.

Uczepiłem się tego „prawie”.

– Czyli zobaczyła was Oliwia.

– Nie nas, tylko mnie – sprostowała. – Kiedy wychodziłam z twojego pokoju po tym, jak oskarżyłeś mnie o kradzież.

– I dlatego musiała umrzeć. – Pokiwałem głową. To był błąd. Ból nasilił się jeszcze bardziej i na moment znowu straciłem orientację. Kiedy ją odzyskałem, Ifigenia mówiła:

– ...myślałam, że nigdy nie zaśniesz. Co próbowałam wstać z łóżka, przekręcałeś się na drugi bok. Ty rzeczywiście masz doskonały słuch. Przez ciebie tamtej nocy okropnie się nie wyspałam.

Zabiła Oliwię i narzekała, że się nie wyspała. Nigdy nie zrozumieć logiki niektórych kobiet.

– Ja wiem, o co chcesz zapytać, Tom – dodała tak cicho, że musiałem podnieść głowę, żeby ją usłyszeć. – Wiem, bo jednak dobrze cię znam. Chcesz zapytać o te esemesy.

Pokręciłem głową. Przy każdym ruchu żelazne śruby zaciskały mi na czaszce imadło.

– Nie, to w sumie logiczne – powiedziałem. – Jeśli chcieliście, żeby uznano mnie za wariata, esemesy były dobrym pomysłem. Podejrzywałem o kradzież zabytków z wykopalisk kogoś, kto nie istnieje.

– Na początku chcieliśmy skierować podejrzenie na ciebie – przyznała Mona. – Chcieliśmy cię wrobić w nielegalny handel zabytkami.

– Ach, więc to... To dlatego ci turyści mieli w plecaku naszą ceramikę...

Skąd ty ich w ogóle wytrzasnąłaś?

– Wystarczyło wypatrzeć na wykopaliskach dwójkę frajerów, jak niby zwiedzają, ale naprawdę ładują skorupy cichaczem do kieszeni. Zaproponowałam, że za drobną opłatą przywiozę im coś lepszego. Nawet nie wiesz, jak się ucieszyli.

– Włożyłam te skorupy do foliowej torebki, której wcześniej dotykałeś, żeby znalezione na niej twoje odciski palców – dodała Ifigenia.

Niepotrzebnie się wysilała. I tak zostawiłem je później w komisariacie.

– Ich też zabiłaś? – spytałem. – Tych Wojnarów, czy jak oni się nazywali?

– Nie bądź głupi, Tom. To był naprawdę wypadek na polowaniu. Ja zamierzałam po prostu zadzwonić do celników na lotnisku.

– Przez to wszystko wyszło inaczej – ucięła Mona.

– Uznaliśmy, że jak pokażesz te esemesy policji, na pewno wezmą cię za wariata – dodała Mona. – Może nawet dojdą do wniosku, że sam je sobie przesłałeś z innego telefonu. Tego, który znaleźli u ciebie w szafce nocnej.

Westchnąłem.

– Ty go podrzuciłaś czy Ifigenia?

– Nie, no Ifi, wiadomo. Łatwiej było jej to zrobić niż mnie, znała dokładnie rozkład wnętrza i gdyby pojawił się ktoś z policji, mogłaby po prostu powiedzieć, że przyszła po swoje rzeczy.

– Kiedy?

– Coś ty taki drobiazgowy, Tom? – warknęła Ifigenia. – Czy to ważne kiedy...

– Nie pokazałem ich policji – przerwałem jej.

– Co?

– Nie pokazałem tych esemesów policji.

Nie odpowiedziały, ale usłyszałem, jak zaskoczona Mona wciąga powietrze.

– Dlaczego? – spytała po chwili Ifigenia.

Bo chciałem cię chronić, głupia cipo. Bo miałem nadzieję, że sam cię przekonam, żebyś przestała grać w tę idiotyczną grę.

Tylko odchrząknąłem.

– Dużo dostałyście za tę ceramikę?

– No bez jaj, Tom... – zaczęła Ifigenia, a Mona równocześnie odpowiedziała:

– Dwieście pięćdziesiąt.

Gwizdnąłem, ale nie z uznania.

– Nieprzesadnie – powiedziałem. – Romanos na pewno wyciągnął więcej.

– Romanos? – Ifigenia naprawdę się zdziwiła. – Nie wiem, o czym mówisz.

Podniosłem głowę i obróciłem się lekko, żeby skierować twarz prosto na nią.

– O złotym skarbie. O trzech złotych pierścieniach, które znajdowały się bezpośrednio pod depozytem z ceramiką, rączką i bykiem. I do których nie dokopał się Jason, bo był za bardzo zajęty podrywaniem Sarah.

– Złote pierścienie? – powtórzyła Mona.

Przytaknąłem.

– A tak.

– Cholera. Można by je opchnąć za dużą sumę.

– Daj spokój – zgasiła ją Ifigenia. – Taki skarb to tylko kłopoty.

– Skąd wiesz? – spytałem. – Masz już w tym względzie jakieś doświadczenie?

Nie odpowiedziała. A ja nie pytałem dalej, bo ucisk w mojej głowie narastał. Wziętem głęboki wdech, bałem się, że zaraz zemdleję.

– Dobra, kurwa – warknęła. – Starczy już tej rozmowy.

– Powiedz mi tylko... – Ledwo słyszałem własne słowa przez szum w uszach. – Powiedz mi, po co to wszystko. Skoro było ci ze mną tak źle, mogłaś odejść w każdej chwili. Przecież cię nie trzymałem.

– Naprawdę niczego nie rozumiesz, co, Tom?

– Ifi, daj spokój. – Nagle poczułem, jak ogarnia mnie zmęczenie tak silne, że nie mogę podnieść ręki. – Gdybym wiedział, o co ci chodzi, tobym nie pytał.

Podeszwy jej butów zgrzytnęły na kamieniach. Podeszła kilka kroków w moją stronę.

– Mogłam w każdej chwili odejść. Ty mnie nie trzymałeś.

Kiwnąłem głową i zaraz znowu ścisnąłem ją dłońmi.

– Ty mnie nie trzymałeś – powtórzyła miękko.

Nic z tego nie rozumiałem. I musiała to zobaczyć na mojej twarzy, bo nagle kopnęła kamień.

– Ty mnie nie trzymałeś! – wrzasnęła, a po wąwozie potoczyło się echo. – Nie trzymałeś mnie! Mogłam odejść. I mogłam zostać, jeśli chciałam. Mogłam wpaść do ciebie na noc na bzykanko, ale jeśli tego nie zrobiłam, nie przeszkadzało ci to. Mogłam cię kochać najmocniej na świecie, a ty i tak flirtowałeś z każdą napotkaną dziewczyną! I całowałeś się ze swoją asystentką.

Przy ostatnich słowach poczułem na twarzy drobne kropelki jej śliny. Musiała stać naprawdę blisko.

– Ja też cię kochałem, Ifi. Kocham cię – poprawiłem się szybko. – Nie powiedziałem policji, że to ty zabiłaś Oliwię. Nie pokazałem im esemesów. Bo chciałem cię ochronić.

Milczała.

– Powiedziałem im, że to ja. Wzięłem całą winę na siebie, Ifi. Bo cię kocham.

– Nieprawda.

– Chyba wiem lepiej. – Znowu poczułem, jak ogarnia mnie irytacja na jej głupi upór. Wciągnąłem głęboko powietrze, żeby się opanować. – Kocham cię, Ifi.

– Nie kochasz mnie – powtórzyła. – Albo kochasz w jakiś swój pokręcony

sposób. Ale nie dlatego nie wydałeś mnie policji. Po prostu zżerały cię wyrzuty sumienia. Naprawdę uwierzyłeś, że śmierć Oliwii i Mony to twoja wina.

Nie zaprzeczyłem. Miała rację.

– Czyli to zemsta z zazdrości? – spytałem tylko.

– Pieprz się, Tom!

Pociągnąłem nosem. Znowu poczułem domieszkę olejku różanego w zapachu dzikiego tymianku. Tym razem na pewno oba zapachy dobiegały od Ifigenii, tylko ona stała pod wiatr.

Wtedy zrozumiałem.

– Kłamiesz, Ifi – powiedziałem. – Nie kochałaś mnie. To oczywiście nie ma w tej chwili znaczenia, ale takie są fakty. Może to była jakaś przelotna fascynacja, może seks, sam nie wiem. Ale na pewno nie miłość, ani nawet zakochanie.

– Skąd ty to możesz wiedzieć?

– A stąd – mówiłem spokojnie, jak na wykładzie o ceramice – że wszystko sobie zaplanowałaś. Związek ze mną, który pomógł ci poznać od środka pracę Kentro. Zresztą tylko dlatego zgodziłaś się przez jakiś czas być moją asystentką. Potem ściągnięcie Mony, to jest, przepraszam, Anny, twojej partnerki i kochanki, na Kretę i podetknięcie mi jej pod nos, dosłownie. Przecież ty nieomal zmusiłaś mnie, żebym ją zatrudnił.

Ifigenia prychnęła.

– Potem pałeczkę przejęła Anna i poderwała mnie, oczywiście tak, żeby wydawało mi się, że to mój pomysł. Jednocześnie udawała konflikt z tobą, żebym za bardzo nie wnikał w sytuację. Przecież wiadomo, że każdy facet woli się trzymać jak najdalej od dwóch kłócących się kobiet. A potem zaczęłyście wdrażać w życie główny plan. Próba oskarżenia o nielegalną sprzedaż zabytków, esemesy i przekonywanie wszystkich, że mną włącznie, że zwariowałem i wyobraziłem sobie jakąś asystentkę. Od początku tak miało być.

Któraś z nich kopnęła kamień. Potoczył się i spadł w przepaść.

– Czyli wszystko jasne – powiedziałem. – Zgłaszam się na policję, że zamordowałem asystentkę, niewidzialną asystentkę. Kiedy nikt mi nie wierzy, uciekam, bo nie chcę stawić czoła faktom. Z powodu wyrzutów sumienia wspinam się na Katalimatę i rzucam się w przepaść. Tak to ma wyglądać?

– Mniej więcej – mruknęła Mona, chociaż to nie ją pytałem.

– A po twojej śmierci – dodała Ifigenia – ja wygrywam konkurs na kierowanie Kentro. Bo przez te wszystkie miesiące, kiedy pracowałam jako twoja darmowa asystentka, doskonale przygotowałam się do kierowania ośrodkiem badawczym! – Znowu krzyczała, a kropelki jej śliny wylądowały na mojej twarzy.

– Czyli dlatego, że pocałowałem, a potem przeleciałem moją asystentkę, mam zostać uznany za wariata i zrzucony ze skały, a ty obejmiesz Kentro. Nie sądzisz, że to trochę zbyt wysoka kara?

– Nie pochlebiaj sobie, Tom – odpowiedziała Ifi. – To nie żadna kara. Po prostu tak to zaplanowałyśmy.

– Okej, czyli ty zostaniesz szefową Kentro. A ona? – Pokazałem podbródkiem w stronę Mony. – Potem będziecie żyły razem długo i szczęśliwie.

– Przynajmniej spróbujemy – powiedziała Mona głucho.

– No dobra. – Usłyszałem, jak Ifigenia się porusza, otrzepuje ręce o spodnie.

– Musimy się zbierać.

Podeszła jeszcze bliżej. Ja też podniosłem się z ziemi i otrzepałem dłonie. Taki odruch archeologa, który zawsze ma ręce powalane ziemią.

– A kto zepchnął z góry Matakiego? – spytałem jeszcze.

– A jak myślisz?

– Aż tak go nienawidziłaś...

– Miałam go w dupie. Wcale go nie nienawidziłam. Przecież to nie on zezwał te etykiety z ceramiki. Nie bądź dzieckiem, Tom.

To prawda, byłem naiwny jak dziecko. Myślałem, na przykład, że mnie kochała. Nieźle udawała.

– Marnie wyglądasz. – Zatrzymała się krok przede mną.

– Dopiero teraz to zauważyłaś? – warknąłem.

– Nie, już wcześniej – odparła spokojnie. – Jak ci się udało dostać na teren wykopalisk? Przecież nikt nie wzięłby cię na stopa w takim stanie.

Nigdy byś nie zgadła.

– Słuchaj, Ifi – powiedziała nagle Mona, szybko, jakby się gdzieś spieszyła.

– A może lepiej będzie po prostu zadzwonić do Mariny i powiedzieć, że Tom jest tutaj, w Katalimacie, i że ci grozi. Niech jak najszybciej przyjadą go aresztować.

– Nie będzie lepiej. – Głos mojej byłej narzeczonej brzmiał głucho. – Zostajemy przy planie A. Po prostu go zrzucimy. Ale nie tak, jak on ciebie. Tym razem naprawdę, jak Matakiego.

**KATALIMATA,
PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, PÓŹNE POPOŁUDNIE**

Zrobiłem krok do tyłu.

– Wszyscy pomyślą, że to samobójstwo – powiedziała Ifigenia.

– No – dodała Mona. – Że załamałeś się nerwowo po tym, jak przez ciebie spadłam.

– Nie, no coś ty, nie spadłaś – poprawiła ją Ifigenia. – Tomowi wydawało się, że spadłaś. Tak jak wydawało mu się, że ma asystentkę.

– A tak. – Mona roześmiała się. – Już wszystko mi się myli. No to każdy pomyśli, że zwariowałeś.

Przesunąłem się jeszcze bardziej do tyłu, aż poczułem za sobą skałę. Przycisnąłem do niej plecy.

– Daj spokój, Tom. To nic nie da.

– Jesteś jeden, a my dwie. I mamy niezłą krzepę od pracy na wykopaliskach, jak to archeolożki.

Ifigenia się zaśmiała, krótko i nieprzyjemnie.

– Nawet jeśli będziesz się z nami szarpał, i tak zaciągniemy cię nad przepaść i zepchniemy. Tylko że to dłużej potrwa i bardziej zaboli.

– Nie musi się szarpać – zauważyła w zamyśleniu Mona. – Wystarczy walnąć go kamieniem w głowę.

– To prawda. Potem nie da się tak idealnie ustalić, które obrażenia miały miejsce kilka sekund przed śmiercią, a które kilka sekund po.

– Poza tym – weszła jej w słowo Mona – gdy ktoś spada z takiej wysokości, obija się po drodze o półki skalne. Każde z uderzeń może być bezpośrednią przyczyną śmierci.

– No to ustalone. Zamiast szarpać się z tobą, Tom, walniemy cię kamieniem w głowę, a potem zaciągniemy na krawędź przepaści i zrzucimy. Nawet tego nie zauważysz.

Obie zachichotały, jakby to było naprawdę śmieszne.

– Zbrodnia idealna – wybełkotałem. Język miałem sztywny i ledwo potrafiłem wymawiać słowa. – Nawet nikt nie uzna za podejrzane, że pełno tu waszych śladów. Przecież prowadziłyście wykopaliska.

– Ja prowadziłam, Tom – poprawiła mnie Ifigenia. Nie wiem, jakim cudem zrozumiała, co powiedziałem. Sam ledwo się rozumiałem. W co drugim słowie połykałem końcówkę, zacierałem spółgłoski, nie wymawiałem samogłosek. – Mona to tylko wytwór twojej wyobraźni.

Podeszła blisko, tak blisko, że mogłem ją objąć. Więc to zrobiłem. Przytuliłem ją po raz ostatni. Chciałem jeszcze raz poczuć jej smak. Przycisnąłem

usta do jej ust, tak mocno, że nie zauważyła, kiedy wsunąłem jej do kieszeni złoty pierścień. Ten, który ukryłem przed Romanosem. I kartkę z liścikiem od Oliwii. Tym, który był do Romanosa, ale na którym nie było imienia adresata.

Ifi mnie odepchnęła.

– Chyba cię popierdoliło, Tom – warknęła.

Ale nie słuchałem. Odwróciłem się do niej plecami. Na sekundę podniosłem twarz do słońca, dokonałem w myślach błyskawicznych obliczeń.

– Mona?

Wiedziałem już, że naprawdę miała na imię inaczej. Wiedziałem też, że się nie powstrzyma i odpowie:

– Tak, Tom?

Ale ja nic od niej nie chciałem. Tylko wiedzieć, w którym miejscu stoi. A stała jakieś dwa kroki od przepaści. Tej od strony wąwozu Ha.

Podszedłem do niej szybko. Wyciągnąłem rękę, dotknąłem jej ramienia, żeby dokładnie ustalić jej pozycję, a potem popchnąłem z całej siły.

Nawet nie zdążyła krzyknąć. Usłyszałem tylko szurnięcie jej butów na piasku, a potem głucho uderzenie. Ciało musiało uderzyć o jakąś półkę skalną i dopiero po dłuższej chwili – o dno wąwozu.

– Anna! – wrzasnęła Ifigenia za moimi plecami. Odepchnęła mnie na bok, aż upadłem, a sama podbiegła do krawędzi urwiska.

Nie traciłem czasu na wstawanie. Na kolanach odpełzłem jak najbliżej pionowej skały. Usiadłem obok niej, zaparłem się butami o podłoże, rozpostarłem ramiona, rozcapierzyłem palce i próbowałem je wbić w szczeliny w skale. Wiedziałem, co się za moment stanie.

Normalnie mogę przewidzieć trzęsienie ziemi tylko kilka sekund wcześniej. Ale ten raz nie był normalny. Czuję to już od kilku minut. Przeczuwałem, że to będzie najsilniejsze trzęsienie ziemi, jakie przeżyłem. I najpewniej ostatnie. Moja czaszka trzeszczała i brzęczała, jakbym wcisnął do niej wszystkie bransoletki Mony. Byłem pewien, że jeśli potrwa to jeszcze kilkadziesiąt sekund dłużej, kość rozpadnie się na kawałki, żeby uwolnić syczący pod ciśnieniem mózg. Zacisnąłem mocno powieki, chociaż na dobrą sprawę powinienem był zrobić coś odwrotnego: otworzyć oczy najszerszej, jak się dało, otworzyć usta i próbować zmniejszyć ciśnienie. Tylko że to i tak by nie pomogło.

Pomarańcz pod moimi powiekami nagle pociemniał, jakby niebo zasłoniła gradowa chmura. Ciemna czerwień przeszła w fiolet, a potem nagle mój prywatny monochromatyczny horyzont przecięła błękitna błyskawica. I jeszcze jedna. I następna.

Tak jak w moim śnie.

Rozluźniłem palce na skale, zaciskanie ich i tak nic by nie dało. Gapilem się na błękitne błyskawice. Nigdy nie widziałem czegoś równie pięknego. Siedziałem

tak, zapatrzony w spektakl mojego mózgu, ale trwało to najwyżej kilka sekund. A potem ziemia zaczęła drżeć.

Pierwszy pomruk był jeszcze cichy i naprawdę nie miałem pojęcia, czy słyszę go tylko w mojej głowie, czy słyszy go też świat. Zaraz po nim przyszedł następny. To już nie brzmiało jak mruczenie przeciągającego się kota. Raczej ryk byka, który tratuje wszystko kopytami, obojętnie kogo i co, byle poczuć krew. W tamtej chwili z łatwością mogłem uwierzyć, że to nie geologiczne siły natury, lecz gniew potężnego boga.

Sam już nie wiem, czy pierwszy wstrząs nastąpił równocześnie z rykiem czy chwilę po nim, w każdym razie rzucił mnie na kolana. Naprawdę wydawało mi się, że przytrzymam się skały? Ludzie, te słabe istoty z miękkich tkanek, są zabawni. Upadłem na ścieżkę, upadłbym na nią pewnie, nawet gdybym przykuł się do góry łańcuchem.

Ziemia już nie drżała, ona wierzgała. Chciała mnie z siebie zrzucić, zupełnie jakbym próbował okiełznać dzikiego byka. Nie miałem dość siły, żaden człowiek na świecie nie miał, żeby oprzeć się gniewowi boskiego potwora.

I wtedy usłyszałem krzyk. Nic mnie to nie obchodziło, a gdyby nawet, co mogłem zrobić? Kulilem się w pozycji embrionalnej i osłaniałem ramionami głowę. Drobne kamienie odrywały się od skały i waliły we mnie jak grad. Spory głaz, który spłaszczyłby mi czaszkę jak naleśnik (gdyby w nią trafił), upadł tuż przed moim nosem. Drugi walnął mnie w żebra i na chwilę odebrał oddech. Później nie miałem już tyle szczęścia: kolejny wielki kamień uderzył w moją kość udową. Zawyłem z bólu i chwyciłem się za nogę. To był błąd, drobne kamienie spadały mi na nos i usta, wbijały się w skórę, raniły. Zęby dzwoniły jedno o drugie, przygryzały język, a kończyny mi drżały jak podczas jakiegoś ataku. Usłyszałem jeszcze jeden krzyk, tym razem na pewno pojedynczy i tak głośny, że chciałem dla odmiany zatkać uszy. Ale nie zdążyłem. Ziemia pode mną znów wywinęła fikołka, tak mocnego, że moje ciało zawisło na moment w powietrzu, a potem runęło na kamienie. Uderzyłem skronią o coś twardego i błękitne błyskawice zniknęły sprzed moich oczu. Zastąpiła je miękka czerń.

Kiedy się ocknąłem, znowu widziałem równomierną pomarańczową poświatę, normalny blask popołudniowego słońca, chylącego się już ku zachodowi. Przez chwilę myślałem, że śnię kolejny z moich koszmarnych snów. Język miałem sztywny i suchy i marzyłem o szklance wody. Dotknąłem ręką twarzy, pokrywała ją warstwa pyłu. Otarłem go z czoła, ale drobinki musiały dostać się do nosa i podrażniły śluzówkę. Kichnąłem. Wtedy oślepiła mnie biała błyskawica bólu. To nie żadna pieprzona przenośnia, ból był tak silny, że przed oczami na chwilę zobaczyłem biel. Nie widziałem tego koloru od czasu, kiedy straciłem wzrok.

Musiałem usiąść. Za pierwszym razem źle się do tego zabrałem, napiąłem mięśnie brzucha i poruszyłem żebro, pęknięte po uderzeniu kamienia. Zawyłem

i upadłem na bok.

Leżałem tak przez chwilę, słuchając bicia własnego serca, a później zacząłem się podnosić bardziej metodycznie. Najpierw spróbowałem podkurczyć nogi. Z lewą poszło mi dobrze, ale w prawej, w którą uderzył głaz, nie miałem czucia. Może to i lepiej – bałem się pomyśleć, jak by mnie bolała.

Podciągnąłem zdrowe kolano pod brzuch, a potem podparłem się rękami i odepchnąłem od podłoża, plecami do góry. Taki ruch chronił może klatkę piersiową i pęknięte żebro, za to poruszył nerwy wszystkich innych części ciała. Nie będę wyliczał, co mnie bolało, bo bolało wszystko oprócz prawej nogi.

Dźwignąłem się, oparty na dłoniach i jednym kolanie. Otarłem twarz o postrzępioną koszulę na ramieniu. Podniosłem głowę.

– Ifi! – krzyknąłem.

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi. Przez chwilę obawiałem się, że ogłuchłem, jednak na dole, w gajach oliwnych z powrotem zaczęły ćwierkać cykady. Słyszałem wiatr szumiący w szczelinach kamieni w wąwozie i pokrzykiwanie jakiegoś ptaka.

– Ifi! – krzyknąłem jeszcze raz. I znowu nic. W sumie nie spodziewałem się niczego innego.

Spróbowałem usiąść, ale żebro zakłuło i zacząłem się obawiać, że przebije mi płuco. Powoli, jak w zwolnionym tempie, uniosłem jedną dłoń i namacałem zegarek na przegubie drugiej. Długo trwało, zanim udało mi się wcisnąć guzik. W końcu usłyszałem, że jest siedemnasta trzydzieści siedem.

Podniosłem twarz i poczułem promienie słońca. Obliczyłem kąt ich padania. Oparłem się mocno na zdrowym kolanie i powoli przestawiając dłonie, przesunąłem się centymetr w stronę, gdzie wcześniej stała Ifigenia. A potem kolejny centymetr. I jeszcze jeden.

Miałem dużo szczęścia, że byłem poraniony i nie mogłem wstać. Miałem mnóstwo, mnóstwo szczęścia, że bolało mnie całe ciało, kłuło w żebrach i musiałem wlec za sobą zranioną nogę. Po prostu wygrałem los na loterii, bo kiedy czwarty raz przeniosłem dłoń centymetr do przodu, moje palce zacisnęły się na powietrzu.

KATALIMATA, PIĄTEK, 15 WRZEŚNIA, NADAŁ PÓŹNE POPOŁUDNIE

Usiadłem na krawędzi i spuściłem nogi w przepaść. Ślepcy nie cierpią na lęk wysokości, już to chyba mówiłem, a zawroty głowy w końcu ustąpiły, podobnie jak ból w czaszce i szum w uszach. Pod powiekami znowu miałem czerwień i pomarańcz, żadnych błękitnych błyskawic.

Słońce świeciło mi prosto w twarz, było już nisko. Siedziałem sobie, nadśluchiwałem i wahałem. W wąwozie Ha znowu zaskrzeczał ptak. Wiatr szeleścił liśćmi krzaków gdzieś na dole. Od czasu do czasu szosą z Pachia Ammos do Ierapetry przejeżdżał samochód. Gdybym widział, mógłbym zobaczyć przesuwające się na drodze małe kolorowe plamki. Podobno większość samochodów na Krecie jest biała, więc nie byłby to zajmujący widok.

Gdybym widział, mógłbym zobaczyć morze, po obu stronach przesmyku; od południowego zachodu, od Ierapetry pewnie miało już kolor złota. Nawet tu, na górze, wyraźnie czułem zapach soli. Szczęściara z tej Ifigenii, że kopała w tak pięknym miejscu. No ale każde szczęście, nawet to największe, kiedyś się kończy.

Policjanci w końcu mnie tu znajdą, pewnie prędzej niż później. Marina nie jest głupia i na pewno pamięta, że wspominała przy mnie o Ifigenii kopiącej w Katalimacie. A jeśli nie pamięta, na pewno ma to w swoich notatkach.

Zanim jednak wejdą po mnie na górę, znajdą na dole ciało. Ciało w Halasmenos, starożytnej wiosce, której bardzo adekwatna nazwa znaczy „zepsuty”, „zniszczony”. Z pewnością zaczęło się już rozkładać, krążą nad nim muchy. Spadło z Katalimaty, której jeszcze bardziej adekwatna nazwa znaczy „spadły z góry”. Grecy to mają jednak nosa do lingwistyki.

Zidentyfikują je jako Ifigenię Mitropoulou, archeolożkę. Była asystentką w Kentro, uczestniczkę projektu wykopaliskowego, moją narzeczoną. Nie sprostuję, że była. Przyczynę jej zgonu na pewno określi patolożka, która z pewnością już jest przy ciele, tam, na dole. Miałem tylko nadzieję, że Ifigenia nie spadła prosto na nią. Chociaż oszczędziłoby mi to trudów wykręcenia się od seksu.

Ifigenia będzie miała w kieszeni złoty pierścień. Ukradziony z wykopalisk. Sam pomogę Marinie poskładać do kupy informacje o depozycie z Knossos i o tym, że identyczny depozyt odkopaliśmy w Halasmenos. Podpowiem, że Ifigenia się nim interesowała i że to ona musiała wygrzebać tę dziurę w ziemi (my, proszę pani, nie wygrzebujemy takich dziur, schodzimy na dół szerokopłaszczyznowo, systematycznie i z zachowaniem zasad stratygrafii) i ukraść pierścień. I nigdy nie wspomnę słowem, że było ich więcej. Romanos to tylko drobny złodziejasek, niech idzie swoją drogą. Ludzie robią gorsze rzeczy.

Oprócz pierścienia Marina znajdzie w kieszeni Ifigenii kartkę. Bez trudu

porówna charakter pisma z zeszytami Oliwii i zrozumie, kto był autorem. Ja potwierdzę, że Oliwia od jakiegoś czasu podejrzewała kradzieże w swojej pracowni. Nie, tego pierścienia nie ma w żadnej ewidencji. Tak, Oliwia była straszną bałaganiarą. Ale była też świetną konserwatorką, nigdy o niej nie zapomnimy.

Marina szybko doda dwa do dwóch, to przecież inteligentna kobieta. Ifigenia była tamtej nocy w Kentro. Oliwia podejrzewała ją o kradzież, więc Ifigenia postanowiła uciszyć ją na zawsze. No bo skoro nie ja zabiłem Oliwię (a Marina i tak nigdy nie wierzyła w moją winę), mordercą mogła być tylko jedna osoba. Nikt inny nie dostałby się w nocy do Kentro, nikt nie znał kodu do alarmu.

Jutro, najdalej pojutrze, kiedy policjanci zwolnią teren wykopalisk (a nie powinno im to zająć wiele czasu, przecież to nieszczęśliwy wypadek, pewnie jeden z wielu podczas tak dużego trzęsienia ziemi), przestanę udawać żalobę, wygłoszę jakąś poruszającą mowę, wszyscy otrą łzy i wrócimy do pracy.

Będę oczywiście w złym stanie psychicznym. Być może dam się namówić na wizytę u psychiatry. A nawet wezmę od niego receptę na prochy uspokajające. W końcu przeżyłem przecież załamanie nerwowe, i to poważne. Wydawało mi się, że mam asystentkę. A po tym uderzeniu w głowę sądziłem też, że ją zabiłem, i Oliwię również. To na pewno z przemęczenia. I z niewyspania. Annika może potwierdzić, że ostatnio prawie w ogóle nie sypiałem. A teraz doszedł jeszcze szok związany ze śmiercią Ifigenii w tragicznym wypadku. No i z tym, że moja narzeczona okazała się jednak złodziejką i morderczynią. W takich warunkach każdy by się załamał.

To jasne, że muszę dojść do siebie. Na to potrzeba czasu. I spokoju. Ale nie mogę przecież zostawić wykopalisk. Jestem ich szefem i nic mnie nie zwalnia od odpowiedzialności. Na wykopaliskach liczy się każda godzina, tak powiedziałem Marinie, pewnie jeszcze to pamięta.

Drugiego ciała nie znajdą tak szybko. Postarałem się, żeby wpadło do wąwozu. Nikt nie będzie go szukał. Mona Anna Abano przecież nie istniała. Może w ogóle go nie znajdą. Albo kiedyś, za kilka lat, kiedy zostanie sam szkielet. Wtedy dojdą do wniosku, że to zabłąkana turystka. Albo i nie. Kości mogą przecież rozwlec dzikie zwierzęta. Po Monie Annie Abano nie zostanie nawet ślad.

I na pewno nikt nie będzie szukał kuzynki Ifigenii, blondwłosej turystki, która przyjechała trochę się poopalać. Turyści tak mają, że przyjeżdżają, a potem wyjeżdżają bez pożegnania.

W końcu wszystko będzie po staremu, tylko lepiej. I nawet kiedy co noc będą dręczyć mnie koszmary o Ifigenii spadającej w przepaść, nikomu się do tego nie przyznam.

Musiałem tylko zatroszczyć się o patolożkę. Mogła zacząć szukać mnie w wąwozie, gdzie rzekomo poszedłem się wysikać. A w moim dobrze pojętym

interesie było, żeby nikt tam nie wchodził, najlepiej przez kilka najbliższych miesięcy, aż prawa rozkładu zrobią swoje.

Obróciłem nadgarstek tak, żeby promienie słoneczne padły na tarczę zegarka i zacząłem puszczać zajączki. Nie wiedziałem dokładnie, gdzie trafiają, dlatego po każdym sygnale zmieniałem ustawienie tarczy.

Zobaczyła mnie. Usłyszałem z dołu jej krzyk. Nie rozróżniałem słów, ale też odkrzyknąłem: „Jestem tu, na górze”, i pomachałem rękami. Odpowiedziała, tym razem zrozumiałem „pomoc”. Nie pozostało mi nic innego, tylko siedzieć i czekać.

Promienie słońca traciły już swoją moc, ale ciągle przyjemnie grzały. Cykady na dole, w wąwozie znowu dały się jak opętane. Bawiłem się szkiełkiem zegarka, puszczałem w świat sygnał SOS. Ale tym razem nie było to *same old song*, tylko zwyczajne stare *save our souls*. Miałem nadzieję, że prędzej czy później ktoś uratuje moją.

POSŁOWIE

Od razu na początku muszę zaznaczyć, że nie ma żadnego depozytu Gamma-Lambda-Dwanaście z Knossos. Więc go nie szukajcie. Poza tym starałam się trzymać blisko realiów archeologicznych. Muzeum Stratygraficzne w Knossos naprawdę tak wygląda. Stanowiska Halasmenos i Katalimata naprawdę istnieją. W Halasmenos spędziłam kilka wspaniałych sezonów pod kierownictwem prof. Metaxii Tsipopoulou i o samych tych wykopaliskach można by napisać kilka powieści. Naprawdę istnieje też Kentro – nazywa się East Crete Study Center, naprawdę ma najlepszy na świecie (no dobrze, drugi w moim prywatnym rankingu) widok z okna toalety i naprawdę leży na wzgórzu nad Pachia Ammos (gdzie naprawdę są trzy świetne knajpy i jedna kiepska pizzeria – jak kiedyś będziecie w okolicy, wpadnijcie sprawdzić). Tak się też składa, że obecny kierownik Kentro ma na imię Thomas. Ale cała reszta to już naprawdę fikcja.

Cieężko jest pisać o czymś, o czym nie ma się pojęcia. Nieźle znam się na pracy archeologa, ale wszystko, co ma związek z byciem ślepy, musiałam sobie wyobrazić i sporo przeczytać. Chodziłam po mieszkaniu z zamkniętymi oczami, ale dorobiłam się tylko siniaków na łydkach i stłukłam ulubiony kubek – nie nauczyłam się określać mojego położenia na podstawie liczby kroków ani nie potrafiłam „wyczuć” bliskości szafy albo ściany. A to przecież tylko mieszkanie, nie odważyłam się wyjść z zamkniętymi oczami nawet na klatkę schodową, nie mówiąc o ulicy.

Wzrok jest moim najważniejszym zmysłem. Myślę, że mogłabym całkiem nieźle funkcjonować pozbawiona słuchu (poświęcić kwartety smyczkowe Beethovena i *Gimme Shelter* Rolling Stonesów w zamian za trochę spokoju od nieustannego gadania mojej sześciolatniej córki – proszę bardzo!) albo nawet smaku (choć ciężko byłoby bez czekolady), ale bez wzroku pograżyłam się we mgle, w przenośni i dosłownie. Podziwiam osoby, które tak żyją. Siedziałam z opadniętą szczęką, kiedy polska niewidoma biegaczka Joanna Mazur zdobywała złoto w biegu na 1500 metrów podczas Mistrzostw Świata Osób Niepełnosprawnych w Lekkiej Atletyce w Londynie w lipcu 2017 roku.

Dlatego najważniejsze podziękowania w posłowniu do tej książki należą się pani Joannie Pawłowskiej, niewidomej od urodzenia, która zgodziła się przeczytać fragmenty z opisem niepełnosprawności Toma i z humorem je skomentowała. Okazało się, że pani Joanna radzi sobie z niepełnosprawnością o wiele lepiej niż mój bohater. Ale Tom jest dupkiem, który uważa, że ma wszystko pod kontrolą, a pani Joanna – cudowną otwartą osobą z poczuciem humoru. Dlatego nie mogłam zastosować wszystkich jej uwag i sugestii, po prostu nie pasowały mi do charakteru bohatera. Wszystkie niewidzące osoby, które będą miały do czynienia z tą książką,

chcę więc z góry przeprosić za używanie słów „ślepy” albo „ślepiec”. Pani Joanna wyjaśniła mi, że to trochę *faux pas*, ale po prostu pasują do Toma. Podobnie jak kilka innych rzeczy – jeśli dotarliście do tego miejsca, rozumiecie, o co mi chodzi. Jeśli więc wiecie coś o życiu osób niewidomych i to, co napisałam, Wam nie pasuje, przypiszcie mi całą winę, ale pamiętajcie o *licentia poetica*. Zadaniem autora nie jest opisać wszystko w skali jeden do jednego, tylko sprawić, żeby czytelnik uwierzył, że opis jest prawdziwy. Jeśli zatem uwierzyliście w prawdziwość opisanego świata, to mi się udało!

Dziękuję też mojej cudownej redaktorce Karolinie Macios, która nie boi się autora i potrafi pokazać mu palcem wszystkie niedoróbki. Ta książka byłaby o wiele słabsza bez jej uwag i interwencji.

Adamowi Pluszce i całemu zespołowi wydawnictwa Marginesy (zwłaszcza Magdzie Śniecińskiej, cudotwórczyni promocji; tak, Magda, właśnie Ci się podlizuję!) bardzo dziękuję za pomoc i wsparcie na każdym etapie powstawania książki. Musicie wiedzieć, że ego pisarza zazwyczaj jest kruche i o wiele lepiej się tworzy w fajnej atmosferze. Marginesy potrafią zaopiekować się autorem jak żadne inne wydawnictwo.

I jak zwykle na końcu, ale jak zawsze najmocniej, dziękuję Tobie, Czytelniku. Znowu spędziliśmy razem kilka godzin. Znowu dobrze się bawiłeś albo strasznie irytowałeś. Ale dziękuję, że po raz kolejny sięgnąłeś po moją książkę!

Marta Guzowska

